

Gina B. Nahai

# Księżyc i anioł

Przełożyła z angielskiego Maria Grabska-Ryńska

Wydawnictwo „Książnica” Katowice 2002

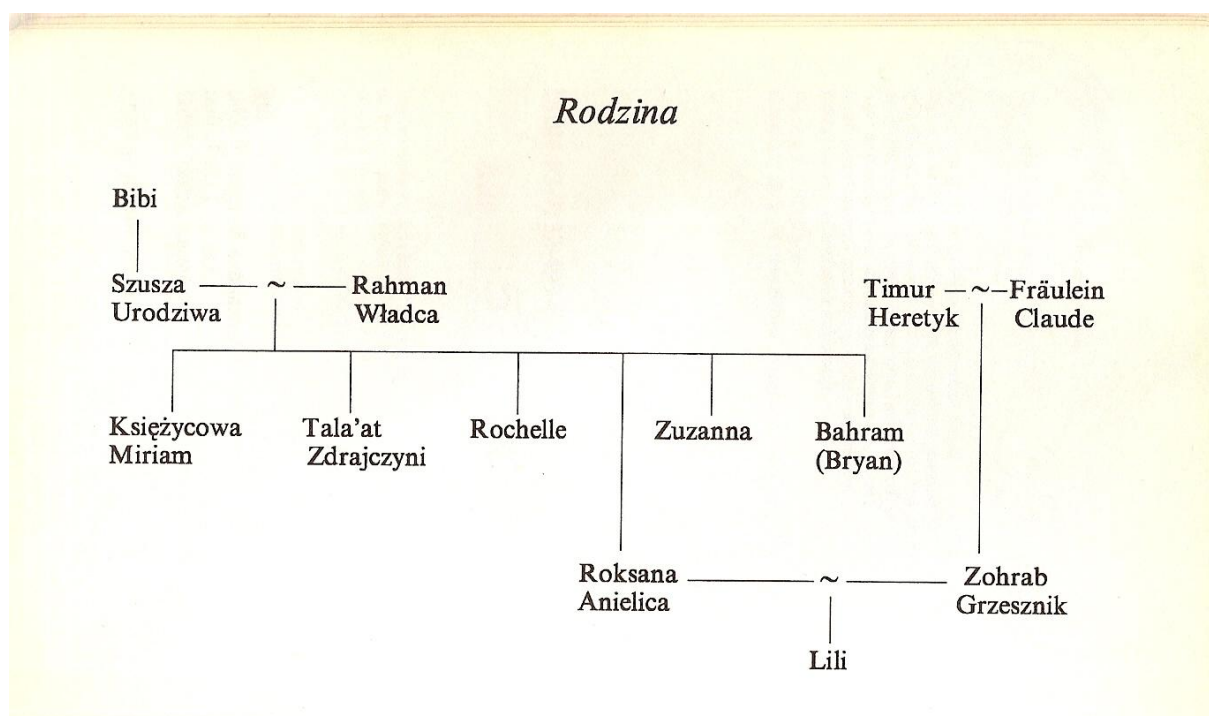
dla

Alexandra Shahina Nahai

Asley Leili Nahai

Kevina Cyrusa Nahai

którzy wierzą w czary



# Lili

---

Patrzę na nią. Waży trzysta dziewięćdziesiąt trzy funty i codziennie przybiera na wadze. Jej ciało napuchło do takich rozmiarów, że od dwóch miesięcy nie zdołała się podnieść. Nie mieści się w drzwiach, trzeba je wyjmować z zawiasów. Jej ciężki oddech brzmi jak wichura; gdy wypuszcza powietrze, wzdłuż całej ulicy szczekają psy, a pianino sąsiadów wydaje dysharmoniczne jęki o różnych porach dnia i nocy. Nikt w tej okolicy - i ja również - nie może uwierzyć, że moja matka, Roksana Anielica, była kiedyś dziewczyną o oczach przejrzystych jak akwarela i jasnej delikatnej skórze; że cały świat przystawał, by słuchać jej śmiechu, a mężczyźni - wśród nich i mój ojciec - włączyli się za nią po mieście, nie wiedząc ani dlaczego ją śledzą, ani co robią, jeśli kiedykolwiek się zatrzyma i odpowie na ich zaczepki. Była taka lekka, niepodległa prawom ciężenia i mozolnej ludzkiej egzystencji, że pewnej nocy, gdy ciemne niebo przybrało barwę jej snów, Roksanie wyrosły skrzydła. Wzleciała w wysadzone gwiazdami niebo Iranu, które owej nocy upomniało się o nią.

Cały Teheran zatrzęsł się ze zdumienia. Mój ojciec, który świata poza nią nie widział, już do końca życia pograżył się w smutku. Ja, która pozostałam na ziemi patrząc, jak moja matka ulatuje w niebiosa, przez resztę dzieciństwa czekałam na jej powrót. Krążyły legendy o tym, gdzie jest i co się z nią stało. Wielu, sądząc, że jej martwe ciało pogrzebano w ogrodzie przy alei Wiary, oskarżało mego ojca i dziadków zbrodnię. Najstarsza siostra Roksany, Księżycowa Miriam, która chowała ją od maleńkości, postawiła sobie za cel życia odnalezienie mojej matki, choćby wbrew jej woli.

A Roksana Anielica wciąż leciała, niebaczną na przyciąganie ziemskie i wołania tych, którzy ją kochali; nie przystanęła nawet po to, by zobaczyć spustoszenie spowodowane swoim zniknięciem. Frunęła od miasta do miasta przez Iran, a potem całą Turcję; żyła w rudkach na bezimiennych uliczkach, gdzie nie była niczym więcej jak nędzarką o przykuwających uwagę oczach i spokojnej, powoli blaknącej urodzie. Nie zatrzymałaby się i nikt by jej nie odnalazł, gdyby nie ów dziwny płyn, który zaczął przenikać jej ciało jak trucizna, sączył się z kącików oczu, wypełniał opuchlizną jej ramiona i nogi, aż nie była już w stanie nimi władać, i zamienił czarowny ongiś głos w rzeżący szept. I w końcu przykuł ją do ziemi.

Miałam pięć lat, kiedy matka mnie porzuciła, osiemnaście - gdy wróciła. Moja ciotka, Księżycowa Miriam, każe mi w tym widzieć spełnione przeznaczenie, nad którym Roksana nie miała żadnej władzy. Opuściła mnie nie dla kaprysu, lecz wskutek działania sił, które wprawiono w ruch setki lat przed moim urodzeniem. Roksana była już uciekinierką, nim została żoną i matką; ba, nim przyszła na świat, a nawet zanim została poczęta. Bo tak właśnie działa ten świat, powiada Miriam - zarówno na Wschodzie, jak i na Zachodzie: istoty ludzkie są tylko narzędziami bezlitosnego Losu. Wolna wola i świadome decyzje to złudzenie umysłów zbyt wątych, by pojąć realia naszej absurdalnej egzystencji. Tak więc, mówi ciotka, muszę wybaczyć Roksanie, że opuściła mnie bez słowa wyjaśnienia; że - choć słyszała, jak za nią wołam - nawet się nie obejrzała. Muszę jej wybaczyć, bo porzuciwszy nas cierpiała bardziej niż my.

I wszystko to, tak twierdzi Miriam, muszę przyjąć na wiarę. Bo choć Roksana wróciła - leży w gościnnej sypialni Miriam przy Veteran Avenue w zachodnim Los Angeles i patrzy na mnie pełnymi łez oczyma, w których ciemnieje świadomość nieuchronnej śmierci - to nadal odmawia mi wyjaśnień.

Księżycowa Miriam opowiada mi więc dzieje mojej matki.

# Dzielnica żydowska

## 1938

---

Roksana Anielica przyszła na świat w roku 1938 jako córka Szuszy Urodziwej i jej męża, krawca Rahmana zwanego Władcą. Rodzina gnieździła się w dwóch izdebkach wynajętych od matki Szuszy - siejacej postrach Bibi. Bibi była właścicielką trzech domów w żydowskiej dzielnicy pod Teheranem i wynajmowała pokoje nieszczęśnikom zmuszonym godzić się z jej przesadnymi wymaganiami i drakońskimi rządami. Nie zrobiła wyjątku nawet dla własnej córki; wielu Żydów szeptało, że ściąga z niej czynsz punktualnie jak w zegarku.

Izby nie miały podłóg ani okien; z podwórzem łączyły je wąskie, skrzypiące, zbite z luźnych desek drzwi. W jednej Rahman pracował w ciągu dnia, a w nocy sypiał z Szuszą. Druga służyła jako kuchnia, jadalnia i pokój dziecięcy.

Dzieci spały rzędem na polepie - pięć małych ciałek kuliło się razem pod wspólną kołdrą. Przed robactwem chronił je tylko rozpostarty na ziemi cienki płócienny chodnik. Ręce i nogi rodzeństwa splatały się we śnie; każde przywykło do ciepła pozostałych i samo nie zdołałoby zasnąć.

Pewnej nocy Roksane, która miała wówczas trzy lata, obudził dziwny zapach. Usiadła na posłaniu. Była drobnym dzieckiem, tak chudym i lekkim, że jej ruchy nigdy nie przeszkadzały innym. Wyciągnęła rękę i obudziła Miriam.

- Śniło mi się, że jestem ptakiem - powiedziała.

Miriam westchnęła, obracając się do niej. Miała dziewięć lat i odkąd pamiętała, niańczyła młodszego rodzeństwo.

- Coś cię boli? - spytała, nie otwierając oczu.

- Nie. Ale nie czuję nóg.

Miriam przyłożyła dłoń do czoła Roksany.

- Nie masz gorączki - stwierdziła. - Spij.

Godzinę później Miriam obudziła się ze strachem. Roksana leżała na swoim miejscu. Inne dzieci też spały. Ale izbę wypełniała dziwna woń: zamiast zwykłego odoru ciał i włosów, odpadków jedzenia, starych ubrań i suchej ubitej ziemi, Księżycowa Miriam poczuła zapach morza.

Zapaliła świecę i rozejrzała się wokół. Na pozór wszystko było w zupełnym porządku. Wtedy zobaczyła Roksane: dziewczynka miała zupełnie mokre włosy, ręce wyciągnięte

wzdłuż ciała, a wokół niej poniewierało się mnóstwo białych piór.

Roksana promieniała spokojem, zanurzona we śnie o dalekich górach i szmaragdowych morzach.

Miriam przeraziła się, że siostra umrze, jeśli ją obudzi. Położyła się obok, na posłaniu z piór tak białych, że w świetle księżyca zdawały się niebieskie, marząc, by uchylić choć rąbka tamtych snów.

Później Miriam wiele razy znajdowała pióra i często czuła zapach Morza Kaspijskiego w mieście oddalonym setki kilometrów od wybrzeża. Czasem się bała, że Roksana utonie. Pióra chowała w kołdrze, żeby nikt ich nie znalazł. Rozpruła palcami szew i wpychała je na wierzch wacianej wyściółki, wytartej i zżółkłej ze starości. Po jakimś czasie jednak brzemię sekretu Roksany stało się dla niej zbyt ciężkie, by mogła je dźwigać samotnie. Pewnej nocy, gdy w izbie było tak parno, że wilgoć zaczęła się skraplać na suficie i kapać na twarze i włosy śpiących dzieci, Miriam wstała i poszła po matkę.

Szusza weszła do pokoju bosa, rozespana, w luźno narzuconym czadorze i przez chwilę stała nad Roksana niczego nie dostrzegając.

- Patrz! - Miriam złapała garść pierza i podetknęła matce pod nos. - Często nocą znajduję je na posłaniu.

Szusza wydała stłumiony okrzyk, zbladła śmiertelnie i zadrżała - krótko, ale tak mocno, że Miriam zerknęła na nią z niepokojem.

- Kto jeszcze o tym wie? - spytała.

- Nikt. - Miriam zaczęła żałować, że ją wołała. - Chowałam je. Nikt nawet się nie domyśla.

W tejże chwili Tala'at, druga z rzędu córka Szuszy, poruszyła się przez sen. Otarła dłonią pot z szyi i piersi, szepcząc coś ochryple do wysnionego kochanka. Tala'at miała dopiero osiem lat i nigdy jeszcze nie zetknęła się z obcym mężczyzną. Lecz choć była tak młoda, targaly nią żądze - ślepa na wszystko namiętność, która w przyszłości miała zawładnąć także jej dorosłym życiem.

Szusza odwróciła wzrok od Tala'at i wyszła z izby. Przycupnęła na schodkach wiodących wprost na podwórko i skinęła na Miriam, by usiadła obok niej. Szusza była uderzająco piękna. Miała ciemną skórę i czarne oczy, a rysy tak wdzięczne, że każdy, kto widział ją bez czadoru, czuł zmieszanie i dziwny smutek. Szusza jednak zdawała się o tym nie wiedzieć, a może wstydziła się własnej urody.

- Rozumiesz, że nie wolno ci nikomu o tym mówić? - odezwała się do córki.

Miriam skinęła głową.

- Czy wiesz, skąd są te pióra? - zapytała Szusza.

Miriam otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz ugryzła się w język. Ludzie żyli wówczas za zasłoną milczenia, w pajęczynie tajemnic sięgających tysiąca lat wstecz, przepojeni czcią dla mocy wypowiedzianego słowa i obawą przed jego konsekwencjami. Toteż Miriam milczała, a i Szusza nie mówiła, że pióra na posłaniu Roksany wzięły się z jej snów. Wyzwolona z ciasnych murów żydowskiej dzielnicy Roksana wlatywała we śnie nad olbrzymim, bezkresnym oceanem - jak ptak lub anioł - i czasem nagarniała skrzydłami morską bryzę poza krawędź nocy, przekraczając granicę między pragnieniem a rzeczywistością. Białe pióra sypały się na posłanie Roksany mówiąc o jej tęsknotach.

\*

Zaczęło się to tak, jak zwykle zaczynają się tragedie - od kobiety. Pochodziła z Rosji i była żoną lubawickiego rabina, który przybył do Teheranu pod koniec osiemnastego wieku głosząc, iż nauczy Żydów, jak żyć w prawdzie i cnocie. W tym celu prócz żony i czterech córek rabin przyprowadził ze sobą muła objuczonego księgami i zwojami, z których wyjątki - jak zapowiedział - dowiodą prawdy jego słów. Założył świątynię i jał gorliwie wypełniać swoją misję. Wkrótce udało mu się przekonać wiernych, iż jest największym światowym znawcą natury Zła i sposobów walki z nim. Ponieważ zaś źródłem wszelkiego zła i zasadniczą przyczyną tego, co rabin nazywał "brzydotą moralną", jest płeć niewieścia, zacny duszpasterz spisał własną Biblię, w której zawarł wytyczne dla przyzwoitych kobiet. Zakazał im na przykład takich luksusów jak śmiech, czyniący je płochymi; mówiąc, miały osłaniać twarz dłonią, by nie kusić mężczyzn różowym, wilgotnym wnętrzem ust.

Chcąc świecić przykładem, rabin pilnie strzegł własnej żony i córek. Kazał im dusić się w grubych czarnych welonach i nie pozwalał odzywać nawet do innych kobiet. Nigdy też nie zdradził nikomu ich imion. Co dwa tygodnie polecał otwierać dla nich łaźnię o dwie godziny wcześniej, tak by nikt nie widział jego kobiet bez zasłon. Resztę czasu spędzały w czterech ścianach domu - milczące, wyniosłe, zgoła nierzeczywiste w swym odosobnieniu. Porozumiewały się gestami z obawy, że ktoś obcy mógłby usłyszeć ich głosy. Ludziom, którzy przychodzili do rabina albo obserwowali je z dachów swoich domów, zdawało się, że należą do obcej rasy - plemienia głuchoniemych poruszających się sennie w gęstej mgle. Snuto najdziwsze domysły co do ich atrybutów fizycznych, które rabin tak skrzętnie ukrywał. Żona musi być szpetna, spekulowali Żydzi, ma zajęczą wargę i dzioby po ospie, a pewnie jest też bezzębna. Jeśli zaś córki są do niej podobne, nie dziwota, że rabin nie nadał im imion;

brzydka kobieta nigdy nie znajdzie męża, przeto nie ma powodu żyć. Za plecami rabina mówiono o nich: "Wrona i jej córki".

I tak Wrona przeżyła wiele lat, tak też pewnie jej historia dobiegłaby końca, gdyby nie to, że w roku 1800 nagle oszalała. W samo święto Jom Kipur. Jak zawsze tego dnia Pan zesłał na ziemię pałący skwar, żeby jeszcze bardziej uprzykrzyć życie biednym Żydom, którzy przez prawie trzydzieści godzin nie mogli wziąć do ust nawet wody. Legiony szcurów i skorpionów zamieszkujących ziemię skryły się głęboko w jej rozpadlinach szukając chłodu. Było prawie południe i w bóżnicy lubawiczian tłoczyli się wierni, żałując swych grzechów. Modlitewniki topiły się mężczyznom w dłoniach. Kobiety stały na dziedzińcu pocąc się pod welonami i rozprawiały szeptem o najświeższych skandalach. Nagle przez szmer modlitw i plotek przedarł się zupełnie nowy, obcy dźwięk.

Ktoś śpiewał. Głos był kobiecy, miękki i płynny. Taki głos sączy się z ust, pozostawiając na wargach chłodny ślad; przenika ciało mężczyzny i sprawia, że lędźwie mu gorzeją. Był to swobodny i bezwstydnny głos nierządnic. Nucił starą miłosną piosenkę, którą wolno było śpiewać wyłącznie mężczyznom z najniższej, służebnej kasty. Najpierw usłyszały ją kobiety na dziedzińcu, potem mężczyźni, a na końcu rabin. Wszyscy podnieśli wzrok i wśród fal żółtego upału unoszących się z jałowej ziemi ujrzeli Wronę - nagą, jak ją Pan Bóg stworzył.

Ciało miała smukłe i giętkie, białe jak pienne wody rzeki, a włosy na głowie i łonie - złote. Rozkosznie zaokrąglone piersi i biodra pachniały młodzieńczym snem o kobiecie. Weszła do świątyni z zamkniętymi oczyma i dłońmi złożonymi wokół ust, by jej śpiew niósł się jak najdalej. Za nią jak urzeczone sunęły rzędem cztery osłonięte welonami córki.

Na ten widok twarz rabina pociemniała z wściekłości. Chciał zakrzyknąć: "Powstrzymajcie grzesznicę!", lecz głos uwiązł mu w gardle. Bezradny patrzył, jak jego żona kroczy przez bożnicę, okrąża pulpity i wychodzi. Kobiety pienły się z zawiści, mężczyźni usiłowali wyryc w pamięci jej obraz, by później opowiadać o tym wnukom. Nic dziwnego, że gdy Wrona wyszła na ulicę, wszyscy hurmem wylegli ze świątyni.

Ruszyła przez główny plac, który aż do tej chwili był pusty, jeśli nie liczyć paru płowych bezpańskich psów. Za nią podążały córki, a za nimi wierni. Szła przez ciche zaułki i ciemne, głuche sienie nędznych sklepików i smutnych domów, w których nie wolno się było śmiać, aż w końcu dotarła do bramy w murze odgradzającym dzielnicę żydowską od miasta. Wtedy nareszcie przestała śpiewać i odwróciła się do córek. Oczy miała puste jak ktoś, komu Bóg odebrał zmysły. Kiedy się uśmiechnęła, jej oddech pachniał wodą.

Potem zniknęła w bezlitosnym słonecznym żarze Dnia Sądu.

Gdyby nawet ów skandaliczny wypadek był odosobniony, stanowiłby i tak miażdżący cios dla rodziny. Niestety, miał on jeszcze bardziej szkodliwe skutki, pociągnął bowiem za sobą ciąg ucieczek wśród potomkiń rabina w każdym kolejnym pokoleniu. Najmłodsza córka Wrony w wieku czternastu lat opuściła dom i słuch po niej zaginął. Wnuczka mając lat dziewięć przyłączyła się do bandy tureckich Cyganów, którzy obozowali w górach nieopodal Teheranu. Dziewczęta uciekały z rozbójnikami, były porywane przez nomadów, sprzedawały się handlarzom nierządnic. Babka Szuszy rzuciła się do rzeki Karadż w nadziei, że nurt zanieśie ją do morza. Sine, obrzmiałe zwłoki znaleziono gnijące na południowym brzegu. Ciotkę Szuszy złapano; ojciec sprowadził ją do domu i przywiązał za nogi do ceglanego słupa, gdzie pozostała przez resztę życia.

Szusza Urodziwa nasłuchiwała się opowieści o swych zbiegłych przodkiniach - jak to nago i boso przemierzały pustynie środkowego Iranu, gdzie nawet skorpiony umierają z gorąca. Skruszone, pragnęły wrócić i błagać o przebaczenie, lecz nie dano im tej szansy. Jako dziecko wytykana palcami i pogardzana Szusza żyła w ciągłym strachu. Bała się, że zostanie starą panną, a jeszcze bardziej tego, że pewnego dnia również ucieknie, bo "ma to we krwi". Jej ojciec zmarł, kiedy miała dwa lata. Matka, Bibi, chowała ją na zapleczu rodzinnego sklepiku, wśród gnijących owoców i zwiędłych warzyw, których by nie tknął żaden muzułmanin (prawo wzbraniało Żydom dostępu do świeżych produktów). Cierpka dla klientów i okrutna dla Szuszy, Bibi nigdy nikomu nie dała nic za darmo. Potrafiła odmówić robaczywego jabłka żebracze z kalekim dzieckiem przy piersi. Uczyla Szuszę posłuszeństwa bijąc ją gałęzią granatu aż do krwi. Aby zapobiec spełnieniu się klątwy i ewentualnej ucieczce dziewczyny, Bibi brała przykład z ojca i na noc wiązała jej nogi.

Szusza rosła cicha i smutna, tak zastraszona, że jedzenie, którym karmiła ją matka, nie chciało jej przejść przez gardło. Pewna, iż umrze w staropanieństwie, gromadziła kawałki tkanin na całun. Fakt, nie miała wielu zalotników - jej imię skalane było przecież dziedzictwem Wrony - ale matka i tak ogłosiła zawczasu, że nie dopuści, by Szusza wyszła za mąż.

- Zamierzam położyć kres hańbie - powiedziała kiedyś. - Jeśli wyjdiesz za mąż, urodzisz córkę, jak ja. Ucieknie z domu, a jeśli nawet nie, zrobi to jej córka. Nie pozwolę ci mieć dzieci i w ten sposób odwrócę zły los.

W wieku czternastu lat Szusza była taka śliczna, że Bibi zabroniła jej patrzeć w lustro z obawy, że dziewczyna stanie się próżna i krnąbrna. Mając lat szesnaście otrzymywała propozycje od pośredników zatrudnionych przez bogatych muzułmanów. Ludzie ci przemierzali cały kraj w poszukiwaniu pięknych dziewcząt do haremów. Kiedy skończyła lat



osiemnaście, całun był gotowy, a Szusza pewna, iż nigdy nie zazna słodczy macierzyństwa, ronila łzy do flakonu odziedziczonego po ciotce - tej, która uciekła z domu - a potem jednym haustem wypila wszystkie na znak żałoby. Było to w przeddzień święta Szawuot. Bibi udała się do Teheranu po towar. Nazajutrz Szusza otworzyła sklep o zwykłej porze - o piątej rano, nim jeszcze na ulicach pojawili się sprzedawcy wody pitnej - i przez cały ranek zawzięcie targowała się z klientami. Około południa do sklepu wszedł Rahman Władca. Zobaczył Szuszę, która obrywała właśnie zwiędłe liście z główek sałaty, i zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

\*

Rahman był służącym w domu słynnej krawcowej, Aleksandry zwanej Kocicą - bez wątpienia najoryginalniejszej i najbardziej tajemniczej mieszkanki żydowskiej dzielnicy Teheranu, patronki sztuki opiekunki co najmniej stu dwudziestu bezpańskich kotów, które miały dość rozumu, by odnaleźć drogę do jej drzwi. Aleksandra darzyła je uczuciem graniczącym ze zgoła bezbożną czcią. Mieszkała w dzielnicy żydowskiej od ośmiu lat, lecz nikt nie wiedział nic pewnego o jej przeszłości i okolicznościach pojawienia się w Teheranie. Przybyła pieszo, sama i bez bagażu, odziana w satynową balową suknię, futrzaną etolę i dwanaście sznurów pereł. Jej włosy, rozczochrane i pełne kurzu, zachowały ślady kunsztownej fryzury. Wąskie pantofelki na wysokich obcasach były tak zdarte, że wrosły w podeszwy jej stóp.

Powiedziała Żydom, że przybywa z Moskwy, z dworu Mikołaja II, i że była żoną największego carskiego generała. Pewnej nocy, gdy wraz z mężem wybierała się do opery, ich willę zaatakowali bolszewicy. Mąż zginął na miejscu. Aleksandra złapała etolę, w której wcześniej zaszyła wszystkie swoje klejnoty, i czmychnęła, ratując życie. Pozostawszy sama, bez dachu nad głową, postanowiła opuścić Rosję. Z odwagą, jaka dana jest tylko szaleńcom lub dzieciom, zapuściła się w moskiewskie dzielnice nędzy, mijając żołnierzy, czołgi i stężałe na mrozie zakrwawione ciała. Kroczyła dumnie w satynowej sukni i dwunastu sznurach pereł, choć za każdym krokiem wydawało się jej, że czyjaś ręka sięga po nią z tyłu i zaraz ją złapie.

Ale jak twierdziła, nikt jej nie zatrzymał i w swoim czasie dotarła do Teheranu.

Żydzi, zawsze nieufni wobec cudzoziemców - zwłaszcza gojów i kobiet - orzekli, że Aleksandra w żaden sposób nie mogła ujść z Rosji niezauważona, a tym bardziej przebyć pieszo tysiące mil w balowej sukni i pantofelkach na wysokich obcasach. Ponadto, choć rzeczywiście miała niebieskie oczy i rosyjski akcent, posługiwała się językiem perskim stanowczo zbyt płynnie jak na kogoś, kto dopiero co zawitał do kraju.

A jednak jej tupet i spory majątek kazały Żydom przyjąć Kocicę jak swoją. Kupiła dom, zapłaciła za niego złotymi monetami i oznajmiwszy, że sama jedna zajmie wszystkie siedem pokoi (plus dziedziniec), zastawiła je dziwnymi, niezgrabnymi przedmiotami: stołami, krzesłami oraz monstrualnym stworzeniem, o którym mówiła *diwan* (co po persku znaczy "upiór"). Miało złoty szkielet i aksamitną szatę w kolorze wina. Aleksandra kazała wyciąć w ścianach okna i wstawić w nie szkło, tak że każdy mógł zajrzeć do środka. Powiesiła w nich zasłony o barwie dojrzałych owoców granatu, ozdobione ciemnoniebieskimi frędzlami i złotymi sznurami. Następnie wynajęła dwunastu mężczyzn, którzy wnieśli do domu olbrzymie zwierzę o lśniącej drewnianej skórze i obnażonych kłach. Kolejka ludzi tłoczących się, żeby obejrzeć to widowisko, ciągnęła się przez trzy przecznice.

Aleksandra umieściła potwora w swej "bawialni", której okna wychodziły na ulicę, zdjęła zeń uprząż i oczyściła go, po czym usiadła na krześle i położyła palce na zębach potwora. Monstrum wydało z siebie dość nawet miły dla ucha ryk.

- To fortepian! - Aleksandra objawiła Żydom imię zwierza. - Matka posyłała mnie na lekcje gry. Miałam zostać pianistką koncertową.

Wtedy właśnie zaczęły krążyć pierwsze plotki, jakoby Aleksandrę utrzymywał pewien "dobroczyńca". Robotnicy, wniósłszy fortepian do jej domu, zdradzili Żydom, iż jest to antyk, zakupiony w Europie przez syryjskiego kupca, który życzy sobie zachować anonimowość. Skonfrontowana z tymi pogłoskami Aleksandra okazała się wyższa nad podłe oszczerstwa i powtórzyła w jeszcze barwniejszych szczegółach historię swej ucieczki z Rosji. Następnie rozpakowała rzeczy i najęła Rahmana.

Rahman Władca pracował u Kocicy siedem lat; biegał na posyłki, sprzątał, gotował, pomagał kroić i wyszywać liczne suknie, które uparcie nosiła pośród kurzu i nędzy żydowskiej dzielnicy. Co rano szedł do sklepu Bibi po jarzyny na obiad. Patrzył, jak Szusza dorasta, lecz nigdy jej nie zauważał - był tylko o dwa lata od niej starszy, nie miał rodziców i przez długie lata kobiety nie zaprzętały zbytnio jego głowy. Potem naraz pewnego dnia ujrzał ją i poczuł, że język mu wysycha i staje kołkiem, dłonie zaś robią się lodowato zimne. Zmieszany wyszedł ze sklepu nie zrobiwszy zakupów. W drodze powrotnej myślał tylko o Szuszy - jak na niego spojrziała, jak w jej oczach odbijał się każdy promień światła... Pochłonięty bez reszty tym nowym odczuciem, zapomniał ugotować obiad.

Przez dwa tygodnie codziennie chodził do sklepu, stawał w kącie i gapił się na Szuszę, po czym wracał do domu z pustymi rękami. Pewnego wieczoru, gdy Aleksandra zasiadła do kolacji, odchrząknął i spytał, czy zna Bibi z warzywniaka.

Zirytowana tym Kocica obróciła ku niemu uróżowaną i upudrowaną twarz i już miała mu przypomnieć, że służba nie zadaje państwu osobistych pytań, kiedy zobaczyła, że Rahman jest blady jak ściana i strasznie zdenerwowany. Sprawa zatem musiała być dla niego ważna. Aleksandra uniosła narysowaną brew, która wygięła się w idealne półkole nad umalowanym okiem, przyjrzała się Rahmanowi i odgadła powód jego rozterki.

- A, więc o to chodzi! - Uśmiechnęła się. - Widziałeś jej córkę?

Zaczekała, aż Rahman naleje wina, poda zupę, którą nauczyła go przyrządzać, i stanie za jej plecami, tak by uprzedzać każde życzenie Kocicy nie narzucając się swoją obecnością. Potem rzuciła lekko, jak gdyby czyniła uwagę na temat zupy:

- Idź do warzywniaka i zaproś je na herbatę. Zobaczę, czy da się nawiązać znajomość w ramach tej barbarzyńskiej i haniebnej tradycji, której tu przestrzegacie.

Nazajutrz Aleksandra napisała zaproszenie i wysłała Rahmana, by osobiście doręczył je Bibi. Stał przed nią dygocząc ze zdenerwowania, a ponieważ nie umiał czytać, powtórzył z głowy słowa Aleksandry:

- "Przyjdź dziś po południu do mojego domu" - powiedział. - "Napijemy się herbaty. Zaznajomimy się."

Mierząca prawie dwa metry Bibi, odziana jak zwykle w czarną taftową suknię, górowała nad Rahmanem nawet siedząc. Wypełniała sobą mały sklepik w takim stopniu, że Rahman poczuł, iż brakuje tam powietrza dla nich dwojga. Zza szorstkiego welonu płonęły siłą i stanowczością oczy kobiety zdolnej walczyć w pojedynkę przeciw całemu światu.

Minęła chyba wieczność, nim odpowiedziała:

- Nie lubię herbaty. I nie potrzebuję nowych znajomości.

Aleksandra poczuła się obrażona tą odprawą. W normalnych warunkach nie odezwałaby się już do Bibi ani słowem do końca swoich dni. Wystarczył jednak rzut oka na zrozpaczoną twarz Rahmana, by zdecydowała się poświęcić swoją dumę przez wzgląd na emocjonalne zdrowie chłopca. Wysłała go z kolejnym zaproszeniem.

- "Przyjdź więc na kieliszek wina" - powtórzył. - "Musimy omówić pewną ważną sprawę."

- Tylko mężczyźni i dziwki piją wino! - odparowała Bibi.

Aleksandra Kocica jęknęła ze złości i postanowiła dać Bibi nauczkę. Poszła do sypialni i przebrała się w lawendową aksamitną suknię z potrójną spódnicą i krótkim bolerkiem. Włożyła jedwabne pantofelki w tym samym kolorze i naszyjnik z fioletowych kryształów. Wzięła liliową koronkową parasolkę i skropiła się perfumami o zapachu

hiacyntów.

- Chodźmy - powiedziała do Rahmana, brodząc wśród zgrai kotów, które kłębiły się wokół niej i ocierały o jej stopy. - Sama się rozmówię z tą handlarką zgniłego zielska.

Zastali Bibi palącą nargile na tyłach sklepu.

- Ten młody człowiek pracuje u mnie - oznajmiła Aleksandra z ciężkim rosyjskim akcentem, wypinając głęboko odsłonięte, uniesione gorsetem piersi. Szusza przysłuchiwała się z kąta. - Przyszliśmy tu, ponieważ ma on poważne zamiary wobec twojej córki i prosił, abym mówiła w jego imieniu.

Bibi obrzuciła ją spojrzeniem, od którego jarzyny w skrzynkach zwiędły jeszcze bardziej.

- Idźcie precz - odparła.

Aleksandra wciągnęła powietrze tak głęboko, że kryształy rozdzwoniły się na jej szyi.

- Dobrze - powiedziała wypuszczając powietrze. - Zostałaś powiadomiona. Może następnym razem będziesz miała dość rozumu, by poznać, kiedy uśmiecha się do ciebie szczęście. - Co rzekłszy, wymaszerowała ze sklepu przysięgając, że jej noga więcej tam nie postanie.

Kiedy Kocica wyszła, Bibi pochyliła się i uderzyła córkę w twarz. Szusza już nie będzie obsługiwać Rahmana i niech nawet nie śmie zalotnie na niego zerkać, bo nie wyjdzie za męża ani za niego, ani za kogokolwiek innego - oznajmiła z mocą. Następnie wyszła dziewczynę do domu, żeby przygotowała kolację.

Sama pozostała w sklepie do północy. Wychodząc, wzięła do domu arbuza, żeby zjeść go przed snem. Gdy wszakże rozcięła owoc, pokój wypełnił się zapachem hiacyntów. Przypomniała sobie rosyjską pianistkę w aksamitnej sukni.

W końcu musiała spać na podwórku, gdzie aromat nie był tak drażniący. Nazajutrz rano obudziła się z bólem głowy. Klienci narzekali, że jej towar śmierdzi, jak ta zbzikowana muzykantka, która trzyma koty". Zamknęła sklep przed czasem i udała się do łaźni, żeby zmyć z siebie zapach perfum Aleksandry, lecz gdy wróciła, sąsiedzi czekali już na nią z wymówkami, że odbiera im apetyt, a dzieci dostają mdłości od zapachu hiacyntów, które u siebie trzyma.

Bibi miała czterdzieści siedem lat i od szesnastu była wdową. Nie bała się ani Boga, ani diabła, ani nawet dewów z perskiej mitologii. Wierzyła jednak w moc Przeznaczenia. Pojęła, że przenikliwy zapach i uparte wspomnienie Aleksandry Kocicy to znak dany z góry. Przeznaczeniem Szuszy było poślubić Rahmana. Bibi wyszła więc z domu nic nie mówiąc córce i udała się prosto do Kocicy.

Wesela nie będzie - powiedziała, gdy tylko Rahman otworzył drzwi. - Nie dam wiana i nie chcę wykupu. Możesz ją zabrać w czwartek wieczorem. Nie będzie mnie w domu.

I tak Szusza Urodziwa poślubiła Rahmana i zamieszkała z nim w domu Kocicy. Zdając sobie sprawę, że Rahman nie zdoła utrzymać rodziny z pensji lokaja, Aleksandra zwolniła go ze służby i pomogła otworzyć własny warsztat krawiecki. Młodzi przeprowadzili się do dwóch izdebek wynajętych u Bibi. Regularnie co dwa lata Szusza zachodziła w ciążę. Matka wcale jej nie odwiedzała, nigdy nie przysłała obejrzyć dzieci, lecz za każdym razem, gdy rodziła się dziewczynka, posyłała Szuszy liścik, w którym ostrzegała, że prędzej czy później jedna z córek okryje ją hańbą. I w końcu - jakby po to, by zadowolić bogów lub spełnić kaprys Losu - przysłała na świat Roksana.

\*

Lato 1938 roku było niezwykle suche i upalne. Wiatr nawiewał do getta tumany pustynnego kurzu, pokrywając nim wszystko - nawet rzęsy dzieci i szerniałe podniebienia starych kobiet. Ludzie budzili się rano źli i spragnieni. Niespokojne zwierzęta wybiegały na ulice. Zaułkami tęskniącego za wybawieniem getta cwałowali widmowi jeźdźcy w złotych pancerzach, uzbrojeni w antyczne srebrne mlecze.

Szusza była brzemienna po raz czwarty w ciągu minionych ośmiu lat. Stała się roztargniona i zamknięta w sobie, nie obchodziły jej dzieci ani codzienne zajęcia. Całe ranki spędzała na podwórku, dopóki sąsiadki w obawie przed udarem nie wygoniły jej pod dach. Wtedy się kładła, nie dostrzegając kręcących się wokół dzieci, i nawet nie kiwnęła palcem, żeby je nakarmić czy umyć. Wystraszony takim zachowaniem Rahman udał się po poradę do niejkiej Ziwar, najlepszej akuszerki w żydowskiej dzielnicy. Ziwar powiedziała mu, że Szusza cierpi na przejściową utratę zmysłów z powodu ciąży.

- Tak bywa, kiedy krew płodu jest wroga matce - wyjaśniła. - Zrozumiesz to, gdy dziecko przyjdzie na świat. Szusza nigdy nie znajdzie z nim wspólnego języka.

Z dnia na dzień Szusza była coraz bardziej milcząca i oderwana od rzeczywistości. W szóstym miesiącu nie odezwała się do nikogo ani słowem przez siedem dni z rzędu. Rahman wpadł w panikę i wezwał znachora, który obnażył Szuszę do pasa i przystawił jej na plecach cztery czarne pijawki. Zniosła to dumnie, najwidoczniej nie czując bólu, a gdy usunięto pijawki, podniosła się i naciągnęła suknię.

- Myślałam o morzu - powiedziała do Rahmana.

Rahman nigdy nie był nad morzem. Wiedział o jego istnieniu tylko z opowieści

Aleksandry Kocicy, utrzymującej, iż kiedyś przebyła je wraz z mężem na statku należącym do cara Rosji. Morze w oczach Rahmana reprezentowało świat, który mógł odebrać mu żonę.

- Pytałem Aleksandrę - skłamał. - Mówi, że nie ma czegoś takiego jak morze. To bajka, którą Cyganie opowiadają dzieciom, żeby je zwabić i porwać.

Szusza spojrzała nań z pogardą.

- Powiedz Kocicy, że się myli - odparła. - Na północ od nas jest jedno morze, a na południu drugie. Ziemia pomiędzy nimi jest czerwona, złota i bardzo piękna.

Pozostała w tym stanie przez następne dwa miesiące i nawet optymiści porzucili nadzieję, że kiedykolwiek odzyska pełnię władz umysłowych. Ocknęła się pewnego ranka w ósmym miesiącu. Zawołała do Miriam:

- Idź do rzeźnika i kup mi ratki baranie! I powiedz ojcu, żeby sprowadził akuszerkę, bo zacznym rodzić.

Gdy o siódmej rano Rahman wyszedł po Ziwar, czuł, jak w słońcu jego skórę pokrywają pęcherze. Zatłoczone zwykle ulice wiały cmentarną pustką. Przez chwilę myślał, że mułowie wezwali do masakry Żydów i wszyscy ukrywają się w piwnicach.

Ziwar mieszkała w pobliżu siódmej bramy getta. Znalazł ją w izbie; siedziała tyłem do przodu na swoim mule smarując opuchnięte nogi białkami jaj z gorczycą i modliła się o deszcz. Od urodzenia miała za krótkie nogi i nie mogła sprawnie chodzić, a przez brak ruchu roztyła się do monstualnych kształtów. Chcąc pomóc, ojciec kupił jej muła i wytresował zwierzę tak, że poruszało się po domu niczego nie tłukąc i nie depcząc. Muł stał się najwierniejszym towarzyszem Ziwar. W ciągu dziesięcioleci niemal zrósł się z nią w jedno, tak rzadko zeń zsiadała. Owszem, chodziła pieszo do wygodki, ale jadła, a nawet spała w niewygodnej pozycji na grzbiecie muła. Z biegiem czasu jej skóra przybrała barwę jego sierści, głos stał się ochryply jak ryk muła i wyglądała teraz jak pół kobieta, pół zwierzę.

Muł z kolei dowiódł swego przywiązania do Ziwar nie rosnąc ponad miarę - bez trudu mieścił się w maleńkim domku - oraz żyjąc znacznie dłużej, niż było mu wyznaczone: Ziwar Akuszerka miała już sześćdziesiąt osiem lat, a gotowa była przysiąc, że muł przeżył co najmniej tyle samo.

Zasapany Rahman oznajmił jej, że Szusza zaczyna rodzić.

- Trzeba za wszelką cenę odwlec poród. - Akuszerka odłożyła maść z gorczycy i szturchnęła muła, który dźwignął się na nogi.

Ziwar przyjęła na świat więcej dzieci niż jakakolwiek inna położna w historii getta. Wiedziała z całą pewnością, jakby to było wypisane w Torze, że dziecko urodzone w ósmym miesiącu ciąży będzie zniekształcone i niedorozwinięte.

- Siódmy miesiąc jeszcze ujdzie - tłumaczyła Rahmanowi ocierając twarz lśniąca od potu. Pot ściekał również z muła, zbierając się w kałuże na polepie. - W siódmym miesiącu każde dziecko jest w pełni ukształtowane. Ale w ósmym robi się bałagan, kończyny i organy zmieniają położenie i nic nie jest tam, gdzie być powinno. Potem znów na początku dziewiątego miesiąca wszystko wraca na miejsce przed terminem narodzin.

Kiedy dotarli do domu Rahmana, wybiegła do nich Miriam.

- Matka śpi – oznajmiła zdyszana.- Ugotowałam jej rosół z baranich nówek, żeby namaścić macicę, ale na razie uniosłam jej nogi w górę i powiedziałam, że musi poczekać na Ziwar.

Muł znał już drogę do izby. Bez wahania wszedł i ukląkł przy łóżku. Ziwar podwinęła rękaw, umyła piegowatą sękatą dłoń w misce wody podsuniętej przez Miriam i jęła obmacywać łono Szuszy szukając główki dziecka.

- Falszywy alarm. - Wyjęła dłoń i ponownie umyła ją w misce. Muł wstał i wycofał się na podwórze. - Ten upał robi ludziom wodę z mózgow.

Przez cały dzień nieznośny skwar nie zelżał nawet na chwilę.

Ale późno w nocy nad żydowską dzielnicą zerwał się lekki wiatr, który przyniósł ze sobą zapach wilgotnego powietrza i chłodnych wód. W ślad za nim z suchej, umęczonej ziemi uniosła się gęsta, biała, nieprzejrzysta mgła, wnikając do smutnych domów, w których ogarnięte żądzą kobiety tuliły się we śnie do swoich mężów. O świcie, gdy mgła się rozproszyła, nad Teheranem weszło słońce; jego promienie nie tknęły wszakże żydowskiej enklawy, uspionej pod stalowym niebem niczym plaża po biblijnym potopie. Unosił się nad nią odór ryb tak intensywny, że ściągnął pod bramy getta muzułmanów. Około południa, gdy słońce prażyło najsilniej, w obrębie murów wciąż panował chłodny przedświt.

Przekonani, że niewierni uciekli się do czarów, by wpłynąć na niebiosa i ziemię, muzułmanie tłoczyli się wokół getta, nie przekraczając jego siedmiu bram z obawy, że zły urok dotknie ich w chwili, gdy postawią stopę na ziemi bezbożników. Stali tak przez cały dzień, a tymczasem Żydzi śnili o kaspjskich wodach i barwach wiecznego pożądania. W całej dzielnicy nie spała tylko Szusza, która tuliła do piersi nowo narodzoną córeczkę.

Słońce weszło dopiero o siódmej wieczorem i odtąd porządek dni i nocy w teherańskim getcie zmienił się na zawsze.

\*

Nim jeszcze Bibi udała się do domu Szuszy - a poszła w czarnej taftowej sukni szeleszczącej wokół nóg, z kryształowym różańcem trosk brzęczącym w dłoni i z laską, która

biła w ziemię jak serce czarnej ghul - nim więc jeszcze Bibi przekroczyła próg izby Szuszy owej nocy, gdy żydowską dzielnicę otaczały rzesze zdumionych mahometan, a słońce weszło spóźnione o czternaście godzin, każdy, kto ją znał, wiedział z góry, że stara okrzyknie Roksanę pechowym dzieckiem.

Nikt nawet nie roztrząsał motywów Bibi ani nie czekał na dowód, że właśnie tak postąpi. Był to jeden z tych faktów - jak istnienie Boga, jak niższość płci niewieściej, jak to, że Aleksandra Kocica od przybycia do miasta sypiała z nieznanym Syryjczykiem, który pokrywał wszystkie jej wydatki - jedna z tych prawd, których nie trzeba dowodzić, aby mogły zaistnieć. Roksana doprowadziła swoją matkę do szaleństwa w czasie ciąży, przysłała na świat w nader szczególnych okolicznościach i omal nie spowodowała pogromu w getcie. Jasne, że towarzyszył jej pech. Jasne, że Bibi nie omieszka tego stwierdzić.

Bibi przybyła w chwili, kiedy Rahman wciągał spodnie, mamrocząc, że chyba musiał umrzeć i zostać wskrzeszony - inaczej jak mógłby przespać cały poród? - a Tala'at Zdrajczyni usiłowała z powrotem zapaść w sen, w którym od dwudziestu czterech godzin uprawiała miłość z mężczyzną o złocistej skórze i purpurowych oczach. Nagle drzwi rozwarły się z hukiem, przy którym bladła zagłada Sodomy, i do izby wkroczyła Bibi. Była tak ogromna, że musiała się schylić i bokiem wcisnąć do wewnątrz.

Podeszła do Szuszy i wzięła dziecko z jej ramion. Owinięta w stare gałgany Roksana była mała i blada, usteczka miała krągłe i różowe, oczy otwarte i przenikliwie patrzące na świat. Spojrzały wprost na Bibi, przyprawiając ją o dreszcz. Stara oddała Roksanę matce.

- To dziecko przyniesie ci pecha - oznajmiła. - Oddaj ją, jeśli zdołasz. Albo sama zabij.

\*

Aleksandra Kocica pilnie posłała po Rahmana. Odkąd się ożenił i poszedł na swoje, ciągle zmieniała służących, lecz nigdy nie zaufała nikomu tak jak jemu i wciąż skarżyła się na przypadłość, którą nazywała *ennui* (udręką - wyjaśniała niepiśmiennym sąsiadom, zirytowana, że żyje pośród ludzi, którzy jej nie rozumieją i nie doceniają). Większość czasu spędzała samotnie; ubierała się w balowe suknie i każdego popołudnia grała na fortepianie. Przygarniała coraz to nowe koty i projektowała coraz wymyślniejsze i bardziej ekscentryczne szczegóły wystroju wnętrza domu. Latem i jesienią 1938 roku na jakiś czas zniknęła ludziom z oczu - zamknęła się w czterech ścianach i nikt jej nie widywał. Pojawiła się znowu w pierwszych miesiącach zimy, utraciwszy wcięcie w pasie i nieskazitelny wygląd, po czym zaczęła kupować całe tony żywności i innych niezbędnych rzeczy. Zappełniła dom węglem,



cukrem i oliwą, wędzonymi rybami, suszonymi owocami i ryżem, a gdy paki zajęły nie tylko piwnicę, lecz także każdy pokój, skończyła z zakupami i wezwała Rahmana.

- Wojna się do nas zbliża - ostrzegła go, siedząc na sofie.

Zamiast strojnej toalety z satyny lub aksamitu miała na sobie zwykłą bawełnianą sukienkę sięgającą tylko do połowy łydki. Żółte, siwiejące włosy, spalone po latach zwijania ich w loki, spadały jej na ramiona. Rahman miał wrażenie, że Kocica z trudem się powstrzymuje od wyznania pilnie strzeżonej tajemnicy.

- Co noc mi się śni pożar Moskwy. - Podniosła nań oczy cierpiącego zwierzęcia, które wstydzi się swego bólu. - Widzę krew mego męża tryskającą na ściany. Powinniśmy przygotować się na najgorsze.

Rahman stał przed nią z pochyloną głową, prawą dłonią ściskając lewą, i czekał. Przez chwilę mogło się wydawać, że Aleksandra powiedziała już wszystko, co miała do powiedzenia. Spojrzała na niego niecierpliwie, jak dawniej, gdy zbyt długo się jej narzucał. Potem nagle przypomniała sobie, po co go wezwała.

- A propos twojego dziecka - powiedziała, uradowana mocą swej pamięci - tej dziewczynki, która przyszła na świat w zeszłym roku, gdy ulice cuchnęły gnijącą rybą. Słyszałam, że ma uroczone oczy.

Aleksandra patrzyła wprost na Rahmana, lecz on, jako dobrze wyszkolony lokaj, nie podniósł głowy.

- Spójrz na mnie - rozkazała z pogardą. - Patrz mi w oczy.

Rahman podniósł wzrok.

- Słyszałam pogłoski o tej małej - powiedziała. - Niepokojące pogłoski. Chciałam ci powiedzieć, że musisz jej strzec.

Rahman najwyraźniej nie rozumiał. Aleksandra huknęła pięścią w poręcz sofy i pochyliła się ku niemu, jakby chciała mu wbić do głowy każde słowo.

- Słyszałam - rzekła z naciskiem - że twoja żona ma zamiar ją zabić.

W roku 1939 wybuchła wojna, a nim jeszcze objęła Związek Radziecki, wywołała w Iranie powszechną panikę. Skąpe zarobki Rahmana skurczyły się do zera, brakowało jedzenia i przez dwa lata Żydzi nasłuchiwali kroków nazistowskiej armii, maszerującej ku nim z północy przez stepy Rosji. Reza Szah wołał Hitlera od aliantów i pozwalał niemieckim szpiegom swobodnie działać w kraju. Ignorując wielokrotne ostrzeżenia Brytyjczyków, odmówił aliantom wstępu do Iranu, gdy chcieli tą drogą dostarczać Sowietom broń i amunicję. Toteż w 1941 roku alianci weszli nie pytając go o zdanie.

Wkroczyli w nocy, zatopiwszy nieliczne irańskie kanonierki, i panując w powietrzu, w ciągu paru godzin zajęli cały kraj. Zarekwirowali pola i fabryki, przekazali żywność własnej armii, zakazali prowadzenia handlu i zmiany miejsca pobytu. Po miesiącu, w dniu święta Jom Kipur Żydzi, żałując w świątyni za swoje grzechy, dziękowali Bogu za aliantów, którzy ocalili ich przed Hitlerem, i modlili się, by On z kolei ocalił ich przed śmiercią głodową.

Roksana miała cztery lata i czuła się pokrzywdzona. Rodzice poszli do bóżnicy, a ją zostawili z Miriam. Wszyscy musieli pościć - nawet Szusza, choć karmiła piersią kolejne dziecko, nawet Roksana, która w ogóle nie rozumiała, dlaczego nie wolno jej jeść ani pić. Gdy w miarę upływu godzin robiło się coraz goręcej i język przysechł jej do podniebienia, coraz częściej błagała Miriam o wodę. Ta bezskutecznie próbowała jej wyjaśnić obowiązki wynikające z przynależności do narodu wybranego, powtarzając, że muszą się powstrzymać od picia przynajmniej do południa. Roksana stanęła w drzwiach, czekając na nosiwodę, który chodził z beczką na plecach. Kiedy się nie pojawił, wyszła na ulicę i usiadła nad wyschniętym rynsztokiem. Potem przypomniała sobie, że w obejściu sąsiadów jest stara cysterna, i postanowiła jej poszukać.

Nikt nie usłyszał plusku. Kilka minut później Miriam spostrzegła zniknięcie Roksany. Nim znalazła siostrę pływającą w zbiorniku, minęło dobre dwadzieścia minut i było rzeczą pewną, że dziewczynka utonęła.

Ludzie wyciągnęli obrzmiałe ciało z wody; zewsząd zbiegli się gapie. Skóra dziecka była sina, jakby półprzejrzysta, paznokcie fioletowe, cała kolonia białych wodnych robaków kłębiła się w jej włosach i wokół na ziemi. Po chwili Roksana westchnęła jak budzący się anioł i wykrztusiła strumień czystej, chłodnej wody, moczając wszystkim buty. Kiedy otwarła oczy, lśniły fluorescencyjnym blaskiem.

- To mama kazała mi się stamtąd napić - powiedziała do Miriam.

\*

W 1943 roku w Teheranie wybuchła epidemia ospy. Pierwszą jej ofiarą padł mąż Jasnej z Kurzej Fermi, ale umarł tak szybko, że nikt nie był pewien, co właściwie go zabiło. W ciągu trzech dni dostał gorączki, krost i śmiertelnych dreszczy. Gdy czwartego ranka żona weszła do niego, był już sztywny. Poszła na podwórze, gdzie wraz z mężem hodowali kurczęta i koguty do koszernej rzeźni. Ptaki konały, część już padła. Próbowała ostrzec ludzi przed ryzykiem zarażenia, ale nikt jej nie słuchał. Jasna z Kurzej Fermi była jedną z pierwszych osób, które skorzystały z nowego prawa zezwalającego Żydom osiedlać się poza granicami getta. Zamieszkała w górach okalających Teheran od północy - tak daleko, że nikt

nie przypuszczał, iż jej mąż mógł kogoś zarazić.

Ale kilka dni po pogrzebie męża Jasnej zachorował lekarz ze szpitala wojskowego. Objawy były identyczne. Zaraz potem szesnastoletnia żona jedyne go klienta Rahmana dostała wysypki i nagle w dzielnicy rozszalała się epidemia.

Roksana miała wtedy pięć lat. Słyszała, jak rodzice mówią o ofiarach, o przepełnionych szpitalach, które nie przyjmują już więcej chorych, o lekarzach i siostrach pielęgnujących pacjentów, aż zaraza zwała ich z nóg. Stała się świadoma zagrożenia chorobą, jej ciepłego, ohydneho odoru podobnego oddechowi straszliwej bestii. Widziała, jak zapłakani krewni taszcą na plecach nagie sine ciała owinięte w tanie płócienne całuny, by pochować je na żydowskim cmentarzu. Po jakimś czasie wydało się jej, że czuje ospę we własnym domu.

- Tu śmierdzi morem - zwierzyła się Miriam, która zachnęła się na głupotę młodszej siostry.

- Mór nie ma zapachu - odparła ostro. - Podobno bierze się z wody.

Pomimo to Roksana upierała się, że wyczuwa zarazę w różnych miejscach domu; wskazywała też, gdzie, jak twierdziła, odór jest najsilniejszy. Wiosną 1944 roku zachorował Rahman.

Szusza zaprowadziła go do szpitala Zbawiciela, po czym wróciła do domu i zgodnie z poleceniem lekarzy spaliła wszystkie jego ubrania. Dzieci zebrały się na podwórku patrząc, jak rzeczy ojca nikną w płomieniach. Sąsiedzi szeptali, że Szusza zwariowała i odprawia jakieś gusła. Ospę zsyła Bóg i nie da się jej powstrzymać, choćby ktoś puścił z dymem cały swój dobytek.

Chyba mieli rację, albowiem tej samej nocy zachorował syn Szuszy, a rano gorączki dostała jedna z córek. Pewna, iż straci wszystkie dzieci, jeśli nie będzie działać szybko, Szusza zebrała się na odwagę i wezwała jedyną na świecie osobę zdolną odstraszyć samą Śmierć.

Bibi weszła do domu w swych sztywnych taftowych sukniach i zerknęła koso na Roksane.

- To jej wina - stwierdziła bez ogródek. - Ona ściągnęła tu zarazę.

To prawda, przyznała w duchu zrozpaczona Szusza: Roksana zwabiła chorobę mówiąc o niej. Może źle życzyła rodzinie. A może przyniosła ospę ze snu - z jednego z tych snów, w których latała swobodnie w obce kraje, o jakich Szusza nawet nie słyszała - i zaraziła inne dzieci.

- Nie odpędzisz złego losu, póki o n a jest tutaj - zawyrokowała Bibi i wzięła się do

pracy.

Zamknęła się z chorymi dziećmi w jednej izbie, zabiła gwoździami wszystkie drzwi i kazała zdrowym trzymać się z dala od zarażonych. Leków brakowało w całym Teheranie; nie sposób było zdobyć szczepionkę lub antidotum, toteż Bibi zastosowała lecznicze zioła i pijawki. Aby przegnać zło z domu, rozpałała węgle w żelaznym kociołku, wypisała imię Roksany na surowym jajku i położyła je w żarze, by pękło. Następnie dorzuciła nasion dzikiej ruty. Z piecyka uniósł się gęsty smrodliwy dym, który nagoniała Roksanie w twarz, aż dziecko krztusiło się, ocierając załzawione oczy. Wzięła garść soli, obwiodła nią głowy Zuzanny i Bahrama i rzuciła sól na Roksane.

Szusza zaś modliła się i płakała, a nawet zaczęła robić migdałowe łyzy - ta długa i zmudna procedura miała sprawić cud, gdy wszystko inne zawiedzie. Minał tydzień. Ósmego dnia Bibi wycieńczona, lecz zwycięska wyłoniła się z izby chorych i obwieściła, że dzieci będą żyć.

- Idź do Kurzej Fermy i kup koguta na ofiarę -poleciała Szuszy. - Weź ze sobą to przekłete dziecko i pamiętaj, niech patrzy, gdy poleje się krew. Zbierz krew koguta do butelki i przynieś ją tu wraz z modlitwą, którą napisze ci Jasna. Powiesimy butelkę nad drzwiami izby, gdzie śpią dzieci.

Szusza stała przed matką blada i posepna, wbijając wzrok w Bibi. Jej wargi poruszały się, jakby wyznawała jeszcze nie popełnioną zbrodnię. Planowała bowiem zabić własne dziecko.

Poszły pieszo do bram getta i tam najęły wóz z koniem, który zawiózł je na farmę. Szusza zamierzała wziąć tylko Roksane, ale Miriam i Tala'at chciały im towarzyszyć. Dom Jasnej widziały już z daleka. Była to zwykła szopa przy gruntowej drodze z pojedynczą izbą dobudowaną na dachu. Z okna tej izby machała do nich ręką samotna postać. Kiedy się zbliżyły, postać zniknęła z okna i po chwili raptem ukazała się w drzwiach. Była niska i chuda, odziana w białą męską koszulę z podwiniętymi rękawami i męskie spodnie w stylu zachodnim, zebrane w pasie sznurkiem. Na głowie miała wojskowy hełm kupiony od jakiegoś alianckiego żołnierza i przyozdobiony wiankiem papierowych kwiatów.

- Wejdźcie, wejdźcie – zapraszała je z dumą.

Po podwórku dreptało kilka kurczaków. Ziemia pokryta była dwucalową warstwą pierza zmieszanego z wyschniętymi ptasimi odchodami. Jasna podprowadziła je do szopy i zaczęła się wspinać na drabinę opartą o zewnętrzną ścianę. Weszła na dach szopy, potem do górnej izby i w końcu na dach tej izby. Stała na górze jak słomiana kukielka w chłopięcym

ubranku i machała do nich ręką, krzycząc:

- No chodźcie! Oszaleć można, taki stąd piękny widok!

Dzieci jednak bały się wejść na drabinę.

- Chodźcie – zaśmiała się. – To nic strasznego, tylko nie wolno patrzeć w dół.

Uniesiony trzy piętra nad ziemię dach był płaski, wyposażony w słomianą matę i wygodne poduszki, piecyk, fajkę wodną i węglowy samowar. Jasna usiadła po turecku przy samowarze i uśmiechając się do dzieci bezzębnymi ustami, zaczęła nalewać czarną herbatę do smukłych jak palce szklanek. Zapytała o zdrowie Rahmana i Bibi, udzieliła kilku rad dotyczących opieki nad chorymi dziećmi. Gdy dzień zbliżył się do końca i słońce pochyliło się ku zachodowi, Jasna pijąc jedną po drugiej herbatę opowiedziała im dzieje swego życia.

Jej rodzice zawsze hodowali kury. Poznała swego męża, gdy miała trzynaście lat, i wyszła za niego mimo sprzeciwu teściów. Jego ojciec wydziedziczył go. Jego matka przyszła na ślub w czarnym welonie, niosąc w dłoni węzełek z popiołem, którym posypała sobie głowę na znak żałoby.

Jasna z Kurzej Fermi urodziła pięciu synów, z których każdy był zdrowszy i mądrzejszy od poprzedniego. Posłała ich do szkoły w getcie, a potem do gimnazjum w Teheranie, gdzie zdobyli stypendia francuskich uczelni. Teraz wszyscy byli ważnymi doktorami i nie mieli czasu jej odwiedzać.

Opowieść Jasnej przeciągnęła się aż do nocy. Słodki dziewczęcy głos dźwięczał radośnie, jakby się upajał towarzystwem Szuszy. Niebo ciemniało. Roksana położyła się na brzuchu obok Miriam i z wolna zapadła w sen.

Czyjaś dłoń postawiła ją na nogi. Otworzyła oczy. Siostry schodziły już po drabinie. Jasna wciąż paplała, skacząc to tu, to tam, zwijając matę i gasząc ogień w piecyku. Powtarzała, że Szusza powinna przenocować u niej, doprawdy, podróż nocą - nawet teraz, gdy szach Reza wprowadził stan wojenny w całym kraju - jest zbyt ryzykownym przedsięwzięciem dla Żydówki z trzema córkami.

- Tędy. - Szusza pociągnęła Roksane za rękę. - Schodzimy.

Roksanie ani przez myśl nie przeszło, że powinna uciekać.

Jeszcze wiele lat później, wspominając wydarzenia tamtego wieczoru, Księżycowa Miriam wciąż czuła pierwotny strach i drżała od siły rozpetanych emocji: owej nocy na niebie tłoczyły się gwiazdy, a księżyc wisiał nad ziemią jak lustro. W jego świetle Roksana była blada i mała, miała półprzymknięte oczy, rozsypane włosy luźnymi puklami otaczały jej twarz. W spłowiałej niebieskiej bawelnianej sukience, w butach po starszej siostrze, dwa

numery za dużych, wyglądała jak wybryk natury - anioł, który spadł na ziemię i wylądował na dachu kurnika.

Nagle coś się poruszyło. Powiał wiatr, oddech dewa. Albo jakiś dzinn - jeden z wielu, które zamieszkują noc - przewrócił się we śnie z boku na bok, naruszając równowagę między snem a jawą. Kurczęta na podwórzu zaczęły skrzeczeć i bić skrzydłami. Na niebie niczym czarna chmura pojawiło się stado gołębi, sypiąc piórami i zaćmiewając księżyc. Wtedy Szusza zepchnęła Roksanę z dachu.

- Nie! - krzyknęła Miriam, ale było już za późno.

Roksana runęła na wznak prosto w noc. Opadała powoli z rozpostartymi ramionami i nogami niczym pływak unoszący się w wodzie. Zgubiła buty i tonęła bezgłośnie, z otwartymi oczyma, w których nie było strachu. Kiedy już, już miała uderzyć o ziemię, zaczęła machać rękami w górę i w dół - jak ptak, który po raz pierwszy wzbija się w powietrze i stopniowo odnajduje równowagę, kosztuje lotu, upaja się swobodą. Jej ruchy nabrały pewności; wzbiła się wyżej, zawróciła i frunęła ponad murem fermy, byle dalej od cienia Szuszy i dotyku jej zbrodniczej dłoni, dalej od Teheranu i jego strachów, ku ośnieżonym szczytom Elbursu i jeszcze dalej - ku wiecznotrwałym wodom Morza Kaspijskiego.

\*

Każda z nich zachowała inne wspomnienie. Księżycowa Miriam przysięgała, że Roksanie wyrosły skrzydła - łabędzie skrzydła o białych i srebrzystych piórach. Pofrunęła na północ, aż stała się tylko białym punktem na horyzoncie, a potem znikła. Wersję tę poniekąd potwierdziła Tala'at i sąsiedzi mieszkający nieopodal. W nocy zbudził ich furgot przestraszonych gołębi i ujrzeli przelatującą nad domem białoskrzydłą dziewczynkę. Jasna z Kurzej Fermy nie zauważyła skrzydeł; twierdziła, że Roksanę wionęła jak duch i tylko ramiona niosły ją w powietrzu. Opowieść Jasnej szczególnie przeraziła Szuszę, nie była bowiem pewna, czy Jasna przypadkiem nie ma racji. Sama oznajmiła stanowczo, że Roksanę unióś silny prąd powietrza wywołany przez olbrzymie stado lecących gołębi.

Jednakże nawet Szusza nie mogła zaprzeczyć, że Roksanę zniknęła wówczas na całe pięć godzin, a gdy się odnalazła, to w miejscu przez siebie wybranym: na schodach szpitala, gdzie szukała ojca. Była bosa i przestraszona, sukienkę miała podartą na strzępy, włosy pełne liści, twarz umazaną brudem, a źrenice ogromne jak lunatyczka, która nagle znalazła się w świetle dnia.

Powiedziano jej, że z powodu epidemii nie wolno odwiedzać chorych; a zresztą

dziecko w jej wieku nie powinno o tej porze błąkać się po mieście. Roksana wywołała awanturę przed głównym wejściem, pchając się do środka, aż w końcu przełożona pielęgniarek chwyciła ją za kark. Dziewczynka ugryzła ją prawie do kości, wyrwała się i wbiegła na schody, głośno wołając Rahmana. Gromada sióstr i strażników ruszyła za nią w pościg. Nim wreszcie złapano ją na pierwszym piętrze, zdążyła obudzić i śmiertelnie przerazić wszystkich pacjentów.

Wezwano na pomoc stacjonujący w mieście oddział żandarmerii wojskowej. Żołnierze przyszli pieszo - już dawno zabrakło im paliwa. Mieli spłowiałe mundury, wiszące na wychudzonych ciałach, i staroświecką broń, którą nie potrafili się posługiwać. Po długiej szamotaninie udało im się uspokoić Roksane i odnieść ją do domu. Szusza i dziewczynki też już zdążyły wrócić, wyczerpane po bezowocnym poszukiwaniu Roksany w górach wokół fermy.

Na widok matki Roksana odruchowo podbiegła szukać u niej pocieszenia, lecz stanęła w pół kroku, cofnęła się i zwiesiła głowę.

- Wiem, co uczyniłaś - szepnęła zbielełymi wargami .

Od tego dnia Roksane, dotąd łagodną jak jagnię, opętało tysiąc demonów. Być może spojrzała w twarz Dżibrila, anioła śmierci, i nie potrafiła jej zapomnieć. Może doznała wstrząśnienia mózgu przy upadku. Albo nie umiała żyć ze świadomością, że na pozór kochająca matka próbowała ją zabić. Tak czy owak - nie mogła usiedzieć w miejscu. Strach przed prawdziwym i wymyślnym niebezpieczeństwem całkowicie odebrał jej sen.

W domu była nieposłuszna wobec Miriam i Szuszy, rzucała się na nie z pięściami, kiedy chciały ją skarcić, uciekała, gdy próbowano ją zamknąć. Wracała po wielu godzinach. Buty miała mokre, odzież w strzępach, była podrapana, rozczochrana i gotowa do bitki, toteż nikt nie śmiał stanąć jej na drodze. Uspokoił ją dopiero widok ojca. Strach, który dławił ją od chwili, kiedy zrozumiała, że Szusza nie tylko zrzuciła ją z dachu, lecz także wepchnęła do cysterny sąsiada w dniu święta Jom Kipur - strach ten nieco przybladł po powrocie Rahmana, ale nie na długo. Wiedziała, że Szusza roni łzy po kątach i szepcze do męża: "Pozbądź się Roksany. Ja się jej boję." Dostrzegając to, a dręczący niepokój, że naprawdę jest wcieleniem Złego, doprowadzał ją do obłędu.

Minęły dwa lata. Wojna się skończyła, lecz alianci nadal okupowali Iran. Rahman żył w skrajnej nędzy. Jego dzieci były głodne. Żony nie opuszczał lęk, że Roksana sprowadzi na nich nieszczęście. Rahman z kolei bał się, że Szusza znów się targnie na życie córki.

Nic więc dziwnego, że gdy dziewczynka skończyła osiem lat, postanowił za jednym

zamachem ocalić Roksanę i resztę rodziny. Musiał znaleźć dla niej miejsce, oddać ją po cichu jak lichy podarek i w ten sposób pozbyć się jej raz na zawsze.

\*

Aleksandra Kocica wezwała Rahmana do swego domu. Szukała kogoś do pracy. W ciągu ostatnich dwunastu lat przez jej dom przewinęły się trzy tuziny lokajów. Tym razem, powiedziała, chce nająć kobietę.

- Mężczyźni są tępi, powolni i mają buntowniczą naturę. Jedź do Sabzewaru i kup mi miłą młodą dziewczynę, którą będę mogła przyuczyć do służby.

Nie prosiła go o nic niezwykłego. Chłopi od wieków sprzedawali dzieci na służbę w domach zamożnych mieszczan. Aleksandra oferowała bardzo hojną sumę za dziewczynkę o wrodzonej inteligencji. Jej prośba wszakże była dla Rahmana szansą, której nie odważył się zmarnować. Czy zamiast wieśniaczki, spytał z wahaniem, Aleksandra nie byłaby skłonna wziąć pod uwagę jednej z jego córek?

- Może tu zostać, jak długo pani zechce - dodał, nie zdradzając, którą córkę ma na myśli - i nie musi mi pani płacić. Proszę tylko, by mogła chodzić do szkoły na parę godzin dziennie.

Było samo południe. Aleksandra jadła śniadanie na dziedzińcu pod parasolem, który miał chronić jej delikatną skórę przed szkodliwym słońcem. Pozbyła się nadmiaru sadła z brzucha i bioder, dzięki czemu znów mogła nosić balowe suknie. Włosy upięte miała w półmetrowy kok, trzymający się na głowie dzięki setce spinek i galonowi czarnorynkowego angielskiego piwa, którego Aleksandra używała do mycia włosów. Stół jak zawsze był nakryty wykrochmalonym obrusem i zastawiony cenną porcelaną. Obok talerza leżała lornetka teatralna. Aleksandra podniosła ją do oczu i przyjrzała się Rahmanowi.

- Chcę, żeby ta dziewczynka została u mnie na zawsze - burknęła niewyraźnie. Jej wzrok, zawsze kiepski, od początku okupacji stale się pogarszał i teraz potrzebowała już lornetki, chcąc zobaczyć coś więcej niż tylko mglistą plamę. Była jednak zbyt dumna, by nałożyć okulary. Nosiła się ze zwykłą pewnością siebie i nawet Rahman, który znał ją z lepszych czasów, nie zorientował się, że jest prawie ślepa.

- Może ją pani zatrzymać na zawsze - rzekł, czerwieniąc się ze wstydu i wbijając wzrok w czubki butów.

Aleksandra odłożyła lornetkę i Rahman rozmył się w białym tumanie, który stale ją otaczał. Jakie to wygodne, pomyślała, nie widzieć tego, na co się nie chce patrzeć. Pociągnęła łyk kawy i cofnęła krzesło głębiej pod parasol.



- Chcesz mi oddać tę, o której mówią, że jest diabelskim nasieniem - stwierdziła.

Rahman stał ze spuszczoną pokornie głową.

- Tę, którą podobno twoja żona próbowała zabić. Słyszałam, że zepchnęła ją z dachu.

Rahman nie odważył się spojrzeć Kocicy w oczy.

- Powinieneś był temu zapobiec. Ostrzegałam cię.

Czuła niesmak. Dlaczego milczy? Jak mógł puścić płazem taką zbrodnię?

- Wstydz się! - zawołała. Rahman sapnął i poczerwieniał jeszcze bardziej.

Aleksandra uznała, że ma tego dość.

- Dobrze - powiedziała wstając. - Przeprowadź małą, rzucę na nią okiem.

W czwartek po południu Rahman zabrał Roksanę na bazar i kupił jej nowy czador, słodkie ciastko i pierwszą w życiu parę nowych butów. Nie pozwolił jej włożyć ich na ulicy, gdzie mogły się zakurzyć i podrapać. Miała nieść je w rękę i wzuć dopiero wtedy, gdy dotrą na miejsce.

Roksana nie posiadała się ze szczęścia. Nie wiedziała, czym zasłużyła na taką dobroć ojca. Wychodząc spomiędzy kramów postanowiła naprawić wszystkie przewinienia i stać się godną daru, jaki otrzymała.

Zamiast do domu Rahman zaprowadził ją do Kocicy.

Gdy weszli, Aleksandra siedziała przy fortepianie. Podniosła głowę; widząc dwie rozmazane sylwetki - jedną wyższą, a drugą niższą - domyśliła się, że to Rahman przyprowadził córkę. Szukała po omacku lornetki, ale przypomniała sobie, że zostawiła ją w sypialni. Z całej siły wyteżyła więc wzrok, aby dojrzeć Roksanę, i to był początek jej kłopotów, albowiem zamiast dziecka o wijących się ciemnych włosach i przejrzystej cerze, które uśmiechało się do niej poprzez mgłę, Aleksandra ujrzała siebie.

Urodziła się w miasteczku Orumije na rosyjsko-perskiej granicy. Jej matka, niewidoma od urodzenia, dawała lekcje gry na pianinie. Nosila białą koronkową przepaskę na oczach i małe dzwonki uwiązane do kostek, by ostrzec stojących jej na drodze ludzi, że jest ślepa. Nie miała ślubu z ojcem Aleksandry. Nie miała też żadnych krewnych ani przyjaciół. Dręczona obsesyjnym lękiem, że pogrzebią ją gdzieś pod płotem, oszczędzała każdy grosz, odmawiała sobie i córce najprostszych wygod, a pieniądze chowała w pianinie - na pogrzeb.

Gdy umarła, Aleksandra miała dwadzieścia dwa lata i jedno marzenie - wyjechać i znaleźć bogatego męża. Stała przed wyborem: mogła pochować matkę zgodnie z jej wolą

albo wziąć pieniądze i opuścić miasteczko. Zostawiła ciało w domu, odkryte i nie pogrzebane.

Uciekła pod osłoną nocy, myśląc, że wkrótce zapomni. Nie wolno marnować pieniędzy na zmarłych, gdy są tak potrzebne żywym. Powtarzała sobie, że gdy tylko poślubi jakiegoś bogacza, wróci. Odnajdzie ciało matki i zapewni jej przyzwoity pogrzeb.

W Moskwie wyszła za generała carskiej armii. Nie zginął z rąk bolszewików, jak później utrzymywała, lecz w bójce o dług karciany. Aleksandra znów została sama i znów musiała odbijać się od dna.

Poznała innego mężczyznę - syryjskiego kupca, który miał ubogą wyobraźnię i bogatą żonę. Żona oczywiście zdawała sobie sprawę, że biologiczne potrzeby mężczyzny wykluczają monogamię. Ale była bogata, a bogate kobiety nie przejmują się biologią tak jak biedne. Oznaczało to, że Syryjczyk, nie chcąc rozwścieczyć małżonki i stracić jej pieniędzy, musi utrzymać romans z Aleksandrą w tajemnicy.

Sprowadził ją do dzielnicy żydowskiej, na tyle odległej od kwartałów zamieszkałych przez jego ziomków, że jak sądził, żona niczego nie zwącha. Nie wróżył tej znajomości długiego żywota i mógłby się założyć, że odejdzie bez żalu, kiedy romans stanie się zbyt ryzykowny albo kochanka już się zestarzeje. Lecz Aleksandra urzekła go europejską klasą i makijażem diwy operowej. Osnuła kokonem fantastycznych opowieści i nierealnych manier, z którego nie mógł już się wyplątać. Co noc, gdy żydowska dzielnica pogrążała się we śnie, skradał się do jej domu i kochał z nią aż po świt. Nikt go nigdy nie widział - nawet Rahman, który spędził u Aleksandry siedem lat, nawet Szusza, która też mieszkała u Kocicy, nim wyprowadzili się z Rahmanem na własne śmieci. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie drobne *faux pas*, nieostrożność, która stała się przyczyną narodzin potwora o żółtych włosach i zielonych oczach, lecz za to bez serca.

Na rok przed wojną Aleksandra zaszła w ciążę. Syryjczyk sugerował, by rzuciła się ze schodów i zabiła płód, lecz odmówiła. Kazał jej więc zamknąć się w domu, aby nikt nie spostrzegł, że jest brzemienna. Kiedy urodziła, zabrał dziecko do siebie. Żonie powiedział, że dziewczynka jest córką dalekiej krewnej, która zmarła przy porodzie. Uwierzyła. Zatrudnili mamkę i zesłali małą do jakiegoś zakątka, gdzie nikomu nie przeszkadzała i nikt o niej nie pamiętał.

Aleksandra nigdy nie pytała kochanka, jak dał córce na imię ani jak wygląda. Nie czuła wstydu, że wyrzekła się własnego dziecka, była bowiem dość bystra, by zrozumieć, że

tak naprawdę nie ma żadnego wyboru. Gra toczyła się o wysoką stawkę: mogła mieć albo dziecko, albo kochanka - a bez kochanka czekała ją nędza, samotność i zapomnienie. W dniu, w którym Rahman przyprowadził Roksanę, Aleksandra ujrzała w niej siebie samą: dziewczynę, która nie ma wyboru.

- Zostaw ją - powiedziała, machając niecierpliwie ręką. Rahman uklonił się i roztopił we mgle.

\*

Roksana nie czuła lęku. Była oczarowana Aleksandrą, jej wyglądem, zapachem i tanecznym krokiem, którym Rosjanka przemierzała dom pełen kotów i wspomnień o zmarłych carach. W wykrochmalonych koronkach i malowanych jedwabiach, z uczernionymi rzęsami i włosami skropionymi perfumami wyglądała jak te lalki z porcelany, które Niebieskooki Lofti sprzedawał w suterenie swego domu, zanim otworzył sklep przy alei Tulipanów.

Dziewczynkę zdumiewała cisza królująca w domu Aleksandry, odgłos własnych kroków na korytarzu, puste pokoje, nie używane meble. Koty patrzyły na nią z każdego kąta, wylegiwały się na łóżkach, ocierały o złożone girlandy zdobiące nogi fortepianu.

Aleksandra przesypiała całe ranki i budziła się dopiero wtedy, gdy Roksana przybiegała ze szkoły, żeby podać jej kawę. Kolejne trzy godziny spędzała przed toaletką. Kręciła włosy w drobne loczki i wyskubywała brwi do ostatniego włoska, a następnie malowała sobie nowe. Potem wbijała się w ciasny gorset i dumiała, którą suknię włożyć i który sznur pereł. Gdy Roksana kończyła popołudniowe lekcje, Kocica była już ubrana, gotowa stawić czoło światu.

O trzeciej jadła obiad, o piątej piła kawę, a krótko przed zachodem słońca udawała się do pokoju muzycznego. O tej porze wypełniony był światłem. Stojący na środku czarny lakierowany fortepian lśnił niczym klejnot na wystawie jubilera. Roksana rozsuwała story, odsłaniając Aleksandrę oczom hordy obdartych dzieciaków i bezrobotnych starców, którzy regularnie gromadzili się pod oknem. Aleksandra przybierała królewską pozę, odwracała się ku nim, kłaniała i siadała. I nagle była już wirtuozką fortepianu, najpiękniejszą kobietą na dworze Mikołaja II, grającą koncert swego życia przed pełną widownią moskiewskiej Opery.

Fale muzyki przybierały w żółtawym świetle, wypełniały pokój, uderzały o ściany. Aleksandra ledwie dostrzegalnym skinieniem dawała znak i Roksana otwierała wszystkie okna, by wypuścić muzykę na ulice getta. Muzyka toczyła się zaułkami, opływała walące się ściany domów budząc Żydów z trwającego dwa tysiące lat snu o porażce i na jedną krótką

chwilę rozpalając w nich tęsknotę do wielkości.

Aleksandra grała Szopena, Beethovena i Schumanna. Nikt nie znał tych utworów - ba, nikt nigdy nie słyszał podobnej muzyki - toteż Żydom trudno było ocenić grę nie wiedząc, czego się mają spodziewać. Pomimo to przychodzili co dzień, w palącym słońcu i w ulewnym deszczu. Poświęcali godzinę sjęsty lub rezygnowali z przyjemności picia gorącej herbaty w chłodnej herbaciarni tylko po to, by podziwiać widok tej niezwyklej kobiety otoczonej zgrają kotów i napawać uszy szaleństwem odległego świata.

Po zmroku Aleksandra udawała się do sypialni, kładła na sofie, którą nazywała Józefiną, i czytała do północy. Żydzi dowiedzieli się od niej przy okazji, że Józefma była ukochaną wielkiego wojownika - Napoleona Bonaparte, który uczynił ją cesarzową Francji. Wiele lat później siostra Roksany, Rochelle, nadała córce imię tamtej sofy, mając nadzieję, że i ona, gdy dorośnie, poślubi cesarza.

Przed pójściem do łóżka Roksana obchodziła dom i zapalała świece w kandelabrach. Nuciała przy tym melodie Aleksandry, które wibrowały w ciemności.

Roksana widywała swoje siostry w szkole, lecz nigdy nie pytała o rodziców ani dlaczego musi mieszkać z Aleksandrą. Rozumiała, że to kara za bunt, za pióra zaśmiecające jej posłanie, za pecha, który jej towarzyszył niczym czarny cień. Wiedziała, że nie ona jedna musiała wcześniej opuścić dom: dzieci wędrowały do pracy do odległych miast i już nigdy więcej nie widziały rodziców. Dziewczynki wydawano za mąż, nim jeszcze stały się kobietami, albo oddawano bezdzielnym krewnym. Pomimo to Roksana nie mogła się wyzbyć uczucia, że matka jej nienawidzi.

- To nie twoja wina - powiedziała kiedyś Miriam. - Matka boi się o siebie. Myśli, że twoje odejście wystarczy, by odwrócić nasz zły los.

Roksana czuła się jak dryfujący samotnie po morzu statek, raz na zawsze odcięty od kotwicy.

Zrozumiała, że dom Aleksandry jest jedynym domem, jaki kiedykolwiek będzie miała. Poważnie traktowała swoją pracę, starając się nie rozpraszać myślami o rodzicach albo ludziach i miejscach oglądanych we śnie. Pomimo to każdego ranka budziła się z oczyma pełnymi zielonozłotych odblasków słońca wschodzącego nad Morzem Kaspijskim. Ledwie zaś przekroczyła próg swego pokoju, napotykała wspomnienia Aleksandry: krążyły po domu przyobleczone w ciało, bardziej rzeczywiste niż samo życie.

Widziała Aleksandrę jako młodą kobietę, ubogo odzianą, lecz zawsze z wyniosłą miną. Kobieta ta bez przerwy mówiła o porzuconej trumnie, o samotnych, nie pochowanych zwłokach pozostawionych w mieście, do którego nie mogła wrócić, bo zmieniono mu nazwę, zburzono mury, a ulice istniały już tylko w pamięci starych ludzi.

Widywała też matkę Kocicy. Siedziała przy córce grającej na pianinie, wystukując rytm palcami o kolano. Na palcach miała tanie pierścionki, u kostek nóg dzwoneczki niczym trędowata.

Tylko niewidzialny kochanek nigdy się nie pokazywał. Musiał być wysoki; słyszała, jak skrzypi pod nim podłoga. Przybywał nocą, gdy Roksana leżała już w łóżku. Dziewczynka całą sobą czuła lęk Kocicy, że kiedyś ją zostawi, odejdzie rankiem i nigdy już nie wróci. Co wieczór trwożne bicie serca Aleksandry odbijało się echem po całym domu. Gdy nareszcie się zjawiał, Aleksandra wzdychała z ulgą, a przeganiane z łóżka koty miauczały gniewnie. Chwilę później coś lekkiego i metalicznego - jak obrączka - uderzało z brzękiem o porcelanowy blat nocnej szafki.

Sześć miesięcy po wprowadzeniu się Roksany widmowy kochanek przestał odwiedzać Kocicę.

Pierwszej nocy czekała na niego aż do rana. Krążyła po domu i dziedzińcu, otwierała drzwi, zamykała i otwierała ponownie. W południe wciąż czekała, wieczorem tak samo. Nie przyszedł.

Kolejną noc spędziła w oknie. Nie śmiała się poruszyć z obawy, że przeoczy jego cień na dziedzińcu. Kiedy rano Roksana wyszła obmyć twarz w sadzawce, Aleksandra stanęła za firanką, zbyt dumna, by się pokazać.

Roksana zanurzyła dłonie w wodzie, mącąc odbicie jednej ze znanych jej zjaw - zielonookiej dziewczynki w lakierowanych bucikach. Nabrała wody w dłonie i spryskała twarz fragmentami odbicia.

- Odejdź - burknęła z roztargnieniem. Przywykła już do widmowych postaci i od dawna nie zadawała sobie trudu, by sprawdzić, czy przypadkiem nie są prawdziwe. - Kocica nie jest dziś w nastroju, żeby cię oglądać.

Obraz dziewczynki pozostał w sadzawce. Obok Roksana ujrzała odbicie nieznanego mężczyzny.

Był wysoki, łysy, o soczyście czerwonych ustach, ubrany w europejski garnitur z kamizelką i kieszonkowym zegarkiem. Nogi miał za tęgie w stosunku do reszty ciała.

Roksana się obróciła. Mężczyzna i dziewczynka stali przed nią na dziedzińcu.

- Aleksandra mówiła mi, że umiesz latać - odezwał się mężczyzna.

Głos miał miękki, niemal kobiecy. Kiedy mówił, pochylał się do przodu. Postawił jedną nogę na obramowaniu sadzawki, łokieć oparł na udzie i przybrał życzliwy wyraz twarzy.

- To moja córka - rzekł, wskazując dziewczynkę w białych lakierkach. - Zdaje się, że jesteście w tym samym wieku. Zamieszka z wami.

Dziewczynka miała na sobie wykrochmaloną białą bluzkę, granatową plisowaną spódniczkę, białe skarpetki wykończone sterczącą ażurową falbanką i buty, które wyglądały jak prosto ze sklepu. Obok stała brązowa kartonowa walizka.

- Na imię ma Mercedes. - Mężczyzna zwilżył wargi czubkiem języka. - Nie mówi po persku, ale szybko się nauczy. - Przejrzał się w sadzawce i dodał: - Tymczasem przekaż Aleksandrze wiadomość ode mnie.

Złota rybka rzuciła się w wodzie i zaczęła pływać w kółko jak oszalała. Roksana zerknęła w okno sypialni Kocicy. Wiedziała, że Aleksandra śledzi ich przez lornetkę.

Mężczyzna się zawahał.

- Powiedz jej, że nie mogę dłużej trzymać małej - bąknął. Pot ściekał mu po karku, plamiąc biały kołnierzyk. Spojrzał na Mercedes, na okno sypialni, potem znów na Roksanę. - Powiedz jej... - Z wysiłkiem przełknął ślinę. - Powiedz, że nie mogę już tu przychodzić.

Ryba zanurkowała głębiej i już się nie pokazała. Mężczyzna wypuścił z płuc powietrze, wyprostował się i z ociąganiem podszedł do dziewczynki. Szepnął coś w dziwnym języku, dotykając jej policzka wierzchem dłoni. Cofnęła się, odwracając wzrok. Na próżno powtarzał wciąż to samo, wskazując na Roksanę, na dom. Dziewczynka milczała.

Musi być silna, pomyślała Roksana; strasznie silna, że tak spokojnie godzi się z wolą ojca. Kiedy mężczyzna wyjął chustkę do nosa, żeby wytrzeć spocone dłonie, zauważyła złotą obrączkę ślubną na palcu lewej ręki.

- Do widzenia - rzekł Syryjczyk, bezskutecznie próbując się uśmiechnąć.

Przez cały ranek Roksana i Mercedes obserwowały się nawzajem.

Mercedes tkwiła przy sadzawce w swoim drogim ubraniu i czyściutkich skarpetkach, w białym słomkowym kapeluszu z granatową wstążką, nietykalna w swej doskonałości. Roksana czuła się przy niej mała i bezradna, świadoma, że nie dorasta jej do pięt. Ponad wszystko pragnęła ją zadowolić - choćby po to, by Mercedes nie patrzyła na nią z taką pogardą.

Około południa przypomniała sobie, że nie była w szkole i że jeszcze dziś nie widziała

Aleksandry. Zapukała do sypialni, lecz odpowiedziało jej milczenie. Czekwała, bojąc się pukać ponownie.

- Nie teraz - odezwał się po chwili zza drzwi głos Kocicy. - Zawołam, jeśli będziesz mi potrzebna.

Roksana poszła do kuchni i sprawdziła, co zostało z wczorajszej kolacji. Pohamowując głód, ułożyła jedzenie na talerzu i zaniosiła je Mercedes.

- Proszę. - Postawiła talerz na brzegu sadzawki, dumna z własnej hojności. - To wszystko dla ciebie.

Mercedes się obejrzała i Roksana skuliła się ze wstydu: to, co jeszcze chwilę wcześniej wydawało się świeże i apetyczne, pod gniewnym spojrzeniem zielonych oczu bogatej dziewczynki stęchło, stało się niejadalne. Roksana tkwiła w miejscu jak kołek, nie mogąc się zdecydować, czy ma zabrać talerz. Gdy po chwili Mercedes odwróciła wzrok, cichutko wyniosła jedzenie do kuchni.

Wróciwszy, zastała Mercedes w tym samym miejscu. Siedziała na obmurowaniu sadzawki, kolanami niemal dotykając walizki. Plecy miała wyprostowane, z jej postaci bił bunt przeciwko całemu światu. Nie ruszyła się nawet wtedy, gdy zapadł zmrok.

- Wejdz, połóż się spać - powtarzała na próżno Roksana.

Podwórze było ciemne, przesycone dźwiękami wieczoru, pomrukami sączącymi się z ulicy. W sadzawce unosiły się cienie; złota rybka fosforyzowała księżycowym światłem. Roksana nagle zatęskniła za hałaśliwym domem rodzinnym, za siostrami, za Szuszą dającą pierś dziecku lub schyloną nad szyciem. Patrząc na białą odzianą Mercedes o złotych włosach, Roksana czuła się samotna jak nigdy dotąd. Ona nie znalazła w sobie tyle siły, gdy jej matka również nie chciała jej widzieć.

Zasnęła na podłodze pod drzwiami Kocicy i przez całą noc śniła jej się Szusza. Rano nie mogła sobie przypomnieć, co się stało. Wiedziała tylko, że leży na ziemi bez okrycia, że wciąż ma na sobie szkolny mundurek, drzwi Aleksandry nadal są zamknięte, a story zapuszczone. Wstała i wyjrzała na podwórze. Zielonooka córka Aleksandry Kocicy i jej żonatego kochanka siedziała na skraju sadzawki w granatowej spódnicy o plisach ostrych jak brzytwy - wyczerpana i blada, lecz nie pokonana.

\*

Księżycowa Miriam znienawidziła Mercedes od pierwszego wejrzenia - od chwili gdy zobaczyła ją na dziedzińcu, tak butną, że nawet nic nie mówiąc doprowadzała Roksane do łez. Nie zdoławszy ani przekonać Mercedes, by weszła do domu, ani też wywabić Aleksandry z

szkole, Roksana poszła do szkoły prosić Miriam o pomoc. Kiedy pani Mądra zwolniła je po lekcjach, dziewczynka kurczowo chwyciła rękę siostry i zaprowadziła ją do domu Kocicy.

Miriam była piękną dziewczyną - wysoką, smukłą, ładniejszą od wszystkich rówieśnic i na tyle atrakcyjną, by mieć zalotników mimo ciąży nad rodziną przekleństwa. Jak dotąd jednak wszyscy konkurenci byli wybrakowani pod takim czy innym względem (ci nie mogli stawiać zbyt wygórowanych wymagań, jeśli w ogóle chcieli znaleźć żonę). Szkoda było dla nich ślicznej, łagodnej Miriam, rodzice więc raz po raz odsyłali swatki.

Ona zaś, rzecz jasna, nie kwestionowała ich decyzji, choć miała już piętnaście lat i zbliżała się do wieku, w którym dziewczęta "wiedną" i tracą szanse na zamążpójście. Wrodzone posłuszeństwo nakazywało Miriam bez sprzeciwów przyjmować los, jaki przypadł jej w udziale. Wiedziała, że kobieta winna być pokorna, a uroda nie zapewni jej szczęścia w życiu. Pilnie się uczyła, słuchała starszych, nigdy nie chełpiła się swoją wiedzą i nikomu nie zdradziła tajonego marzenia, by po ukończeniu szkoły kontynuować naukę. Od młodych lat wierzyła, że wytrwałość w znoszeniu przeciwności losu jest najwyższą zaletą człowieka. Ubierała się w surowe czernie i smutne brązy, włosy czesała w warkocz, który rzadko rozpuszczała, i nosiła się z miną kobiety gotowej pogodzić się ze staropanieństwem. Przyjmowała na siebie więcej obowiązków, niż ktokolwiek od niej oczekiwał, odmawiała sobie nawet najdrobniejszych przyjemności, nie folgowała ani swemu ciału, ani umysłowi i zawsze była przygotowana na najgorsze. Dlatego też poczuła tak silną i trwałą niechęć do Mercedes.

Stały mierząc się wściekłym wzrokiem na podwórzu Kocicy - Mercedes znużona po drugim dniu warty, Miriam oszołomiona widokiem złotowłosej dziewczynki, piękniejszej, niż można to sobie wyobrazić. Po chwili Miriam zdała sobie sprawę, że musi zaatakować albo raz na zawsze pogodzić się z porażką.

- Istny diabeł w lakierkach - oznajmiła lodowatym tonem. Okrążyła Mercedes, szukając słabego miejsca, w które by mogła uderzyć, i spostrzegła walizkę. - Pewnie ojciec bardzo chciał się jej pozbyć - stwierdziła głośno.

Otworzyła walizkę i nie pytając o pozwolenie zaczęła przeglądać wyprasowane i starannie złożone ciuszki z cienkiej bawełny zdobione koronkami oraz trzy dodatkowe pary prawie nie noszonych lakierków (jedna biała i dwie czarne). Dłonie złodowaciały jej z zawiści.

- Phi! - prychnęła pogardliwie. - Zniszczy to zaraz, jak tylko wyjdzie na ulicę.

Mercedes wściekła się do tego stopnia, że opuściła gardę i bluznęła potokiem złorzeczeń. Słowa toczyły się z jej ust i zawisały w powietrzu jak ciała kur i gęsi w jatce.



Wypowiadane w syryjskim dialekcie, były dla Miriam całkiem niezrozumiałe - i przez to nieszkodliwe. Dowiodły tylko, że Mercedez nie jest z kamienia, że jest bezbronna wobec ludzi, których języka nie rozumie i nie umie się nim posługiwać.

Tę rundę wygrała Miriam.

- Chodźmy do Kocicy - powiedziała.

Zapukały do drzwi sypialni raz, potem drugi.

- Wasza ekscelencjo! - zawołała Miriam, by okazać szacunek starej kobiecie. - Jest pewna niezmiernie pilna sprawa, którą powinna pani rozstrzygnąć.

Odpowiedziała im cisza.

- Wasza ekscelencjo! - zawołała ponownie. - Na dziedzińcu jest jakaś dziwna obca dziewczynka z walizką pełną ubrań, pewnie skradzionych, i ani pani służąca Roksana, ani ja nie wiemy, co z nią począć.

W końcu same otworzyły drzwi i weszły do środka.

Aleksandra siedziała wyprostowana na sofie Józefinie. Ramiona prawie przyrosły jej do oparcia, z sztywnego *chignon* opadały pasma włosów. Wciąż miała na szyi perły włożone trzy dni temu dla kochanka, który nie przyszedł. Kiedy drzwi się otworzyły, wciągnęła powietrze jak nagle zbudzona ze snu i dumnie uniosła głowę. Chciała zachować pozory, choć tusz i puder spłynęły jej po twarzy, choć oczy miała przekrwione i opuchnięte. Chyba jednak zrozumiała, że zło już się stało - że stworzona przez nią postać, dotychczas nieugięta, zmieniła się w słup soli - bo wyciągnęła rękę, pozwalając się podnieść z sofy. Dziewczęta podprowadziły ją do toaletki, zdjęły z niej suknię, uwolniły z gorsetu i butów. Potem położyły ją do łóżka.

Leżała w nim przez jedenaście dni, biorąc ciemność, jaka zagościła w jej oczach, za mrok snu. Nareszcie miała spokój, nie musiała patrzeć na przyziemną, małoskowną rzeczywistość. Pograżona w tej cichej ekstazie umarłaby z głodu, gdyby Miriam i Roksana nie wlewały jej do ust ryżowego kleiku. W dwunastym dniu wstała, ale odtąd żyła już w świecie fantazji. Nigdy nie uroniła ani jednej łzy nad swą ślepotą.

\*

Podobnie jak ongiś jej matka, Kocica zaczęła się troszczyć o swój pochówek.

- Niech Rahman sprzeda fortepian. Pieniądze przeznaczysz na wystawny pogrzeb - mówiła do Roksany. - Zaproś mego kochanka. Ubierz mnie w zieloną taftową suknię i długie perły i pomaluj mi usta na czerwono. Pochowaj mnie nad strumieniem i odwiedzaj mój grób, ilekroć będzie padał deszcz.

Czasem łzawo użalała się nad sobą, czasem mówiła to z chłodną obojętnością kogoś, kto zrozumiał, że historia się powtarza, albowiem Bóg nie ma zbyt bujnej wyobraźni. Zaprzątnięta własnymi myślami nie widziała, że Roksana truchleje na myśl ojej śmierci.

Bardziej niż czegokolwiek - niż głodu, który od dzieciństwa przyprawiał jej goryczą każdy kęs jadła, niż Szuszy skradającej się nocą, by ją zabić - Roksana bała się chwili, w której Aleksandra zamknie oczy.

Dlatego tak troskliwie się nią opiekowała, karmiła ją, przebierała i kąpała jak dziecko. Dlatego też miała tyle cierpliwości do Mercedes. Pogodnie zносиła jej fochy i wybuchy złości; za każdym razem wyciągała gałązkę oliwną, aż powoli, stopniowo Mercedes przestała zionąć nienawiścią i zaszczyciła Roksane swą przyjaźnią. Odepchnięte przez rodziców, chcąc przeżyć, musiały trzymać się razem pod wątlymi skrzydłami Aleksandry. Pomimo to Mercedes wyśmiewała jej przywiązanie do Kocicy.

- Przestań ją traktować jak jakiś wielki skarb, którego nikt dotąd nie odkrył - powiedziała do Roksany łamaną perszczyzną, której nauczyła się po roku pobytu w getcie. W jej aksamitnym głosie pobrzmiwał gniew. - Ja tam modłę się, żeby wykitowała jak najprędzej. Wtedy wyfrunę z tej zakazanej dziury i nigdy tu nie wrócę.

Mercedes nie czuła się winna życząc śmierci kobiecie, która zrodziła ją tylko po to, by się jej wyrzec, nigdy jej nie chciała, a teraz udawała, że jej nie dostrzega. Nie miała powodu czuć się związana z Aleksandrą ani też, jak Roksana, pragnąć, by ojciec wrócił po nią i zabrał ją do domu. Od początku dążyła do wytkniętego celu, który w końcu osiągnęła: wyjechać stąd tak szybko, jak się tylko da, na plecach faceta, który będzie dostatecznie głupi, aby dać jej nie tylko pieniądze, lecz także wolność. Wtedy wyrwie się na świat samotna, wolna jak ptak i nigdy więcej nie będzie się oglądać na ludzi, którzy mogli ją tylko zawieść.

Ustaliła tę strategię na długo przedtem, nim dojrzała na tyle, by wprowadzić ją w życie. Wiedziała na przykład, że jest wyjątkowo ładna; jej ciało od dzieciństwa emanowało grzeszną aurą wprawiającą chłopców w panikę, ilekroć Mercedes zbliżała się do nich w brązowym szkolnym mundurku. Skądinąd nie cierpiała tych szorstkich brunatnych szmat i stanowczo odmówiła - do diabła z panią Mądrą! - noszenia czarnych, grubych jak brezent pończoch przewidzianych regulaminem szkoły dla wszystkich dziewcząt. Zamiast nich wkładała krótkie białe skarpetki. Włosy rozpuszczała na ramiona, aż pewnego ranka pani Mądra złapała ją na apelu, umoczyła złocistą grzywę w wiadrze brudnej wody i splotła tak mocno, że omal nie oderwała jej czoła od nosa. Zagroziła ponadto, że jeśli Mercedes jeszcze raz przyjdzie do szkoły "nie uczesana", obetnie jej włosy przy samej skórze. Ten argument

chyba wreszcie dotarł do Mercedes, bo odtąd zaczęła się czesać w koński ogon. Niewiele to zmieniło: kiedy szła, ogon zmysłowo kołysał się na boki - tak samo sugestywnie i niepokojąco jak przedtem.

Z biegiem lat dziewczęta Aleksandry stały się znane w żydowskiej dzielnicy. Roksana zwracała uwagę alabastrową cerą i oczami barwy karmelowych cukierków. Była drobna, krucha i miała na twarzy wyraz niewinnego zdziwienia, jakby żyła niezupełnie na tym świecie. Ubierała się w wypłowiałe sukienki, które szły ze starych szat Aleksandry - zawsze za długie i za luźne, bo kroїła je prosto jak worki. Nosīła buty po starszych siostrach, które dostarczała jej Miriam. Kiedy szła do szkoły z książkami w ręku, odprowadzał ją strumień złośliwych plotek. Obok niej kroczyła Mercedes z wypiętym biustem i wzrokiem pełnym pogardy, prychając niczym koń wyścigowy i głośno kłócąc się z każdą staruchą, która odważyła się na słowo krytyki.

- To nie ich wina - tłumaczyła jej Roksana.-Są takie niedobre, bo doskwiera im starość i bieda, i strach przed śmiercią:

- Czas najwyższy, żeby wszystkie poumierają. - Mercedes nie bez żalu zrezygnowała z awantury. - Biedacy nie mają po co żyć do późnej starości. Tylko bogaci powinni być nieśmiertelni.

Pragnąc bogactwa i nieśmiertelności, Mercedes skupiła się na chłopcach. Nie czekała, aż sami ją zaczepią. Wychodziła im naprzeciw, próbowała swych sił i wkrótce wywalczyła sobie terytorium, którego nie ośmieliła się naruszyć żadna inna dziewczyna z żydowskiej dzielnicy. W wieku lat dwunastu doprowadzała chłopców do hysterii błyskiem kocich oczu, falowaniem piersi, rozchyleniem bursztynowych warg. Podchodziła tak blisko, że czuła, jak drżą w połatanych mundurkach. Jej lekkie westchnienie muskało ich ciemne, opalone twarze i przez krótką chwilę czuli rozkosz, której nic w późniejszym życiu nie mogło dorównać. Potem odchodziła, zostawiając ich jak kupkę śmieci.

Kiedy miała lat czternaście, chłopcy płakali przez nią na kolanach matek, a dojrzały mężczyźni, upokorzeni jej kokieterią, wracali do domów i bili swoje żony.

W wieku lat szesnastu zakończyła edukację i odtąd większość czasu spędzała w Teheranie, polując na bogatego muzułmanina, który pozwoli jej się wyrwać z domu Kocicy. W nosie miała Żydów, którzy mówili o niej "dziwka", zanim jeszcze straciła dziewictwo. Śmiała się z przestrogi Roksany, że mężczyźni, z którymi się spotyka, tylko ją wykorzystają i porzucą. To ona ich wykorzystuje, mówiła, pokazując Roksanie pieniądze i prezenty, jakie jej dawali.

Minęło siedem lat. Roksana miała na głowie cały dom, a choć prócz fortepianu

sprzedała już wszystkie cenne rzeczy, pieniędzy z trudem starczało nawet na jedzenie. Pomagała jej Miriam, która ukończywszy gimnazjum zaczęła nauczać pierwszą klasę. Większość pensji Miriam szła na potrzeby rodziców i młodszego rodzeństwa, ale czasem udawało jej się podrzucić Roksanie parę groszy. Żyły z Kocicą głównie dzięki pieniądzom Mercedes.

Mercedes czasem w ogóle nie wracała na noc. Rankiem domokrażcy, ruszający o świcie do okolicznych wiosek, widzieli, jak wysiada z lśniącego samochodu i idzie wąskimi uliczkami getta, senna, lecz wyzywająca, nucąc pod nosem zagraniczne melodie i uśmiechając się do swych sekretów.

W domu rozbierała się powoli w świetle brzasku, zsuwała jedwabne pończochy kupowane w sklepie Niebieskookiego Łoftiego przy alei Tulipanów i obcisłe sukienki, które szyla jej Rokszana. Opowiadała o swoich przyjaciółach z miasta: byli to starsi mężczyźni, bo młodzi przeważnie nie mają pieniędzy i oczekują "prawdziwej miłości" w zamian za najskromniejszy podarek.

Rokszana nie pojmowała jej awersji do tego, by być kochaną.

- Ja bym chciała, żeby ktoś mnie pokochał - zwierzała się przyjaciółce. - Nie dbam o to, czy będzie miał pieniądze, jeśli stworzy mi dom i nigdy mnie nie opuści.

Opierała się na poduszce i opisywała mężczyznę swoich marzeń, jakby już czekał na nią gotowy, wykuty w kamieniu. - Będzie młody, łagodny i da mi córkę, którą pokocha cały świat, bo będzie piękna, piękniejsza niż Miriam i nawet niż ty. A co więcej, rozumna. Jej inteligencja będzie się rzucać w oczy i nawet pani Mądra każe jej iść na studia, bo zrozumie, wszyscy zrozumieją, że moja córka pewnego dnia stanie się chlubą całej rodziny i zmyje hańbę, jaką ich okryłam.

Pogrążony w ciszy pokój z wolna wypełniał się czarownymi marzeniami Rokszany, obrazami tak żywymi, tętnącymi tak namacalną radością, że wręcz można było ich dotknąć. Po chwili Mercedes z trudem otrząsała się z transu.

- Jesteś tak samo głupia jak wszystkie - parskała. - Twój mąż będzie wydawał forszę na inne kobiety, a tobie każe siedzieć w domu i rodzić dzieci. Będziesz tłukła ryż i marzyła, że pewnego dnia twoja córka podbije świat, gdy tymczasem ja będę sobie oglądać świat z czyjegoś grzbietu.

Wkrótce Mercedes znalazła odpowiedniego mężczyznę.

Był to bogaty muzułmanin imieniem Amin, właściciel licznych tkalni rozsianych w różnych miastach wokół Teheranu - małych fabryczek z zardzewiałymi maszynami, które

stały beczynnie przez całą okupację. Po wycofaniu się aliantów Amin uruchomił je ponownie i przekształcił w nowoczesne, zyskowe przedsiębiorstwa. Teherańskim zakładem zarządzał specjalnie w tym celu zatrudniony dyrektor.

Dyrektor nie był ani bogaty, ani zbyt wykształcony, ale mogąc przyjmować i zwalniać ludzi reprezentował władzę. To, na przekór jego znoszonym ubraniom i koślawym butom, dało mu odwagę, by zbliżyć się do Mercedes z lekką tylko obawą, że go wyśmiej. Zdybał ją w sklepie Niebieskookiego Loftiego, gdzie oglądała importowane szminki, i spytał, czy nie poszłaby z nim do herbaciarni naprzeciw.

Rzuciwszy tylko okiem na jego brudne buty i wymięte mankiety spodni, Mercedes uznała, że szkoda jej czasu.

- Nie pijam herbaty - odparła, uśmiechając się porozumiewawczo do Loftiego. - Wyłącznie arak.

Ośmielony dyrektor spytał, czy w takim razie przyjdzie do jego domu. Wydaje bowiem przyjęcie na cześć swojego szefa, słynnego Amina, który - jak wyjaśnił z dumą - jest właścicielem wszystkich plantacji bawełny i tkalni w całym kraju, z wyjątkiem tych, które zabrał mu szach.

- Będziesz tam mogła wypić całe morze araku - nalegał - a nawet palić opium.

Mercedes wróciła do domu i przebrała się w białą satynową suknię. Zobaczyła ją w żurnalu, który już miał ponad rok, kiedy go kupiła, i uparła się, by Roksana uszyła jej taką samą. Rezultat nie był najlepszy: sukienka była dłuższa z jednej strony i za ciasna pod pachami, lecz mimo to Mercedes wyglądała w niej zupełnie jak gwiazda filmowa, którą w przyszłości zamierzała zostać.

Dyrektor czekał na nią w samochodzie pod sklepem Loftiego. Powiedział, że wygląda oszałamiająco.

"Ciekawe, czy ten twój szef jest wart mojej fatygi" - pomyślała Mercedes wsiadając do samochodu i zapalając papierosa.

Gość honorowy miał pięćdziesiąt kilka lat, dwie żony, siedmioro wnucząt i rzeszę kochanek i konkubin, których imionami nie zaprzętał sobie głowy. Miał więcej pieniędzy, niż Mercedes sądziła, lecz poza tym był człowiekiem dobrym i uczciwym. Ujrawszy Mercedes wpatrzoną weń z drugiego końca pokoju pełnego pijących arak mężczyzn w samych koszulach, nie wyobrażał sobie nawet, że będzie ona kataklizmem, który zniszczy całe jego życie. Siedział po turecku przed fajką wodną, jadł słodczyce i palił opium, będące okrasą codziennego życia wielu Irańczyków. Mercedes przez całą noc stała oparta o ścianę, paliła papierosy i uśmiechała się do niego. Kiedy po zakończonym przyjęciu wstał, by odjechać

swoją limuzyną z szoferem, podeszła i spytała, czy nie zechciałby zawieźć jej do domu.

- A co na to nasz gospodarz? - spytał, szczerze ubawiony jej tupetem.

Mercedez Gwiazda Filmowa spojrzała na niego tak ciepło, że utonął w jej oczach i nigdy już nie zdołał się z nich wynurzyć. Wyciągnęła rękę i czubkiem palca wskazującego obwiodła wysadzaną brylantami tarczę złotego zegarka Amina. Wyszła trzy kroki przed nim, odprowadzana nienawistnym wzrokiem dyrektora fabryki, który widział, że szef sprzątnął mu kobietę sprzed nosa, lecz nie ośmielił się protestować z obawy o posadę. W chwili gdy Amin wszedł do samochodu, Mercedez oplótnęła go w pasie nogami wsunęła mu język do ust.

Przez cztery letnie miesiące roku 1955 Mercedez Gwiazda Filmowa nie pokazała się w żydowskiej dzielnicy. Roksana czekała na nią kilka dni, potem tydzień, a potem, bojąc się, że Mercedez jest w niebezpieczeństwie, poszła jej szukać w mieście. Odnalazła sklep Loftiego przy alei Tulipanów.

- Ty już na nią nie czekaj - rzekł szczerze Lofti. Był to miły człowiek, zbyt niski, żeby uznać go za męskiego, ale obdarzony mądrymi niebieskimi oczyma i ugodowym charakterem, dzięki czemu wszyscy go lubili. - Znalazła swoją złotą żyłę i nie zrezygnuje z niej, jeśli ma choć trochę rozumu w tej ładnej główce.

Roksana nie chciała mu uwierzyć.

- Mercedez nie odeszłaby tak bez słowa.

Upierała się przy tym, choć mijały miesiące, a Mercedez nie dawała znaku życia; nawet wtedy gdy rozeszły się plotki, że wyszła za Amina, oczekuje jego dziecka i mieszka pod jednym dachem z jego pierwszą żoną. Bez pieniędzy Mercedez Roksana z Kocią popadły z biedy w skrajną nędzę - do tego stopnia, że zorientowani w sytuacji Żydzi udali się do Rahmana z propozycją, by może jednak pomógł córce.

Aleksandra całymi dniami snuła się po wymaginowanych wnętrzach swego moskiewskiego pałacu, szeleszcząc trenami obdartych sukien i wykrzykując polecenia do niewidzialnej służby.

- Na obiad proszę podać jagnię duszone w estragonie, ryż z szafranem i koprem, czerwone wino i sorbet pomarańczowy. I żeby estragon nie był przypalony jak ostatnim razem!

W rzeczywistości jadły postny chleb, ryż z oliwą, ogórki i orzechy - wciąż to samo na obiad i na kolację. Rano piły słodką herbatę z resztkami chleba. Aleksandra jednak w wydekolowanej sukni, nie zmienianej od tygodnia, wirowała w piruetach wokół swego męża w generalskim mundurze, a gdy siadła do stołu, widziała na talerzu kurczę marynowane w

białym winie z szalotkami i porem.

Mercedez zamieszkała w jednym z wielu domów Amina w Teheranie. Komenderowała liczną służbą, rozbijała się po mieście, wożona studebakerem przez szofera, i wydawała pieniądze, jakby obrabowała skarbiec królów Persji. Nie żądała niczego - ani czasu Amina, ani jego miłości, ani obietnicy, że się nią zaopiekuje - przynajmniej dopóki nie znajdzie następnego kochanka. Powściągliwość ta nie wynikała z troski o jego rodzinę lub pozycję społeczną. Mercedez czuła, jak ręce mu ziębną, ilekroć opuszcza jej łóżko. Wiedziała, że Amin uczynił krok w przepaść i spada szybciej, niż mu się wydaje.

Pozostała z nim dokładnie cztery miesiące, po czym spakowała sukienki i klejnoty otrzymane od kochanka i oznajmiła, że odchodzi. Roześmiał się pewny, iż blefuje; nie miała przecież innego mężczyzny, a straciwszy do reszty reputację, nie mogła wrócić do getta, gdzie Żydzi najchętniej by ją ukamienowali. Gdy wszakże Mercedez stanęła z walizką na progu, wpadł w panikę i zaproponował kompromis.

- Zostań - powiedział - a zaślubię cię na sześć miesięcy.

Prawo szyickie zezwalało mężczyźnie na cztery stałe żony oraz na tyle czasowych kontraktów małżeńskich, na ile starczyło mu jurności. Było to honorowe wyjście, by mieć wiele kochanek nie łamiąc przy tym Bożych praw zakazujących cudzołóstwa. Tymczasowa żona traciła jednak cnotę i po wygaśnięciu kontraktu nie mogła rościć prawa do nazwiska męża ani jego pieniędzy.

Mercedez Gwiazda Filmowa wyszła nie zaszczyciwszy go nawet spojrzeniem.

Wróciła do getta z walizką pełną ciuchów, elegancka jak dziwka bogacza, którą była w istocie. Oszalającym efektu nie psuł nawet kurz pokrywający jej drogie skórzane buty.

- Już prawie go mam - szepnęła do Roksany z chłodną ironią kobiety, która wie, że osiągnęła cel. - Możesz ze mną zamieszkać, kiedy za niego wyjdę.

Amin naturalnie uśmiełby się do rozpuku, słysząc to butne stwierdzenie. Był bogaczem, a ona tylko wygłodzoną dziewczyną pozbawioną rodziny i wszelkich widoków na awans życiowy. Przez dziewięć tygodni zajmował się swymi sprawami przekonany, że wyleczył się z Mercedez. Wziął sobie nawet inną kochankę, która przynajmniej udawała, że bardziej zależy jej na nim samym niż na jego pieniądzach. A potem pewnego ranka u fryzjera Amin spojrzał na siebie w lustrze i dostał szału. Zobaczył starzejącego się mężczyznę z siwą szczeciną na obwisłym podbródku - człowieka, którego czas już się kończył. Coś wrzasnęło mu w głowie - był pewien, że słyszeli to wszyscy w zakładzie fryzjerskim - a kiedy wrzask ucichł, Amin zdał sobie sprawę, że musi odzyskać Mercedez, bo ona jest jego młodością i ambicją, tchnieniem w jego zaflegmionych płucach.

Posłał po nią samochód, lecz Mercedez z pogardą odprawiła szofera.

Posłał jej ręcznie malowane satynowe pantofelki o sprzączkach wysadzanych rubinami. Mercedez wzięła je, lecz nie zaszczyliła go ani słowem.

Pewnego wieczoru sam więc wybrał się do getta. Usłyszał od Mercedez, że może ją mieć jedynie wtedy, gdy rozwiedzie się ze wszystkimi swoimi żonami i poślubi tylko ją.

Mercedez Gwiazda Filmowa opuściła żydowską dzielnicę rankiem dwudziestego pierwszego marca 1956 roku w białej sukni ślubnej od najlepszego krawca w Teheranie. Setki ludzi wyległy na ulice, by przyglądać się temu ze zgorzeniem. Na widok Mercedez, jadącej samochodem Amina do bram getta, po raz pierwszy od dziesięciu lat wszystkim, od najbliższych do najsurowszych sędziów, odjęło mowę.



# Miasto 1956

---

Kierowca autobusu miał niebieską skórę.

Siedział na ziemi przed przystankiem - olbrzymie bezwłose bydlę, tak umięśnione, że zatraciło ludzką postać. Ubrany był w strój zapaśnika: workowate spodnie sięgające ledwie poniżej kolan i koszulę bez rękawów, odsłaniającą większość torsu. Oczy miał ciemne i wilgotne niczym ryba, a brwi tak kształtne, jakby ktoś wymalował mu je na twarzy. Całe jego ciało, od czubka ogolonej głowy do czubków powykrzywianych palców u nóg, pokrywały tatuaże - dlatego w pierwszej chwili Roksana myślała, że po prostu ma skórę siną jak foka.

Udała się na przystanek z paroma drobnymi banknotami i niewielką torbą, do której spakowała jedyną przyzwoitą sukienkę. Na sobie miała mundurek, a w ręku zeszyty, jak gdyby szła do szkoły. Tymczasem zamierzała wyprawić się autobusem do Teheranu, znając tylko nazwisko człowieka, za którego wyszła Mercedes Gwiazda Filmowa.

Księżycowa Miriam, która wierzy w Przeznaczenie i niezależną logikę zdarzeń, twierdzi, że to było nieuniknione. Roksana po prostu musiała pewnego dnia wyruszyć za Mercedes do miasta. Dziwne było nie to, że w końcu opuściła getto, lecz to, że tak długo zwlekała i że (choć nie bezpośrednio) wyjechała z powodu Miriam.

W roku 1953 Księżycowa Miriam miała dwadzieścia cztery lata i była starą panną nawet według współczesnych żydowskich standardów. Jej szanse na zamążpójście równały się praktycznie zeru. Od pięciu lat uczyła pierwsze klasy i choć Szusza wciąż twierdziła, że Miriam ma zaledwie osiemnaście lat, jasne było, że już nikt jej nie zechce. Własne położenie nie martwiło Miriam aż tak jak sytuacja Tala'at i Rochelle. Młodszy, Bahram i Zuzanna, chodzili do szkoły i problem, co zrobić, kiedy staną się dla rodziny beczką bez dna i pętlą na szyi ojca, nie był jeszcze tak palący. Ale Rochelle, chuda nerwowa pesymistka, była przekonana, że ugrzęźnie w kolejce za Miriam i Tala'at i nigdy nie wyjdzie za mąż. Tala'at, która ponad wszystko pragnęła mężczyzny, całymi dniami lała łzy w poduszkę grożąc, że ucieknie i zostanie dziwką, żeby chociaż w ten sposób pozbyć się dziewictwa.

Kiedy zatem pewnego dnia Miriam, wróciwszy do domu z plikiem dyktand pod pachą, zastała na podwórku grupkę ponurych kobiet z namaszczoneymi minami, ani przez chwilę nie

pomyślała, że mogłyby mieć do niej interes. Rozmawiały z Rahmanem. Szusza podawała im herbatę i słodczyce, chleb własnego wypieku i nektar wiśniowy z lodem. Od razu było widać, że najważniejszym gościem jest kobieta z dwoma złotymi zębami na samym przodzie, do której przede wszystkim zwracał się Rahman i którą najgorliwiej obsługiwała Szusza.

Kobieta owa szukała żon dla dwóch mężczyzn. Jednym był jej syn, bezrobotny dwudziestopięciolatek, który przez rok męczył się w oślej ławce, a później pracował w wytwórni butelek isfahańskiej huty szkła. Matka mówiła o nim "Pan Karol" (imię to otrzymał na cześć księcia Walii) i szczerze wierzyła, że mając odpowiednią małżonkę, będzie reprezentował sobą potencjał wart majątek i mogący zaprowadzić go pomiędzy wielkich tego świata. Nieco mniej entuzjastycznie wyrażała się o drugim kawalerze na wydaniu. Był nim jej brat Habib, niezbyt przystojny, lecz za to pracowity. Miał trzydzieści lat i kram ze srebrną biżuterią na bazarze.

Tala'at i Rochelle podglądały gości przez szparę w drzwiach.

- Przyszły do was swaty - powiedziała Miriam i zaczęła poprawiać dyktanda.

Kobiety spędziły u nich całe popołudnie. Kolejno wzywały córki Rahmana, poczynając od Miriam, a kończąc na Zuzannie. Kazały im się śmiać (żeby obejrzeć ich zęby), mówić oraz chodzić tam i z powrotem po podwórku (żeby udowodnić, że są nietknięte; dziewczyny, które rozstały się z dziewictwem - wyjaśniła matka Pana Karola - szeroko stawiają nogi, albowiem nie mają już czego strzec).

Następnie dziewczęta odesłano do domu i rozpoczęły się pertraktacje. W oczekiwaniu na ich wynik Miriam zasnęła. Tala'at jak zwykle zagroziła, że jeśli jej nie wybiorą, tym razem już na pewno zostanie dziwką. Rochelle tkwiła pod drzwiami, wyglądając przez szparę i bezskutecznie usiłując opanować nerwy.

Ostatecznie na żonę Pana Karola została wybrana Miriam - bo była piękna, a jej przyszła teściowa chciała mieć ładne wnuki - Habibowi zaś miała przypaść Tala'at, bo Tala'at tak wyraźnie łaknęła mężczyzn, że każdego była w stanie zaspokoić.

To, że dziewczęta są starymi pannami, miało posłużyć jako broń. Każda teściowa musi mieć na synową haka, do którego będzie mogła się uciec, ilekroć zechce - choćby i codziennie.

Na początek matka Pana Karola zażądała, by Rahman zapłacił za wesele, choć zwyczajowo należało to do obowiązków rodziny narzeczonego. Zażądała też sowitego posagu dla każdej z dziewcząt (choćby Rahman miał popaść w długi) i bezwstydnie stwierdziła, że Pan Karol, który nie umiał się nawet podpisać, studiuje medycynę i zostanie doktorem. Na temat Habiba nie musiała nawet kłamać, zataiła tylko dość szczegółowy fakt, że w wieku lat

trzydziestu nadal żywił przesadną awersję do jakiegokolwiek formy intymnego współżycia.

Rahman oczywiście zapożyczył się i pokrył koszt weseliska. Uznał, że warto, byle Miriam i Tala'at mieć już z głowy. Zaprosił Aleksandrę z Roksana, kupił nawet z tej okazji Roksanie nową sukienkę. Onieśmielona i speszona weszła do domu, z którego ją wypędzono, kurczowo ściskając Kocicę za rękę. Swoją nową sukienkę dała Aleksandrze, nie chciała bowiem, by staruszka ośmieszyła się w jednej ze swych wystrzępionych i niemodnych toalet. Rezultat był katastrofalny: nie mając nic lepszego, Roksana wystąpiła w szkolnym mundurku, Aleksandra zaś, pomarszczona i wymalowana we wszystkie barwy tęczy - w białej plisowanej sukieneczce odpowiedniej dla dwunastoletniej dziewczynki.

Razem tworzyły taki widok, że goście osłupieli. Mężczyźni krzywili się odżegnując pecha, który przywiódł im przed oczy tę żalosną starą wronę. Kobiety wzdychały ze smutkiem nad nie tak znów odległą młodością Aleksandry i zarazem swoją całkiem realną przyszłością. Matka Pana Karola głośno wyraziła swe ubolewanie nad kalibrem gości Szuszy i Rahmana. Była oburzona, kiedy Szusza ucałowała Aleksandrę w czoło i usadziła ją na honorowym miejscu obok rodziny pana młodego.

Miriam przywołała do siebie Roksane:

- Będę cię często odwiedzać - pocieszyła siostrę. - Teściowa nie pozwoli mi już pracować w szkole, ale tak czy inaczej będę ci przynosić pieniądze i opiekować się tobą nawet wtedy, gdy urodzę własne dzieci.

Roksana wbiła wzrok w swoje buty i kiwnęła głową. Było jasne, że jej nie wierzy.

\*

Uroczystość weselna w domu Rahmana przeszła gładko. Nieco bruździł tylko bratanek Habiba, nerwowy ośmiolatek z głową ogoloną z powodu wszawicy, który usadowił się naprzeciw Tala'at i patrzył na nią tak zachłannie, że nikt nie mógł mieć wątpliwości, jakie myśli chodzą mu po głowie. Siła dziewiczej żądzwy wytworzyła ogromne ciśnienie w jego lędźwiach, toteż co kilka minut wybiegał na zewnątrz i oddawał mocz, żeby ulżyć nabrzniałemu członkowi.

Około północy obie pary małżeńskie otrzymały błogosławieństwo od matki Pana Karola i zostały wyprawione do nowych domów. Tala'at i Habib mieli zamieszkać w wynajętym pokoju koło Sar Czesmeh, Miriam i Pan Karol- z jego matką.

Goście wyszli na ulicę, towarzysząc nowożeńcom. Szusza i Rahman oczywiście poszli z nimi, tak samo Rochelle i Zuzanna. Roksana została, bo nie mogła wlec ze sobą Aleksandry, nie mogła jej też zostawić samej w obcym domu. Przy stołach siedziało jeszcze tylko kilkoro

sędziwych starców, toteż nikt poza Roksana nie zauważył, że Aleksandra jest zimna i sztywna jak mumia.

Roksana miała dość rozsądku, by nikogo na razie nie wzywać. Lustro stłuczone w czasie wesela oznaczało nieudany związek. Śmierć, zwłaszcza nagła, dowodziła, że pannę młodą ściga pech. Aleksandra pozostała więc na swoim miejscu, oparta o poduszki, patrząc przed siebie niewidzącym wzrokiem, do którego wszyscy zdążyli się już przyzwyczaić. Czerwone wargi były lekko rozchylone, palce ozdobione tanimi pierścionkami zaciśnięte na fałdach dziewczęcej sukienki. Patrząc na nią, Roksana nie czuła zgrozy, lecz łagodny smutek - jak ktoś, kto przypomina sobie przeżyta dawno tragedię. Rahman będzie musiał sprzedać fortepian, żeby zapłacić za pogrzeb, pomyślała. Trzeba zawiadomić Syryjczyka. No i odnaleźć Mercedez.

Pochowali Aleksandrę na żydowskim cmentarzu, którego muzułmanie nie pozwalali powiększyć i od stuleci ciała chowano jedno na drugich. Przyszły setki Żydów. Opuszczone przez swoją panią koty przybiegły w ślad za nią na cmentarz. Objawił się nawet niewidzialny kochanek - grubonogi Syryjczyk w garniturze z kamizelką i dewizką - dowodząc, że jest zarazem romantycznym amantem, którego kochała, i tchórzem, który ją porzucił. Przyprowadził ze sobą żonę, dzieci, nawet teścia. Ujrzawszy ciało spowite w biały całun padł na kolana na oczach wszystkich Żydów oraz własnej rodziny i szlochał, jakby nigdy nie przestał kochać Aleksandry i nie dbał, że cały świat się o tym dowie.

Była to chwila pomsty, a może tylko kolejna ironia losu: Syryjczyk uznał publicznie swój związek z Aleksandrą, kiedy jej już nie było i nie mogło jej to przynieść żadnej korzyści. później podszedł do Roksany mówiąc, że musi mu oddać dom. Był jego prawnym właścicielem i po śmierci Kocicy zamierzał go sprzedać. Roksana, jak delikatnie nadmienił, powinna wrócić do rodziny, do domu ojca, gdzie - jeśli wolno mu to powiedzieć - jest miejsce kobiety, dopóki nie wyjdzie za mąż.

Roksana Anielica nie musiała opuszczać żydowskiej dzielnicy, gdy kochanek Aleksandry kazał jej się wyprowadzić z domu. Miriam nie odmówiłaby siostrze dachu nad głową. Mogła zamieszkać u Tala'at. Mogła nawet znaleźć męża. Wyjechała, ponieważ od pierwszych dni życia, nim jeszcze nauczyła się ludzkiej mowy, słyszała, że takie jest jej przeznaczenie.

"Wystarczy tylko nie oglądać się za siebie" - powiedziała jej kiedyś Aleksandra.

Przystanek był ceglana budką, w której kierowcy jedli i spali w przerwach między kursami, a pasażerowie mogli się schronić przed deszczem lub śniegiem. Pusty poobijany autobus o całkiem łysych oponach tkwił pod drzwiami jak wiemy pies.

Kierowca oczywiście widział Roksanę już z daleka, ponieważ była jedyną osobą na ulicy, lecz nie pozdrowił jej, albowiem był Lutim - jednym z tych, którzy szczytą się siłą fizyczną i poświęceniem w obronie słabszych. Uczono go, by nie zaczepiał kobiet ani nawet nie podnosił na nie oczu, póki same go nie zagadną.

Roksana podeszła doń na drżących nogach i przystanąła. W palcach trzymała banknot. Często woził takie dziewczyny. Sypiały z chłopcami, zachodziły w ciążę, a potem uciekały przed gniewem ojców. Ciekawe, czy wiedziała, że ten dzień jest muzułmańskim świętem, ustanowionym na pamiątkę śmierci jednego z uczniów Proroka. Po całym Teheranie krążyły procesje. Szyjci darli na sobie czarne koszule, biczując siebie i swoje dzieci. Owijali wokół dłoni metalowe łańcuchy i chłostali się po nagich plecach, głowach, twarzach, aż mdleli z upływu krwi. W każdej procesji ten, który ranił się najdotkliwiej, był najbliższy Bogu.

Kierowca autobusu nie wierzył w biczowanie i nie miał zamiaru się okaleczać. Blizny zepsułyby rysunek tatuażu. Zignorował Roksanę i zajął się obiadem. Miał miskę zupy na wołowej golonce z cebulą i ziemniakami, białą fasolą i żółtą soczewicą. Zanurzył w misce niebieskawą dłoń, wyłowił wszystkie twardsze kawałki i włożył je do stojącego obok niewielkiego moździerza. Potem przytknął miskę do ust, odrzucił w tył głowę i duszkiem wypił całą zupę. Beknął, oblizał wargi i pozdrowił Allaha.

Dziewczyna wciąż stała w tym samym miejscu.

Przysunął do siebie moździerz i zaczął w nim ubijać mięso i jarzyny wyłowione z zupy. Roztarłszy je na papkę, wyjął ją palcami i rozsmarował na płaskim podpłomyku. Na środku ułożył surową cebulę, zwinął chleb wokół niej, złożył jeszcze dwukrotnie, znów pochwalił Boga i wsadził wszystko na raz do ust. Był to jego popisowy numer, z którego słynął wśród Lutich.

Roksana patrzyła na niego bez słowa.

Kierowca nalał kieliszek rodzynekowego araku i wychylił go jednym haustem. Twarz mu pociemniała, przybierając granatowy odcień, a kolejne beknienie owionęło ciepłem stopy Roksany.

- Na nasz gust możesz sobie być Żydówką, sestro rzekł w końcu, mówiąc o sobie w liczbie mnogiej, jak to było w zwyczaju u Lutich - ale powinnaś pozwolić człowiekowi spokojnie napić się araku.

Wytatuowany na czaszce smok ział niebieskim płomieniem spływającym mężczyźnie

na powieki.

- Chciałabym kupić bilet - odezwała się słabo Roksana.

Kierowca ryknął śmiechem.

- Nie wiesz, że dziś jest Dzień Męczeństwa? - spytał. - Mamy tratować autobusem procesje?

Była tak zakłopotana, że zrobiło mu się jej żal. Cofnęła rękę z pieniędzmi i przez chwilę pomyślał, że zawróci do domu. Miał już pewność, że to kolejna uciekiniarka.

- Siostro, masz męża?

Potrząsnęła głową.

- Ojca? Brata? Wuja, który by się tobą opiekował?

- Nie.

Jej głos był jak woda. Oczy również zdawały się rozplywać.

- Moja przyjaciółka wyszła za człowieka imieniem Amin - wyjaśniła. - Jadę do Teheranu, żeby ją odnaleźć. Muszę jej o czymś powiedzieć. Bo widzi pan, umarła jej matka.

Kierowca spojrzał w oczy Roksany, a im dłużej patrzył, tym większą czuł miękkość w nogach i to samo ciepło, które ogarniało jego łądzwi a w każdy piątek rano, kiedy wybierał się do swojej dziwki, Fariby, jedynej kobiety w jego życiu. Fariba karmiła go pieczonymi jagnięcymi cynadrami i wdmuchiwała mu dym opiumowy do ust, aż czuł, że może podbić świat i złożyć go u jej stóp.

Odwiedzał ją w domu, bo Fariba była kobietą dyskretną i nie uprawiała swego procederu jak inne, w jednym z tych miejsc, gdzie obsługiwano setkę mężczyzn w ciągu dnia. Zwykle było tam podwórko, na którym mężczyźni ustawiali się w kolejce, i dwie oddzielone zasłonką alkowy z łózkami. Wczesnym rankiem prostytutka wchodziła na podwórko przyodziana w czador i welon, jak nakazywała przyzwoitość. Pospiesznie witała się z mężczyznami i zapraszała pierwszych dwóch klientów do środka. Spędzała dziesięć minut w pierwszej alce, po czym, nie zadając sobie trudu, by się ubrać lub choćby umyć, przechodziła do drugiej. Po dziesięciu minutach wracała do pierwszej, w której czekał już kolejny mężczyzna - i tak dopóki nie zabrakło klientów.

Co innego Fariba. Ta była przykładną gospodynią i oddaną matką. Jej dzieci, spłodzone przez nieznaną ojca, bawiły się na podwórku w czasie, gdy Fariba zabawiała swych "przyjaciół". Nieraz pojawiały się w drzwiach sypialni, kiedy właśnie spółkowali. Pokazywały zadrapania i skaleczenia, paplały o bójkach i zgubionych zabawkach. Ale nigdy nie były głodne - kierowca ceniał za to Faribę - ani brudne, ani nawet znudzone.

Fariba dbała o swoich "przyjaciół" tak samo serdecznie jak o własne dzieci. W piątek rano nastawiała nargile i grzała na węglach kawałek brązowej pasty opiumowej. Rozpalała też w piecyku i nadziewała na różny cztery tuziny jagnięcych cynaderek zamarynowanych poprzedniego wieczoru w czosnku i cebuli. Wkładała arak do lodu i spotkanie z kierowcą zaczynała w ten sposób, że lała mu zimny alkohol na skórę, aż ta zdawała się płonąć. Potem go masowała, a on palił opium i pił arak. Przynosiła mu cynadry prosto z rusztu. Różny były gorące, parzyły w palce, kiedy je brał gołymi rękami (bo taki już był) i jednym ruchem wrzucał sobie do ust pół tuzina na raz.

Ale dziś był dopiero wtorek, a Fariba nie tolerowała wizyt poza kolejnością.

Kierowca wlał do gardła następny kieliszek araku i wciągnął pantofle na wytatuowane stopy.

- Szukaj sobie, kogo chcesz, siostró - rzekł do Roksany. - My się prześpiemy.

Spał pięć godzin. Kiedy się obudził, Roksana siedziała samotnie w autobusie, ściskając w rękę pieniądze. Rozbawił go jej upór.

- Sądziś, że będę jechał z jedną osobą, do tego Żydówką? - wrzasnął, nie ruszając się z pryczy. Wstała i podeszła do drzwi autobusu.

- Już jest ciemno - zauważyła grzecznie, żeby go nie urazić. - Procesje się skończyły.

Zrozumiał, że dziewczyna nie ustąpi. Wściekły, zaklął na duchy Proroka i wszystkich jego uczniów. W końcu zwlókł się z posłania i usiadł za kierownicą.

- Który przystanek? - spytał, patrząc na nią w lusterku. Wcale go nie zdziwiło, że dziewczyna nie potrafi odpowiedzieć.

- To jest na przedmieściu. - Usiłowała przybrać pewną minę. - Będę wiedziała, gdzie wysiąść.

W Dniu Męczeństwa cała ludność Iranu z wyjątkiem uczestników procesji siedziała w domach. Wszystko było zamknięte, nawet z radia zamiast rządowej propagandy dobiegało zawodzenie mułłów zanoszących modły w miejscowych meczetach. Sam na pustych ulicach, kierowca wcisnął gaz do dechy. Autobus pomknął, kolebiąc się na zakrętach tak mocno, że w każdej chwili groził wywrotką. Obserwując Roksane w lusterku, kierowca widział, że dziewczyna się boi, że przy tej prędkości nie może nawet odnaleźć wzrokiem tabliczek z nazwami ulic, a cóż dopiero je odczytać. Ale miał trochę w czubie i upajało go, że nie musi się zatrzymywać na przystankach. Co tam pasażerka!

- Powiedz, kiedy mamy stanąć! - krzyknął w połowie drogi do centrum.

Przemknęli przez Teheran i dzielnicę Wanak i zatrzymali się z piskiem opon, kiedy

droga nagle się skończyła. Kierowca zaciągnął ręczny hamulec i obrócił się do dziewczyny.

- Koniec jazdy.

Zsunęła się z fotela i wstała. Była blada jak ściana, odrobinę drżąca i wyraźnie przerażona. Kiedy podeszła, kierowca uświadomił sobie, że zamierza zapłacić za przejazd. Nagle zrobiło mu się wstyd.

- Zatrzymaj swoje pieniądze, siostró - mruknął.

Gdy wysiadła z autobusu, obejrzał się.

- To nie nasz interes - dodał, starannie unikając jej wzroku - ale cokolwiek przeskrobałaś, nie jest to chyba aż taka zbrodnia, żebyś miała włóczyć się tu po nocy, zamiast wracać do domu, do swojego starego.

Po chwili odjechał; błękitna skóra stopniowo wtopiła się w noc. Kiedy był już w bezpiecznej odległości, Roksana ruszyła w kierunku, gdzie po raz ostatni widziała utwardzoną nawierzchnię. Oszalała ją świadomość że jest sama w nieznanym - tak daleko od getta, że nawet Bóg nie zdołałby jej tu odszukać.

Szła może dziesięć minut, kiedy posłyszała za sobą jakiś szmer. Odwróciła się. Zobaczyła samochód - długi, ciemny i lśniący. Sunął ulicą jak węgorz w mrocznej, mętnej wodzie. Szyby miał przyciemniane, odbijały się w nich różnorakie kształty nocy, a kiedy się zbliżył, odbiły także postać Roksany. Zeszła na pobocze, żeby go przepuścić. Samochód zwolnił, prawie całkiem wytracił prędkość, a potem przyspieszył i zniknął w oddali.

Szła teraz szybciej, nagle zaniepokojona, że wzbudzi podejrzenia albo zostanie aresztowana przez żandarmów. Doszła do ulicy nazwanej imieniem pierwszego władcy z rodu Pahlawich, ojca obecnego szacha - tego, który lubił stawiać sobie pomniki. Był to ledwie piśmienny żołnierz, którego Brytyjczycy wynieśli na tron jako swoją marionetkę. Kiedy przestał być im posłuszny, odsunęli go od władzy i na jego miejscu posadzili syna. Pomimo to krótki okres panowania Pahlawich wystarczył, by większość ulic Teheranu otrzymała nowe nazwy na ich cześć.

Ulica kończyła się niewielkim placem, na którym stał konny posąg Rezy Szaha. U jego stóp Roksana spostrzegła ławkę i przysiadła, by odpocząć. Znów rozległ się szum silnika.

Samochód wjechał na plac z przeciwnej strony, okrążył go raz, potem drugi. Poruszał się tak wolno, że Roksana wręcz czuła spojrzenia jadących w nim ludzi. Opony miękko szeleściły po asfalcie. Przestraszona zaczęła biec ku ulicy wychodzącej z placu. Samochód ruszył za nią. Zatrzymał się. Szyba bezgłośnie zjechała w dół.

- Chwileczkę!



Roksana upuściła torbę z odzieżą i rzuciła się do ucieczki.

Biegła co sił w nogach, świadoma, że w porównaniu z samochodem ma tyleż szans co zaszczute zwierzę, wiedziała jednak tylko, że nie może się zatrzymać, choćby miała wypluć płuca, jeśli bowiem przystanie, czeka ją pewna niewola i śmierć.

Samochód wyprzedził ją, zahamował i skręcił nieco w lewo, blokując ulicę. Krzyknęła i pobiegła w przeciwnym kierunku. Drzwi samochodu się otworzyły. Wysiedli zeń dwaj mężczyźni w czarnych garniturach.

- Niech panienka zaczeka! - zawołał drugi, inny głos. - Tylko słówko!

Roksana nie mogła złapać tchu. Dygotała ze strachu, niezdolna odwrócić się i spojrzeć mężczyźnie w twarz.

- Jedno słowo powtórzył.

Próbowała uciec, ale nogi nie chciały jej już nieść.

*Nie odwracaj się*, upomniała się w duchu.

Mężczyzna ruszył w jej stronę.

*Nie oglądaj się*.

Mężczyzna zbliżył się do niej na pięć kroków i przystanął. Czekał. Czekał, jakby jego życie zależało od tego, czy zobaczy jej twarz.

*Nie obracaj się*. Ale się odwróciła.

\*

Później, kiedy smutek zniszczył ich oboje, Zohrab Grzesznik wciąż z rozkoszą wspominał tę chwilę, gdy na placu Wolności po raz pierwszy ujrzał Roksanę.

Zohrab był cichym, melancholijnym mężczyzną, poważnym niemal od urodzenia (choć jego matka, Fräulein Claude, winą za jego smutek obarczała Roksanę). Niewiele mówił o sobie, jeszcze mniej o swych uczuciach. Lecz o spotkaniu z Roksaną opowiadał zawsze z tkliwością człowieka, który zakochał się raz na całe życie.

Miał dwadzieścia jeden lat, skończył studia i pracował u ojca, Timura Heretyka. Wakacje spędził z rodzicami w będącej własnością Timura nadmorskiej wiosce Gorgan. Zohrab wrócił do miasta nieco wcześniej. Po drodze do domu zobaczył Roksanę.

W pierwszej chwili pomyślał, że zabłądziła, i poprosił Masztiego, by zwolnił. Gdy dziewczyna odwróciła się, chcąc ukryć twarz, poczuł zaniepokojenie, ale był zbyt dobrze wychowany, żeby nagabywać kogoś, kto sobie tego nie tyczy. Pojechali więc dalej i po chwili znaleźli się na placu Wolności.

Plac Wolności był dla Zohraba miejscem, w którym zaczęły się jego wspomnienia.

Pierwszy raz trafił tam mając siedem lat. Był w drugiej klasie; w szkole uczono go najnowszej wersji dziejów Iranu, świeżo podyktowanej historykom przez szacha Rezę. Podobnie jak wszystkie wcześniejsze i późniejsze, wersja ta mówiła o straszliwych zbrodniach poprzednich dynastii i wielkości obecnie panujących. Głosiła jednak także całkiem nową ideę - ideę wolności osobistej i swobód politycznych, rządu prawa opartego na konstytucji, potrzebę zrównania wszystkich obywateli. Wieczorem przy kolacji Zohrab próbował zaimponować rodzicom powtarzając im to, co nauczycielka mówiła o wolności.

Matka naturalnie była w siódmym niebie, bo Zohrab był jej oczkiem w głowie i wszystko, co robił, zasługiwało na pochwałę. Ojciec wszelako nie wydawał się zachwycony świeżo zdobytą przez Zohraba wiedzą - nawet nie podniósł wzroku i udawał, że nie słyszy. Później często przeglądał wieczorne gazety, aż wreszcie znalazł to, czego szukał.

- Jutro rano - rzekł do Zohraba - zabiorę cię na egzekucję.

Obwieszczenia o publicznych egzekucjach drukowano zawsze w wieczornych gazetach. Tracono w ten sposób morderców, handlarzy opium, obcych szpiegów, a przede wszystkim politycznych przeciwników szacha. Reza powiesił już tylu ludzi, mawiał Timur, a wśród nich tak wielu szyickich duchownych, że wkrótce zmarli w Teheranie przewyższą liczbą żywych.

Przez całą noc Zohrab czuł, że ojciec nie śpi. Z gabinetu na piętrze dochodził miarowy odgłos jego kroków. O czwartej rano Timur potrząsnął go za ramię.

- Chodź - rzekł. - Powinieneś zobaczyć, jak wygląda wolność.

W samochodzie Zohrab chciał go wziąć za rękę, lecz Timur uwolnił dłoń. Wzrok miał wbity przed siebie jak ktoś, kto zamierza popełnić zbrodnię.

Szorstkie, ziarniste jak suchy piach powietrze nad placem Wolności paliło w płucach. Setki ludzi przybyły obejrzeć egzekucję. Większość stanowili bladzi mężczyźni z ciemnymi kręgami pod oczyma. Ale w tłumie były też kobiety; wiele szlochało cicho pod czadorami. Tu i ówdzie z ramion matek wyzierały główki dzieci.

Zohrab ujrzał cztery rzędy prowizorycznych szubienic, po pięć w każdym rzędzie. Otaczali je żołnierze z karabinami skierowanymi w tłum.

O piątej trzydzieści na plac wjechała wojskowa ciężarówka. Najpierw wysiedli z niej żołnierze, później wyprowadzono skazańców. Niektórzy szli chętnie. Inni błagali o życie i trzeba było ich wlec. Kilku ukryło twarze w dłoniach i zaczęło się modlić.

Zohrab patrzył, jak kolejno zawisają na sznurach.

Ciała pozostawiono na szubienicy przez cały dzień, aby możliwie najwięcej obywateli

mogło zobaczyć na własne oczy, co czeka tych, którzy występują przeciw szachowi Rezie. Dyndali niczym ołowiane figurki - przekrzywione głowy, oczy wysadzone z orbit, spuchnięte języki. Pomnik szacha Rezy galopującego, by zbawić świat, nawet się nie obejrzał na upadek swych ofiar.

- Zapamiętaj to! - rzekł Zohrabowi Timur. - To jest wolność, o której mówią ci nauczyciele. To cena, jaką zapłacisz, jeśli w nią uwierzysz.

Odtąd ilekroć szedł lub jechał przez plac Wolności, było mu niedobrze. Ogarniała go panika, którą poczuł w czasie tamtej egzekucji i od której długo nie mógł się uwolnić. Owej nocy, kiedy spotkał Roksanę, jechał przez plac z zamkniętymi oczami. Ale ujrzał ją przez opuszczone powieki, rozpoznał twarz zapamiętaną w dzielnicy Wanak w ułamku sekundy, zanim odwróciła się od samochodu. Kazał Masztiemu zawrócić i odszukać ją.

Na tym samym placu, gdzie przeżył najstraszliwsze chwile swego życia, gdzie skończyło się jego dzieciństwo, a wiara legła w gruzach, Zohrab ujrzał światło - tak promienne, jakby po raz pierwszy otworzył oczy.

\*

Powiedziała, że szuka przyjaciółki, swojej rówieśnicy, która niedawno wyszła za mężczyznę o imieniu Amin. Zohrab znał Amina, był on przyjacielem jego ojca. Poinformował Roksanę, że Amin podróżuje po Europie ze swoją nową żoną.

Roksana potrząsnęła głową.

- To niemożliwe - odparła.

Zohrab domyślił się, że dziewczyna nie ma dokąd pójść.

- Niestety, wiem to na pewno - rzekł z naciskiem. Postąpił krok bliżej, starając się jej nie splotać. - Wyjechali trzy miesiące temu. Firmę prowadzą teraz synowie Amina. Nikt nie wie, kiedy on i Mercedes wrócą.

Roksana zmieszana się tak bardzo, że opadły go wyrzuty sumienia.

- Za pańskim pozwoleniem - wtrącił się szofer, Maszti, który wychowywał Zohraba od dzieciństwa i czuł się w obowiązku chronić go przed niebezpieczeństwem. Widząc zaś, jak Zohrab od chwili gdy ujrzał Roksanę, wpatruje się w nią bez zmrużenia powiek, nie miał wątpliwości, że ta dziewczyna jest niebezpieczna. - Może powinienem odwiedzić tę panią do domu.

Roksana się zachnęła.

- Nie - powiedziała, zwracając się wprost do Masztego.

Zohrab zdał sobie sprawę, że dziewczyna za chwilę znów pierzchnie, znów będzie

musiał ją ścigać, póki nie przyprze jej gdzieś do muru jak zaszczutą lanię. Nie mógł znieść myśli, że miałby pozwolić jej odejść.

- Chodź do nas - powiedział tak nagle, że w pierwszej chwili nawet Maszti go nie zrozumiał. - Mieszkam niedaleko Amina. Możesz u nas zanoć, a rano pójdziesz szukać swojej przyjaciółki.

Maszti wpadł w panikę.

- Ależ, paniczu... - rzekł błagalnie.

Roksana wahała się przez chwilę.

- Paniczu... - bąknął znów Maszti.

Zohrab wziął dziewczynę za rękę i poprowadził do samochodu.

Siedziała nie podnosząc oczu, z rękami splecionymi na kolanach. Maszti obserwował ją w lusterku. Przerażała go. Wydawała się całkiem nie z tego świata. Skórę miała tak jasną, że musiałby jej dotknąć, by się przekonać, czy nie jest zjawą. Zazwyczaj przygaszony Zohrab siedział obok niej, promieniejąc radością.

W mroku dom Timura majaczył nad aleją Wiary niczym mauzoleum. Samochód wjechał przez tylną bramę na brukowany podjazd między kwitnące drzewa owocowe i uśpione w ciemności rabaty. Ściany budynku oplatał jaśmin. Siedem marmurowych stopni prowadziło z ogrodu do głównego wejścia - wysokich na dwa piętra drzwi z wzorzystymi szybami. Służąca, żona Masztego, zobaczyła przez szkło światła samochodu i wybiegła, by powitać Zohraba. Ponieważ państwa nie było w domu, zamiast znieawidzonego uniformu pokojówki - białej bluzki z długimi rękawami, długiej czarnej spódnicy i białego fartuszka - miała na sobie czador zarzucony na głowę i ściśnięty w pasie, żeby nie przeszkadzał jej przy pracy. Była boso. Kiedy zobaczyła Roksane, cofnęła się o krok.

- A niech mnie! - wrzasnęła, zakrywając rękami oczy. - Toż to Engliszkal

Żona Masztego z pewnością miała jakieś imię, ale od tak dawna go nie używano, że sama nie mogła już sobie przypomnieć jego brzmienia. Była młodziutką wiejską dziewczyną, kiedy Maszti ją poślubił i przywiózł do Teheranu, do domu Timura. Obecnie jako prawa ręka Fräulein Claude komenderowała całą resztą służby oprócz tej dziwki Effat, z którą nie chciała mieć nic wspólnego - jak to ujęła - "z przyczyn etycznych i moralnych". Effat została najęta przed siedmiu laty i od tego czasu nie tknęła miotły ani ścierki. Sypiała z lokajami i

ogrodnikami, a także z każdym domokrażcą, jaki się napatoczył, napełniając dom aurą zepsucia i grzechu. W efekcie żona Masztiego co dzień groziła, że odejdzie.

Prawdę mówiąc, to nie wyczyny Effat trafiły ją najbardziej. Choć prawie całe życie spędziła w służbie u Timura i Fräulein Claude, żywiła głęboką nieufność wobec wszystkiego co obce, a więc: Żydów-krwiopijców i pijących whisky Ormian, ciemnoskórych Arabów i bosonogich Cyganów, a nade wszystko wobec najstraszliwszej z ludzkich ras - niebieskookiej bestii odpowiedzialnej za całe cierpienie 'wiata; potwora, którego mułowie obarczali winą za nędzę i niedowiarstwo; węża, który spał w łożu każdego władcy i pod poduszką każdego Żyda. Bestia ta zwała się "Englisz".

Żona Masztiego nigdy nie spotkała Anglika z krwi i kości i nie umiała sobie nawet wyobrazić, jak taki wygląda, gdy zrzuci ludzką skórę przywdzianą dla zmylenia prawowiernych muzułmanów. Rzecz jasna Anglicy często bywali u Timura w interesach albo na przyjęciach, lecz przy takich okazjach żona Masztiego za radą miejscowego mułły chowała się w swoim pokoju. Mułła rzekł bowiem, iż każdy prawdziwy muzułmanin, którego wzrok padnie na Englisza, natychmiast oślepnie. A jeśli nie oślepnie, to znaczy, że nie jest prawdziwym wyznawcą Allaha.

Żona Masztiego wzdragła się oglądać Englisza nawet na zdjęciu, skutkiem czego nie potrafiła go odróżnić od ludzi innych wyznań i ras, oczywiście z wyjątkiem własnej. Żyła więc w ciągłym strachu przed skalaniem. Dostatecznym nieszczęściem było już to, że jej pracodawca, Timur Heretyk, był pół-Żydem, który dwadzieścia lat spędził na Zachodzie, Il jego żona, Fräulein Claude, twierdziła, iż pochodzi z Niemiec. Każdy porządny mułła zawsze powtarzał, że muzułmanin ciężko grzeszy pracując u Żyda, wchodząc pod jego dach czy dzieląc z nim posiłek. Od lat żona Masztiego żywiła się wyłącznie wodą różaną i jajkami na twardo, wierząc, że skorupki jaj przynajmniej w pewnym stopniu chronią przed zgubnym dotykiem niewiernych. Myła się pięć razy dziennie, przed każdą modlitwą, i dwa razy w roku odbywała pielgrzymkę do świętego miasta Maszhadu (koszty pokrywał oczywiście Timur). Tam biła czołem w bramę grobowca imama Husajna błagając o odpuszczenie grzechu, który popełniała biorąc pieniądze od Żydów.

Żona Masztiego nawet nie próbowała ukryć (lub chociaż zamaskować) nienawiści do Żydów i cudzoziemców w ogóle, a do swoich pracodawców w szczególności. Wszędzie indziej na świecie mogłoby się to wydać dziwne, ale w kraju będącym pstrą mozaiką różnych nacji stłoczonych razem przez historię, gdzie mówiono tuzinem języków, każda zaś prowincja uważała się za odrębny kraj, współzycie z wrogami od tak dawna weszło ludziom w nawyk, że już nikt się nad tym nie zastanawiał - szkoda było czasu. Najcięższe chwile nadchodziły

wtedy, kiedy w domu zjawiał się ktoś nowy - jakiś żydowski krewny Timura lub Fräulein Claude, koledzy Zohraba, a już nie daj Boże sunnici. Ogień nienawiści rozpałał się od nowa, a ponieważ żona Masztiego nie miała władzy nad niewiernymi, kierowała ostrze swego gniewu na małżonka.

Wysiadłszy z samochodu, Roksana z szacunkiem ukloniła się żonie Masztiego i wyszeptała słowa powitania. Stara cofnęła się, wciąż przysłaniając dłońmi oczy, i pozwoliła Zohrabowi wprowadzić dziewczynę do domu.

Długi, wyłożony czarnym marmurem korytarz prowadził do olbrzymiego salonu z trzema kryształowymi żyrandolami i masywnymi meblami. Przeszklone drzwi wychodziły na werandę, której kutą balustradę oplatał liliowy bez.

Roksana szła powoli, nie rozglądając się na boki. Nie wydawała się oszołomiona, zachwycona ani nawet zdziwiona przepychem otoczenia. Widywała już takie i podobne domy we wspomnieniach Aleksandry, wahała podobne bzy, stała na podobnych werandach pałaców, w których Aleksandra tańczyła ze swoim mężem, zanim niewidzialny kochanek sprowadził ją do Teheranu i ukrył w żydowskiej dzielnicy.

Żona Masztiego była pewna, że zbliża się koniec świata.

- Niechże Bóg porazi mnie gromem za wszystkie moje grzechy! - powtarzała sina ze złości. Maszti czuł, że do rana nie zmruży oka słuchając jej wyrzekań. - Ta dziewczucha to albo Żyd, albo Englisz, albo jedno i drugie, i nie chcę nawet wiedzieć, skąd się tutaj wzięła!

Obróciła się i poszła prosto do oficyny, w której mieszkała służba. Zastała tam dziwkę Effat wypychającą stanik świeżo zaczynionym ciastem i liżącą wargi, żeby błyszcząły, kiedy ujrzy ją Zohrab.

- Idź no tam i obsłuż Zohraba Chana - poleciła jej żona Masztiego, pełna odrazy na widok kobiety, która zrobiła karierę rozkładając nogi. - Pewnie zechce zjeść kolację. Przywiózł jakąś Engliszkę. Ma tu nocować. Pilnuj, żeby niczego nie ukradła.

Effat wyszła uśmiechnięta tak szeroko, że można jej było policzyć wszystkie zęby. Żona Masztiego z niesmakiem odwróciła głowę.

Effat była jedyną służącą, którą zatrudnił sam Timur, i jedyną, której nie pozwolił zwolnić. Posłał ją nawet do szkoły. Nauczyła się tam tylko wodzić mężczyzn za nos. Potem już poszło z górki - szminki, perfumy, watowane staniki, pigułki antykoncepcyjne i sztuczne poronienia, aż w końcu całkiem zrujnowała sobie wnętrzności i doktor oznajmił, że nie będzie mieć dzieci, choćby nawet chciała.

Bezwstydnica wyszła raz po chleb - boso, w domowej sukience - i wróciła dopiero po

miesiącu, twierdząc, że w tym czasie zdążyła poślubić amerykańskiego żołnierza stacjonującego w Teheranie i rozwieść się z nim. Stanął przed nią jak wryty, patrząc na jej gołe nogi, no to poszła z nim, choć za nic nie mogli się dogadać. Byli ze sobą tak długo, jak długo zdołali się kochać bez słowa, a potem się rozstali. Effat po miesięcznej eskapadzie wróciła boso na aleję Wiary i zadzwoniła do drzwi z przeprasającym uśmiechem i bez słowa usprawiedliwienia.

Od lat nagabywała też Zohraba; paradowała przed nim w krótkich spódnicach, boso, z paznokciami u nóg pomalowanymi na czerwono, a kiedy Fräulein Claude i żony Masztiego nie było w domu - także bez stanika. Pod lada pretekstem przychodziła nocą do jego pokoju, siadała na łóżku i opowiadała mu różne pikantne szczegóły swojego życia (na przykład że lubi smarować sobie sutki miodem, kiedy idzie do łóżka z mężczyzną, albo że czasem wybiera się na spacer z kochankiem narzuciwszy tylko czador na gołe ciało: z zewnątrz wygląda bardzo przyzwoicie i tylko kochanek wie, że pod czadorem jest zupełnie naga). Cała ta paplanina wywoływała jedynie pobłażliwy uśmiech Zohraba, który grzecznie słuchał, a następnie odprowadzał ją do drzwi. Wbrew swym najszczerzszym życzeniom Effat zaczęła podejrzewać, że z popędami chłopca jest coś nie w porządku.

Pomimo upływu lat włosy Effat nadal błyszczały, śmiech wciąż dźwięczał jak tuzin dzwonów i beztrąsko zmieniała kochanków, jak gdyby zagwarantowano jej wieczną młodość.

W sieni Maszti złapał Zohraba za rękaw.

- Panie - błagał ściszone głosem - nie znasz nawet imienia tej dziewczyny. Pośniemy, a ona w tym czasie podpali dom.

Zohrab nawet na niego nie spojrzał. Ujrzawszy Effat, z ulgą znalazł w niej naturalnego sojusznika i poprosił, żeby umieściła Roksanę w którymś z pokojów.

- Panie! - Maszti bardziej bał się żony niż najstraszniejszych wybryków Roksany. - Muszę zaprotestować!

Roksana posłyszała go i wyszła na korytarz.

- Zostanę tylko przez jedną noc - powiedziała łagodnie i Maszti poczuł, jak dłonie pocałowały go ze wstydu. - Mogę spać gdziekolwiek. Przysięgam, że niczego nie ukradnę.

Dostała pokój gościnny na parterze. Był mniejszy niż sypialnie na piętrze, ale znajdował się w bezpiecznej odległości od sypialni Zohraba - o co już zadbała Effat - i zarazem dostatecznie blisko pomieszczeń dla służby, aby żona Masztiego była zadowolona. Roksana prędko powiedziała "dobranoc" i zamknęła za sobą drzwi. Położyła się w ubraniu na łóżku, wsłuchując się w noc.

Godziny mijały. Leżała bezsennie, wspominając miniony dzień, rozmyślając o rodzicach, o Miriam i o tym, co sobie pomyśla, kiedy się dowiedzą, że Roksana opuściła getto. Dom, w którym się znalazła, niepokoił ją. Miał w sobie coś zarazem nowego i znajomego. Kiedy uznała, że wszyscy już na pewno śpią, wstała i udała się na przechadzkę.

Ruszyła korytarzem, potem schodami na pierwsze piętro. Zaglądała do bogatych pustych sypialni z malowanymi szafami, do łazienek zdobnych w lustra i lśniące złote i chromowane krany, z których tryskała woda o barwie brylantów. Wyglądała przez szklane drzwi na półkoliste balkony zwieszające się nad ogrodem. Zobaczyła Zohraba śpiącego w swym pokoju przy uchylonych drzwiach, zajrzała do sypialni Fräulein Claude, a potem Timura. Czuła się niewidzialna - tak lekka, że nikt nie słyszał jej kroków; tak swobodna, że gdyby chciała, mogłaby rozpostrzeć ramiona i frunąć z balkonu w przestworza.

Wróciła na dół. Kuchnia wydała jej się morzem białych ścian i szafek. W nieco mniejszej jadalni stał prostokątny stół i osiem krzeseł. Pomiedzy kuchnią a jadalnią była jeszcze alkowa, mała i źle oświetlona, a w niej niski taboret, piecyk i fajka wodna.

Na stołku siedział mężczyzna w ciemnobrązowym ubraniu, brązowym filcowym kapeluszu i skórzanych butach. Miał na sobie białą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem, lecz bez krawata. Jego oczy były całkiem białe, pozbawione źrenic, mimo to Roksana miała wrażenie, że ją widzą.

Pogrążona w dziwnej, a jednak znajomej ciszy, czując zapach opium i niewidzące spojrzenie starego człowieka, Roksana Anielica zdała sobie sprawę, że trafiła do domu cudów. Weszła tu przez pomyłkę i mogła nigdy już nie znaleźć wyjścia.

\*

Fräulein Claude miała odtąd przeklinać ów dzień jako najgorszy w swoim życiu. W sobotę rano wróciła z Timurem z Gorganu i zastała swój dom we władaniu uciekinierki z żydowskiej dzielnicy. Zohrab był nią tak zauroczony, że nosił jej obraz w oczach, w uśmiechu; Effat tak zaintrygowana, że chodziła wszędzie za Roksana w bezpiecznej odległości trzech metrów i gotowa była przysiąc, że dziewczyna jest džinnem - jednym z powietrznych duchów, które zamieszkują perskie noce i mogą przyoblekać ludzką postać. Roksana mieszkała przy alei Wiary od trzech dni. W czwartek sama się przekonała, że Mercedes wyjechała w podróż poślubną do Europy, po czym wróciła do Zohraba, bo nie miała dokąd pójść, a nie zamierzała powrócić do getta.

Fräulein Claude tylko raz rzuciła jej pogardliwe spojrzenie i uznała, że dziewczyna musi odejść.



- Co za dużo, to niezdrowo - powiedziała do Masztiego, nie zważając na to, że Roksana stoi tuż przed nią na stopniach wiodących do drzwi. Zresztą, na litość boską, była siódma rano. - Dajcie jej pięćdziesiąt riali i wsadźcie do autobusu. Nie prowadzimy tu hotelu.

Zostawiła płaszcz na poręczy i ruszyła w górę po schodach, stąpając ostrożnie na cienkich wysokich obcasach. Czuła za sobą obecność skamieniałej ze zmieszania Roksany, której przed chwilą pozbyła się jak śmiecia. Bo przecież, pomyślała, tym właśnie jest! Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Nie spodziewała się tylko, że Zohrab pójdzie za nią.

- Pozwól jej zostać - poprosił.

Fräulein Claude potrząsnęła głową.

- Tylko kilka dni - nalegał. - Dopóki Amin nie wróci z podróży. Roksana przyjechała do jego żony. Mieszkały kiedyś razem w żydowskiej dzielnicy.

Fräulein Claude zachnęła się z oburzeniem: znajomość z kobietą, która rozbiła rodzinę Amina i zszargała jego dobre imię, nie przynosi tej małej zaszczytu. Co gorsza, Zohrab nazywał ją po imieniu.

- Tym bardziej powinniśmy się jej jak najprędzej pozbyć - odrzekła.

Wyjechali z Gorganu przed świtem, o trzeciej nad ranem, żeby Timur zdążył na czas do pracy. Fräulein Claude musiała wstać o drugiej i przygotować wszystko do wyjazdu. Teraz była zmęczona, senna i mocno zirytowana, że Zohrab, który nigdy nie kwestionował decyzji rodziców, reaguje na Roksanę w ten sposób. Najchętniej wyciągnęłaby się w fotelu, zdjęła buty, które zostawiły jej na ciele czerwone pręgi, a jeszcze lepiej położyła się na otomanie z nogami w górze. Wyjęłaby z włosów wszystkie spinki i treski z ufarbowanego na blond końskiego włosia, którymi uzupełniała kok, by wydawał się obfitszy. Zmyłaby tusz, który ciążył jej na rzęsach, przez co oczy łązawiły jej od samego rana, i wreszcie doznałaby ulgi.

Ale nie mogła się czuć swobodnie, dopóki Zohrab tkwił w pokoju. W ciągu dwudziestu sześciu lat małżeństwa nikt mąż, syn ani nawet służba (oprócz żony Masztiego, która pomagała jej przy kąpieli) - nie widział jej bez makijażu i wysokich obcasów. Zdaniem Fräulein Claude sekret udanego małżeństwa polegał na tym, by żona prezentowała się rodzinie tylko z najlepszej strony - nawet jeśli wymagało to nieco więcej wysiłku i nawet jeśli dorosły syn nękał ją w sypialni, kiedy chciała być sama.

- Nie możesz jej wyrzucić! - krzyknął nagle. Po raz pierwszy w życiu podniósł głos w rozmowie z matką. - Nie pozwalam!

Fräulein Claude wstała i odetchnęła głęboko.

- To nie byłoby właściwe - tłumaczyła. - To młoda, niezamężna osoba, która nie jest z nami spokrewniona. Prędzej czy później rodzice ją tu znajdą i obciążą nas winą za to, co

dziewczyna próbuje przed nimi ukryć. Albo też zacznie się Bóg wie czego spodziewać, zwłaszcza po tobie, i wtedy o wiele trudniej będzie skłonić ją do odejścia.

Zohrab puścił mimo uszu ten logiczny wywód.

- Nie pozwolę jej odejść - oznajmił. - Będziesz musiała się z tym pogodzić.

W przyszłości Fräulein Claude po tysiącokroć rozpamiętywała ów dzień. Patrząc wstecz wiedziała oczywiście, że nie powinna była pozwolić Roksanie zostać ani minuty dłużej. Mogła wezwać policję albo gwardię narodową, wysłać Masztiego po trutkę na szczury i wsypać ją dziewczynie do jedzenia albo powiedzieć żonie Masztiego, że Roksana to Engliżka, która powinna spłonąć na stosie. Gdyby wtedy wiedziała, co ich czeka, osobiście ułożyłaby stos na podwórku i rozpałała ogień pod nogami Roksany. Ale kiedy Zohrab po raz pierwszy się jej sprzeciwił, żądając pozostawienia tej dziewczyny w domu, Fräulein Claude uległa słabości do syna, a także zmęczeniu obolałych stóp, i powiedziała sobie, że może to i nie takie zło - ostatecznie Zohrab jest mężczyzną i łaknie damskiego towarzystwa. Zatrzymają Roksane jeszcze przez kilka dni, aż chłopak zaspokoi żądze mącące mu rozum, albo do czasu gdy Timur, który dotąd ignorował zaistniałą sytuację, zainterweniuje w jej imieniu.

Mijały dni, a z każdym następnym Friiulein Oaude coraz bardziej żałowała swej decyzji.

Co dziwniejsze, Roksana wcale nie była piękną w porównaniu z innymi znajomymi Zohraba. Nie zachowywała się prowokująco i niczego od nikogo nie żądała. Ale było też w niej coś dziwnego, niepokojącego: mówiła zupełnie inaczej, niż zwykle mówią Żydzi, a poruszała się tak, jak gdyby przyciąganie ziemskie nie miało na nią wpływu. Patrzyła na świat tymi przepastnymi oczyma i całe godziny potrafiła spędzić bez słowa, bez jednego dźwięku - Fräulein Claude niemal zapominała o jej istnieniu - aż tu nagle wybuchała radosnym śmiechem trzyletniego dziecka; dźwięczne nutki sypały się wokół niej jak kwiaty wiśni i wszyscy przerywali pracę, podnosili głowy, by zobaczyć barwę jej uśmiechu. Młodziutka, drobna i niewytłumaczalnie pewna siebie stała boso na podwórzu dla służby pomagając Effat wykręcać upraną pościel. Lawendowa farbka zbierała się w krople na jej śnieżnobiałych ramionach i ściekała po chudych, dziecięcych nogach. Albo siedziała w kuchni, starając się nie wchodzić w drogę Fräulein Claude, i gawędziła z Jakubem Galaretą. Wiadomo było, że Jakub stracił już wszelki kontakt z rzeczywistością, lecz z Roksaną prowadził długie rozmowy i nawet śmiał się we właściwych miejscach.

Fräulein Claude gotowała się ze złości, że Roksana wołała odnaleźć Jakuba gdzieś tam, gdzie się zatracił. To prawda, że przeważnie majaczył. Ale jego demencja miała również

ten bardzo pożyteczny skutek, że ludzie przestali go dostrzegać. On zaś przez cały czas miał otwarte oczy - widział służących, gości, nawet Timura - i w jednej z rzadkich chwil, gdy umysł mu się rozjaśniał, mówił jej o rzeczach, o których sama nigdy by się nie dowiedziała.

Fräulein Claude zносиła Roksanę przez tydzień, po czym poszła do Timura. Rano włożyła czerwony wełniany kostium i sandały zdobione kryształami górskimi i zeszła do kuchni jeszcze przed śniadaniem. Roksana siedziała z Effat przy stole i piła herbatę. Zmieniła szkolny mundurek na jakąś starą bezkształtną szatę, którą dała jej żona Masztiego. Kiedy Fräulein Claude weszła do kuchni, obie wstały. Roksana wbiła wzrok w ziemię.

- Dzień dobry. - Fräulein Claude uśmiechnęła się w przestrzeń. Jakub Galareta siedział w alkowie pogrążony w głębokim opiumowym śnie; tylko od czasu do czasu poruszał ręką, żeby spędzić z twarzy trzymetrowe muchy. Fräulein Claude podeszła do samowaru. Nalała do jednej szklanki gorącej herbaty, do drugiej wrzątku; nakryła srebrną tacę haftowaną serwetką i postawiła na niej obie szklanki, talerzyk daktyli i kremową różę. Podeszła do lustra nad zlewem, sprawdziła makijaż, uczesanie, zarys szminki na wargach. Potem wzięła tacę i udała się do sypialni męża.

- Dzień dobry, dzień dobry... - Jej śpiewny głos niósł się korytarzem, aż żona Masztiego zmarszczyła z dezaprobatą brwi.

Timur siedział przy biurku nad wczorajszą gazetą wieczorną. Kiedy weszła, podniósł wzrok, uśmiechnął się i bez słowa wrócił do czytania.

Położywszy tacę na biurku, postawiła przed Timurem herbatę i usiadła naprzeciw ze szklanką gorącej wody. Zawsze tak robiła, kiedy mieli coś ważnego do omówienia. Tylko że dziś Timur raczej nie był w nastroju do rozmowy.

Fräulein Claude odchrząknęła. Prawie trzydzieści lat po ślubie, a serce wciąż jej biło jak oszalałe, ilekroć znalazła się blisko niego.

- Ta dziewczyna, którą Zohrab sprowadził do domu... - zaczęła - siedzi tu już od jedenastu dni. Nie wiemy o niej nic prócz bajeczki o jakiejś Rosjance, której oddała ją matka. Myślę, że powinniśmy pozwolić jej odejść.

Timur nie tknął herbaty. Fräulein Claude odchrząknęła ponownie.

- Zohrab najwyraźniej chce ją tu zatrzymać ... - stwierdziła bardziej po to, by zapobiec ogarniającej ją panice, niż po to, by skwitować fakt oczywisty już chyba nawet dla Timura. - Nie wiadomo tylko, jakie miałyby zająć pośród nas miejsce. Obawiam się, że mogą z tego wyniknąć same kłopoty.

Urwała i pociągnęła łyk gorącej wody, ukradkiem obserwując męża. Jego utkwione w gazecie oczy nie poruszały się, nie czytały; spuścił je tylko po to, by uniknąć jej wzroku.

- Tak czy owak - podjęła - odprawię ją dzisiaj, gdy wyjdziecie z Zohrabem do biura. Wspomnij mu o tym po drodze, podkreślając, że to również twoja decyzja. Nie chcę, żeby miał do mnie pretensje.

Nagle przyszło jej do głowy, że nie powinna była przychodzić, w ogóle niepotrzebnie mu o tym mówić. Wstała pośpiesznie, nerwowo zacierając ręce.

- To w zasadzie wszystko - bąknęła, mając nadzieję, że zdąży wyjść, nim Timur się odezwie, ale było już za późno.

Spojrzał na nią. Chyba jeszcze nigdy na jego ciemnej twarzy nie malował się taki smutek, tak dojmująca samotność.

- Pozwól jej zostać - rzekł. .

Fräulein Claude poczuła, że jej życie zaczyna się walić w gruzy.

\*

Timur Heretyk był siostrzeńcem szacha Muhammada Alego, wnukiem księcia Zila El-Sultana, prawnukiem jego wysokości szacha Nasira ad-Dina Kadżara - Króla Królów, Obrazu Boga, Światła Wszechświata. Jego ojciec, Salomon Człowiek, był żydowskim śpiewakiem obdarzonym legendarną urodą i nieodpartym wdziękiem, który swego czasu uczynił go ulubieńcem królewskiego dworu. Matka Timura, Tala, muzułmańska księżniczka z dynastii Kadżarów, zakochała się w śpiewaku i poślubiła go wbrew woli swego ojca. Salomon zamieszkał z nią w teherańskim Pałacu Róż, wśród brylantowych ścian, wysadzanych szafirami sadzawek i nieśmiertelnych różanych ogrodów szacha. Przeżyli razem dwadzieścia lat kochając się i płodząc dzieci, które rosły w spokoju i dostatku, nieświadome wojny szalejącej za murami pałacu i rewolucji wyciągającej już po nich szpony.

Timur Heretyk był najmłodszym z rodzeństwa. W roku 1907, w którym przyszedł na świat, Rewolucja Konstytucyjna obaliła Muhammada Alego. Rodzina królewska udała się na wygnanie; matka Timura zabrała dzieci i wyjechała w ślad za zdetronizowanym władcą do Rosji, pozostawiając w Teheranie męża, który nie chciał opuścić Persji. Mieszkali tam aż do rewolucji bolszewickiej, następnie przenieśli się do Europy, a w końcu do Turcji. Zmieniali adres co kilka miesięcy, żyjąc z kurczących się apanaży wyznaczonych przez wuja. Tala powierzyła synów opiece guwernera, mirzy Muhammada Muzułmanina, który kazał im wykuwać na pamięć fakty i liczby, aż mąciło im się w głowach. Starsi wyrosli na wykształconych dżentelmenów o nieskazitelnym manierach, którzy oglądali świat przez monokle klepiąc szlachetną biedę w Anglii i Francji i większość swego czasu poświęcając liczeniu bogactw utraconych z powodu perskiej rewolucji, a następnie udanego *coup d'etat*

Rezy Szaha. Młodszy, Timur i jego brat Morad, nie pamiętali lepszych czasów i nie rozumieli nostalgii matki. Chcieli tylko zostać w jednym miejscu na tyle długo, żeby poczuć się tam jak u siebie.

W roku 1927 Tala oznajmiła, że znów się przenoszą - z Paryża do domu dalekiego krewnego w Saint-Ooud. Miała to być jedenasta przeprowadzka w ciągu dziesięciu lat.

Timur Heretyk skończył właśnie dwadzieścia lat. Od dawna już chciał zamieszkać osobno, odciąć się od jałowej, obsesyjnej nienawiści, która stała się dla Tali sensem życia. Wiedział, że matka nie pogodzi się z jego odejściem, nie wybaczy mu nieposłuszeństwa. Pomimo to, rozpatrzywszy wszelkie za i przeciw, poszedł z nią pomówić.

- Nie pojedę z tobą do Saint-Ooud - rzekł, przekroczywszy próg salonu.

Tala stała pod olbrzymim portretem swego dziadka, Nasira ad-Dina. Zamówiła go, by dowieść tym zarozumiałym Europejczykom, traktującym ją jak mitomankę, że w jej żyłach naprawdę płynie królewska krew władców Persji. Kiedyś była bardzo piękna, ale postarzała się nad swoje lata. Jej skóra pożółkła od goryczy wygnania, wargi pociemniały od papierosów, które paliła bez przerwy. Była wychudła, wiecznie podenerwowana, otoczona zapachem francuskiego tytoniu.

- Nie masz wyboru - powiedziała do syna. - Nie mamy dokąd pójść.

Timur odparł, że zamierza wrócić do Persji.

- Nigdy! - Tala z całej siły uderzyła go w twarz. Gardziła narodem, który wypowiedział posłuszeństwo władcy i zrzucił z tronu jej wuja. Nade wszystko zaś nienawidziła Rezy Szaha, który oskarżył Kadżarów o niemoralność i grabież majątku narodowego tylko po to, by objąć ich tron i zacząć kraść dla siebie. - Jesteś Kadżarem. Reza znajdzie powód, by pozbawić cię życia, nim jeszcze dotrzesz do stolicy.

Istotnie, każdy kolejny monarcha w najnowszej historii Persji miał zwyczaj tępić potomków swego poprzednika. Ale Timur był także synem Żyda, który zmarł sobie spokojnie w Teheranie. Oznajmił, że przyjmie nazwisko ojca, powie wszystkim, że jest Żydem, i ułoży sobie życie z dala od goryczy i tęsknot rodziny matki.

- To herezja! - huknęła na niego Tala. - Muzułmanin, który się wyrzeka swej wiary, automatycznie skazuje się na śmierć!

Nie zdołała go jednak powstrzymać.

Mściwe groźby Tali dźwięczały mu w uszach przez całą drogę powrotną. Podróżował sam, pociągami i statkami, aż w końcu znalazł się w Teheranie dwa miesiące i trzynaście dni po tym, jak zamknął za sobą drzwi ostatniego domu w ostatnim europejskim mieście, do

którego Tala uciekła przed swym przeznaczeniem. Oberżycie w głównym karawanseraju na teherańskim bazarze powiedział tylko, że jest synem Żyda, wychowanym na obczyźnie przez matkę muzułmankę. Znalazł pracę w ministerstwie spraw zagranicznych, gdzie służył jako tłumacz francuskim, niemieckim i angielskim dyplomatom. Kupił dom przy alei Feniksów w Teheranie, zatrudnił Masztiego z żoną w charakterze szofera i pokojówki. Potem spotkał Fräulein Claude i być może prawdą było to, co zawsze mawiała - że to ona przyniosła Tumurovi szczęście.

\*

Była córką Ruallaha z Szirazu. Ruallah miał sklepik bławatny na tyłach najmniejszego bazaru w Teheranie. Przybył do stolicy w pierwszych latach panowania Rezy Szaha i wkrótce potem sprowadził z Szirazu żonę i dzieci. Mieli sześciu synów i córkę, dziewczynkę o imieniu Golnaz, czyli "Jasny Kwiat", która za swą życiową misję uznała opiekę nad ojcem i braćmi. Wkrótce po przyjeździe do Teheranu żona Ruallaha zjadła niedojrzałego melona, dostała bóleści i w ciągu jednej nocy zmarła. Lekarz stwierdził, że przyczyną zgonu był pęknięty wyrostek robaczkowy.

Podobnie jak wszyscy mężczyźni i kobiety z jego pokolenia, Ruallah nie miał zamiaru podważać ugruntowanej przez wieki mądrości ludowej dając posłuch niezrozumiałym słowom młokosa, który ledwie opuścił łono matki i skończywszy jakieś pięcioletnie studia pochopnie uznał, iż gotów jest objawiać boskie tajemnice. Ruallah wiedział, że śmierć żony spowodował kwaśny melon - i wyłącznie kwaśny melon. Nie zawahał się wyjawić lekarzowi bez ogródek, jak bardzo go obraził, przypisując taką skazę - że niby części ciała mogły ot, tak sobie nagle pękać - kobiecie, której nie było już pośród żywych i która nie mogła się bronić. Zażądał przeprosin, albowiem orzeczenie to negatywnie rzutowało na przydatność małżeńską jego dzieci. Lekarz uznał jego racje i skwapliwie przeprosił. Prawda była taka, że choć Ruallah był biedny i plasował się dość nisko na drabinie społecznej, jednakże cieszył się powszechną sympatią i miał wielu przyjaciół w całym Teheranie. Mógł raz na zawsze zniszczyć karierę młodego lekarza krytykując go nad talerzem wątróbki albo przy kieliszku gorzałki w kawiarni Szach.

Po śmierci matki Golnaz rzuciła szkołę, żeby zająć się swoimi mężczyznami. W miarę jak bracia kolejno kończyli naukę, znajdowała im żony i drobne urzędnicze posady, na których musieli brać łapówki, żeby związać koniec z końcem. Prowadziła dom i rachunki Ruallaha, wydzielala ojcu co dzień małą sumkę, którą przepuszczał grając z przyjaciółmi w tryktraka. Mijał rok za rokiem, Golnaz wciąż była niezamężna, coraz starsza i - co do tego nie

miała żadnych złudzeń - coraz mniej atrakcyjna.

Nie żeby za młodu była szczególnie ładna: miała rzadkie ciemne włosy, nos ostry jak brzytwa i olbrzymie piersi sterczące nad niewiarygodnie cienką talią. Owszem, Bóg obdarzył ją kształtnymi nogami, które mogłyby przyciągać wzrok, gdyby nie szerokie, kanciaste biodra przytłaczające je niczym komoda. Jednakże w miarę jak czas płynął, a życie było coraz cięższe, Golnaz zrozumiała, że odpowiednie małżeństwo jest jej jedyną szansą na poprawę swego losu i wyciągnięcie braci z ubóstwa. Następnie - jakby już to nie było dostatecznie trudnym zadaniem - poszła jeszcze o krok dalej i zakochała się w Timurze.

Właściwie była to nie tyle miłość, co podziw lub wręcz uwielbienie. Golnaz widywała Timura w mieście, kiedy przed wojną pracował w ministerstwie. Niewielu ludzi miało wtedy samochody, toteż z daleka poznawała jego fordą. Może pociągała ją niezwykła uroda Timura - bardzo ciemna skóra i jasnozielone oczy nadające mu wygląd groźnego zwierzęcia - a może związana z nim nierozłącznie legenda o jego ojcu, który ongiś w czasie straszliwej suszy, gdy ziemią zawładnęły mrówki i szarańcza, swym cudownym śpiewem sprowadził deszcz z nieba. A może jej serce rwało się do niego, bo był taki smutny, tak samotny, gdy wieziony przez Masztiego palił papierosa, zatopiony w lekturze jakichś papierów. Nawet jego ręce są smutne, myślała. Żebracy oblegali fordą, a Timur dawał im pieniądze - wszystkim, nawet ogolonym na zero malcom o popsutych zębach, którzy próbowali mu sprzedać jakieś śmieci. Nigdy nikomu nie odmówił. Jeśli się nie uśmiechał, jeśli rzadko rzucił choć słowo, to nie przez brak serca, myślała, tylko przez ten smutek.

I jak każda niemądra kobieta, która decyduje się zainwestować w straconą sprawę, myśląc, że będzie aniołem miłosierdzia, Golnaz postanowiła wyjść za Timura i go uszczęśliwić.

W roku 1933 liczyła sobie dwadzieścia osiem lat. Była od niego dwa lata starsza, miała za sobą tylko sześć klas szkoły i żadnego obycia. Wiedziała, że Timur nigdy jej nie zauważy; nie dostrzegłby jej nawet, gdyby przyszła do niego nago w deszczową noc. Ale Golnaz była kobietą, która w razie potrzeby nie zawaha się chwycić drastycznych środków. poszła więc do lichwiarza i zaciągnęła pożyczkę pod zastaw sklepu ojca. Przekazała interesy braciom, sama zaś wykupiła dwa miejsca, dla siebie i Ruallaha, na statku płynącym do Niemiec. Znajomym powiedziała, że wyjeżdżają na zawsze i bez żalu.

Sześć miesięcy później Ruallah powrócił do Teheranu w wełnianym, watowanym na ramionach garniturze, w długim prawie do pięt kaszmirowym płaszczu i kapeluszu, w którym wyglądał zupełnie jak chrześcijański milioner z wyższych sfer. Pod ramię trzymał młodą damę o platynowych włosach i wyskubanych brwiach, nieco podobną do Golnaz, która

jednak przedstawiała się jako *fräulein* Claude. Łamanym językiem perskim z twardym niemieckim akcentem opowiadała, że pochodzi z Frankfurtu, gdzie studiowała "sztuki piękne". Powtarzała tę kwestię tak długo i z taką mocą, że po pewnym czasie dawni znajomi machnęli na nią ręką, uznawszy, że zwariowała, i nikt nie starał się dementować tej historii.

Fräulein Claude wynajęła dom przy alei Feniksów, niedaleko domu Timura. Popołudniami chodziła z ojcem na długie spacerunki, nosiła kapelusze z małymi woalkami spuszczone na oczy i obcisłe kaszmirowe swetry ściągnięte paskiem w talii, przez co jej piersi wyglądały jak dwie wielkie leżące obok siebie głowy cukru. Nosiła również buty na niewiarygodnie wysokich obcasach, dzięki którym jej nogi robiły wrażenie dłuższych, a biodra szczuplejszych. Podawała rękę mężczyznom, którym przedstawiał ją ojciec, piła anyżówkę i paliła papierosy, zostawiała olbrzymie napiwki i przebąkiwała o kupnie samochodu. Po dwóch miesiącach, kiedy pożyczone pieniądze zaczęły się kończyć, a drogie ubrania przestały wyglądać jak nowe, Fräulein Claude uczyniła pierwszy zdecydowany krok.

Pewnego popołudnia włożyła złotą koronkową suknię, złote sandały na wysokich obcasach, beżowy płaszcz, wzięła ojca pod ramię i pomaszerowała do domu Timura.

- Nie ma go - żona Masztiego próbowała zatrzaskać im drzwi przed nosem, zamykając przy tym oczy, aby nie narazić się na widok czegoś, co jak podejrzewała, można było określić mianem "Englisch". Fräulein Claude napała na drzwi i przemocą weszła do środka.

- Zaczekamy - oznajmiła tonem bogatej pani przyzwyczajonej do licznej służby. - Proszę podać nam anyżówkę i dwie filiżanki kawy po turecku.

Półtorej godziny później, kiedy Timur wrócił do domu, zastał w nim Ruallaha z Szirazu, który powitał go szerokim uśmiechem i serdecznym uściskiem dłoni.

- Jestem pańskim nowym sąsiadem - przedstawił się, po czym ujął Timura za ramię i obrócił go w stronę krzesła, na którym siedziała Fräulein Claude wyprostowana jak struna, z nogami skrzyżowanymi w kostkach i torsem zwróconym nieco w bok, żeby biust robił odpowiednie wrażenie. - A to moja córka Claude - rzekł Ruallah. - Przyjechała z Niemiec w poszukiwaniu odpowiedniej partii.

Timur uśmiechnął się w duchu, ale był zbyt dobrze wychowany, a może i zbyt samotny, żeby ich wyprosić. Sączyli więc anyżówkę rozmawiając o cudach cywilizowanej Europy. Fräulein Claude podziwiała gust Timura w doborze barw, czyniła uwagi na temat niedostatecznego wyszkolenia służącej. Potem wstała i wyciągnęła rękę do Timura.

- Było mi bardzo miło - powiedziała. - Obiecuję, że jeszcze się spotkamy.

Spotykali się średnio trzy razy w tygodniu przez następne dwa miesiące. Fräulein Claude, ongiś Żydówka z Szirazu, nieproszona składała Timurowi wizyty, terroryzując żonę



Masztiego, która całymi nocami szorowała podłogi w miejscach, gdzie dotknęły ich bezbożne stopy gości. Fräulein Claude denerwowała ją ponadto dziwaczными zachciankami. Żądała różnych rzeczy, których Timur nie miał w domu - francuskiego koniaku, niemieckich czekoladek, siedmiodniowych jaj gołębich i tak dalej. Z pewnością też nadużywała cierpliwości Timura. Jej afektowane maniery i rażący akcent drażniły go do tego stopnia, że nieraz udawał, iż nie ma go w domu. Pomimo to Claude jeszcze dwukrotnie wysłała ojca do lombardu. Pieniądze wydała na suknie dla siebie i prezenty dla Timura.

W końcu pewnego popołudnia zapytała go, czy umie tańczyć walca.

- Dlaczego? - zdziwił się.

- Żeby uczynić zadość tradycji. - Fräulein Claude uśmiechnęła się pobłaźliwie.

Timur nie rozumiał, o czym mowa.

- Jakiej tradycji?

- Weselnej - wyjaśniła. - Chciałabym, żeby nasz weselny bal rozpoczął się walcem.

W chwili, która potem nastąpiła, zawarła się cała samotność Timura i całe pragnienie Fräulein Claude; Timur zdał sobie nagle sprawę, czego się od niego żąda, ale też jak daleko gotowa jest się posunąć Fräulein Claude, aby zrealizować swe marzenia. Zobaczył jej bezbarwny uśmiech i zsiniałe końce palców zaciśniętych ze strachu, że ją wyśmieje. Zrozumiał, że go kocha, że stworzyła się od nowa po to, by i on ją pokochał. Jeśli ją odepchnie, Fräulein Claude westchnie i obróci się w proch, tu i teraz.

- Dobrze, łaskawa pani - rzekł. - Rozpocznijmy bal walcem.

I tak to Fräulein Claude wyszła za Timura Heretyka i zamieszkała z nim przy alei Feniksów. Dzięki temu spłaciła wszystkie długi i ustawiła braci w interesach, ojcu zaś zapewniła życie na wysokiej stopie aż do pewnego ranka, kiedy to znaleziono go martwego w kawiarni Szach z kieliszkiem maraskina w zimnych palcach. Urodziła tylko jedno dziecko, ślicznego chłopczyka, który przyszedł na świat w 1936 roku i otrzymał imię Zohrab. Dziecko było tak udane, że Fräulein Claude długo nie chciała pokazywać go gościom z obawy, że ktoś mógłby rzucić na niego urok. Później nigdy już nie zaszła w ciążę - albo dlatego że (jak twierdziła żona Masztiego) była już za stara, albo (jak domniemywał Maszti) dlatego że Timur zbyt wiele nocy spędzał w osobnej sypialni.

W latach poprzedzających drugą wojnę światową, kiedy szach Reza budował w Persji pierwsze nowoczesne fabryki, Fräulein Claude namówiła Timura, by zrezygnował z posady w ministerstwie i zajął się pośrednictwem w obrocie metalami, a potem handlem na własny rachunek. Tuż przed wojną, ktoś mu doradził, by kupował gumę. "Mnóstwo gumy. I nie

spieszyć się ze sprzedażą."

Podczas alianckiej inwazji w 1941 roku to właśnie guma przyniosła im fortunę. Amerykanie potrzebowali opon do pojazdów wojskowych. Płacili olbrzymie sumy, szybko i bez targów. Timur zgarniał wielkie pieniądze, które następnie inwestował we wszystko poczynawszy od hut, poprzez cementownie, a skończywszy na przetwórnictwach spożywczych. Potem kupił parcelę przy alei Wiary i zbudował na niej dom, który stał się obiektem zazdrości całego miasta.

W dniu przeprowadzki do nowego domu Fräulein Claude myślała, że już nigdy nie zazna smutku. Od lat żyła w niezmaconym szczęściu, uwielbiając męża i syna, ciesząc się bogactwem i pozycją społeczną. Żadne nieszczęście, duże czy małe, nie mogło jej dotknąć. Zirytować, rozczarować - owszem, lecz nie zranić. Kiedy Zohrab podrośł, wypełniała sobie czas herbatkami i balami w dobranym gronie, najmowała coraz więcej służby, zwiedzała Europę i Amerykę. W którymś momencie przygarnęła nawet swego brata, Jakuba.

Jakub miał tego pecha, że przedkładał opium nad inne rozrywki. Od lat narkotyzował się praktycznie bez przerwy. Timur wypłacał mu kieszonkowe i pokrywał koszty wykształcenia jego dzieci. Pewnego dnia żona Jakuba poczuła się zmęczona opieką nad swym bezwartościowym mężem i odesłała go do Fräulein Claude. Timur nie oponował, był bowiem człowiekiem wielkodusznym, a ponadto nie zaprzętał sobie głowy sprawami domu. Fräulein Claude bała się jednak, że straci twarz przed swymi przyjaciółkami z towarzystwa, zamknęła więc Jakuba w pokoju gościnnym. Wobec służby udawała, że jest nerwowo chory. Wobec całej reszty udawała, że w ogóle go nie ma. Utrzymywała te pozory do czasu, gdy Timur napomknął, że Jakub pewnego dnia umrze samotnie z fajką w zębach i nikt nawet o tym nie będzie wiedział, bo Fräulein Claude odmawia mu "ludzkiej obecności".

Jakub został więc przeniesiony do alkowy między kuchnią a jadalnią dla służby. Żona Masztiego nazwała go "Galaretą", bo bez przerwy dygotał. Inni służący go unikali, myśląc, że jest opętany przez złe duchy. Toteż gdy wiele lat później zjawił się bez zapowiedzi brat Timura, Morad, Fräulein Claude nie mogła narzekać na natrętnych krewnych.

Morad Żywe Srebro nie widział się z Timurem od piętnastu lat.

- Matka przeklęła cię na łożu śmierci - rzekł. - Nigdy ci nie wybaczyła, że wyjechałeś. Powiedziała, że nie wybaczy ci nawet na tamtym świecie. Będzie cię prześladować zza grobu, odbierze ci spokój i wszystko, co drogie twemu sercu.

Fräulein Claude znenawidziła Morada już od pierwszej chwili. Uraziły ją przywiezione przez niego wieści, a jeszcze bardziej sposób, w jaki Timur obejmował brata,

klepał po plecach, uśmiechał się doń jak do nikogo innego. Morad - sam Timur to przyznawał - był żigolakiem, utrzymywał stosunki z wieloma kobietami jednocześnie i nie przepracował ani jednego dnia w życiu. Rzecz jasna przyjął zaproszenie Timura, by pozostał w Teheranie i na jakiś czas zamieszkał u nich.

Fräulein Claude musiała znosić Morada prawie przez rok. W końcu Timur kupił mu dom i dał pracę, której Morad nie podjął. Żył z łaski brata i prezentów od kobiet. Fräulein Claude znalazła mu nawet żonę, naiwną córkę wieśniaka z jakiejś zapadłej prowincji. Ta obdarzyła Morada ni mniej, ni więcej tylko trzema parami bliźniaków, których Timur również musiał utrzymywać. Pomimo to Fräulein Claude była rada, że Morad zniknął jej z oczu. Nareszcie przestała cierpieć męki zazdrości, która dźgała ją za każdym razem, kiedy Timur rozmawiał z bratem jak z jedyną na całym świecie osobą godną zaufania.

Wiedziała, że jej nigdy nie kochał tak jak Morada. Powtarzała sobie jednak, że mężczyzna nie musi kochać żony, by osiągnąć szczęście. Sekretem dobrego małżeństwa jest zgodność, a nie namiętność; szacunek, a nie czułość. Timur nigdy nie żałował, że się z nią ożenił - była tego świadoma. Zamierzała też sama wybrać żonę dla Zohraba, tak piękną, wykształconą, tak dobrze urodzoną i wychowaną, że przyćmi królową Soraję i wszystkie jej klejnoty. A ponadto nie będzie dla niej konkurentką, Zohrab nie pokocha jej nawet w połowie tak jak siebie albo Fräulein Claude.

Tymczasem pojawiła się Roksana.

\*

Roksana Anielica wierzyła, że nic nie jest prawdziwe, póki się tego nie nazwie, i nikt nie istnieje, dopóki nie powie o swym istnieniu głośno, przy świadkach. Cała reszta, nawet ból, jest iluzją.

Dlatego też nikomu nie wyjawiała, że ma dziwny wpływ na cały dom, że światło, które ją otacza, hipnotyzuje Zohraba do tego stopnia, że nie potrafi oderwać od niej oczu, Timura zaś wyprowadza z równowagi tak, że nigdy na nią nie patrzy. Zachowała to w sekrecie nawet wtedy, gdy sekret ożył i zaczął rosnać, poruszać się, oddychać, przemawiać do niej we własnym, znajomym języku. Ów sekret czynił Zohraba głuchym na ostrzeżenia Fräulein Claude, a Timura milczącym, opryskliwym i zamkniętym w sobie. Przede wszystkim zaś sprawił, że Roksana nie była już w stanie odejść z domu Timura Heretyka.

Timur nigdy na nią nie patrzył. Dokładał starań, żeby na nią nie spojrzeć. Pierwszego ranka, kiedy wrócił z Gorganu, wysiadł z samochodu, podziękował Masztiemu i przywitał się z Zohrabem, pomyślała: "To lew. Stary i znużony, ale wciąż wspaniały." Czuła, że ją widzi,

lecz choć stała tuż przed nim, wzrok miał odwrócony.

Tegoż dnia mijał ją jeszcze kilka razy w korytarzu i w ogrodzie. Słyszał, jak służba mówi o niej jak o jakiejś nowince sprowadzonej z *Farang* - Zachodu; widział, jak Fräulein Claude pąsowieje ze złości, ilekroć ktoś wspomni o Roksanie. Zauważył, że Zohrab wypatruje jej w chmurze dymu otaczającej Jakuba Galaretę, ale nigdy nie spojrzał prosto na nią.

Złościła się, że ją ignoruje. Nikt, nawet babka Bibi, która jej nienawidziła, nie odwracał od niej wzroku. Rokšana miała ochotę podejść do Timura i stanąć tuż przed nim, nachylić się, aż zobaczy białka jego oczu. Chciała zwrócić się doń po imieniu; spytać, czy to prawda, co mówił jej Zohrab, że jego matka piętnowała sługi rozpalonym żelazem, a dziadek kazał gotować swoich wrogów żywcem we wrzącym oleju.

Zatem on też nie będzie miał litości, powiedziała kiedyś do Zohraba, jednocześnie przerażona i zaintrygowana.

Którejś nocy, snując się po domu, przystanęła pod drzwiami sypialni Timura. Posłyszała ciszę - taką samą, jaka przed laty zapadała w domu Aleksandry, gdy pojawiał się w nim niewidzialny kochanek. Wiedziała, że Timur nie śpi, zmysły ma wyostrzone do ostatka, utkwione w ciemności oczy wyłuskują ją z mroku jak wzrok drapieznika szykującego się do skoku na ofiarę. Wystraszona, pędem wróciła do siebie, zacisnęła powieki próbując przegnać z myśli obraz jego twarzy. Ale zrozumiała, że Timur widział ją wyraźniej niż ktokolwiek na świecie; że patrzył na czarną marmurową posadzkę spotniałą wokół jej bosych stóp, czuł, jak ziębnie ze strachu pod jego drzwiami, widział jej cień frunący w ucieczce po białych ścianach. Słyszał szelest jej ciała w pościeli, czuł, jak oczy ją pieką, gdy krew gorącą falą uderza do głowy.

Zaczęła pojmować to, czego nikt nie dostrzegł jeszcze przez wiele lat: że Timur Heretyk nigdy na nią nie patrzy, bo jej obraz tkwił już wryty w jego oczach, nim ją spotkał, na długo nim opuściła żydowską dzielnicę. Nie musiał się do niej zbliżać - wiedział, że pachnie morzem, po którym już kiedyś płynął. Nie dotykając jej czuł, że jest nieważka jak sen lub pragnienie. Wtedy zrozumiała, że widział jej skrzydła, przezroczyste pióra, które dopiero nocą nabierały barw na ciemnoszafirowym niebie jej tęsknoty. I dlatego Rokšana pozostała w domu przy alei Wiary: albowiem od dnia, w którym po raz pierwszy ją zobaczył, przez wiele, wiele lat Timur Heretyk nigdy nie podniósł na nią oczu.

\*

Stała na gospodarczym podwórzu przed beczką winogron świeżo zerwanych przez ogrodnika. Pomagała Effat wyciskać sok z winogron, nurzając w nich ręce po łokcie. Była

boso, w białej, zbryzganej sokiem sukience. Kiedy Zohrab podszedł do niej, uśmiechnęła się i spuściła wzrok, zaglądając do beczki. Effat, widząc, że panicz chce zostać sam z Roksana, nie ruszyła się z miejsca. Trajkotała szybko, czyniąc jasnym, iż nie ma najmniejszego zamiaru opuścić swego przyczółka. W końcu Zohrab poprosił, żeby ich zostawiła.

- Ojciec pozwolił mi cię o to zapytać - rzekł, gdy Effat Odeszła. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania, w uśmiechu czaiła się rozpacz. - Zastanawiałem się, czy... czy zechciałabyś zostać moją żoną... to jest, wyjść za mnie i zamieszkać tu z nami.

Zaskoczona Roksana wyjęła ręce z beczki i otarła je o przód sukienki, zostawiając na niej purpurowe smugi.

- Powiedziałem ojcu, że nie jestem mędrcom - ciągnął ale ogromnie przypadłaś mi do serca. Chcę ci powiedzieć, że decyzja należy do ciebie, ale mam nadzieję, że się zgodzisz i pewnego dnia mnie pokochasz.

Patrzyła na niego bez słowa. Popołudniowy skwar unosił się falami z ceglanego bruku, osiadał na czole Zohraba, ściekał z wilgotnych rąk Roksany.

Myślała o Timurze. Minął ją dziś rano szybciej niż zwykle, jakby chciał się wyzwolić spod jej uroku. W drzwiach przystanął z dłonią opartą o rżniętą szybę i przez chwilę myślała, że się do niej odezwie.

Czy teraz ją obserwował? Czy wiedział, co odpowie? Czy chciał, żeby poślubiła jego syna i została w jego domu dzieląc łóżko z Zohrabem?

Powiedziała Zohrabowi, że decyzja należy wyłącznie do niego. Ona jest tylko uciekinierką z żydowskiej dzielnicy, nie ma swego miejsca na ziemi ani jakiegokolwiek wyboru. Powiedziała mu też o tym, co powinien wiedzieć - że jest przeklętym dzieckiem, pochodzi z rodu, w którym od pokoleń kobiety okrywały hańbą swoich mężów. Jej przeznaczeniem jest ucieczka - od rodziców lub męża albo i stąd, i stąd. Dlatego matka próbowała ją zabić, a ojciec oddał kobiecie, której dom zamieszkiwały duchy.

Zohrab roześmiał się i odparł, że przeznaczenie to zwykły wymysł.

W pierwszej chwili Roksana była wstrząśnięta tak jaskrawym brakiem poszanowania dla ustalonych praw Wszechświata. Potem spojrzała w pełne uwielbienia żółte oczy Zohraba i po raz pierwszy w życiu pomyślała, iż może znalazła sposób, by wyzwolić się od swego losu. Przypomniała sobie dawne rozmowy z Mercedez - o mężczyźnie, który ją pokocha, o dziecku, jakie mu urodzi. Oczyma duszy już widziała to dziecko: przyjdzie na świat w dostatku, nie w biedzie; w miłości, a nie w strachu; w radości, nie w cieniu Przeznaczenia. W domu położonym tak daleko od getta, wśród ludzi odpornych na moc Boga i Natury, Roksana Anielica mogła urodzić córkę i być może zamiast matczynego smutku przeznaczyć

jej całkiem nowy los.

Zohrab i Timur ustalili datę ślubu i dopiero wtedy powiadomili Fräulein Claude. Nawet pokojówki wiedziały o wszystkim wcześniej niż ona.

Przez kilka dni Effat chodziła z nosem na kwintę, mrużąc, iż oto zmarnowała swą jedyną szansę na przyszłe szczęście, bo niepotrzebnie zachowała się jak dama. Przysięgała, że gdy następnym razem spotka mężczyznę, który będzie coś wart, zaciągnie go do łóżka nie pytając o zdanie. Bąkała też coś o sukni, jaką chce sobie uszyć na bliżej niesprecyzowaną "okazję". Żona Masztiego tylko klęła pod nosem i milkła za każdym razem, kiedy Fräulein Claude zastała je przy rozmowie. Było jasne, że coś przed nią ukrywają.

Fräulein Claude zeszła do kuchni i szarpnęła Jakuba za ramię.

- O czym one mówią? - spytała.

- O powstaniu narodowym - odparł, błyskawicznie trzeźwiejąc. - CIA kupiło poparcie dla szacha. Amerykańskie czołgi jeżdżą po ulicach i strzelają do wszystkiego, co się rusza.

- O czym jeszcze? - Fräulein Claude postanowiła być cierpliwa, choć serce podeszło jej do gardła.

- Podczas ostatniego powstania pradziadek twojego męża kazał katu wyłupić oczy wszystkim mieszkańcom pewnego miasta. Lepiej nie wychodzić na ulicę. Nigdy nic nie wiadomo.

Fräulein Claude była bliska furii.

- Co to za "okazja", o której mówi Effat?

Jakub zmarszczył brwi i spojrzał na nią jak na głupią.

- Wesele twego syna, a cóż by innego? Effat szyje sobie wystrzałową kreację.

\*

Fräulein Claude próbowała oczywiście nie dopuścić do ślubu. Walczyła aż do końca; spiskowała, knuła, rzucała klątwy, groziła samobójstwem, a kiedy Zohrab przyszedł prosić ją o zgodę na ślub, udała atak serca. Rzuciła się na maskę czarnego forda Timura mówiąc, że woli zginąć od razu, niżli cierpieć przez lata, a nawet, świadoma matczynych obowiązków, próbowała otruć przyszłą synową. Zmiażdżyła w móżdżerku, używanym zwykle do tłuczenia szafranu, perły z własnego naszyjnika i kazała żonie Masztiego codziennie dodawać trochę proszku Roksanie do jedzenia. Szkodliwy osad w przewodzie pokarmowym ofiary powinien był uniemożliwić jej przyjmowanie posiłków i doprowadzić do śmierci głodowej. Fräulein Claude słyszała o wielu przypadkach, w których ta metoda działała bez zarzutu, przynosząc

pożądany efekt. Ale Roksana zjadła cały naszyjnik i nawet nie dostała kolki, przeciwnie - zdawała się rozkwitać na perłowym proszku. Zrozpaczona Fräulein Claude udała się do najlepszych czarowników i wróżbitów, wniosła skargę do wojskowego komendanta miasta oraz do naczelnego rabina, a nawet złożyła ofiarę w muzułmańskiej świątyni szacha Abdula-Azima, prosząc Ducha Świętego, by interweniował w jej sprawie.

W końcu to nie Zohrab z nią wygrał i z pewnością nie Roksana: Fräulein Claude pokonywała już w życiu większe przeszkody niż osiemnastoletnia uciekinierka bez pieniędzy i liczących się krewnych. W końcu - i z tym najtrudniej było się jej pogodzić - przeważało zdanie Timura.

Timur chciał tego związku. Nie miała pojęcia dlaczego i nie zdołała skłonić go do wyjaśnień. Fakt, osobiste szczęście Zohraba obchodziło go w niewielkim stopniu - a w każdym razie nie tak jak ją. Prawdą też było, że doświadczywszy na sobie niszczącej obsesji matki, Timur miał w nosie genealogię i podział na klasy (inaczej nie ożeniłby się z Fräulein Claude). Wyśmiewał ustawiczne starania żony, by zawrzeć odpowiednie znajomości. Ale dotąd rozumiał jej potrzebę panowania nad własnym domostwem, przychylnie odnosił się do jej drobnych trosk i wielkich planów i chcąc mieć spokój pobłażał jej tak bardzo, że czasem mylnie brała jego brak zainteresowania za swego rodzaju bierną, wyciszoną miłość.

Tak samo postąpił w sprawie Roksany - milczał i starał się do niczego nie mieszać. Zdawał się jej nie widzieć, dopóki Fräulein Claude nie zmusiła go, by dostrzegł jej istnienie, a wtedy nieoczekiwanie wziął stronę syna. Potem ponosiła już klęskę za klęską. Ostateczną i miażdżącą porażką było wyznanie Zohraba, że kocha Roksanę.

Jedynym wyjaśnieniem, jakie przyszło jej do głowy - jedynym, które miało jakikolwiek sens - było to, że Timur w gruncie rzeczy nie kochał syna i nie dbał, co się z nim stanie.

Za to również Fräulein Claude winiła Roksanę.

Siedemnasty lipca. Ta data nawiedzała ją w koszmarnych snach, przyprawiając o gorączkę.

Lekarz przychodził co dzień robić jej zastrzyki. Zamiast uspokoić, rozdrażniały ją jeszcze bardziej, a ich dodatkowym efektem ubocznym były pęcherze w ustach, które piekły jak ogień, ilekroć jadła lub piła. Chcąc przynieść jej ulgę, żona Masztiego moczyła jej nogi w zimnej wodzie z solą i spirytusem, przykładła na czoło kompresy z gorzycy, karmiła świeżą kolendrą i sokiem z cytryny. Fräulein Claude nie opuszczała sypialni i nikt oprócz żony Masztiego nie mógł jej widywać nie umalowanej i nie uczesanej. Żona Masztiego opowiadała

wszystkim o chorobie swej pani, o jej złamanym sercu i gorzkim rozczarowaniu.

Pomimo to przygotowania do wesela toczyły się bez zakłóceń, potwierdzając najgorsze obawy Fräulein Claude, że wraz z pojawieniem się Roksany jej istnienie stało się nagle zbędne. Czara goryczy przepełniła się, kiedy Zohrab odnalazł rodzinę Roksany i wszystkich zaprosił na wesele.

Przybyli tłumnie jak chmara szarańczy spadająca na pszeniczne pole, tylko jeszcze bardziej niszczycielscy - dwadzieścioro siedmioro Żydów z getta śmierdzących naftaliną i kardamonem, wychudzonych, w połatanych ubraniach, z dziećmi czepiającymi się ich jak rozbitkowie tratwy. Fräulein Claude nie musiała nawet z nimi rozmawiać - z góry wiedziała, że najchętniej zobaczyłaby ich wszystkich, z dziećmi włącznie, martwych i pogrzebanych we wspólnej mogile za murami getta. Wtedy miałaby pewność, że ich nogi więcej nie przekroczą jej progu.

Żona Masztiego ujęła ją za rękę i doprowadziła do okna, skąd mogła się przyglądać dziwacznej procesji. Przybyło pięciu mężczyzn, dziesięć kobiet i dwanaścioro dzieci. Mężczyźni w garniturach od handlarza starzyzną, które nosili jak ciężkie brzemię - za długie rękawy, spodnie marszczące się wokół kostek, koszule zapięte po samą szyję, lecz bez krawatów. Na twarzach dwu- lub trzydniowy zarost, żółte zęby, wargi pociemniałe od tytoniu. Kobiety co do jednej wyglądały tak, jak gdyby ukrywały jakieś ciężkie zbrodnie. Wyszuszone, zwiędłe i z wyjątkiem Tala'at, nie umalowane.

Tala'at włożyła suknię wyciętą tak głęboko, że widać jej było sutki. Na głowie miała okropny zielono-różowy kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony zmiętymi papierowymi kwiatami, w którym wyglądała jak paryska dziwka na ostatniej przechadzce. Obok stała Księżycowa Miriam z miną grabarza przybyłego po ciało, a ich matka - zwana "Urodziwą" - na twarzy miała wyryty wstyd, którego nawet czador nie zdołał ukryć.

Pozostawiwszy Fräulein Claude przy oknie, żona Masztiego pobiegła się schować w swoim pokoju przed fatalną obecnością Żydów. Reszta służby, wezwana przez Timura, ustawiła się w rzędzie na schodach przed wejściem, aby powitać gości.

Goście zbliżyli się z wahaniem. Po dłuższej chwili na czoło czeredy wysforował się Rahman. Najwyraźniej czując się gorszym nawet od służby, uściśnął dłoń Masztiemu i ogrodnikom, po czym głęboko uklonił się pokojówkom.

Timur i Zohrab witali ich w drzwiach. Otumanieni krewni, skuleni, jakby dźwigali młyńskie kamienie, zdawali się nie rozumieć, dlaczego ich tu ściągnięto. Dziwnym i niewyjaśnionym zrzędzeniem losu Roksana miała wyjść za Zohraba i zamieszkać w tym domu. To chyba jakaś pomyłka.



Jedynie Miriam udało się zachować przynajmniej pozór równowagi. Podejrzliwie przyjrzała się Zohrabowi i jego ojcu jak ktoś, kto bada wrak rozbitego okrętu, szukając w nim dowodów błędu sternika. Potem weszła do środka.

- Gdzie Roksana? - spytała.

Nieśmiało uśmiechnięta Roksana wyszła ze swojego pokoju ubrana w nową suknię, którą kupił jej Zohrab. Wszyscy wlepili w nią wzrok. Nawet dzieci, za małe, by cokolwiek pojąć, wydawały się świadome, że dzieją się tu rzeczy ważne i brzemiennie w skutki.

Miriam podeszła bliżej i objęła siostrę. Szusza poszła w jej ślady, za nią Rochelle i Zuzanna. Tala'at tkwiła w miejscu niczym kołek. Rahman bez przerwy nerwowo zacierał rękę jak ktoś, kto spóźnił się ze spłatą długu. Zwracał się do Roksany "*chanum*", czyli "wielmożna pani", jakby jej bliskie zamażpójście już podniosło ją do rangi znacznie przewyższającej ojca.

Effat prowadziła gości na pokoje. Miriam, zamiast być wdzięczną losowi, naburmuszyła się podejrzliwie, najwyraźniej wietrząc jakiś podstęp.

- W tym domu są duchy - szepnęła do Pana Karola.

Na górze w sypialni Fräulein Claude zdjęła nocną koszulę i zażądała, by przygotowano jej kąpiel. Wciąż miała gorączkę i czuła się słaba, ale nie była aż tak chora, by nie znieść zabiegów fryzjera i szwaczki. Skoro nie mogła zapobiec weselu, najwyższy czas ocknąć się z odrętwienia i pokazać tym barbarzyńcom, że wciąż jest panią we własnym domu.

\*

W wieczór wesela niebo było kobaltowo niebieskie. Księżyc - tak wielki, jakby po raz pierwszy wzniósł się nad ziemią - przesycił mrok miękkim, fosforyzującym blaskiem. Wzdłuż wszystkich większych ulic Teheranu płonęły pochodnie - od północnych granic miasta aż na południe, do bram żydowskiej dzielnicy i jeszcze dalej, na pustynię, skąd zwabieni światłami ludzie ciągnęli do stolicy. W dzielnicy willowej i wokół głównego bazaru paradowali nocni strażnicy w nowych mundurach, wołając: "W cieniu Jego Wysokości nic wam nie grozi!" i zerkając na zegarki otrzymane w prezencie od Timura i Fräulein Claude.

Na alei Wiary stał rząd lokajów w białych liberjach, którzy kłaniali się gościom nadjeżdżającym w otwartych powozach i lśniących automobilach. W bramie posiadłości kobiety w białych sukniach, o twarzach osłoniętych welonami, trzymały w rękach zdobione zieloną i turkusową emalią wazy, w których płonęły rozżarzone węgle. Gdy samochody przejeżdżały przez bramę, kobiety sypały na węgle ziarna dzikiej ruty i nagaśniały ku gościom gęsty biały dym - symbol czystości i dobrego losu.

W ogrodowych alejkach wisiały papierowe lampiony. Dwieście oświetlonych drzew

jarzyło się jak płomieniste widma. Na wszystkich rabatach, wokół każdej sadzawki ogrodnicy dosadzili tego dnia nowe kwiaty, by aromat pachnących jaśminów i biel kwitnących kamelii na zawsze splotły się we wspomnieniach mieszkańców Teheranu z imieniem Roksany Anielicy i legendą o tym, jak stała się ona najszcześniejszą kobietą w Iranie.

Drogę od bramy wyłożono białą satyną. Ustawieni wzdłuż ścieżki muzycy grali Mozarta. Dziewczęta o twarzach jakby żywcem wyjętych ze starych perskich miniatur prowadziły przybyłych do ogrodu. Ich krokom towarzyszył brzęk złotych monet, przywieszonych u kostek nóg. Brzęk ten wtapiał się miękko w przyciszone szepty i pełne oszołomienia śmiechy tysiąca gości stojących na głównym tarasie.

Zohrab ubrany w beżowy frak wyglądał w każdym calu jak księżę, którym byłby, gdyby Kadzarowie utrzymali się na tronie. Fräulein Claude wystąpiła w złotej taftowej sukni naszywanej drobnymi, iskrzącymi się żółto kryształami górskimi. Na głowie miała diadem z bladożółtych brylantów zakupionych w Indiach i oprawionych w Paryżu. Jakub, odziany w nowy czarny garnitur z kamizelką i dewizką, został tego wieczoru przeniesiony z alkowy na fotel w salonie. Bez przerwy wołał służbę i ciągnął gości za poły marynarek, dopominając się swojej fajki.

Morad Żywe Srebro zostawił żonę i dzieci w domu, mógł więc uwodzić każdą bogatą kobietę w zasięgu ręki. Nawet Effat włożyła długą jedwabną suknię i wplotła we włosy pączki białych różyczek. Krążyła wśród gości przedstawiając się jako "bliska krewna pana młodego", piła martini ze starszymi panami i oganiała się od żony Masztiego, która rzucała jej groźne spojrzenia.

- Jeśli prześpisz się z Engliszem, sama staniesz się jedną z nich! Tfu! Diabelskie nasienie! - splunęła, udając się na spoczynek.

- Mam nadzieję - odparła beztrąsko Effat. - Anglicy są lepsi od nas, inaczej Bóg nie uczyniłby ich Anglikami.

O dziesiątej skrzypce zamilkły. Chór złożony z dwudziestu czterech kastratów odśpiewał tradycyjną perską pieśń weselną. Później z mroku wyłonił się mały chłopczyk, stanął przed domem, wyjął z kieszeni flet i zaczął grać łagodną, rzewną melodię. Każda jej nuta zawisała w powietrzu, budząc uśpione pragnienia w sercach gości. Grając, z takim natężeniem wpatrywał się w narożne okno na drugim piętrze, że spojrzenia zebranych podążyły w ślad za jego wzrokiem. Nagle w oknie zabłysło silne białe światło. Pełzło powoli wzdłuż jednej ściany, potem drugiej, oświetlając kolejno każdy pokój, potem spłynęło piętro niżej, wciąż przybierając na sile, a kiedy dotarło do drzwi wejściowych, cały dom jaśniał niczym złocisty galeon żeglujący w ciemności. Wtedy na progu ukazała się Roksana.

Zdawała się lśnić własnym światłem. Jej skóra jaśniała nawet w białych koronkach utkanych przez włoskie zakonnice; welon z jedwabnej gazy okrywał jej głowę i suknię. Kroczyła ścieżką wysypaną białymi różami - lekka jak babie lato i tak piękna z młodzieńczym uśmiechem na twarzy, że każdy, kto widział ją w tej chwili, gotów był przysiąc, że dotknęła ją ręka Boga.

Zohrab Grzesznik skłonił się przed swą oblubienicą. Jego żółte prążkowane, tygrysie oczy całowały Roksanę za każdym razem, kiedy na nią spoglądał.

Usiedli obok pod oplecioną kameliami chupą z białej gazy, otoczoną mnóstwem świec, by wysłuchać rabina, który ogłosił ich mężem i żoną. Później Timur wręczył Roksanie prezent ślubny - naszyjnik z ciemnoniebieskich szafirów, który własnoręcznie zapiął jej na szyi. Podziękowała szeptem, podnosząc na niego wzrok, lecz nawet wtedy na nią nie spojrzał.

Przyglądali się jej za to wszyscy pozostali. Patrząc tego wieczoru na siostrę, Księżycowa Miriam raz na zawsze uwierzyła w nieuchronność Przeznaczenia. Tala'at Zdrajczyni popłakała się ze złości. Łzy ciekły jej po umalowanych mięsistych policzkach i zbierały się w słoną kałużkę w zagłębieniu między piersiami, które tak chętnie i bezwstydnie odsłaniała, ilekroć nadarzyła się okazja. Przez cały dzień Tala'at była posepna jak chmura gradowa, poszturchiwała dzieci i nękała męża szyderczymi docinkami, ale kiedy ujrzała naszyjnik Roksany, westchnęła z zawiścią i rozszlochała się tak głośno, że jej brat, Babram, musiał ją wyprowadzić, chcąc ocalić resztki honoru rodziny. W wynikłej szamotaninie Tala'at złamała obcas i przez resztę nocy była uziemiona za stołem w otoczeniu krewnych, których odtąd znienawidziła do reszty. Czyniła heroiczne wysiłki, by tłumić swe uczucia, lecz mimo to ponownie zalala się łzami między zupą a cytrynowym sorbetem.

Kilka godzin później weszło słońce i światła domu przy alei Wiary zblakły. Ostatni wyczerpani, otepiali goście rozjechali się do domów, służący zamknęli drzwi i okiennice. Rahman Władca ujął rękę córki i włożył ją w dłoń Timura.

- Moja córka jest twoją niewolnicą - wypowiedział uświęconą formułę. - Traktuj ją łaskawie.

Czując, że gorączka jej wraca, Fräulein Claude uciekła do łóżka z garścią pastylek nasennych, dzbankiem schłodzonego soku z ogórków i nadzieją, że kiedy się obudzi, wszystko to okaże się tylko złym snem. Tala'at pokuśtykała na złamanym obcasie za mężem, na którego nie mogła już patrzeć bez wstrętu. Miriam przysięgła sobie, że się wzbogaci i już nigdy nie będzie musiała zazdrościć żadnej innej kobiecie. A Rochelle postanowiła przyjąć oświadczyzny swojego jedyne go konkurenta - niskiego człowieka o wyłupiastych oczach i głowie w kształcie melona, który oglądał się za każdą mijaną babą.

Sypialnię nowożeńców rozjaśniało blade światło brzasku. Zohrab przyglądał się Roksanie siedzącej przy toalecie.

- Skąd ty się wzięłaś? - spytał.

Roksana nie odpowiedziała. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wciąż słyszała muzykę skrzypiec, widziała samą siebie krążącą pośród tłumu. Czuła dłonie, które przez całą noc wyciągały się do niej, dotykały jej twarzy, pleców, ramion - dłonie gości weselnych, którzy chcieli otrzeć się o jej szczęście.

Określiła się trzykrotnie przed lustrem, za każdym obrotem wypowiadając modlitwę:

- Daj mi, Boże, jasne dni... niegasnącą młodość... i córkę o złotych oczach, której przeznaczeniem będzie szczęście.

\*

Muzyka nie milkła przez wiele lat. Kameralne przyjęcia i wielkie bale, wycieczki nad Morze Kaspijskie, zakupy, wizyty u krawcowej...

Fryzjer przychodził do domu. Moczył jej włosy w lodowatym piwie i kręcił w drobne loczki okalające twarz, dzięki czemu wyglądała jeszcze młodziej. Kosmetyczki gotowały brązowy cukier z sokiem cytrynowym (na wolnym ogniu, dziesięć godzin bez przerwy), powstałą złocistą mazią smarowały jej ręce i nogi i owijały paskami lnianego płótna. Gdy smar stężał, odrywały go wraz z tkaniną, usuwając włosy z ciała, które było teraz gładkie jak u dziecka. Maniurzystki moczyły jej palce w wodzie z mydłem i malowały paznokcie bursztynowym lakierem. Effat dzieliła się z nią swoim bogatym doświadczeniem, żeby wiedziała, co robić z Zohrabem w łóżku. Zohrab zaś świata poza żoną nie widział i całymi dniami wodził za nią rozkochanym wzrokiem. Nawet Fräulein Claude złagodniała, starając się pogodzić z jej obecnością - w przeciwnym razie rodzina, którą tak pieczołowicie stworzyła, przestałaby istnieć.

Timur obserwował Roksanę z oddali.

Wtedy jeszcze jej nie przerażał - dopiero później uwięził ją oczyma i zdała sobie sprawę, że już jej nie uwolni, bo gdyby to zrobił, musiałby pożegnać się z nadzieją. Na początku jego ukradkowe spojrzenia były pobłażliwe, zgoła ojcowskie. Malowało się w nich zrozumienie, milcząca solidarność z Roksaną i wspólnie strzeżony sekret. Czasem sama obecność Timura wyciskała jej łzy z oczu. W nocy budziła się z uczuciem, że Timur stoi nad nią i przygląda się jej we śnie. Nieraz zatrzymywała się wpół kroku czując, że gdzieś daleko wypowiedział jej imię.

Dwa miesiące po swym ożenku Amin wrócił z podróży poślubnej uboższy o sto

tysięcy dolarów i żonę. Kiedy zwiedzili już całą Europę, Mercedes zapragnęła jechać do Ameryki. Kupiła rezydencję w dzielnicy gwiazd w Los Angeles i oznajmiła, że nie wróci już do Iranu. Jak stwierdziła, jest za młoda, żeby spędzić resztę życia z Aminem; za piękna, by marnować się jako żona i matka. Chciała zostać gwiazdą, jak te kobiety wylegujące się wokół basenu w hotelu Ambassador, które tleniły włosy i nosiły ciemne okulary, popołudnia spędzały z kochankami w łóżku i upijały się do snu.

Zrozpaczony i upokorzony Amin starał się zachować twarz zaprzeczając, jakoby żona go opuściła. Mówił przyjaciołom, że została w Ameryce czasowo, a pałacyk przy Bulwarze Zachodzącego Słońca służy jako letni dom, w którym będzie ją odwiedzał. Na dowód tego często latał do Los Angeles, gdzie fotografował się w białych ubraniach i kolorowych koszulach obejmując Mercedes na tle błękitnej tafli basenu. Próbował nakłonić ją do powrotu obsypując klejnotami i powstrzymać od przyprawiania mu rogów dając jej więcej pieniędzy, niż mógłby jej dać inny mężczyzna. Mercedes nigdy nie wróciła do Iranu - nawet po śmierci Amina, który zmarł w 1966 roku na skutek pęknięcia wrzodu żołądka - choć Roksana prosiła ją w liście, by przyjechała położyć choć jeden kwiatek na grobie Aleksandry.

"Po co kwiaty?" - odpisała Mercedes. - "Jedyne, co mogę zrobić, to żyć uczciwie."

Roksana zakreśliła czerwonym atramentem wydrukowany na kopercie adres zwrotny i schowała jej list w szkatułce, w której trzymała swoją ślubną obrączkę i prezenty od Zohraba.

\*

W 1966 roku przyszło na świat dziecko Roksany – córka o żółtych oczach, której dała na imię Lili; ta, która miała naprawić smutną przeszłość i zmienić koleje Losu. Zohrab chciał mieć więcej dzieci, ale to było pierwsze i ostatnie.

Podobnie jak Roksana chowałam się sama. Jak jej, tak i mnie nienawidziła rodzona babka. Fräulein Claude widziała we mnie ostateczny i niezbity dowód, że Zohrab zmarnował sobie życie.

Kiedy się urodziłam, Timur Heretyk przyszedł do szpitala i przemówił do Roksany po raz pierwszy od wielu lat. - Jest podobna do ciebie - rzekł i usta zadrżały mu z żalu.

Miriam przyszła w odwiedziny z własną córką, roczną dziewczynką o czerwonych jak rubiny wargach i czarnych oczkach, która wybuchała kaskadami radosnego śmiechu za każdym razem, gdy ktoś zyczliwie na nią spojrzał.

Rochelle przyszła z mężem, niskim mężczyzną, który wciąż oglądał się za innymi kobietami. Siedział w sali szpitalnej paląc fajkę i zapraszał Zohraba na partyjkę tryktraka.

Szusza i Rahman odczekali do zmroku, nie chcąc się natknąć na Zohraba i jego

krewnych. Uśmiechali się przepaszająco. Wręczyli Roksanie talerz domowej chałwy, która miała wzmocnić młodą matkę po porodzie.

Tala'at Zdrajczyni przysłała liścik, że nie przyjdzie, bo sama urodziła już troje dzieci, a Rokšana nigdy jej nie odwiedziła.

Jednakże największy wpływ moje narodziny wywarły na Życie Effat. Nie przyszła do szpitala pierwszego dnia, bo Fräulein Claude zleciła jej zbyt wiele zbędnych prac i Effat nie miała czasu ułożyć sobie włosów. Drugi dzień spędziła robiąc ondulację i szukając w sklepach dostatecznie szykownej sukni. I co z tego, że jest tylko służącą? - powiedziała żonie Masztiego. Nie ma zamiaru wyglądać gorzej od tych wszystkich matek, rozpartych na szpitalnych łózkach jak królowe Indii i udających, że dokonały czegoś nadzwyczajnego, gdy w istocie poszły tylko za głosem natury. Na trzeci dzień wybrała się do szpitala i po drodze napotkała mężczyzn swoich marzeń.

Był to - dosłownie - Englisz.

Przyjechał do Teheranu jako konsultant przy budowie zapory. Zaczepił Effat na ulicy pytając, jak dojść do bulwaru Królowej Elżbiety.

- Tak, wasza ekscelencjo - wydukała Effat. Te trzy słowa stanowiły cały zasób znanej jej angielszczyzny. Nauczył ich ją przed laty kochanek, amerykański żołnierz, którego bawiło, że odpowiadała mu w ten sposób na każdą propozycję kolejnego stosunku. Ów nieszkodliwy żart okazał się brzemienny w skutki. Effat uśmiechnęła się kusząco do Anglika.

- Czy mówi pani po angielsku? - spytał.

- Tak, wasza ekscelencjo.

- Czy może pani wskazać mi drogę do ambasady angielskiej?

- Tak, wasza ekscelencjo.

Widziała, że Englisz zaczyna się niecierpliwić. Kiedy Rokšana podstępnie uwiodła jej Zohraba, Effat przysięgła sobie, że już nigdy nie zmarnuje szansy przyszłego szczęścia. Przejęła więc inicjatywę i złapała cudzoziemca pod ramię. Myślał, że zaprowadzi go do ambasady. Tymczasem Effat zatrzymała taksówkę i zawiozła go do Nowego Miasta, gdzie jej siostra prowadziła burdel dla angielskich i amerykańskich żołnierzy. Wzięła pokój i tam pokazała mu nagie piersi. Bładolicy wyspiarz o zębach jak królik wykręcał się i usiłował protestować. Wkrótce jednak uległ.

Po pierwszym numerku Anglik starał się nawiązać uprzejmą rozmowę na dowód, że nie jest barbarzyńcą, ale Effat na migi mu wytłumaczyła, że nie o rozmowę tu idzie. Następne cztery dni spędzili więc w łóżku, na przemian kochając się, jedząc kebab, pijąc arak i paląc opium. Zanim Effat przypomniała sobie o Roksanie i zamierzonej wizycie w szpitalu, matka

wraz z niemowlęciem była już z powrotem w domu. Effat zabrała więc Anglika na spotkanie z Timurem w jego biurze.

- Niech mnie Bóg pokarze - jęknęła. - Muszę pana prosić o tę jedną przysługę, choćbym miała paść trupem. Powiedziałam temu człowiekowi, że jest pan moim ojcem. Naturalnie z innej matki, bo wiem, że Fräulein nigdy w życiu nie zgodziłaby się grać tej komedii. To znaczy, mam nadzieję, że to właśnie mu powiedziałam. Tłumaczyła jedna dziwka z lokalu mojej siostry. Podobno zna angielski.

Timur zaśmiał się dobrodusznie. Ośmielona Effat ciągnęła błagalnie:

- Chciałabym, żeby pan to potwierdził, bo widzi pan, to Englisch, a żaden Englisch nie zechce sypiać ze zwykłą służącą, jeśli będzie miał jakikolwiek wybór.

Bała się, że Timur wpadnie w szał. Tymczasem odparł, że chętnie powie Anglikowi wszystko, co trzeba. Effat poczuła tak wielką ulgę, że złapała Timura za rękę i ją ucałowała. - Pańska żona nie zasługuje na pana - stwierdziła nostalgicznie i dodała ze śmiertelną powagą: - Pan powinien mieć taką kobietę jak ja.

Przez następne kilka miesięcy Effat spotykała się z Anglikiem mimo napomnień żony Masztiego, że parzy się z Szatanem. Kiedy Fräulein Claude nie było, zapraszała go na aleję Wiary i udawała panią domu. Pożyczała od Roksany najlepsze sukienki i nosiła je tak nonszalancko, jak gdyby w jej żyłach płynęła książęca krew. Zapisała się na kurs angielskiego i kurs pisania na maszynie, a ponadto szlifowała swą niedoskonałą umiejętność czytania i pisania po persku. Pewnego dnia niespodziewanie oznajmiła, że wyjeżdża do hrabstwa Kent w Anglii, gdzie poślubi Englisha i urodzi mu wielu synów.

Żona Masztiego splunęła jej pod nogi.

- Będziesz się smażyć w piekle tak długo, że nie zostanie z ciebie prochu ni popiołu! Twoi synowie zamiast ptaszków będą mieli rogi, a córkom będzie brakować dziury w zadku i prędzej pękną, niż wypróżnią się z Englishowego gówna!

Effat jednak wyjechała i rzeczywiście wyszła za Anglika. Wiele lat później Timur dostał od niej list, napisany po persku, lecz łacińskim alfabetem. Pisała, że jest szczęśliwa, ma dwóch synów i córkę, i choć dokładnie obejrzała swoje dzieci, nie znalazła ani ogonów, ani rogów.

Jej wyjazd okazał się pierwszym z wielu.

\*

Dziesięć lat po ślubie Księżycowa Miriam nadal mieszkała w żydowskiej dzielnicy, jej teściowa bowiem za nic w świecie nie opuściłaby domu, w którym urodziła swojego księcia,

a z kolei Pan Karol nigdy w życiu nie zgodziłby się zostawić matki. Toteż Miriam musiała wykorzystać swe zdolności i energię, by w tej patowej sytuacji choć trochę poprawić swój byt. Udało jej się to o tyle, że nareszcie znalazła mężowi zajęcie, które przynosiło zysk. Kupowała hurtem tanie srebrne błyskotki u męża Tala'at, zakopywała je na jakiś czas w ziemi, a potem odkopywała i objiała młotkiem, żeby wyglądały jak stare. Następnie dawała te "antyki" Karolowi, który sprzedawał je na ulicy bogatym mieszczkom, a przede wszystkim zagranicznym turystom, przysięgając, że zostały niedawno odkryte w starożytnym mieście Hamadan.

Miriam, autorka tego błyskotliwego pomysłu, stanowczo jednak odmówiła zajęcia się sprzedażą.

- Nie umiem kłamać - broniła się, ilekroć małżonek usiłował zaprząć ją do pomocy. - Kiedy widzę, że ludzie trwonią pieniądze, zawsze ich napominam; to silniejsze ode mnie.

Dyrygując Karolem zarobiła dość, by na początku lat sześćdziesiątych wykupiła udział w sklepie Rabiba. Następnie przekonała Rabiba i Karola, żeby przenieśli firmę z bazaru do centrum, na aleję Firdausiego, gdzie mieściły się modne sklepy z antykami. To mądre i dobrze obliczone czasie pociągnięcie powinno było przynieść wszystkim zainteresowanym szczęście i dostatek, lecz jak się okazało, stało się zaczynem prawdziwych kłopotów. W ferworze przeprowadzki i rozbudowy firmy mąż Tala'at stracił kontrolę nad tym, co dzieje się w jego własnym domu. Pewnego dnia stwierdził ze zdumieniem, że dzieci chodzą głodne i zaniedbane, a żona sypia z jego bratankiem.

W roku 1969 Tala'at miała trzydzieści sześć lat i była matką trojga dzieci. Współżyła z mężem dwa razy w tygodniu, a już na pewno w każdy piątek (nakarmiwszy go uprzednio pulpetami z mielonym pieprzem i kardamonem, które miały wzmacniać męskość). Ich stosunki były jednak odarte z namiętności i kończyły się zbyt szybko. Rozczarowana Tala'at była coraz bardziej wściekła. Czuła się oszukana. Może dlatego wzięła sobie Bratanka. Skądinąd zawsze była napalona jak suka w rui.

Bratanek zaś zawsze był w pobliżu. Pilnował dzieci Tala'at, kiedy zajmowała się gospodarstwem, spieszył z pomocą nawet wtedy, gdy powinien być w pracy. Tala'at oczywiście nie była tak zadufana i krótkowzroczna, jak niektórzy sądzili, ale nawet ona nie zdołała przewidzieć raptownej przemiany Bratanka z zauroczonego chłopca w targanego żądzami mężczyznę. Rankiem w dniu swoich dwudziestych pierwszych urodzin Bratanek włożył bez pozwolenia jedyne porządne ubranie ojca, po czym ukradł matce pieniądze przeznaczone na łaźnię i kupił za nie pudełko karmelków (tak starych, że cukier



skryształizował się na pokrywce). Następnie wyrwał garść pelargonii zasadzonych niedawno przy alei Pahlawiego (szach czynił wysiłki, by upiększyć miasto), zawinął je razem z korzeniami w gazetę i o jedenastej zapukał do drzwi Tala'at, gotów oddać jej życie.

Tala'at siedziała właśnie w sypialni, pocąc się w upale i dumając, jak by tu skłonić męża, żeby bardziej udzielał się w łóżku. Posłyszała pukanie, domyśliła się, że to Bratanek, i zrobiło jej się tak gorąco, że omal nie doznała orgazmu.

Gdy otworzyła, Bratanek wydał desperacki okrzyk, w którym brzmiał zarazem ból i radość, i padł twarzą na biust Tala'at, by nasycić głód dręczący go od trzynastu lat. Pelargonie wypadły mu z ręki, karmelki wysypały się Tala'at na nogi, klejąc się do jej bosych stóp i skórzanych butów ojca Bratanka. Ten, ślepy na wszystko, lkał całując jej piersi, gotów posiąść ją na podwórku w obecności jej trzech małoletnich synków. W końcu Tala'at wciągnęła go do sypialni, zamknęła drzwi na klucz i zębami zdarła mu marynarkę z grzbietu.

Minęło południe. Dzieci, przerażone oglądając scenę i dziwnymi dźwiękami dochodzącymi z sypialni, dobijały się do drzwi wołając, by je wpuścić. Nikt im nie odpowiedział. Potem krzyczały, że są głodne, ale Tala'at nie słyszała. Kiedy zrobiło się ciemno, poszły do sąsiadów i zostały tam do czasu, gdy Habib wrócił o dziewiątej z pracy.

- Mama chyba umarła - powiedział mu najstarszy syn.

Znaleźli Tala'at w łóżku, samą i dziwnie zaspokojoną.

Przez trzy miesiące tego lata Tala'at Zdrajczynie spotykała się z Bratankiem w domu swego męża i kochała się z nim aż do całkowitego wyczerpania. Bratanek udawał, że ma w Teheranie posadę, która zajmuje mu bardzo dużo czasu, ale kto wie, jeśli się przyłoży, może zająć wysoko. Codziennie wkładał ojcowski garnitur, coraz bardziej wymięty, przesiąknięty potem i stopniowo tracący fason w gorących uściskach Tala'at. Spryskiwał się wodą kolońską, którą kupił u Niebieskookiego Loftiego za pieniądze Tala'at. Pachnie jak świeża lawenda, mówiła, obwąchując każdy zakątek jego ciała. Ten zapach wzmagił jej apetyt. Miała ochotę rzucić się w ogień albo wybiec nago na plac przed synagogą.

Aromat lawendy ciągnął się za Bratankiem, znacząc jego trasę z mieszkania rodziców na drugi koniec getta, do domu stryja Habiba. Tam czekał z rękami w kieszeniach i sercem w gardle, aż biedak wyjdzie z domu. Wtedy pędził, walił w drzwi, jakby wybuchła wojna, i nikał wraz z Tala'at w sypialni. Wyłaniali się z niej dopiero późnym wieczorem.

Tydzień po tygodniu dzieci Tala'at włóczyły się bez dozoru po ulicach, mówiąc każdemu, kto je zagadnął, że "mama śpi w łóżku z kuzynem Salomonem". Cóż, nawet najbardziej podejrzliwym sąsiadom przez myśl nie przeszło, by taki skandal naprawdę mógł się zdarzyć, toteż romans Tala'at trwał bezkarnie.

Nim skończył się lipiec, matka Bratanka miała już serdecznie dosyć zapachu lawendy, który unosił się w całym domu i przyprawiał ją o ból głowy. Skarżyła się przyjaciółkom, że syn za ciężko pracuje. Schudł, zrobił się roztargniony i drażliwy, „jak ci chłopcy - mówiła (nie zdając sobie sprawy, jak bliska jest prawdy) - którzy wpadną w moc czarownic albo dziwek”. W pewien szabatowy wieczór na początku sierpnia wpadła do domu szwagra tuż po wyjściu Bratanka. Na podwórku czuć było lawendę. Pachniała nią również Tala'at. Nazajutrz poszła za synem aż do domu Habiba. Gdy ujrzała, że Tala'at prowadzi młodzieńca do sypialni, nie mogła uwierzyć własnym oczom. Śledziła go codziennie przez cały tydzień, lecz nie odważyła się zagadnąć wprost. Bała się, że mógłby potwierdzić jej podejrzenia. W końcu z płaczem poszła do nowego sklepu i zaciągnęła Habiba wraz z Karolem do domu, by pokazać im to, czego nie była w stanie wyrazić słowami.

Tala'at siedziała nago na podłodze i palcami wkładała Bratankowi do ust kawałki chałwy. Kiedy spostrzegła, że ją nakryto, wstała, owinęła się prześcieradłem i kazała Bratankowi się ubrać. Nad podziw spokojnie - wręcz nonszalancko - oznajmiła, że woli smażyć się w piekle z Bratankiem, niż przeżyć jeszcze jeden dzień z Habibem. Chętnie odejdzie, choćby i w tej chwili, zniknie im z oczu i nigdy już nie wróci . - byle tylko nie kazał jej ukamienować.

Habib trząsł się w furii i nie mógł wykrztusić ani słowa. Dzieci płakały, czepiając się nóg Tala'at. Odsunęła je i wyszła z domu nie oglądając się za siebie.

Rabin ogłosił dzień żałoby w całej żydowskiej dzielnicy. Habib zamknął synów w domu, pomalował drzwi i okna na czarno i odprawiał sziwę przez okrągły rok. Gdy po roku wreszcie wychynął na świat, zmienił nazwisko i wyjechał z dziećmi do Palestyny, mając nadzieję, że tam nikt nie będzie znał ich historii.

Księżycowa Miriam odnalazła Tala'at z Bratankiem w odległej dzielnicy Teheranu. Na próżno starała się przemówić im do rozumu. Tydzień później wyjechali do Szirazu, gdzie ponoć tolerowano zepsucie moralne.

Szusza Urodiwa, która bardziej niż czegokolwiek na świecie obawiała się hańby, ugotowała ogony trzech skorpionów w ziołowej herbacie i wypła truciznę jednym haustem. Serce przestało bić, nim odjęła szklanekę od ust.

\*

W noc poprzedzającą samobójstwo Szuszy Roksanie wyśnił się jej pogrzeb.

Szli w długiej procesji - Roksana z Zohrabem, Miriam, Rochelle i cała reszta rodziny,

wszyscy odziani na czarno. Mężczyźni nieśli ciało owinięte w całun. Złożyli je w otwartym grobie na żydowskim cmentarzu. Ktoś odśpiewał kadisz, a potem mężczyźni - tylko mężczyźni, kobiety bowiem nie są godne grzebać swoich zmarłych - zaczęli rzucać ziemię na ciało. Po chwili Roksana podeszła do grobu i zajrzała do środka. Na zwłokach kłębił się rój czarnych skorpionów.

Poderwała się z jękiem, otwierając oczy. Była zdrtwiała z przerażenia, kończyny miała lodowate i mokre od potu. Zapaliła światło i zobaczyła, że Zohrab leży obok. Przeszła korytarzem do swojego pokoju i przez chwilę przyglądała się, jak śpi. Chciało jej się pić; skorpiony ze snu zatrwały gardło Roksany jadem. Zeszła do kuchni po wodę.

Jakub Galareta siedział nieruchomo na stołku w alkowie, w tym samym co zawsze brązowym ubraniu i kapeluszu. Oczy miał otwarte, lecz trudno było orzec, czy śpi czy też czuwa. Roksana wyjęła z lodówki szklankę wody i usiadła przy stole w jadalni dla służby. Przetarła oczy, mając nadzieję odegnąć z nich koszmarny sen. Kiedy podniosła wzrok, ujrzała Timura.

Zerwała się wystraszona, przewracając krzesło.

- Słyszałem kroki - wyjaśnił.

Ogarnęło ją owo przerażające uniesienie - ten słodki, mdlący ból, który zawsze odczuwała w jego obecności. Przez jedną krótką chwilę chciała uciec. A potem już było za późno: spojrzenie Timura uwięziło ją i znów miała osiemnaście lat, stała boso przed drzwiami jego sypialni, odziana tylko w pożądanie.

Stali bez ruchu w ciemności wypełnionej białym opiumowym dymem, odbijając się w niewidzących oczach Jakuba Galarety. Oboje wiedzieli, że zaszli za daleko, by móc się cofnąć.

Roksana pojęła, że za chwilę, upomniawszy się o to, czego naprawdę pragnie, zaprzepaści wszystko, o czym kiedyś marzyła i co znalazła w domu przy alei Wiary. Za chwilę przekroczy próg. Nie, nie tak: przekroczyła go wiele lat wcześniej, gdy pierwszy raz ujrzała Timura i zapragnęła go - a może wtedy, kiedy poślubiła Zohraba wiedząc, że naprawdę kocha jego ojca.

Za chwilę całym ciałem przywrze do Timura, a potem odchyli się w tył, by jego dłonie mogły przemknąć po jej piersiach; zamknie oczy i pozwoli mu na siebie patrzeć. Nareszcie poczuje na sobie jego wzrok.

Podeszła do niego.

Położyła mu palec na ustach i rozchyliła wargi. Potem ujęła dłoń Timura i przyłożyła do swojego policzka - jakby czując, że zawsze o tym marzył -po to, by sprawdzić, czy to sen

czy jawa; czy nie rozpadnie się w proch pod jego dotknięciem. Chłodny płynny dreszcz jak strużka wina wsączył się z dłoni Timura w jej ciało. Oparła się o ścianę.

\*

Nazajutrz rano Jakub Galareta widząc w drzwiach kuchni Fräulein Claude zamachał do niej trzęsącą się ręką.

- Chodź no tu - wychrypiał. Gdy podeszła bliżej, rzekł ni stąd, ni zowąd: - Wczoraj w nocy twój mąż pieprzył tę dziewczynę z getta.

I to był koniec.

Jakub wypuścił kłęb słodkiego piżmowego dymu i jednym zdaniem zburzył gmach szczęścia pieczołowicie wzniesiony przez jego siostrę. To było tak, jakby lekki wietrzyk spustoszył ziemię, obudziwszy demony, które zamieszkują noc.

Fräulein Claude uderzyła go w twarz tak mocno, że spadł ze stołka tłukąc nargile na tysiąc kawałków. Wrzasnęła:

- Ty stary narkomanie, już dawno powinienes zdechnąć!

Żona Masztiego zajrzała do alkowy, zwabiona hałasem.

+ Co się stało? - spytała. - Co on takiego zrobił?

Fräulein Claude nie odpowiedziała. Zostawiła Jakuba na podłodze i drżąc na całym ciele pobiegła do sypialni. Wróciła niemal natychmiast, żeby spytać, czy jest tego pewny.

Żona Masztiego tymczasem pozbierała Jakuba i poila go wodą z cukrem, żeby podnieść mu ciśnienie krwi.

- Boże, ratuj! - jęknęła. - Od rana wygaduje straszne rzeczy o panu Timurze.

Fräulein Claude wyjęła jej z rąk szklankę i usiadła naprzeciw brata. Kiedy ją rozpoznał, dodał jeszcze:

- Robili to niemal do rana. A tak sprawnie, jakby ćwiczyli przez całe życie.

Mówił prawdę. Fräulein Claude widziała tę scenę odbitą w oczach Jakuba. Chlusnęła mu wodą w twarz.

Jakub myślał, że porwała go fala przyboju, i zaczął mlócić rękami. Tonął w szarych wodach Zatoki Omańskiej, a Fräulein Claude zamiast mu pomóc, stała tylko patrząc, jak walczy o życie. Wołał do niej raz po raz, ale nawet nic drgnęła - ona, jego najlepsza przyjaciółka i troskliwa opiekunka, która powierzała mu swoje sekrety i wychowała go jak własne dziecko, nie podała mu ręki. Patrzyła nań jak na obcego człowieka, myśląc, że zdradził ją tak samo jak Timur, Zohrab i wszyscy, których kochała.

Jej gniew stęzał w nienawiść.

Poszła szukać Timura. Miała chęć go zabić własnymi rękami. Zajrzała do sypialni, do gabinetu, do bawialni na piętrze. Żona Masztego wodziła za nią podejrzliwym wzrokiem.

- Pana nie ma - rzekła w końcu niechętnie. - Powiedział, że wyjeżdża na jakiś czas. Obudził Masztego i ruszyli przed świtem.

Zobaczyła, że Fräulein Claude nie może zebrać myśli, że po raz pierwszy w całym swym długim i grzesznym życiu naprawdę nie wie, co począć.

Usłyszawszy opowieść Jakuba, żona Masztego uznała ją za wymysł, jak stada białych mongolskich koni biegające po kuchni w czasie sjeści albo nagie żony otomańskich sułtanów, które - jak przysięgał Jakub -leżały u jego stóp w czterdziestostopniowym upale i kochały się ze sobą, bo nie chciał ich tknąć.

Ale teraz, widząc zmieszanie Fräulein Claude, żona Masztego nie była już taka pewna, że historia o Timurze i Roksanie została wyszana z palca.

- Muzułmanin ze wstydu zapadłby się pod ziemię - powiedziała, krzywiąc się z niesmakiem - ale wy nie znacie Boga ani jego Proroka, więc może i tak było między pani mężem a synową. Niech ją pani sama spyta, czy to prawda.

Wzięła Fräulein Claude za łokieć i pociągnęła w stronę schodów. Na pierwszym piętrze Zohrab jeszcze spał. Roksany nie było nigdzie widać.

- Zobaczymy na górze - mruknęła żona Masztego.

Znalazły ją na drugim piętrze. Stała na tarasie sali balowej, przechylona przez balustradę, zaciskając ręce na poręczy. Kiedy usłyszała kroki, wzdrygnęła się jak obudzona z głębokiego snu. Była blada, prawie przezroczysta, niczym figurka ze szkła; tylko płynące jej z oczu łzy wydawały się żywe. Poruszyła wargami, ale z gardła nie wydobył się żaden dźwięk. Spróbowała jeszcze raz, na próżno. Wyciągnęła rękę, przyzywając teściową. Fräulein Claude nie drgnęła.

Żona Masztego podeszła bliżej, przyłożyła ucho do ust Roksany i poczerwieniała ze zgorzienia.

- Co ona mówi? - spytała Fräulein Claude, kiedy wargi Roksany przestały się poruszać.

- Żeby jej wybaczyć - powtórzyła żona Masztego.

Ale oczywiście było już za późno.

Roksana nie czekała, aż Fräulein Claude powie o wszystkim Zohrabowi. Sama go obudziła, siadła przy nim w koszuli wciąż pachnącej Timurem i wyznała, co zaszło.

To musiało się stać - mówiła. To było z góry przesądzone od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Timura, a on ją. Nie powinna była tu przychodzić; nie powinna była oddać ręki Zohrabowi, gdy pragnęła jego ojca, i nie powinna była tu pozostać wiedząc, że unieszczęśliwi wszystkich. Jej matka miała rację: ściągała na ludzi nieszczęście i hańbę.

Zohrab słuchał.

Z sypialni na dole dolatywał płacz Fräulein Claude.

W powietrzu unosił się zapach nasion dzikiej ruty, które żona Masztiego rzucała w ogień, by odpędzić złe duchy, co przyszły za Roksana na aleję Wiary.

Zohrab patrzył na żonę w bladym świetle poranka i przysłuchiwał się każdemu jej słowu.

Powiedziała mu, że odejdzie. On na pewno tego chce, a zresztą sama woli odejść. Zostawi wszystko, nawet dziecko - wie, że żadna kobieta nie ma prawa odebrać mężczyźnie jego dziecka. Chce stąd uciec, mówiła, choćby miała się wyrzec Lili, wyrzec przebaczenia.

Oblewała łzami dłonie Zohraba. Jej łzy były ciężkie jak ołów i Zohrab myślał, że zgruchoczą mu kości.

Gdy umilkła, wstał i zaczął się ubierać. Nie golił się, nie umył nawet twarzy. Świeżo odprasowany garnitur natychmiast się zmiął na Zohrabie i zanim ten dopiął pasek spodni, wyglądał, jakby spał w nim od tygodnia. Potem zamiast iść do pracy, położył się na łóżku z otwartymi oczyma i rękami splecionymi na brzuchu.

Pozostali w sypialni przez cały dzień - Roksana skulona na podłodze, oparta plecami o łóżko, Zohrab leżący na wznak w milczeniu.

Fräulein Claude czekała na Timura. Nie przyjechał ani nie zadzwonił.

Morad Żywe Srebro wpadł zobaczyć się z bratem, ale czym prędzej wyszedł, stwierdziwszy, że źle trafił.

Powoli zapadała noc. Pokojówka - ta sama, która rano mnie ubrała - dała mi kolację i przed snem zaprowadziła mnie do matki. Miałam wtedy trzy lata. Zarzuciłam ręce na szyję Roksanie i ucałowałam ją, spytałam Zohraba, czy zaniesie mnie do łóżka. Podniósł mnie i wyszedł.

Roksana patrzyła za nim. Jest taki młody, myślała. I taki smutny. I tak bardzo kocha córkę.

Kiedy wrócił, wreszcie się do niej odezwał.

- Nie możesz odejść - rzekł.

Nazajutrz rano obudził mnie trzask pękającego drewna, jęk metalu i gwoździ trących o cegłę, jakby przemocą wyciągano je ze ścian. W moim pokoju było jeszcze ciemno. Pobiełam boszo do sypialni Roksany.

- T o syn Masztiego - wyjaśniła, kładąc mnie w swoim łóżku. Jej pościel była zimna, jakby wcale w niej nie spała. - Zdejmuje drzwi w całym domu.

Leżałyśmy cicho, nasłuchując hałasów. Roksana uśmiechnęła się do mnie.

- Nie bój się - rzekła, lecz widziałam, że sama się boi. Jej strach czaił się w cieniutkich zmarszczkach wokół oczu. - To nie ma nic wspólnego z tobą. Tu chodzi o mnie.

Wstałyśmy i podeszły do szczytu schodów. Fräulein Claude już tam czekała.

- To pomysł mego syna - natarła na Roksanę bez uprzedzenia. Twarz miała kredowobiałą, oczy czerwone i spuchnięte. - Wydaje mu się, że w ten sposób zdoła cię upilnować w każdej chwili dnia i nocy.

Roksana spuściła oczy i pociągnęła mnie z powrotem do pokoju.

- Chwileczkę! - zatrzymała nas Fräulein Claude.

Przytuliłam się mocniej do matki.

- Mój mąż miał wiele kobiet, odkąd mnie poślubił - ciągnęła Fräulein Oaude. - Nie myśl, że o tym nie wiem. Ale mnie to nie martwi, wiem, że je traktuje jak dziwki, które może brać, kiedy zechce. Tak więc nie j e g o winię za to, co się stało. Winię c i e b i e . Zohrab też wie, że ty jesteś wszystkiemu winna.

Czułam przerażenie Roksany. Fräulein Claude podeszła bliżej.

- Może myślisz, że pozwolił ci tu zostać, bo wciąż cię pożąda? - syknęła. - Albo że postanowił cię zatrzymać, bo dziecko potrzebuje matki? Ja go znam i powiem ci, że jesteś tutaj, bo Zohrab pragnie zemsty. I będzie ją miał. Ja mu w tym pomogę.

Przez cały dzień siedziałyśmy z Roksaną w sypialni. Wieczorem żona Masztiego przysłała zawołać mnie na kolację. pociągnęłam Roksanę za rękę, próbując sprowadzić ją na dół, gdzie stanowiłaby bufor między mną a moją babką, ale odmówiła. Zeszłam sama. Usiadłyśmy z Fräulein Claude przy stole. Podczas posiłku nie spojrzała na mnie ani razu.

Siedziałam cichutko tak długo, jak zdołałam. Przy deserze wstałam i spytałam, czy mogę już odejść. Fräulein Claude podniosła na mnie wzrok po raz pierwszy w ciągu tego wieczora. Stałam, mała i przerażona, spętana lodowatym spojrzeniem kobiety, która zawsze mnie nienawidziła.

- Wiedz jedno - powiedziała. - Jesteś dzieckiem Roksany, nie mego syna. Pewnego dnia, i to wkrótce, twoja matka zniknie z tego domu, a wtedy ty także będziesz musiała odejść.

Wybiegłam z jadalni.

- Mamo! - wrzasnęłam, pędząc co sił na piętro. Nagle stanęłam jak wryta i obejrzałam się za siebie.

Korytarz ścielił się niczym zwój gładkiego, błyszczącego jedwabiu. Po zdjęciu drzwi pokoje łączyły się ze sobą, przestronne i wyzute z tajemnic. Mój wzrok sięgał daleko jak we śnie.

- Tutaj! - zawołała do mnie Roksana.

Siedziała wyprostowana przy swojej toaletce. Miała na sobie jasnoróżowy, nieco spłowiały szlafrok. Włosy otaczały jej twarz luźnymi puklami. Jej skóra jaśniała. Spojrzałam na nią i jak zawsze uznałam ją za doskonałość.

Otworzyła ramiona i objęła mnie jak kwiat. Pachniała deszczem.

- Teraz mogę cię widzieć nawet we śnie - szepnęła.

\*

Księżycowa Miriam przyszła do domu Timura z wieścią o śmierci Szuszy.

- Na wszelkie sposoby próbowałam się do ciebie dostać - powiedziała do Roksany, stając w progu. Przeprowadziła ze sobą córeczkę, która bawiła się w pobliżu na trawie. - Dzwoniłam i byłam tu kilka razy, ale twoja teściowa wydała służbie polecenie, żeby mnie nie wpuszczano, a ta wściekła baba, żona Masztiego, czy jak jej tam, nie posiadała się z radości, mogąc je wykonać.

Urwała czekając, aż Roksana wyrazi zaskoczenie albo wyjaśni, co zaszło. Roksana jednak tylko lekko kiwnęła głową, unikając jej wzroku. Miriam uświadomiła sobie, że siostra nie zaprosi jej do środka w obawie, iż narazi się na gniew Fräulein Claude. Rozejrzała się wokół, powiodła spojrzeniem po ogrodzie pełnym starych drzew i kwiatów i zaczerpnęła tchu, nim odezwała się ponownie.

- Matka ugotowała trutkę ze skorpionich ogonów i wypila ją - oznajmiła bez wstępów. Po krótkiej chwili podjęła: - Umarła natychmiast, bo nikt nie słyszał nawet jęku. Jad musiał wypalić wielką dziurę w trzewiach. Z pleców ciekła jej krew. Zuzanna ją znalazła. Miała pianę na ustach i była już zimna.

Pod Roksana ugięły się kolana. Miriam złapała ją za ramię i posadziła na schodkach. Odpowiedzialność i ciągle kłopoty uczyniły Miriam twardą, bezkompromisową i nieskorą do pobłażania słabości, Roksana jednak zawsze traktowała łagodniej niż innych. Odczekała chwilę, pozwalając jej się uspokoić.

- Pochowaliśmy ją tydzień temu - powiedziała cicho, głaszcząc siostrę po głowie. -



Nie rozpaczaj. Była po prostu zmęczona i chciała już odpocząć. Myślę, że szaleństwo Tala'at było kroplą, która przepełniła czarę.

W tej samej chwili Fräulein Claude wyszła przed dom, zobaczyła Miriam i zbladła z wściekłości.

- Nie próbuj tu handlować swoimi tanimi świecidełkami - prychnęła z jawną nienawiścią. - Idź precz i zabierz stąd tego brudnego niedorozwiniętego bachora.

Córeczka Miriam, Sara, przerwała zabawę. Schowała się za matką, bojąc się spojrzeć w twarz Fräulein Claude, i pociągnęła Miriam za spódnicę na znak, że chciały już iść. Roksana wbiła wzrok w ziemię.

Księżycowa Miriam bez pośpiechu poprawiła szal na głowie i mocniej zawiązała go pod brodą. Spojrzała najpierw na Fräulein Claude, potem na Roksane, potem znów na Fräulein Claude. Następnie ponad ramieniem Fräulein Claude zerknęła w korytarz, z którego zniknęły wszystkie drzwi.

- Coś tu się stało - stwierdziła rzeczowo. - Ktoś coś knuje i czuję, że to nic dobrego.

Nawet Fräulein Claude poraziła jej szczerość.

- Cokolwiek to jest - ciągnęła Miriam - uważajcie. W tym domu są duchy, uśpione od dawna. Jeden fałszywy ruch, a wszystkie się obudzą i będą was prześladować, aż po grób.

I tak to się właśnie stało. Księżycowa Miriam głośno stwierdziła istnienie duchów-rabusiów w domu przy alei Wiary i uczyniwszy to, obudziła je do życia.

Z początku kradły drobiazgi: nożyce, stosik prześcieradeł, garnek z zupą. Papiery Zohraba zniknęły z biurka, a Fräulein Claude nie mogła sobie przypomnieć, gdzie położyła okulary do czytania. Pokojówki oskarżały się nawzajem o zagubione pranie, a Maszti wrzeszczał na żonę, że wyrzuciła skarpetki, które ponoć miała zacerować.

Pewnego dnia Roksana zdjęła ślubną obrączkę, żeby umyć ręce, a gdy po nią sięgnęła, już jej nie było. Pewna, że położyła ją na brzegu umywalki, przeszukała łazienkę, zajrzała pod dywanik, do apteczki, wytrząsnęła fałdy sukienki. Grzebała drutem w syfonie umywalki i muszli, przewróciła sypialnię do góry nogami - na próżno.

Fräulein zauważyła brak obrączki. W obecności Zohraba i żony Masztiego oświadczyła, że jej to nie dziwi. Kobieta, która tak lekceważy zasady moralne, nie przywiązuje wagi do symbolu zaślubin. Timura wciąż nie było, a Zohrab spędzał coraz więcej czasu w biurze, domem więc rządziła niepodzielnie Fräulein Claude. Ta zaś uznała, że Roksanie nie można ufać. Celowo zdjęła obrączkę, chcąc uwodzić mężczyzn, nie podejrzewających, iż jest mężatką. Należało jej zatem przez cały czas pilnować, by znów nie

zeszła z dobrej drogi.

- Nie wolno ci wychodzić z domu bez mego pozwolenia i bez przyzwotki - rzekła zimno do Roksany.

Roksana pokornie przyjęła karę. Zohrab nie odzywał się do niej od tygodni. Nie wydawał się zły ani żądny zemsty, jak twierdziła jego matka. Był smutny, a gdy usiłowała z nim pomówić, zbywał ją grzecznie i milkł.

Poszła do niego ponownie. Leżał na łóżku z otwartymi oczyma.

- Twoja matka nie chce mnie tutaj - powiedziała Roksana. - Wiem, że nie możesz już mnie znieść, a ja też nie mogę znieść samej siebie. Pozwól mi odejść.

Zohrab zamknął oczy wiedząc, że Roksana na niego patrzy - gdyby się ośmieliła, dotknęłaby go chcąc uleczyć rany, które pozostawiła na jego duszy. Odtrąciła go, skazując na niebyt w szarej otchłani wiecznej samotności.

- Wiem, że nie mogę wziąć ze sobą LiLi - podjęła błagalnie Roksana. - Nie oddałbyś mi jej, a zresztą nie chcę jej zabierać. Jaki los mogłabym jej zgotować? Zatruję całe jej przyszłe życie. Proszę cię tylko, abyś zwrócił mi wolność.

Zohrab myślał o nocy, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy; biegła ulicą otoczona przejrzystą poświatą, która pozostawiała w ciemnościach jasny ślad.

- Jeśli nie pozwolisz mi odejść, ucieknę - mówiła. Nie będziesz znał dnia ani godziny. Nie powiem nawet LiLi.

Zohrab otworzył oczy i wrzasnął:

- To idź! Idź, przekonaj się, jak daleko zajdziesz, nim ściągnę cię z powrotem! Sama zobacz, jak długo przeżyjesz na ulicy!

Po raz pierwszy widziała go w takiej furii.

- W tej części świata kobieta nie może wyjść poza miasto bez pisemnej zgody męża. Zawiadomię policję i każę cię aresztować. Jeśli nie oni, znajdzie cię gwardia narodowa.

Odwrócił głowę, wstał z łóżka i podszedł do okna. Po chwili się obejrzał. Roksana siedziała bez ruchu w tym samym miejscu - mała, bezradna, schwytana w matnię. Zrobiło mu się jej żal.

- Jeśli pozwolę ci odejść - rzekł ciszej, usiłując pohamować gniew - czeka cię zguba. Będziesz uciekać coraz dalej i dalej do końca życia. A pewnego dnia LiLi zapyta mnie, dokąd poszłaś i dlaczego puściłem cię samą. Co jej odpowiem?

Widział, że Roksana mu nie wierzy. Nie był pewien, czy sam wierzy we własne słowa.

Timur wrócił po czterech tygodniach, posępny, milczący i nagle postarzały. Nie prosił

o przebaczenie, nie zdradził, gdzie był ani dlaczego wyjechał. Ze wszystkich sił starał się unikać Roksany. Zmuszony stawić czoło nienawiści Fräulein Claude i własnej słabości - haniebnej arogancji, która pozwoliła mu wydać tę kobietę za własnego syna, gdy pragnął trzymać ją nagą w swych ramionach - odciął się od świata, pozostawiając Roksane zemście Fräulein Claude. W późniejszych latach miał wiele kochanek, jeździł w długie pozbawione celu podróże, rozmawiał z synem tylko wtedy, gdy było to absolutnie konieczne. A nocami siedział w swojej pozbawionej drzwi sypialni i nasłuchiwał oddech u Roksany.

Pamiętał, jak wiódł dłonią z zagłębienia jej szyi pomiędzy piersiami aż na brzuch, a jego palce zostawiały blady, chłodny ślad na jej ciele.

\*

Kilka dni po powrocie Timura przypadły turkusowe, wysadzone brylantami kolczyki Fräulein Claude. Stało się to w obecności fryzjerki znanej im od dziesięciu lat i Fräulein Claude nie zawahała się wyciągnąć oczywistego wniosku.

- Ta kobieta jest złodziejką - mówiła wszem wobec, powtarzając każdej znajomej historię, jak to zdjęła kolczyki, położyła je na stole i więcej już ich nie widziała. W ciągu paru dni udało jej się doszczętnie zniszczyć opinię fryzjerki i pozbawić ją większości klientów. Kobieta poprosiła ją o rozmowę, chcąc oczyścić się z zarzutów, lecz Fräulein Claude wzgardliwie odmówiła.

Tuż po zwolnieniu fryzjerki straciła dwie pary sandałów, a wśród służby zaczęły wybuchać awantury. Wszyscy wzajemnie oskarżali się o kradzież. Timur zaniechał w końcu codziennego szukania spinek do mankietów, a Zohrab przestał przynosić do domu prasę. Potem Roksana przyznała się, że zginął jej naszyjnik z szafirów.

- Nowa pokojówka! - oznajmiła Fräulein Claude. - Od początku wiedziałam, że to łajdaczka.

Nowa pokojówka miała szesnaście lat i była daleką krewną praczki przychodzącej trzy razy w tygodniu. Kiedy Fräulein Claude wezwała ją na przesłuchanie, dziewczyna z płaczem całowała jej nogi przysięgając, że nigdy niczego nie ukradła. Błagała o litość: jeśli rodzina dowie się o posądzeniu, w wiosce ją zachłoszczą.

- Powiedz po dobroci, gdzie schowałaś naszyjnik - odparła chłodno Fräulein Claude - a puszczyć to w niepamięć.

Dziewczyna jednak milczała. Wówczas Fräulein Claude kazała Masztiemu rozpalić ognisko na dziedzińcu dla służby, związała dziewczynie ręce i nogi i zagroziła, że spali ją na stosie. Nie miała naturalnie zamiaru wprowadzić tej groźby w czyn, ale przerwała spektakl

dopiero wtedy, gdy na stopach pokojówki pojawiły się pęcherze. Następnie odesłała ją do rodziców wraz z drobiazgową listą wszystkich zaginionych rzeczy.

Fräulein Claude nie była okrutna z natury. Stała się taka, gdy Roksana odebrała jej wszystko, czym żyła.

Odprawienie pokojówki powinno było oznaczać koniec kłopotów. Tymczasem spod stolika w salonie na drugim piętrze zniknął nagle dwumetrowy perski dywan, a porcelanowy serwis z dwudziestu dziewięciu części - prezent ślubny dla Roksany i Zohraba od przyjaciół Fräulein Claude - zdematerializował się cichutko z zamkniętej na klucz szafki.

- To kucharz! - orzekła Fräulein Claude i bez ceregieli wyrzuciła go z pracy.

- To praczka! - wrzeszczał Maszti i praczka również straciła posadę.

Ogrodnicy zostali obarczeni winą za zniknięcie z gabinetu Timura czterystuletniego kandelabru z malowanego szkła, a prasowaczkę oskarżono o kradzież oprawnych w skórę książek Zohraba.

Roksana i Fräulein Claude całymi dniami szukały utraconych przedmiotów.

Jeszcze przed końcem roku Fräulein Claude zwolniła całą służbę oprócz Masztiego, który był poza wszelkim podejrzeniem (jego żona sama odeszła, gdy zapytano ją, co się stało z kolejnym bezcennym antykiem). Fräulein Claude była tak mocno przekonana o słuszności posądzeń, że nie zmieniła zdania, choć zwolniwszy rzekomo winnych, wciąż przegrywała wojnę z duchami-rabusiami. Nowi służący utrzymywali się w najlepszym razie kilka dni i po pewnym czasie Fräulein Claude postanowiła w ogóle nikogo nie zatrudniać. Dom mógł się pogążyć się w brudzie i rozgardiaszu. Co ją to obchodzi?

Następnie zwróciła się przeciwko rodzinie.

Już wcześniej oznajmiła Roksanie, że jej krewni nie mają wstępu do domu, jako że najwidoczniej kradną. Teraz zabroniła również Zohrabowi kogokolwiek zapraszać. Podczas jednej z rzadkich wizyt rodziny Jakuba oznajmiła, że chce przeszukać torebkę jego żony. Zadzwoniła do swojej długoletniej przyjaciółki, żony ministra wojny, by spytać, czy po ostatniej wspólnej herbatce nie zabrała przez przypadek zegarów Bauma i Merciera. Do tych, którzy nie zostali oskarżeni wprost, docierały pogłoski o obłądnych podejrzeniach, o zakurczonym domu z pustymi szafami i nagimi podłogami, w którym nic nie przetrwa dłużej niż parę tygodni, o ciągłych bezowocnych poszukiwaniach i o mnie, dziecku, które bało się zostać samo, bo - jak bezlitośnie prorokowała Fräulein Claude - złodzieje mogli zniemacka porwać i mnie,

Słyszeli te historie i trzymali się z dala, przekonani, że pech jest zaraźliwy.

\*

Pewnego popołudnia, nie mogąc już dłużej znieść zamknięcia ani brzemienia smutku Zohraba, Roksana poszła prosto do Timura mówiąc, że chce odejść. Był piątek; Timur siedział w swoim gabinecie, pił herbatę i czytał gazetę. Wystrojona jak zawsze Fräulein Claude siedziała naprzeciw niego przy biurku. Nawet ona nie zdołała ukryć wstrząsu na widok wchodzącej Roksany.

Roksana była teraz szczuplejsza i bledsza niż dawniej. Jej oczy wydawały się jeszcze większe. Ona dorosła, uświadomiła sobie nagle Fräulein Claude; wypiękniała i stała się jeszcze bardziej niebezpieczna.

- Przyszłam cię prosić o błogosławieństwo. - Roksana zwróciła się bezpośrednio do Timura.

Fräulein Claude ukradkiem obserwowowała męża. Jego oczy zmieniły się w kamienie. Dłoń trzymająca w powietrzu szklankę z herbatą nawet nie zadrżała.

- Chcę opuścić ten dom - powtórzyła Roksana patrząc na niego. - Mówiłam Zohrabowi, że nie proszę go o nic prócz wolności. Musisz pozwolić mi odejść.

Fräulein Claude przestała oddychać. W duchu modliła się do męża, bezgłośnie go błagała, by powiedział to, co powinien był powiedzieć od razu pierwszego dnia - że Roksana może odejść, że m u s i odejść, że Timur pozwala jej odejść i tym samym przywraca Fräulein Claude życie.

Timur odstawił szklankę i wstał. Nigdy dotąd nikogo się nie bał i nigdy nie poddał się bez walki. Ale teraz nie śmiał spojrzeć na Roksane.

- Jesteś żoną mego syna - rzekł. - Nie mogę mu cię odebrać, choćbym tego pragnął.

Tej nocy po raz pierwszy od wielu lat Roksana Anielica śniła, że potrafi latać. Obudziła się i sprawdziła pościel: była czysta, poduszka wciąż sucha. Ale wokół łóżka po marmurowej posadzce walały się długie błękitnobiałe pióra.

\*

Morad radził Timurowi uciec się do drastycznych środków. - Rób, co chcesz - odparł Timur obojętnie. - Nie zdołasz powstrzymać kradzieży.

Morad poszedł więc do Zohraba i razem udali się do znajomego generała, któremu podlegała teherańska służba bezpieczeństwa. Generał odkomenderował dodatkowych ludzi do ochrony domu i skierował na aleję Wiary pół tuzina szpicli. Na szczycie muru otaczającego ogród rozciągnięto drut kolczasty, kutą bramę zastąpiono grubymi stalowymi drzwiami. Następnie zakupiono cztery psy i wydano Masztiemu polecenie, by przez cały dzień trzymał

je na uwięzi i wypuszczał dopiero w nocy, a także by karmił surową wątrową cielecą i bił dotąd, aż się wściekną.

Maszi umieścił psy w cieplarni, by upał jeszcze bardziej je rozdrażnił. Nocą biegały wokół domu atakując każdy cień i rzucając się na wszystkich z wyjątkiem Maszkiego, który je karmił. Ponieważ widmowi rabusie nie zaprzestali działalności, zaczął spuszczać psy także w ciągu dnia, by mieć pewność, że nikt nie zakradnie się od podwórza. Psy ujadały od rana do nocy, próbując przeskoczyć ogrodzenie dzielące część gospodarczą od reszty ogrodu i zaatakować Roksanę i Fräulein Claude, gdy te robiły pranie. Zamiast chronić dom przed złodziejami, zaczęły pełnić rolę strażników więziennych podobnie jak usunięte drzwi, zwolniona służba, żołnierze trzymający wartę na ulicy.

Roksana czuła się jak w potrzasku.

\*

Wieczorem w dniu moich piątych urodzin Roksana powiedziała mi, że odejdzie. Pewnego dnia ucieknie, gdy nikt nie będzie patrzył, i ani ziemia, ani morze nie zdradzi jej śladu.

Leżałyśmy w jej łóżku, w sypialni na piętrze, którą wciąż dzieliła z Zohrabem. Czasem, kiedy Zohrab przesiadywał do późna w swoim gabinecie, brała mnie do siebie i długo rozmawiałyśmy.

- Będą mnie szukać tysiące ludzi z tysiącami latarni - mówiła -lecz choć przeczeszą całą ziemię i wszystkie jej rzeki, nie znajdą mnie nigdy.

Słuchałam tego bezradnie, próbując nie umrzeć ze strachu. Zdawałam sobie sprawę, że matka mi się zwierza, bo jestem jej jedyną przyjaciółką, jedyną osobą w całym domu, która kocha ją bezwarunkowo. Nie rozumiałam, dlaczego chce odejść.

- Timur Heretyk poderwie wszystkich generałów armii szacha, a twój ojciec zawezwie wszystkich żołnierzy z koszar - ciągnęła. - Zjeżdżą góry i doliny, ale ja będę już daleko i tym razem... tym razem nie obejrzą się za siebie.

Chyba uświadomiła sobie, że mnie rani. Ujęła w dłonie moją twarz i ucałowała mnie w powieki. Wciągnęłam w nozdrza zapach morza, który unosił się z jej włosów, i wstrzymałam oddech, żeby się nie rozplakać.

- Będzie ci ciężko - ciągnęła. - Wiem. Ja też straciłam matkę, kiedy byłam mała. Ale musisz przetrwać, tak jak ja przetrwałam, i wiem, że dasz sobie radę. Musisz przetrwać, bo twoja przyszłość jest tu, przy ojcu. Nie odbiorę mu ciebie.

Nocami we śnie bosy przemierzałam pustynię z latarnią w dłoni, otoczona tysiącami

dzieci - moich własnych cieni - i nawoływałam Roksanę Anielicę.

\*

Fräulein Claude zwołała naradę rodzinną. Wezwała Timura, Zohraba, Roksanę i Masztiego, nawet Morada i Jakuba Galaretę. Nie oddała głosu mężowi, jak uczyniłaby jeszcze parę lat wcześniej.

- Rozmawiałam z wieloma ekspertami od spraw bezpieczeństwa - oznajmiła. - Wszyscy są zgodni co do tego, że kradzieży w tym domu dokonuje ktoś z wewnątrz.

Chodziła po pokoju wsparta pod boki, zaciskając dłonie na wciąż jeszcze osiej talii. Biły z niej opanowanie i siła, zdolne rzucić wszystkich zgromadzonych na kolana. Zdrada Timura dała jej milczące prawo do przejęcia władzy.

- Ktoś, kto mieszka w tym domu, sprowadził na nas nieszczęście. - Nie musiała wymieniać imienia Roksany, by wszyscy wiedzieli, kogo wzięła na cel.

Jakub Galareta pomachał gwałtownie ręką, jakby chciał obudzić swoje ciało ze snu.

- To nie są duchy - rzekł. - Ci dwaj faceci wchodzą do domu i wszystko wynoszą. Nikt go nie słuchał.

Świadoma, że jest atakowana, Roksana skurczyła się na krześle obok Zohraba. W owym czasie wierzyła już całkowicie w swój zgubny wpływ - zły los, który otaczał ją niczym aureola i kaził każdego, kogo dotknęła.

- Myślę, że to ważne, byśmy znali nosicielkę zła - podjęła Fräulein Claude - i strzegli się przed nią i jej bachorem.

Zohrab gwałtownie podniósł głowę. Timur, który dotychczas nie zwracał uwagi na to, co się wokół dzieje, nagle obrócił się do żony.

- Ten dom jest nawiedzony - ciągnęła. - Powinniśmy się stąd wyprowadzić. My, to znaczy najbliższa rodzina, a reszta niech zostanie.

- A kogo zaliczasz do najbliższej rodziny? - Morad sarkastycznie uniósł jedną brew, ciekaw, jak daleko posunie się Fräulein Claude.

- Timura, Zohraba, pana Jakuba i siebie.

Nawet Jakub na chwilę zaniemówił ze zdumienia.

- Co zamierzasz zrobić z Roksaną i Liii? - spytał Morad.

Zohrab wstał i wyszedł, nie odzywając się ani słowem. Timur podszedł do biurka, usiadł i zaczął przeglądać stos papierów.

- Nie musimy się wyprowadzać. - Jakub wyteżył głos, chcąc, by go usłyszano. - Powstrzymajcie tylko tych ludzi, którzy wszystko wynoszą. Wołam za każdym razem, kiedy

ich widzę, lecz daremnie. Sam siebie słyszę, ale jakoś ostatnio mój głos nie niesie się zbyt daleko.

Morad Żywe Srebro, wysoki, smukły i żigolakowaty w szarym na miarę czarnym garniturze, przeszedł przez pokój i zwrócił się do brata, jakby Fräulein Claude w ogóle tam nie było.

- Pora, żebyś zrobił coś ze swoją żoną - rzekł, trąc dłonią świeżo ogolony podbródek. - Zwariowała, a ty tego nie widzisz.

Fräulein Claude przyskoczyła do niego i na odlew zdzieliła go w twarz.

- Lepiej uważaj! - syknęła. - Od dwudziestu lat żyjesz z łaski Timura. Jeśli kiedyś mu się to znudzi, zdechniesz z głodu w rynsztoku jak bezpański pies!

I tak to Morad, osiągnąwszy już wiek dojrzały, gdy dla wszystkich prócz niego od dawna było jasne, że nigdy nie stanie się niczym więcej niż wykształconym nierobem, postanowił dowieść Fräulein Claude swej zrzeczności w interesach i nie wisieć dłużej przy bracie.

Najpierw wrócił do domu, gdzie oznajmił żonie i synom, że odtąd nie będą już chodzić do Timura po miesięczne kieszonkowe. Następnie udał się do banku, by sprawdzić stan swego konta.

- Trzydzieści tysięcy riali. - Dyrektor banku, który go znał, uśmiechnął się życzliwie. - Ale oczywiście może pan zaciągnąć kredyt z rachunku pańskiego brata.

Morad potrząsnął głową. W 1971 roku trzydzieści tysięcy riali starczyłoby akurat na obiad w knajpie z paroma przyjaciółmi - bez alkoholu. Jako kapitał inwestycyjny warte było mniej niż dobre chęci.

Wyjął pieniądze z konta i zaprosił dyrektora banku na obiad. Zamówił wódkę i kawior, kapłona w winie, lody waniliowe z sosem czekoladowym i bitą śmietaną. Przy deserze poprosił dyrektora o kredyt - nie z rachunku Timura, podkreślił, lecz w imię ich nowo zawartej przyjaźni. Dyrektor uściskał mu dłoń nad szklaneczką porto i przyznał nieograniczoną linię kredytową, zakładając po cichu, że dług jak zawsze spłaci Timur.

Potem wyjawiał Moradowi w zaufaniu, że wie o doskonałej inwestycji, która w krótkim czasie uczyni go bogaczem. Pewien generał lotnictwa, spokrewniony z rodziną królewską, był właścicielem tysiąca akrów pierwszorzędnej ziemi uprawnej na północy kraju. Zakupił ją na spółkę z jednym z braci szacha, ale jego wysokość nie aprobował tej transakcji i generałowi polecono sprzedać ziemię, zanim szach straci cierpliwość. Gotów był się jej pozbyć nawet ze sporą stratą, jeśli znajdzie rzetelnego nabywcę.



Wychylili kolejną szklaneczkę porto. Morad był wzruszony wyrazem zaufania ze strony dyrektora banku.

- Któż bardziej niż pan, z takiej dobrej rodziny, taki wykształcony, taki uczciwy, nadawałby się na wspólnika brata jego wysokości? - zachęcał go dyrektor. Sto milionów riali - nieco ponad trzysta tysięcy dolarów - i wielka fortuna sama wpadnie Moradowi w ręce.

Morad wrócił do domu i powiedział synom, że zapewnił im dostatnią przyszłość. Następnie posłał Timurowi wiadomość, że poczynił znajomości w bardzo wysokich sferach i nie będzie mu już potrzebne jego wsparcie. Oczywiście bez urazy, jak to między braćmi. Timur złapał za telefon i zadzwonił do banku. Ziemia, kupiona pod zastaw jego pieniędzy, stanowiła istotnie królewską posiadłość - tak cenną, że siostra szacha jako prezes tak zwanej Fundacji Pahlawich już zapowiedziała, że podlega ona konfiskacie przez wzgląd na bezpieczeństwo państwa. Nic dziwnego, że generał chciał szybko znaleźć kupca, żeby ocalić przynajmniej włożony grosz, zanim siostra szacha zagarnie wszystko.

Timur posłał po Morada. Ten wkroczył godnie, promienny, ubrany w nowy garnitur również kupiony na kredyt, albowiem - jak nonszalancko wyjaśnił bratu był teraz współnikiem księcia. Timur zaśmiał się, otworzył szufladę i wręczył Moradowi czek.

- To twoja miesięczna pensja - rzekł łagodnie. - Kupiłeś gruszki na wierzbie.

Nawet się nie złościł. A już na pewno się nie spodziewał się, że porażka tak bardzo załamie Morada, iż będzie go kosztować życie.

Bo tak się właśnie stało. Księżycowa Miriam była tego pewna: Morad Żywe Srebro umarł z żalu, cokolwiek na ten temat mówili lekarze. Żal wezbrał w nim tak mocno, że można go było wyczuć przez skórę, i zatrzał komórki jego ciała. Żal ma taką moc. Może podwyższyć poziom cukru we krwi i nim się opamiętasz, zapadasz w śpiączkę. Może zaatakować komórki nerwowe skazując swą ofiarę na wózek inwalidzki. Na Zachodzie lekarze i naukowcy nadają różne nazwy tworom Żalu. Rak. Cukrzyca. Stwardnienie rozsiane. Nie bardzo wiedzą, co je powoduje ani jak je leczyć. Ale na Wschodzie ludzie marli z żalu od zarania dziejów i nie było to dla nikogo tajemnicą, dopóki na scenę nie wkroczyli lekarze. Perskie słowo *degh* oznacza dosłownie: "zachorować i umrzeć ze smutku". To właśnie przytrafiło się Moradowi, a doktorzy i wszystkie ich naukowe porażki są tu bez znaczenia.

Tamtego dnia zachodzące słońce paliło nawet przez okno. Morad siedział w gabinecie Timura prawie przez godzinę nie mówiąc ani słowa. Potem poprosił o szklanekę wody, wypił

ją jednym haustem i poczuł gwałtowny ból żołądka. Po powrocie do domu przez wiele dni spożywał wyłącznie wodę z lodem i domowy jogurt bez żadnych dodatków. Pomimo to pieczenie w żołądku nie ustępowało.

Żona kazała mu iść do lekarza. Morad zatrzasnął jej drzwi przed nosem i położył się na brzuchu słuchając w radiu propagandowej audycji chwalejącej szacha. Kilka dni później żona zauważyła krew w stolcu Morada i orzekła, iż pewnie się zaraził jakąś paskudną chorobą od tej bogatej kobiety, z którą sypiał. Morad wpadł w furję. Żeby ukarać żonę, znów umówił się z kochanką.

Niestety, po raz pierwszy od czterdziestu lat jego ciało nie stanęło na wysokości zadania.

Przerażony, wybrał się w końcu do lekarza. Powiedział mu, że schudł piętnaście kilo, wciąż jest mu zimno i dygocze nawet w ciepłym pomieszczeniu. Doktor zmierzył mu temperaturę. Potem zrobił badania. Drżenie, orzekł, jest efektem bólu, który Morad próbuje zepchnąć w podświadomość. Ból zaś promieniuje z guza o charakterze prawdopodobnie nowotworowym, który ulokował się w żołądku.

Morad pobiegł do brata po pomoc.

Timur Heretyk wezwał lekarza do swojego biura i przesłuchał go tak, jakby doktor był drobnym złodziejaszkiem przyłapanym na wyjątkowo ohydnej zbrodni. Zabrał Morada do innego lekarza, potem do trzeciego. Zażądał przedstawienia wyników badań, płacił kolejnym lekarzom za niezależne opinie.

- Drogi panie ... - Technik radiologiczny gwizdnął cicho, spoglądając na niego zza okularów. - Sądząc po rozmiarach tego guza powinien pan nalegać na natychmiastową operację albo pogodzić się z tym, że pański brat umrze.

Purpurowy z wściekłości Timur wyrznął pięścią w stół technika i wypowiedział wojnę służbie zdrowia.

- Diabła tam umrze - rzekł. - Zawiozę go do Ameryki.

Lot do Nowego Jorku przez Londyn wyznaczono na siódmą rano osiemnastego czerwca 1971 roku. Był to najbliższy możliwy termin; trzeba było przekupić wielu urzędników, by otrzymać paszporty i wizy z pominięciem długiej kolejki oczekujących. Moradowi towarzyszyć mieli Timur i Zohrab.

Tymczasem Morad wciąż tracił na wadze. Jego żona co dzień nachodziła Timura łkając, że zostanie wdową, jeśli się nie pospieszą. Timur patrzył, jak jego brat dygocze i wzdycha, wzdycha i dygocze.

Obiecał Moradowi, że amerykańscy specjaliści wyleczą go z raka i zapewne nawet nie

będą musieli operować - skalpel to ostatnia deska ratunku barbarzyńskich lekarzy Wschodu, którzy nie słyszeli o najnowszych osiągnięciach medycyny. Morad na pewno dostanie jakieś pigułki, ustalą mu odpowiednią dietę, być może nawet okaże się, że nie ma żadnego raka.

Nękana wyrzutami sumienia Fräulein Claude sprowadziła mułłów, złożyła w ofierze owcę i zamknęła kilka kropel jej krwi w buteleczce, którą dała Moradowi.

- Powieś ją na szyi i nie zdejmuj aż do szczęśliwego powrotu z Ameryki - powiedziała, a Morad, który przez całe życie drwił z przesądów, posłusznie zastosował się do jej wskazówek.

O trzeciej rano wyjechali na lotnisko. Wstałyśmy z Roksana, aby ich pożegnać.

Żona Morada szlochała mu na ramieniu, przez co jego marynarka zrobiła się mokra i lepka.

Fräulein Claude przygarnęła do siebie szwagra, roniąc prawdziwe łzy.

Roksana pomachała im ze schodów. Miała na sobie długą bladobłękitną nocną koszulę, rozpuszczone włosy spadały jej na ramiona. Wygląda jak świeca, pomyślałam. Gdyby pochyliła się do przodu jeszcze o cal, straciłaby równowagę i roztrzaskała się na czarnej marmurowej posadzce holu.

Kiedy odjechali, Roksana wzięła mnie za rękę i poprowadziła z powrotem do sypialni. Na korytarzu dogoniła nas Fräulein Claude. Była nieco rozczochrana; jej makijaż, zawsze nieskazitelny, rozmazał się wokół oczu. Złapała Roksana za ramię.

- Teraz jesteśmy same - syknęła. - Lepiej uważaj.

\*

Lato mijало nam w samotności. Fräulein Claude zarygłowała drzwi, spuściła psy i oznajmiła, że nie wolno nam wychodzić z domu - nawet na godzinę, nawet na chwilę. Sama zabijała czas układaniem włosów i malowaniem paznokci, gotowała i opiekowała się Jakubem Galaretą. My z Roksana sprzątałyśmy dom i przesiadywały razem w kuchni, czytały bajki na tarasie i jadły kolacje w sypialni. Bałam się Fräulein Claude, bałam się, że Roksana spełni obietnicę i ucieknie, zostawiając mnie samą, albo że któryś z duchów-rabusiów rzeczywiście mnie porwie. Bez przerwy trzymałam się jej spódnicy. Nasłuchiwałam jej kroków, nauczyłam się spać tak lekko, że budziłam się natychmiast, jeśli przestałam słyszeć w pobliżu jej oddech. Niejedną noc spędziłam bezsennie przy łóżku Roksany, strzegąc jej przed Fräulein Claude i przed duchami.

Moja matka myślała już tylko o ucieczce. Chciałam jej wytłumaczyć, jak bardzo pragnę, by zmieniła zdanie i została ze mną. Chciałam wyznać, że jest moją jedyną

przyjaciółką, że przy niej - nawet w tym domu pełnym strachów, nawet tego lata nabrzmiałego upałem i zagrożeniem - czułam się bezpieczna jak nigdy.

Chciałam powiedzieć: "Gdy odejdziesz, weź mnie ze sobą", ale bałam się, że Roksana odmówi. Znow zacznie opowiadać, jak to zniknie bez śladu.

Więc milczałam.

Jedyną osobą, która jeszcze nas odwiedzała, była Bahieh z Gąbkami. Bahieh była niska i potwornie tęga. Jej nogi wyglądały jak dwie lawiny płynnego tłuszczu; chodziła boso, bo nie mieściła się w żadne buty. Dlatego podeszwy miała zrogowaciałe na trzy cale i czarne. Równie czarne były jej dłonie - tak stwardniałe, że nie mogła ich zwinąć w pięści.

Bahieh z Gąbkami nie miała pieniędzy na wózek albo osła, który woziłby towar. Nosila płyny do mycia, mydła, detergenty w proszku w dwóch olbrzymich torbach zarzuconych na ramiona. Przychodziła do nas wcześniej rano w każdą sobotę, zanim słońce zaczęło zbyt mocno przygrzewać, i nie chciała odejść, dopóki czegoś nie kupimy. Nie przerażały jej oskarżenia o złodziejstwo i oszustwo, miotane przez Fräulein Claude, ani groźby Masztiego, że wezwie policję. Nawet psy nie były w stanie jej powstrzymać.

- Poszły wooon! - wrzeszczała tak głośno, że w płytach dziedzińca rysowały się cieniutkie pajęczne pęknięcia. Psy cofały się przed nią ze skowytem.

Następnie wlokła swoje cielsko przez ogród i windowała je na trzy schodki przed wejściem.

- Patrzcie tylko - powiedziała, gdy owego lata otworzyłam jej kiedyś drzwi. - Żyjesz w takim dostatku, że aż chce się rzygać. Byłam młodsza od ciebie, nie miałam jeszcze nawet czterech lat, kiedy matka wysyłała mnie do miasta objuczoną orzechami na sprzedaż. Jeśli nic nie zarobiłam, nie było co jeść. Inne dzieci w moim wieku po prostu żebrały. Moja matka też chodziła po prośbie, ale mnie nikt by nie dał nic za darmo, bo byłam brzydka.

Tę samą historię powtórzyła Roksanie, po czym oznajmiła, że nie obchodzi jej, czy czegoś potrzebujemy czy też nie. Musimy coś kupić; jesteśmy jej to winni, bo pławimy się w bogactwie i stać nas na dziesiątaka.

- Jeśli nie - ostrzegła lojalnie, zwracając się do Fräulein Claude - zostanę tu na zawsze. Albo rzucę na was klątwę i odbiorę ci tę resztkę szczęścia, której nie spaprała jeszcze twoja synowa.

Potem Bahieh wzdychała, zrzucała torby z barków i przewracała je do góry nogami.

Na podłogę toczyła się wielobarwna kaskada - tuziny jasnozielonych, pomarańczowych i czerwonych gąbek, buteleczki indygowej farbki do bielizny, kostki

różowego mydła, pudełka perfumowanych detergentów, które wyskakiwały z torby jak klejnoty z paszczy straszliwego smoka i turlały mi się do stóp. Światło, padające przez oszklone drzwi, kładło się na nich długimi białymi smugami i zmieniało mój smutny świat w krainę czarów.

- Patrz i podziwiał - Bahieh uśmiechała się jak Bóg do Adama. - Wybierz sobie, co zechcesz.

Klękałam na podłodze i nurzałam ręce po łokcie w tęczowym stosie, pragnąc na zawsze zatrzymać jego barwy.

\*

Niczego nie usłyszałam; poczułam tylko dotyk chłodnej dłoni i delikatne szarpnięcie, po czym zostałam wyciągnięta spod kołdry. Ktoś wkładał mi buty i płaszcz. Owionął mnie zapach morza i otworzyłam oczy. W ciemności ujrzałam uśmiechniętą Roksanę.

- Pst! - szepnęła niemal bezgłośnie. - Nic nie mów. Podniosła mnie i podeszła do okna. Była boso, buty schowała w kieszeni płaszcza. Chód miała tak lekki, że jej kroki na posadzce brzmiały jak krople deszczu. Przy oknie zatrzymała się i wyjrzała na podwórze.

- Zejdziemy po drabinie - szepnęła. Jej wargi muskały mi włosy. - Musisz trzymać się mnie bardzo mocno i nie puszczać. Kiedy znajdziemy się na ziemi, wezmę cię za rękę i uciekniemy biegiem.

Wzięła mnie na barana i oplótła moje ręce wokół siebie. Miałam pięć lat i byłam już za duża, żeby mnie nosić, ale Roksana poruszała się tak, jakby nie czuła ciężaru. Kiedy weszła na parapet, schowałam głowę w zagłębieniu jej szyi, bojąc się spojrzeć w dół.

Ściany domu okładane były żółtą cegłą i białym kamieniem. Roksana musiała zejść dwa piętra - z mojej sypialni do ogrodu - po przymocowanej na stałe drabinie służącej dekarzom i kominiarzom.

- A psy? - spytałam.

- Padły. - Roksana westchnęła z ulgą. - Otruła je handlarka gąbek.

Był początek listopada. Zohrab i Timur wciąż przebywali w Ameryce z Moradem. Zaczęłam chodzić do przedszkola, lecz Roksana nadal nie mogła się ruszyć z domu, strzeżona przez Fräulein Claude jak więźniarka.

- Fräulein Claude śpi - szepnęła. - Wrócimy, zanim się obudzi.

Nocne powietrze było chłodne, lekkie i rzeźwiące. Tłumiąc podniecenie, Roksana wciągnęła je głęboko w płuca, a kiedy wypuściła, stała się beztroska niczym dziecko.

Zawsze wyobrażałam sobie, że nocą świat poza naszym domem jest równie cichy jak mój pokój. Teraz stałam na chodniku trzymając Roksanę za rękę i po raz pierwszy w życiu widziałam, jak noc rozkwita tysiącem świetlistych pąków. Mijali nas mężczyźni w roboczych ubraniach, rozgadani i palący papierosy. Na każdym rogu zaczepiali nas żebracy owinięci w podarte koce. Klęli brzydko, gdy Roksana odmawiała im datku. Bose dzieci o ospowatych policzkach ciągnęły mnie za rękaw i podtykały mi pod nos gumy do żucia, paczki czerwonych marlboro, bilety loteryjne.

Z otwartych okien przejeżdżających samochodów płynęła muzyka, która obmywała mnie jak woda. Stary człowiek okutany w gazety dla ciepła trzymał małą na smyczy i szukał miejsca, gdzie mógłby wystawić zwierzątko na pokaz. Mała miała na sobie satynową kamizelkę, spodenki wyszywane cekinami i futrzaną czapkę. Kiedy stary ją wołał, obracała się i patrzyła nań z pogardą.

Niosąca olbrzymie naręcze ogrodowych róż kwiaciarka wpadła niechęcący na staruszka z małą. Róże wyleciały jej z rąk, luźne płatki zasłały chodnik.

- Patrz! - Roksana pociągnęła mnie za rękę.

Przez jezdnię przechodziła kobieta. Jej biały czador łopotał na wietrze, odsłaniając długie, smukłe nogi. Nie miała pończoch, tylko czerwone lakierowane botki sięgające powyżej kolan. Jej pojawienie się wywołało zamęt na jezdni. Samochody hamowały z piskiem, wpadając w poślizg na pokrytym warstewką lodu asfalcie, kierowcy trąbili wściekle, starając się ją ominąć. Kobieta odchyliła głowę zrzucając czador na ramiona i wybuchnęła czystym, serdecznym śmiechem, który poniósł się ulicą i przyćmił wszystkie inne dźwięki. Była to Pari w Botkach - jak powiedziała mi Roksana - słynna teherańska prostytutka znana ze swych pięknych długich nóg i upodobania do wysokich butów.

Dosłownie o cal od Pari zatrzymała się taksówka. Była wyładowana pasażerami - siedem osób w małym pomarańczowym autku - lecz kierowca zażądał, żeby wszyscy wysiedli. Pasażerowie protestowali, domagając się, by dowiózł ich na miejsce, lecz taksówkarz był nieugięty.

- *Chanum* Pari życzy sobie taksówki - rzekł, wyrażając się o Pan z uszanowaniem należnym wielkiej damie.

Na ulicy zrobił się korek; wściekli kierowcy wysiadali z samochodów i wrzeszczeli na taksówkarza, żeby zjechał na bok, bo tamuje ruch. Pari w Botkach stała w czadorze odsłaniającym lśniące czarne włosy i gołe nogi bez śladu gęsiej skórki i się śmiała. Z daleka czułam zapach jej perfum i tytoniu, od którego pożółkły jej młode palce; widziałam obłoczek zimnej suchej pary, który unosił się z jej ust.

Poszliśmy dalej. Roksana próbowała złapać taksówkę, lecz na próżno: wszystkie były pełne, wiozły wielu ludzi w różne miejsca wzdłuż tej samej trasy. W końcu zdecydowała się jechać "na łebka". Wiele osobowych aut nielegalnie wozilo pasażerów.

- Jeśli ktokolwiek spyta - ostrzegła mnie - nie mów, jak się nazywamy. Wszyscy w tym mieście znają twego dziadka; ktoś mógłby donieść Fräulein Claude, że nas widział.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że jestem w pizamie, którą płaszczyk okrywa tylko do kolan.

Pojechałyśmy na północ długą ruchliwą ulicą, w samochodzie pełnym obcych. Spuściłam wzrok; serce omal nie pękło mi z podniecenia. Kiedy w końcu wysiadłyśmy, matka pociągnęła mnie na chodnik, gdzie tłoczyli się ludzie i płynęła muzyka. Oślepiły mnie czerwone, niebieskie i pomarańczowe światła.

- Wesole miasteczko jest tu przez cały rok - powiedziała. - Otwierają je co wieczór i wiele razy chciałam cię tu przyprowadzić.

Bileter był ślepy na jedno oko. Było kompletnie białe, bez tęczy.

- Nie powinnyście chodzić po ulicy same, bez mężczyzny - rzekł, wręczając Roksanie bilety.

Ustawiliśmy się w kolejce do diabelskiego młyna. Gdy zasiadłyśmy w gondoli, Roksana uścisnęła moją dłoń i się uśmiechnęła. Patrzyłam, jak ziemia odjeżdża w dół, ludzie robią się coraz mniejsi, muzyka cichnie, a potem znów wszystko wraca. Matka złapała mnie za podbródek i uniosła mi głowę.

- Patrz w górę! - powiedziała.

Niebo obmyło mnie jak woda.

- Kiedyś tam byłam - odezwała się Roksana. - Miałam sześć lat i mieszkałam jeszcze u matki. Pewnej nocy wyrosły mi skrzydła i wzbiłam się w niebo.

Zobaczyła moją osłupiałą minę.

- Nie wiem, jak to się stało. - Wzruszyła ramionami. - Może tylko o tym śniłam. A może jestem po prostu inna. Ale od tamtej pory ziemia parzy mnie w stopy.

\*

Morad Żywe Srebro wrócił z Ameryki na noszach. Z brzucha zwisał mu plastikowy woreczek. Obok siedł Timur z posępnym wzrokiem i pudełkiem środków przeciwbólowych w dłoni. Ameryka, rzekł do żony, jest nadzieją głupców.

Lekarze dawali Moradowi dwa do sześciu miesięcy życia. Umarł trzydzieści dni po powrocie.

Friulein Oaude bała się odprawiać sziwę w domu. Ludzie będą wchodzić i wychodzić, mówiła, i nic nie powstrzyma złodziei przed zagarnięciem reszty dobytku.

- Tu już nie ma co kraść. - Timur z goryczą rozejrzał się po pustym salonie. Na ścianach pozostały tylko ciemniejsze zarysy ram.

W czasie tygodniowej żałoby nie chodziłam do szkoły. Ubrana na czarno, przyglądałam się ludziom, którzy składali nam kondolencje. Znajomym Timura towarzyszyły żony, które rozdziwiałały usta ze zdumienia, patrząc na opustoszały dom, i szeptały do siebie, iż to jednak prawda, że synowa przyniosła rodzinie pecha. Liczne kochanki Morada - ładne kobiety w obcisłych sukniach i czarnych jedwabnych pończochach - przychodziły same lub pod rękę z mężami. Z reguły miały zbyt gruby makijaż i za dużo biżuterii. Ścisnęły wszystkim dłonie, a potem siadały, z godnością roniąc łzy w jedwabne chusteczki i bacząc pilnie, by nie rozmazać tuszu na rzęsach. Kątem oka już się przy tym rozglądały za ewentualnym nowym kochankiem. Uśmiechały się do Timura i Zohraba, składały wyrazy współczucia, oferowały pomoc (o każdej porze dnia i nocy), numery telefonów, ciepłe uściski.

Rochelle przyszła dwukrotnie. Siedziała w futrze ledwo sięgając nogami podłogi i patrzyła, jak jej mąż próbuje zrobić wrażenie na osieroconych przez Morada kobietach. Co parę minut wychodziła do łazienki poprawić makijaż i zapalić papierosa.

Zuzanna przyszła raz. Opowiedziała Roksanie o swoim narzeczonym - mężczyźnie w brudnych butach i wymiętej marynarce, który twierdził, że jest architektem. Okłamał ją udając młodszego, niż był w istocie. Okłamywał ją przy każdej sposobności i wiedziała, że jeśli za niego wyjdzie, zawiedzie ją właśnie wtedy, gdy będzie jej potrzebny. Zapytała Roksane, jak to jest być żoną bogatego mężczyzny, który ją kocha.

- Nie wiem - odparła cicho Roksana. Nie zauważyła, że na nią patrzę, że słyszałam pytanie Zuzanny i znów poczuję się zdradzona, słysząc jej odpowiedź. - Chyba tak, jak gdybym żyła cudzym życiem.

Przez cały długi tydzień Roksana siedziała dokładnie naprzeciw Timura. Nie spojrział na nią ani razu. Wiedziała, że Zohrab i Fraulein Claude ją obserwują. A mimo to będąc blisko Timura - wiedząc, że on czuje ją całym ciałem, że każdy jego nerw dostrojony jest do niej - wiedząc to wszystko, rozpaczliwie go pragnęła.

Coraz to od nowa wyobrażała sobie, że podchodzi do niego tu, w pokoju pełnym ludzi, wśród okrytych kirem okien i luster, pośród białych, żałobnych orchidei. Podchodzi, jakby chciała go błagać o zbawienie, staje przed nim i zagląda mu w oczy. Pochyliła się



powoli, ociera twarzą o jego policzek. Potem muska wargami jego skórę, zarys brody, usta.

- Jeszcze tylko raz - szepcze niebaczną na konsekwencje, niepomną, że sprawi innym ból. Timur wbija w nią wzrok. Roksana ujmuje jego dłoń i prowadzi ją w wycięcie sukni. Jej ciało jest nagie, zimne, wygłodniałe. Timur dotyka jej piersi, brzucha, wnętrza ud. Roksana wzdycha, rozchyła nogi i siada mu na kolanach, obejmując go nogami w pasie.

Żałobnicy płakali, szeptali, odmawiali modlitwę za zmarłych. Roksana nie ruszyła się z krzesła.

Ostatniego dnia szarzy przyszła Księżycowa Miriam. Wciąż jeszcze była piękną kobietą, lecz miała cierpki, obcesowy sposób bycia zgryźliwej nauczycielki. Ubierała się w bure kolory, nie wierzyła w makijaż ani fryzjera. Pracowała dwa razy ciężiej niż jakakolwiek znana Roksanie kobieta - wychowywała dzieci, prowadziła interesy, rozwiązywała problemy całej rodziny i odważnie podejmowała wszelkie wyzwania, jakie niesie życie.

Dała Roksanie zielony szklany flakonik z wąską długą szyjką i okrągłym denkiem.

- To matczyne flakon na łzy - wyjaśniła bez egzaltacji. - Płakała do niego po każdej tragedii, jaka ją dotknęła: kiedy jej siostra uciekła z domu, kiedy oddała cię Kocicy, kiedy Tala'at wyjechała z Bratankiem. Zbierała swoje łzy, a gdy flakon był już pełny, wypła je do dna.

Roksana wzięła buteleczkę i popatrzyła na nią niewidzącym wzrokiem. Miriam przyjrzała się siostrze uważnie.

- Tylko to po niej zostało - rzekła. - Pomyślałam, że skoro oddała cię tak młodo, właśnie ty spośród wszystkich dzieci powinnaś odziedziczyć jedyną rzecz, która do niej należała.

Roksana ścisnęła flakonik w dłoni tak mocno, że omal go nie zgmiotła.

- Jesteś coraz szczuplejsza - ciągnęła Miriam. - Wiem, że masz jakiś problem.

Czekała na reakcję, ale Roksana nie podniosła oczu znad butelki. Miriam wyciągnęła z tego własne wnioski.

- Karol i ja w końcu wynieśliśmy się z getta - zaczęła z innej beczki. - Musieliśmy czekać, aż teściowa umrze, bo nigdy nie zgodziłaby się przeprowadzić. Teraz mieszkamy przy alei Persepolis numer 108. - Pochyliła się i dodała szeptem: - Jeśli kiedyś uda ci się wymknąć tej smoczy - kiwnęła głową w stronę Fräulein Oaude - przyjdź do mnie i opowiedz, co się tu dzieje.

Roksana odkorkowała flakonik. Wewnątrz pozostał słony białawy osad - ślad łez Szuszy. Co za ironia: Miriam przyniosła jej łzy matki, obdarowała ją dziedzictwem smutku i

hańby. Przez chwilę Roksana miała zamiar zniszczyć buteleczkę. Potem ją zakorkowała i zaniósła do swojego pokoju.

Tej nocy śniły jej się szafirowe słońce.

Były ciemne, lecz zarazem świetliste, większe niż w naturze i przezroczyste jak szkło. Stały wokół łóżka patrząc na nią kryształowymi oczyma. Zafascynowana ich barwą, z początku nie zdawała sobie sprawy, że są żywe i mogą się poruszać. Wyciągnęła rękę, chcąc pogłaskać tego, który stał najbliżej, lecz pod jej dotknięciem słoń rozprysnął się na milion kawałków. Dotknęła następnego, potem jeszcze jednego. Każdy eksplodował fontanną lśniących niebieskich okruchów. Ogłuszał ją brzęk sproszkowanych ciał sypiących się na marmurową posadzkę. Nagle się obudziła.

Pochylał się nad nią Zohrab Grzesznik.

- Coś ci się śniło - rzekł i dotknął jej włosów. - Nie bój się.

Zaczekała, aż odszedł do swojego pokoju, po czym wstała z łóżka. Na podłodze leżało białe ptasie pióro. Zmiotła je stopą do kąta. Prędzej czy później Zohrab zauważy te pióra i spyta, skąd się wzięły; pozna jej tajemnicę.

Podeszła do umywalki w kącie sypialni i obmyła sobie twarz. Myślała o słońcach ze swego snu i o naszyjniku z szafirów, który Timur dał jej w prezencie ślubnym. Przypominała sobie dotyk jego dłoni, gdy zapinał go jej na szyi. Chłodne krople wody spływały Roksanie na piersi.

Kątem oka dojrzała się w lustrze: miała trzydzieści trzy lata i tkwiła w matni, z której nie było wyjścia.

Wiedziała, że Timur nie śpi. Obserwował jej odbicie w lustrze; czekał na nią, pragnął jej. Pochyliła się do przodu i chuchnęła, a jej oddech pokrył tafłę mglistym cieniem. Pocałowała go we mgle.

- Zabierz mnie stąd - odezwała się. - Pozwól mi zaprzedać moją duszę.

Podeszła do okna i spojrzała na podwórze. Musi opuścić ten dom, zanim znów ulegnie Timurowi.

Weszła do swojego pokoju i przez chwilę przyglądała się mi we śnie. Pocałowała mnie w czoło, potem wzięła za ręce, obróciła je i ucałowała obie moje dłonie.

- Śpij słodko - powiedziała.

Słyszałam ją, lecz nie otworzyłam oczu. Już od lat sypiałam na pół przytomna, zawsze świadoma ruchów matki, zawsze czujna. Kochałam jej bliskość, kochałam ciężar jej spojrzenia - nawet smutek bijący z jej gestów. Tej nocy, kiedy opuściła mój pokój, wstałam i

poszłam za nią.

W korytarzu było ciemno, biała koszula Roksany majaczyła przede mną jak duch. Nieświadoma, że jestem tuż za nią, przystanęła nasłuchując oddechu Timura. Przez chwilę myślałam, że go zawoła, że otworzy usta zamknięte od tak dawna i wykrzyczy jego imię budząc cały dom i niszcząc ciszę - dławiącą, jadowitą ciszę, która więziła nas wszystkich, narzucała pozory spokoju za cenę stłumienia wszystkich odruchów i wszelkich pragnień. Mogła przemówić, zażądać posłuchu, usłyszeć nareszcie własny głos, ostry i dźwięczny. Mogła zburzyć mur, którym tak bezwzględnie odgradził się od niej Timur. Mogła wyrwać Aleksandrę Kocicę ze ślepoty i obłądu, a Mercedes Gwiazdę Filmową z nonszalanckiej obojętności. Mogła wezwać Szuszę - matkę, która pozostawiła jej tylko łyżę - i zażądać, by zabrała je sobie z powrotem. Mogła wołać do ojca, dlaczego nie był przy niej wtedy, dawno, na dachu; dlaczego nie stanął między nią a Szuszą, nie ocalił jej przed upadkiem.

Zamiast krzyczeć, przygryzła język tak mocno, że jej usta wypełniły się krwią. Cienka czerwona strużka splamiła przód białej nocnej koszuli.

Roksana obróciła się i choć jej oczy spoczęły na mnie w ciemności, nie dostrzegła mnie. Zaczęła wchodzić na schody.

Całe górne piętro naszego domu zajmowała sala balowa, w której zimą Timur i Friiulein Oaude podejmowali gości. Kiedyś zdobiły ją włoskie meble i jedwabne francuskie draperie; teraz stała pusta i pokryta warstwą kurzu, ograbiona ze wszystkiego poza olbrzymim kryształowym żyrandolem, kupionym przez Fräulein Claude w Niemczech podczas miodowego miesiąca z Timurem. Zewnętrzną ścianę wypełniał rząd wysokich przeszklonych drzwi. Wychodziły na szeroki taras otoczony kutą balustradą, po której piał się jaśmin o białych i różowych kwiatach. To na tym tarasie oglądali Roksane goście w dniu jej ślubu.

Teraz też przeszła przez salę, otworzyła szklane drzwi i stanęła na tarasie. Powiew wiatru poruszył wisiorami żyrandola, strącając z nich cienkie smużki kurzu. Rozdzwoniły się jak srebrne dzwonki. Pośłyszałam ich dźwięk i zadrżałam.

Roksana wspięła się na balustradę:

- Mamo! - zawołałam niepewnie, bojąc się, że zbeszta mnie za to, że ją śledzę. Po chwili uświadomiłam sobie, że mnie nie słyszy.

Stała na balustradzie - boso, w białej koszuli - i zamiast spoglądać w dół, patrzyła w niebo.

Nagle zrozumiałam, co zamierza zrobić.

- Mamo! - krzyknęłam. - Mamo!

Obejrzała się za siebie, jej wzrok prześliznął się po mnie obojętnie. Byłam dla niej

niewidzialna - przejrzyste widmo pośród wielu innych duchów; głos, którego nie chciała słyszeć.

Rozłożyła ramiona i pochyliła się w noc.

\*

Moje krzyki poderwały na nogi cały dom.

Kiedy Zohrab wbiegł na górę, wspinałam się na poręcz wrzeszcząc tak przeraźliwie, że żyły na czole i szyi omal mi nie pękły. Złapał mnie, lecz wrywałam się z obłąkańczą siłą. Wziął mnie na ręce i zaniósł do umywalki. Zimna woda, którą spryskał mi twarz, tylko pogłębiła szok. Z przerażenia dostałam spazmów, wykrzykiwałam imię Roksany, wierzgałam rękami i nogami. Na górę wbiegła Fraulein Claude, za nią Timur i Maszti.

- Dajcie jej trochę opium - doradził Maszti.

Znieśli mnie do kuchni, gdzie Jakub Galareta wdmuchnął mi do ust kłęb opiumowego dymu. Walczyłam jeszcze przez chwilę, ale robiło mi się coraz słabiej; mięśnie mi zwiotczały, głowa opadła w tył i nagle ucichłam.

Zohrab przeraził się, że dostałam ataku serca.

- Zostaw ją. - Fraulein Claude siłą oderwała go ode mnie. - Po prostu zemdląca.

Stali wokół mnie, nie mając pojęcia, czego byłam świadkiem. Jeszcze nie zauważyli, że brakuje wśród nich Roksany. Mój gwałtowny, urywany oddech stopniowo zwalniał, uspokajał się. Przez pewien czas słyhać było tylko mnie i Jakuba, który pykał fajkę, machając ręką, żeby zwrócić na siebie uwagę, co zwykle czynił, kiedy chciał coś powiedzieć, a głos go zawodził. W końcu Fraulein Claude zorientowała się, że Jakub znów ma za niskie ciśnienie, zmieszała trochę wody z cukrem i poila go łyżką, dopóki nie odzyskał sił.

Gdy już miała wstać, uniósł głowę.

- Widziałem tę dziewczynę - rzekł. - Żonę twego syna. Miała białe skrzydła i przelatowała za kuchennym oknem.

Przeszukano cały dom, oficynę, ogród. Zohrab wsiadł z Maszti do samochodu i zjeździli wszystkie ulice w promieniu dziesięciu kilometrów. Rano Timur zadzwonił do swojego znajomego, szefa teherańskiej żandarmerii wojskowej, i podał mu rysopis Roksany. "Młoda kobieta - powiedział - o ciele dziecka i oczach staruszki."

Szef policji go zapewnił, że Roksana się odnajdzie. Nikt, a już najmniej bosa kobieta w nocnej koszuli, bez pieniędzy i dokumentów, nie ukryje się na długo przed zbrojnym ramieniem Jego Wysokości.

- Będzie w domu przed kolacją - obiecał i odłożył słuchawkę.

Czekaliśmy. Timur zadzwonił jeszcze w parę miejsc. Zohrab do późnej nocy przeszukiwał miasto. Zadawali mi pytania: Co widziałeś? O której to było godzinie? Czy Roksana mówiła ci coś, zanim wyskoczyła z okna?

Bardzo chciałam im pomóc - choćbym miała przez to zdradzić Roksane, uwięzić ją z powrotem w domu, z którego od tak dawna pragnęła uciec. Mówiła mi przecież, że umie latać, od wielu miesięcy zapowiadała, że odejdzie. Chciałam opisać widok, który zapisał się w moich oczach: Roksana frunąca jak ptak, coraz dalej od domu, na białych skrzydłach wiatru.

Czy mi uwierzą?

Wątpliwości dławiły mój głos.

Timur i Zohrab przetrząsnęli każdy dom w mieście. Byli u Miriam, sprawdzili każdy podsunięty przez nią trop, zajrzeli do Rochelle i Zuzanny, nawet do Rahmana Władcy w żydowskiej dzielnicy. Policja wezwała krewnych Roksany na przesłuchanie i wysłała za nimi szpicli, którzy mieli meldować o każdym kontakcie. Kontrolowano dworce kolejowe i autobusowe, zatrzymywano taksówki na każdym skrzyżowaniu, naruszono nietykalne dotąd kryjówki komunistycznych szpiegów i handlarzy narkotyków. Badano odciski palców i stóp, tajniacy przetrząsali dzielnice rozpusty i płacili alfonsom, krążyli labiryntem złowieszczych zaułków i ciemnych zapleczy bazarów. Co dzień ich wysiłki były bardziej gorliwe, coraz więcej ludzi ostrzegano o konsekwencjach ukrywania Roksany przed policją szacha. Roksana jednak przepadła.

O tym zniknięciu krążyły najdziksze plotki. Jej zdjęcie pojawiło się w wieczornej gazecie i w tygodnikach dla kobiet. Mówiono o cudzoziemskim kochanku, który porwał ją nocą, a także o działaniu siły nieczystej, która usunęła Roksane z tego świata tak jak wszystkie inne rzeczy z domu Timura.

Księżycowa Miriam przychodziła do mnie co parę dni. Jej pytania doprowadzały mnie do łez. Chciałam pomóc, ale ból mnie paraliżował, a strach pętał i odbierał mi mowę.

Miriam się nie poddawała.

- Tak czy inaczej - mówiła - znajdziemy ją. Jestem tego pewna, bo znam twoją matkę. Ja ją wychowałam i wiem, że nie zostawi swego dziecka na długo.

Na samo wspomnienie imienia Roksany skóra pokrywała mi się pęcherzami, drobnymi kroplami smutku, które pojawiały się o zmierzchu i piekły aż do świtu.

# Wygnanie 1971

---

Kiedy Roksana otworzyła oczy, stała po pas w wodzie rzeki Karadż, wiele mil od Teheranu. Wokół było ciemno. Zadygotała z zimna, walcząc z silnym prądem, który w każdej chwili mógł porwać jej lekkie ciało. Szukała wzrokiem brzegu, lecz widziała tylko majaki, które noc zsyła ludzkim oczom. Zaczęła iść po omacku, świadoma, że jeden błędny krok i wpadnie w głębinę, z której już nie da rady wypłynąć. Ale zamiast strachu ogarniała ją ulga - tak wielka, tak oczyszczająca, że Roksana czuła się wszechmocna.

Zobaczyła skały, potem jakieś zarośla, potem kamienisty brzeg. Wyczołgała się z wody. Była boso, stopy miała poranione do krwi. W oddali majaczyły błękitne szczyty gór Elburs, odgradzających Teheran od nadkaspjskich pól ryżowych. Przypomniała sobie opowieść Aleksandry Kocicy o jej ucieczce z Rosji. Pewnej nocy po prostu ruszyła przed siebie w perłach i butach na wysokich obcasach i szła nie oglądając się wstecz, aż dotarła do Teheranu.

- Widziałam białego tygrysa, który żyje nad Morzem Kaspijskim - chwaliła się Aleksandra. - To najwspanialsze zwierzę na świecie, tak rzadkie, że caryca oddałaby wszystko, by mieć je w swoim zwierzyńcu. Płynęłam dziurawymi, przegniłymi czórnami, jadłam ryby pieczone na patyku, sypiałam w szmaragdowej puszczy i na polach ryżowych, i na rosyjskich statkach przemysłowych. A zdobyłam się na to, bo nie bałam się zdać na łaskę losu.

Roksana też nie bała się już wygnania. Nieważne, że jest sama, prawie naga i powoli zamarza, zagubiona na drodze donikąd. Nieważne, że już nigdy nie ujrzy Timura, że Zohrab na próżno będzie jej szukał, że porzuciła dziecko, które wołało za nią w mrok. Ocaliła siebie i nie miała zamiaru patrzeć wstecz.

Usiadła na brzegu rzeki, czekając, aż rozjaśni się na tyle, by mogła znaleźć jakąś szosę albo przynajmniej ustalić kierunek marszu. Po chwili, gdy jej uszy przywykły do szumu rzeki, postyszała w oddali warkot silnika ciężarówki z wysiłkiem pnącej się pod górę. Po pewnym czasie dźwięk się powtórzył. O świcie ujrzała szarą kreskę gruntowej drogi, która biegła od rzeki ku jałowej równinie pozbawionej roślinności i wszelkich śladów życia.

Ruszyła drogą. Po pewnym czasie minęła ją ciężarówka. Kierowca zwolnił, lecz się nie zatrzymał. Godzinę później na wzgórze wdrapał się mikrobus pełen brodatych studentów

teologii w brązowych turbanach. Mężczyźni przyglądali się Roksanie przez brudne, podrapane okna. Widziała, jak ich wargi się poruszają - pewnie zastanawiali się na głos, kim jest i co tutaj robi. Ich oczy śledziły ją jeszcze długo zza zasłony kurzu wleczonej przez znikający w dali mikrobus.

Szła dalej. Mijały ją wiejskie dzieci na mułach. Bezpańskie psy obszczekiwały ją z bezpiecznej odległości. Słońce było już wysoko, ale niebo pozostało zaciągnięte chmurami. Roksana w białej przezroczystej koszuli wyglądała jak zjawą - jedna z tych, które zwidują się sennym podróżnym i konającym. Usiadła na środku drogi. Następny pojazd będzie musiał ją zabrać.

Następny pojazd okazał się szarozielonym peykanem z rozbitą przednią szybą. Zastępował ją arkusz przezroczystej folii umocowany taśmą samoprzylepną. Samochód zatrzymał się trzy metry przed nią. Kierowca wychylił się nad kierownicą i z niedowierzaniem przymrużył oczy. Podejrzewając, że źle widzi przez folię, przesunął się w prawo i opuścił szybę po stronie pasażera, żeby się lepiej przyjrzeć. Roksana też mu się przyjrzała. Miał ciemne oczy, wąski nos, jednodniowy zarost. Kiedy zimny powiew wpadł do samochodu, zadygotał. Potem ostrożnie, jak człowiek, który się ukrywa, otworzył drzwi i wysiadł.

Ubrany był w gruby płaszcz, rękawiczki, narciarską czapkę i omotany wokół szyi szalik zasłaniający usta i brodę. Patrzył na nią nieufnie. Roksana podeszła bliżej. Jej stopy zostawiały krwawe ślady na piasku.

- Proszę zabrać mnie tam, gdzie pan jedzie - odezwała się. Wargi miała zbielełe, ręce sine. Koszula, mokra i zamrznięta, zeszywniała jak papier. - Niech pan się nie boi.

Drzwi od strony pasażera nie dały się otworzyć. Obeszła samochód dookoła, wsiadła od strony kierowcy i przesunęła się obok.

Mężczyzna patrzył na nią w osłupieniu.

- Nie zrobię panu kłopotu - powiedziała. - Wsiadę, kiedy pan każe.

Ruszyli w kierunku miasta Kazwin. Mężczyzna bez ustanku palił papierosy. Był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia lat i wyraźnie nie wiedział, co myśleć o Roksanie. Obserwował ją kątem oka, ale milczał, nie zadawał nawet najprostszycych pytań. Gdyby wdał się rozmowę, i ona mogłaby zadać mu pytania, na które nie miał ochoty odpowiadać.

Z tyłu miał dwa kanistry z benzyną, kosz z jedzeniem, dwa koce, wodę. Zatrzymał się przed Kazwinem. Wyjął z kosza wędzoną rybę, marynowany czosnek, chleb. Zapytał, czy jest głodna.

- Tylko spragniona - powiedziała bez uśmiechu, patrząc mu prosto w oczy. Po

dłuższej chwili mężczyzna spuścił wzrok i wrócił do jedzenia.

Dwie godziny za Kazwinem zatrzymali się przed herbaciarnią. Była to brudna szopa przy gruntowej drodze, oświetlona dwiema lampami naftowymi i ogrzewana przenośnym grzejnikiem. Mężczyzna zostawił Roksanę w samochodzie i wszedł do środka. Po chwili wrócił z wysoką szklanką czarnej herbaty, trzema kostkami cukru i talerzem jajecznicą pływającej w tłuszczu.

- Zjedz to - rzekł cicho. - Czekają nas długa noc.

Kiedy ruszyli dalej, na drodze leżała już gęsta mgła. Reflektory nie były w stanie jej przebić. Mężczyzna sięgnął do tyłu i podał Roksanie koc.

Domyśliła się, że on również jest uciekinierem i się boi, że go złapią. Jakaś kobieta, pewnie matka, spakowała mu prowiant na drogę wiedząc, że nigdy więcej go nie zobaczy.

- Jak daleko chcesz jechać? ~ spytał koło północy.

- Najdalej, jak się da.

Parsknął śmiechem.

- To nie będzie daleko, sądząc po tym, jak jesteś ubrana.

- Uciekłam od męża. - Urwała spoglądając, jak zareaguje. ~ Zostawiłam pięcioletnią córkę. Już tam nie wrócę.

Mężczyzna patrzył na drogę. Dłonie miał zaciśnięte na kierownicy. W kącie ust żarzył mu się papieros.

Był studentem najstarszego uniwersytetu w Teheranie. Pochodził z klasy średniej; jego rodzice mieli niewielkie możliwości i jeszcze mniejsze ambicje. Zamierzał zostać inżynierem. W czasie studiów los go zetknął z grupą lewicujących studentów i profesorów, pragnących obalenia dyktatury szacha. Był na paru zebraniach, rozproszonych ulotek. Jeden z jego kolegów, najgorliwszy aktywista, okazał się wtyczką. Przekazał tajnej policji listę nazwisk. Znalazło się na niej i jego nazwisko. W ciągu dwóch dni aresztowano dwunastu towarzyszy. Torturowano ich elektrodami wbijanymi w genitalia, wstrzykiwano im serum prawdy, jeszcze żywych zrzucano ze śmigłowca do słonego jeziora, które ich pochłonęło i nigdy nie oddało ciał. On sam zdołał uciec, nim go schwytano.

- Jadę do Turcji - powiedział do Roksanie, nie ujawniając nic więcej. ~ Podwiozę cię do granicy.

Z Kazwinu jechali górkami przez Zandżan i Mijane do Tebrizu. Zatrzymywali się tylko w najbardziej zapadłych kątach, gdzie ryzyko natknięcia się na szpicla czy żandarma było znikome. Mężczyzna prowadził przez całą noc; około południa zjeżdżał z



drogi i spał kilka godzin. Przyjaciele go uprzedzili, że jeśli kiedykolwiek będzie musiał uciekać z kraju, znajdzie bezpieczne schronienie w mieście Wan, blisko turecko-irańskiej granicy.

Owinięta w koc Roksana nigdy nie wchodziła z nim do herbaciarni. Rozumiała, że zabrał ją wbrew rozsądkowi. Mogła przecież być agentką policji albo po prostu zdradzić go natychmiast po wyjściu z samochodu. Ale on też czuł się samotny i przerażony. Jej obecność go uspokajała.

Raz, kiedy opuścił oparcie fotela i usiłował zasnąć, wyciągnęła rękę i dotknęła jego ust. Drgnął jak porażony prądem i chwycił ją za rękę tak mocno, że omal nie złamał jej nadgarstka. Potem spostrzegł, że nie zamierzała zrobić mu krzywdy, że palce ma chłodne, delikatne i kojące. Puścił ją.

Delikatnie rozchyliła mu usta i dotknęła wnętrza jego dolnej wargi. Potem zrzuciła koszulę i nago usiadła na nim. Była taka biała; bał się, że jego ciemne dłonie poplamiają jej skórę. Zwrócona plecami do kierownicy, objęła kolanami jego biodra. Popatrzyła mu w oczy, nachyliła się i go pocałowała.

Kochała się z nim w biały dzień, na drodze, w samochodzie widocznym ze wszystkich stron, choć kobieta niemoralna łatwo mogła tu zostać ukamienowana lub utopiona w studni. Kochała się z nim raz po raz, na każdym przystanku, w każdej wiosce, nie pytając go o imię i nie zdradzając własnego. Robiła to bez miłości, bez wstydu.

- Ja już nie czuję wstydu - powiedziała mu, gdy ją ostrzegął, że ktoś może ich zobaczyć nagich i splecionych w uścisku. - Porzuciłam całe swoje życie, swoją córkę, po to, by już nie czuć wstydu.

W Marandzie kupił od wieśniaczki zmianę odzieży i parę płóciennych pantofli, które dał Roksanie. W miasteczku Choj przeliczył swoje pieniądze i wręczył jej połowę - dość, by mogła przeżyć trzy, może pięć dni.

Granicę przekroczyli nocą, nawet nie zauważywszy, że już są w Turcji. Nikt nie sprawdzał paszportów. Krajobraz wszędzie był taki sam. Ciężarówki na szosie miały irańskie tablice. Ale o świcie zobaczyli oznakowane wozy tureckiej żandarmerii wojskowej i wyblakłą tablicę informującą, że wjechali na teren miasta Wan. Student zatrzymał samochód i powiedział jej, że musi wysiąść.

- Ludzie, do których jadę - rzekł przepraszająco - nie zrozumieliby, dlaczego jesteś ze mną. Wyrzuciliby nas oboje.

Roksana wymknęła się z samochodu i już jej nie było.

\*

Znalazła się w starym przygranicznym mieście wciśniętym między góry, brudnym i surowym. Nagie szczyty miały barwę miodu; ciemne pionowe urwiska ponuro zwisały nad miastem. W dali na równinie wznosiła się olbrzymia skalna cytadela. Ten wąski wapienny ostaniec w kształcie statku, uważany za biblijną Arkę Noego, stanowił naturalną granicę między starym a nowym Wanem.

Nowe miasto było bezbarwne i biedne. Zamieszkane głównie przez Kurdów, stanowiło zbieraninę sklepików i pudełkowatych domów skupionych wzdłuż wąskich ulic zapchanych samochodami i pieszymi. Starzy mężczyźni o ogorzałych twarzach i zrogowaciałych, popękanych dłoniach, weterani dawnych wojen i krwawych rebelii, dźwigali na ramionach szorstkie tureckie dywany, pukając do każdych drzwi w nadziei na zarobek. Młodzi, posępni i groźni, wystawali pod ścianami albo opierali się o latarnie, palili amerykańskie i rosyjskie papierosy i układali plany nowych bitew. Wan, jedno z najstarszych miast Turcji, było ongiś stolicą starożytnego królestwa Urartu, ojczyzną różnych plemion i narodów, miejscem licznych wojen i coraz to nowych rzezi. Jego mieszkańcy, zacięci, zimni i pozbawieni złudzeń, wychowywali się na wspomnieniach przegranych powstań, zdradzani i tępieni przez silniejsze narody.

Nie było tu w ogóle kobiet. Ani na ulicach, ani w sklepach, w bramach czy samochodach Roksana nie widziała ani jednej kobiety. W Wanie panowała atmosfera oblężenia, kobiety i dzieci ukrywały się przed wrogiem.

Tuż obok niej zatrzymała się ciężarówka pełna żandarmów - niewyszkolonych, nisko opłacanych i stale węszących za dodatkowym zarobkiem. Roksana, która w Wanie była ledwie od dwóch godzin, z daleka dawała się rozpoznać jako cudzoziemka. Nie tylko po ubraniu - szła jakby nieświadoma, że samotna kobieta na ulicy sama się prosi o kłopoty. Zażądali od niej dokumentów.

Odparła po persku, że nie ma żadnych. Wsadzili ją do samochodu i zawieźli na posterunek - jednoizbowy betonowy budynek pełen ordynarnych, uzbrojonych po zęby wąsatych mężczyzn. Większość znała perski w dostatecznym stopniu, by się z nią porozumieć. Nie obchodziło ich, skąd się wzięła i co zamierza robić w Wanie; chcieli wiedzieć, ile ma pieniędzy. Zabrali wszystkie, po czym wsadzili ją do dzipa mówiąc, że zawiozą ją do "hotelu dla uciekinierek".

Pojechali w stronę samotnej skały i leżącej poza nią starej części Wanu.

Stary Wan był olbrzymim zrujnowanym cmentarzyskiem, z którego sterczało kilka

strzaskanych minaretów nawiedzanych przez wspomnienia trwającego od wieków przelewu krwi. Tu ongiś król Sargon II kazał ściąć głowy całej armii, a potem usypać z nich stosy pod bramami miasta. Tu również w czasie pierwszej wojny światowej Turcy wymordowali trzy miliony Ormian.

Ale za starym miastem rozciągało się jezioro.

Olbrzymia nieruchoma turkusowa tafla przecinała jałową równinę, opierając się w dali o brunatne, skaliste góry. To śródziemne morze zdumiewało pięknem, a jeszcze bardziej - pustką. Wody, zbyt zasolone, aby nadawały się do picia czy nawadniania pól, były też niegościnnie dla wszelkich wodnych stworzeń. Nikt nie łowił tu ryb. Pokryte wulkanicznym piaskiem brzegi wznosiły się nagie i niedostępne.

To nie było morze, które Roksana często widywała w snach - to, nad które nocą wyfruwała z getta. Tamto miało barwę szmaragdów, otoczone było gęstą dżunglą, kipiące życiem. Pachniało ciepłym deszczem i chłodem poranka. Do jego brzegów podpływały foki. Na plażach roiły się stada ptaków.

Utraciła je na zawsze. Teraz była tutaj, nad jeziorem Wan, które przeżyło miliony ludzkich istnień i niejedno imperium, a wåsaci mężczyźni o brudnych rękach wieźli ją w stronę domu, który stał samotnie w najdalszym punkcie widnokreęgu.

Dom okazał się rudera z ciemnego drewna zbudowaną na gołej skale. Nie było tu bramy ani ścieżki wiodącej do drzwi. Roksana często słyszała o tanich nadgranicznych burdelach w Turcji - tchnących beznadzieją lokalach, w których zatrudniano jedenastoletnie dziewczice i pięćdziesięcioletnie babcie. Przez zamknięte drzwi dolatywał odór gnijących ran i suszonych krowich odchodów, zimnej spermy, świeżego potu i posiniaczonych ciał ocierających się o brudne prześcieradła.

Drzwi otworzyła kobieta około trzydziestki. Miała lśniące kruczoczarne włosy i powieki pokryte czarnym cieniem. Na widok żandarmów uśmiechnęła się, ukazując dwa rzędy idealnie równych złotych zębów.

- Przywieźliśmy ci coś - rzekł jeden z mężczyzn. - Świeżo przybyła. W ogóle nie zna języka.

Kobieta rzuciła Roksanie groźne spojrzenie i odsunęła się nieco na bok, żeby ją wpuścić.

- Zaczekaj w sieni - powiedziała.

I tak Roksana, która podobnie jak jej matka żyła w ciągłym strachu, by nie stać się "kobietą złej sławy", koniec końców trafiła do burdelu.

\*

- Dajcie już temu spokój - powiedziała Friiulein Claude dwa miesiące po ucieczce Roksany. - Za długo już jej nie ma. Nigdy jej nie znajdziecie, nawet gdyby jakimś cudem przeżyła gdzieś w tym kraju, wielkim i przepastnym jak piekło. Dajcie sobie spokój i przyjmijcie do wiadomości, że porzuciła was obu.

Obserwowała Timura przez całą noc ze swego pokoju po drugiej stronie korytarza. Stał w pustym prostokącie pozbawionej drzwi futryny i patrzył przez okno w niebo. Zrobiło jej się go żal. Po raz pierwszy od dnia, gdy ją zdradził z Roksaną, od tego poranka, kiedy weszła do kuchni, w której Jakub rozповідаł o ich sekrecie, Fräulein Claude zrozumiała cierpienie męża i chciała mu pomóc.

Ale rano Zohrab przybiegł do ojca szepcząc, że wciąż nie ma wieści (policja dzwoniła, żeby go o tym powiadomić, ponieważ pewien wysoko postawiony generał prosił ich o pomoc w imieniu Timura). Energiczne śledztwo nie przyniosło żadnych danych o losie Roksany. Fräulein Claude patrzyła ze zgrozą, jak jej mąż i syn naradzają się z powagą, co dalej. Ci dwaj mężczyźni podzieleni od dawna przez różnice charakteru, a później przez Roksanę, nagle stali się sojusznikami. Połączyła ich bezbożna więź, zjednoczyła chęć odnalezienia kobiety, która zniszczyła ich obu i zmieniła życie Fräulein Claude w piekło.

Weszła do Timura zbrojna w swą nienawiść i wypaliła im prawdę w oczy.

- Pewnie gdzieś gnije - dodała nie bacząc, iż Zohrab zachnął się ze złością. - Albo sypia już z kimś innym; je mu z ręki tak, jak jadła wam. Dość rwania włosów z głowy. Powiedzcie Lili, co się stało z jej matką, odwołajcie poszukiwania i spróbujmy wreszcie żyć dalej.

Siedziałam u siebie przy małym stoliku, na którym Maszti podał mi śniadanie, i słyszałam każde słowo.

Kiedy po południu wróciłam ze szkoły, zastałam w domu kompletne pandemonium.

Podwórze pełne było ludzi uzbrojonych w elektryczne piły. Ścinali drzewa. Wrzeszczeli do siebie przekrzykując ciągły jazgot maszyn, potem cofali się patrząc, jak olbrzymie pnie z hukiem wałęsają się na ziemię. Doprowadzony do ostateczności rozczarowaniem, w którym jego dusza spaliła się na popiół, Timur Heretyk kazał zniszczyć swój ogród.

Drzewa padały przez kilka dni. Policjanci grozili Timurowi grzywną za zakłócanie spokoju i odchodzili chowając do kieszeni łapówki. Urzędnicy ministerialni przewidywali

smutne konsekwencje, jeśli Timur nie zaprzestanie niszczycielskiej działalności. Miasto ma poważny problem ze smogiem, toteż Jego Wysokość uznał ścinanie drzew za przestępstwo. Odczepili się, kiedy Timur zaoferował im pracę u siebie.

Maszti płakał. Drzewa były wiekowe, o wiele starsze niż dom. Ilekroć któreś padało, w oknach pękały szyby, a w marmurowych posadzkach pojawiały się długie szczeliny.

Żona Masztiego, która nie przekroczyła progu naszego domu, odkąd Fräulein Claude oskarżyła ją o kradzież, tkwiła w bramie wjazdowej, głośno prorokując, że całe to trzęsienie ziemi obudzi pochowanych w niej zmarłych.

Fräulein Claude stała w oknie sypialni na górze, ubrana w czerwoną aksamitną sukienkę i najelegantsze buty. Napawała się triumfem. To ona pozostała na placu boju. Nie ustąpiła przed tą dziewczyną, która pojawiła się znikąd i uciekła nocą jak złodziejka.

Timur jej nie dostrzegał. Nie dostrzegał nikogo. Stał w drzwiach wejściowych; w tym samym miejscu, z którego przed laty po raz pierwszy zobaczył Roksanę i widząc ją pomyślał, że nie jest z tego świata. Albo umrze młodo, albo będzie żyła wiecznie - jak anioł.

\*

Nauczycielki w szkole zerkały na mnie i szeptem powtarzały sobie plotki o Roksanie. Woźny mruczał pod nosem ochronne zaklęcia, ilekroć go mijałam, i zalecał innym, by robili tak samo, jeśli chcą odwrócić zło, którego bez wątplenia jestem nosicielką. Dzieci powtarzały mi, co ich matki mówiły w domu - że Roksana nie uciekła, że mąż zamknął ją w ciemnej piwnicy, gdzie kona z głodu, na próżno wołając o pomoc.

Nawet dyrektorka szkoły nie oparła się ciekawości. Pod lada pretekstem wezwała mnie do siebie i spytała, dlaczego Timur zniszczył swój ogród.

- To z powodu złodziei - zełgałam na poczekaniu. Siedziałam na krześle z rękami złożonymi na kolanach, nie sięgając stopami podłogi. Czułam się pusta w środku, tak samo pozbawiona sensu jak moje słowa; wypełniał mnie tylko oddech.

Dyrektorka zaczęła krążyć po gabinecie, splótłszy ręce za plecami. Była przystojną kobietą po sześćdziesiątce, daleką kuzynką obalonego księcia, i usilnie starała się zachować honor rodziny. Ze szczególnym zainteresowaniem śledziła historię Timura Heretyka.

- A co mówi twój dziadek o ucieczce mamy? - Uśmiechnęła się do mnie przez warstwę pudru i rózu.

Ręce zadygotały mi na podolku.

- W ogóle o niej nie mówi - odparłam. Walczyłam ze łzami, z chęcią, by ukryć twarz w dłoniach i wybuchnąć płaczem. - Mama wróci - dodałam.

Dyrektorka podjęła marsz wokół pokoju, stawiając długie, bocienie kroki. Wychowana przez francuską guwernantkę, która jej wpoila europejskie maniery, wierzyła, że damy winny poruszać się jak tancerki, wysuwając nogi daleko do przodu tak, by ziemi dotykały najpierw palce, a dopiero później pięty.

- Na pewno wróci - stwierdziła bez przekonania. - Większość matek by wróciła.

Guwernantka nauczyła ją też, że należy być szczerą.

- Ale widzisz - ciągnęła, posuwając się okrężając gabinet - dotarły do mnie pogłoski, że twoja matka nie żyje. Podobno rzuciła się z okna i twój ojciec pochował ją w ogrodzie. Dlatego kazał zalać podwórze betonem: żeby nikt nie odkrył ciała.

\*

Księżycowa Miriam wróciła na aleję Wiary w asyście Rochelle i jej niskiego męża z nieodłącznym cygarem w zębach. Oznajmiła, że chce się ze mną widzieć. Od uciezki Roksany minęły cztery miesiące. Nikt w naszym domu nie wymawiał jej imienia.

- Może wyście dali już za wygraną - kłóciła się z Fräulein Claude pod drzwiami - ale ja nie. Ludzie nie znikają z powierzchni ziemi ot tak, jak kropla wody. Albo ją zabiliście, albo stąd uciekła. Jeśli nie żyje, chcę zobaczyć ciało. Jeśli uciekła, znajdę ją i sprowadzę z powrotem.

Byłam sama w pokoju matki. Stałam przed jej toaletką w biało-granatowym mundurku. Przychodziłam tu co rano, żeby się uczesać, i biegłam tu codziennie po powrocie ze szkoły. Spędzałam w tym pokoju każdy wieczór, każdy weekend. Stawałam przed lustrem Roksany, w miejscu, gdzie siedziała owego wieczoru, kiedy syn Masztiego zdjął wszystkie drzwi. Powiedziała wówczas, że zawsze będę ją widzieć. Wypatrywałam jej, ale widziałam tylko własne odbicie - bladą twarz o pełnych łęku oczach, chude nogi w białych podkolanówkach. Byłam zagubiona, przerażona i bezsilna. Znałam przecież jej plany, lecz mimo to nie zdołałam jej powstrzymać. Nie słyszała, że za nią wołam, nie dostrzegła mnie, nawet gdy się obejrzała.

Dla tej, którą kochałam najbardziej, byłam niewidzialna.

- A rób sobie, co chcesz! - wrzeszczała na dole Fräulein Claude. - Pochowaj ją albo znajdź, albo pisz o niej wiersze! Mam to w nosie, bylebym więcej nie oglądała ani jej, ani was!

Równocześnie Miriam napierała na drzwi i w końcu udało jej się wdrzeć do domu.

- Muszę porozmawiać z Lili - oznajmiła.

Nie wiedziałam, czy mam biec do niej czy się przed nią ukryć. Nagle pojawiła się w

lustrze Roksany, jej odbicie górowało nad moim. Miała na sobie grube okulary, zero makijażu i męski zegarek.

Położyła mi rękę na ramieniu i obróciła mnie do siebie.

- W porządku - szepnęła i sam dźwięk jej głosu, świadomość, że tylko ona jeszcze szuka Roksany, wycisnęła mi łzy z oczu.

Pewnie by mnie przytuliła, ale nikt nigdy nie okazywał jej czułości; nie umiała tego robić. Poklepała mnie więc po plecach i odgarnęła mi z twarzy włosy - tego samego koloru co włosy Roksany.

- Jakub Galareta przysięgł mi, że widuje twoją matkę - powiedziała. - Skoro przychodzi do niego, musi również przyjść do ciebie.

Potrząsnęłam głową, dławiąc się łzami. Znowu zawiodłam. Roksana do mnie nie przyszła.

Miriam zwolniła uścisk, poprawiła chustę. Zerknęła na przybory do makijażu leżące na toalecie i rozejrzała się, jakby chcąc wyczuć obecność siostry: było tu jej łóżko, jej ubrania, jej domowe pantofle ustawione równo pod krzesłem. Był flakonik na łzy, który dała jej Miriam.

- W każdym razie - Miriam odetchnęła głęboko, zbierając siły - chcę, byś jej wypatrywała. Bądź czujna. Nie słuchaj tego, co mówią inni, i wiedz, że Roksana wróci. Ty i ja musimy ją odnaleźć.

Przez długie lata nie sypiałam nocami, nasłuchując w ciemności kroków matki, jej pukania do drzwi. Wypatrywałam jej w tłumie, szłam za obcymi kobietami na ulicy, bo odrobinę przypominały mi Roksane. Przeszukiwałam podwórka i brukowane zaułki, wyobrażając sobie matkę uwięzioną pod kamieniami i gnijącą żywcem. W szkole ni stąd, ni zowąd oblewałam się potem i dostawałam ataków hysterii, pewna, że Roksana właśnie wchodzi do naszego domu, szuka mnie, woła i odejdzie, nim wrócę. Siadałam w kuchni obok Jakuba Galarety, który twierdził, że widuje Roksane za oknem, i czekałam na nią. Zerkałam w każde lustro, każdą szybę wystawową, marząc, że zobaczę za sobą jej odbicie. Oczywiście nigdy jej nie było. Powiedziała mi przecież, że już nie wróci. Lecz mimo to ufałam, że pewnej nocy, gdy moja nadzieja będzie silniejsza od rzeczywistości, gdzieś otworzy się okno i pojawi się w nim moja matka.

\*

Pod Gwiazdą Wschodu mężczyźni szli do łóżka uzbrojeni w noże, gotowi pozarzynać

się w bójce albo okaleczyć oporną dziwkę. Byli to źle opłacani żołnierze i kierowcy ciężarówek kursujących na długich trasach, chłopci pierwszy raz przybyli do miasta, przemycnicy irańskiego haszyszu i amerykańskiej whisky, Kurdowie rozgoryczeni dziejami stłumionych powstań. Większość miała rzeżączkę lub syfilis. Płodzone przez nich dzieci rodziły się w burdelu i jeszcze przed dwunastym rokiem życia zaczynały służyć rozrywce klientów - zarówno dziewczynki, jak chłopcy.

Właścicielem domu był turecki Azer, który prowadził sieć dwudziestu zamtułów rozsianych wzdłuż granic Turcji z Iranem i Rosją. Pojawiał się raz w miesiącu, by odebrać utarg od szefowej. Szefowa - ta ze złotymi zębami - sama była prostytutką i trzymała podwładne krócej niż jakikolwiek alfons. Kazała chłostać dzieci, które nie chciały oddawać się klientom, jedzenie wydzielala bardzo skąpo, żeby każda dziwka znała swoje miejsce i bez szemrania wykonywała polecenia; pozwalała klientom kaleczyć je nożami, a potem kazała im ścierać własną krew.

Wyłuszczyła Roksanie zasady:

- Będziesz pracować, dopóki zechcę cię trzymać - powiedziała. Oddech miała zimny i żółty jak metal w ustach. - Jeśli spróbujesz uciec albo będziesz się stawiać, chłopcy potną ci twarz. Jeśli zachorujesz, zdechniesz.

Warunki nie były ani lepsze, ani gorsze niż w podobnych lokalach w promieniu stu mil. Rozglądając się wokół, Roksana poznała dom ze swych koszmarnych snów, z przestróg Szuszy. Matka opowiadała jej o losie dziewcząt zbiegłych z domu. Roksana pamiętała historię swojej ciotki, która zachorowała na syfilis i oślepla, a także innej, którą porzucony kochanek utopił w jeziorze. Nie miała powodu przypuszczać, że jej własny los będzie inny.

Jednakże gdy uświadomiła sobie, jak odtąd będzie wyglądać jej życie, najbardziej nią wstrząsnął nie strach, lecz odkrycie, jak szybko spełniły się proroctwa Bibi. Ale za to była teraz nieskończenie wolna, jej czyny nie mogły już skrzywdzić nikogo prócz niej samej.

Przydzielono jej komórkę z łóżkiem i dwa prześcieradła na zmianę. Miała przyjmować klientów, ilekroć będzie potrzebna, a w wolnym czasie pomagać innym kobietom w gotowaniu, praniu i innych pracach. Jej pierwszym klientem był młody chłopak z Wanu, który uwinął się w niecałą minutę, a potem całował Roksane po rękach, powtarzając, że ją kocha. Drugi klient skatował ją tak, że zwymiotowała w łóżku. Potem przestała liczyć.

Wiedziała, że ucieknie. Musiała tylko poczekać na właściwą okazję.

\*

Mały Nuri, poborca, odwiedzał Timura dwa razy do roku od trzydziestu lat.



Przychodził w pierwszym dniu wiosny, rozpoczynającym w perskiej tradycji nowy rok, kiedy zwyczaj nakazywał obdarowywać bliźnich, oraz w dniu Bożego Narodzenia, gdy z kolei cały "cywilizowany" świat prześcigał się w hojności. W 1972 roku przyszedł nagle w lipcu. Tamtego lata upał odbierał ludziom rozum, a morze codziennie pochłaniało dziesiątki ofiar. Żona Nuriego chciała go zostawić, bo od dwudziestu lat czekała na własne mieszkanie i miała już tego dość. Mały Nuri potrzebował więc zastrzyku gotówki, jakiejś "premi", którą mógłby przeznaczyć na zakup mieszkania, inaczej już teraz mógł się uważać za rozwodnika. Przejrzał listę swych "klientów" i wybrał Timura - nie tylko dlatego, że Timur był bogaty, lecz także dlatego, że dziwaczne pogłoski o zniknięciu Roksany pozwalały przypuszczać, iż jej teść będzie zastraszonej i nie zechce się stawiać.

Mały Nuri był niski i łysy, miał głowę w kształcie melona, a prawą nogę krótszą i skręconą do środka, skutkiem czego wyraźnie utykał. Był kaleki od urodzenia, ale wstydził się do tego przyznać. Do niedawna przypisywał swą wadę zaburzeniom krążenia - pracował przy biurku i miał za mało ruchu. Przed trzema laty jednak, gdy nierozważnie zapuścił się na nasze podwórko, psy Fräulein Claude wyszarpały mu kawał mięśnia z prawego uda. Od tamtego czasu rozgłaszał już nową historię.

- Odniosłem ranę w służbie Jego Wysokości-opowiadał swoim tak zwanym "klientom". - Było to na terenie posiadłości wielmożnego Timura Chana. To doprawdy wspaniała rezydencja, choć jej właściciela prześladowuje pech. Byłbym doprawdy niepokieszony, gdyby Jego Wysokość skonfiskował dom za zaległe podatki.

W kraju, którego roczny budżet określała nie suma ściągniętych podatków, lecz resztki pozostałe, gdy szach i jego krewni podzielili się już dochodem narodowym, gdzie urzędnicy państwowi żyli wyłącznie z łapówek, Mały Nuri i tysiące jemu podobnych nie zbierali podatków, lecz haracz.

Owego lipcowego dnia przyszedł nie zapowiedziany, w samo południe, ściskając pod pachą zieloną aktówkę. Ubranie miał zmięte, spodnie poplamione baraním łojem, którym nacierał kaleką nogę, aby poprawić krążenie. Po tylu latach znajomości czuł się swobodnie: nie czekając na nadejście gospodarza, od razu udał się do jego gabinetu. Przed najazdem duchów-rabusiów kazałby Effat przynieść sobie sorbet z lodem. Teraz siadł o suchym pysku, mając nadzieję, że Fräulein Claude zaproponuje mu przynajmniej szklanę wody.

Nadzieja okazała się płonna.

Mały Nuri westchnął i otworzył zieloną aktówkę. Wyjął z niej stos rejestrów, mały notes, biuletyny różnych agencji rządowych i odręczne notatki na temat interesów Timura. Udało mu się umknąć dwóm nowym psom kupionym przez Fräulein Claude; teraz starał się

nie słyszeć ich ujadania, choć skakały do okna, drapiąc pazurami szyby. Nuri klął pod nosem, mrużąc powtarzaną od trzech lat litanię o tych szatańskich bestiach, które zrobiły z niego kalekę, i pocąc się ze strachu na wylot przez marynarkę.

Minęła godzina. Mały Nuri podszedł do drzwi i zawołał głośno. Dom zdawał się wymarły. Wyszedł na korytarz i zauważył mnie. Siedziałam u szczytu schodów przewieszony nogi między tralkami balustrady i przyglądałam mu się z zaciekawieniem.

- Idź, zawołaj dziadka - rzekł.

Nie ruszyłam się z miejsca. Timur leżał bezsennie w swoim pokoju i nie miałam najmniejszego zamiaru przeszkadzać mu z powodu Nuriego.

O trzeciej po południu Mały Nuri wciąż siedział w marynarce przed swoim rejestrem. Okna były zamknięte z powodu psów, a bijące w szyby słońce zmieniło gabinet w piekarnik. Wściekły Nuri wyjął z teczki stary numer "Hustlera" i zaczął go kartkować oblizując lubieżnie wargi. Dostawał "Hustlera" z miesięcznym poślizgiem od klienta, który prenumerował czasopismo. Oglądając zdjęcia nagich kobiet z olbrzymimi piersiami i tatuowanymi pośladkami Nuri przybladł, uśmiechnął się krzywo i zaczął pocić jeszcze obficie. Tak był zaabsorbowany, że nie usłyszał w porę nadejścia Timura.

Timur stanął nad nim jak kat.

- Pospieszyles się o pół roku.

Mały Nuri próbował równocześnie schować czasopismo, wstać i ucisnąć dłoń Timurowi, ale zdał sobie sprawę z bezcelowości tych niezdarnych wysiłków i usiadł z powrotem. Przysunął się bliżej biurka, żeby ukryć erekcję, i poskarżył się na niegościnnosć Fräulein Claude.

- Siedzę tu od trzech godzin, a nikt nie zaproponował mi nawet szklanki wody.

Timur patrzył nań obojętnie. Mały Nuri potrząsnął głową mrużąc, że bogacze w ogóle nie mają serc i dlatego zasługują na wszystko złe, które im się przytrafia. Potem otworzył notes na zaznaczonej stronie i zaczął czytać. Na początek podał kwotę zaległych podatków, potem odsetki i kary za uchylanie się plus koszt sądowe i honorarium księgowego, gdyby postanowił odwołać się od wymiaru... Jakież to smutne, dodał, że w kraju tak bogatym w ropę i inne zasoby musimy płacić podatki, ale cóż począc, takie są przepisy, Nuri jest tylko skromnym urzędnikiem państwowym na mizernej pensji, a musi przecież wykarmić czwórkę dzieci...

- Ile ci potrzeba? - przerwał Timur.

Mały Nuri miał minę człowieka, który wszedł do jubilera, lecz zamiast brylantów zaferowano mu zgniłe pomidory.

- Pan wybaczy. - Uśmiechnął się z dezaprobatą. - Nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o moich potrzebach.

W przeszłości nigdy nie była żadnych zgrzytów. Ich wzajemne układy przypominały kontredans wyuczony na pamięć przez ciągle ćwiczenia, ale tym razem Timur się wyłamał, zmylił krok. Włożył rękę do kieszeni i wyjął z niej plik banknotów.

- Masz - rzucił pieniądze na biurko, pod nos Nuriega. - Po resztę przyjdź w grudniu.

Łysy melon przybrał buraczkowy odcień. Mały Nuri spojrzał na pieniądze i nie zniżając się do tego, żeby je przeliczyć, począł chować papiery z powrotem do teczek. Widział, że Timur jest w fatalnym humorze, lecz małżeństwo Nuriega lada moment mogło się rozpaść z powodu studwudziestometrowego mieszkania, które bardzo chciał mieć i na które nie było go stać. Nie pozwolił się więc spławić człowiekowi mieszkającemu w pałacu, zionącym na dodatek pustką:

Z trzaskiem zamknął teczkę.

- Potrzebuję pięciuset tysięcy riali - rzekł szorstko. - Ma pan czas do jutra.

Wtedy Timur postanowił zapłacić podatek.

Wezwał do swego biura przy alei Firdausiego czterech biegłych księgowych. Byli to młodzi ludzie kształceni w Ameryce i pragnący wyrobić sobie dobrą markę wśród irańskich biznesmenów. Kiedy im oznajmił, że od trzydziestu lat nie zapłacił ani grosza podatku, uśmiechnęli się ze zrozumieniem. Gdy natomiast powiedział, że ma zamiar zapłacić go teraz, hurtem, ponieważ zmęczyły go już groźby byle jakich urzędasów noszących świerszczyki w aktówkach, księgowi zaczęli potrząsać głowami i trzeć podbródki, jakby mieli do czynienia z wariatem.

Zabrał ich do archiwum firmy, dusznej, pełnej kurzu sutereny bez okien, do której zrzucano bezładu i składu dokumenty z ostatnich dwudziestu lat.

- To tutaj - rzekł. - Proszę uporządkować zapisy i podać mi niepodważalny wynik, który będę mógł przedstawić kontroli skarbowej.

Jeden z księgowych, odważniejszy od pozostałych, bąknął:

- Zdaje pan sobie chyba sprawę, ekscelencja, że zapłacenie podatku wcale nie gwarantuje, iż uwolni się pan od ludzi przymawiających się o łapówkę. - Miał na sobie białe buty i białe płócienne spodnie już ubrudzone kurzem zalegającym w piwnicy. - Sam pan wie, że system bynajmniej nie opiera się na prawie.

Timur milczał. Ośmielany tym księgowy podjął z naciskiem:

- Ponadto nikomu nie spodoba się to, że nagle ni stąd, ni zowąd płaci pan zaległe ad

wielu lat podatki. Zrodzą się pytania: dlaczego inspektor skarbowy nie meldował o zaległościach? Ile naprawdę ma pan pieniędzy, że dobrowolnie chce się pan rozstać z tak olbrzymią sumą? Jego Wysokość podejrzliwie patrzy na ludzi wyłamujących się z szeregu. Napyta pan sobie kłopotów.

Odpowiedź Timura przeraziła młodego człowieka.

- Niczego bardziej nie pragnę - rzekł.

\*

Zohrab Grzesznik chciał mnie wysłać do szkoły za granicę.

Był maj 1972 roku, pięć miesięcy po zniknięciu Roksany. Jadłam kolację z ojcem i Fräulein Claude na balkonie. Pod nami Maszti płakał polewając wodą z węża betonowy plac, na którym ongiś rozkwitał jego wypieszczony ogród. Pozbawione drzew i wszelkiej roślinności podwórze zimą zmieniało się w lodowisko, latem zaś w piec hutniczy, po którym hulały kłęby kurzu. Co wieczór Maszti zlewał plac wodą, a unosząca się z rozgrzanego betonu para kryła go przed naszym wzrokiem. Potem zwijał wąż, spuszczał podwinęte nogawki i głośno przeklinał dzień, w którym Roksana wsiadła do jego samochodu.

Fräulein Claude przyrządziła sałatkę z prażonych bakłażanów z czosnkiem i pomidorami i nakryła stół dla trojga (Timur już od dawna nie wracał do domu na kolację). Siedziała teraz naprzeciw Zohraba na krześle z wysokim oparciem, które tylko akcentowało jej niski wzrost. Zohrab usiłował wciągnąć mnie do rozmowy. Pytał, co słychać w szkole. Odpowiadałam półsłówkami, z rzadka tylko podnosząc na niego wzrok. W ciągu ostatnich paru miesięcy urosłam. Odziedziczyłam po ojcu żółte oczy, poważne usposobienie, nawet sposób mówienia.

Była to kolejna przyczyna, dla której Fräulein Claude tak mnie nienawidziła. Chociaż bardzo pragnęła, nie mogła zaprzeczyć, że jestem dzieckiem spółdzonym przez Zohraba. Chciała więc się mnie pozbyć z domu, z kraju i w ogóle z oczu. Jako że Roksana też zniknęła, Fräulein Claude miała nadzieję zacząć życie od nowa.

Powiedziała Zohrabowi, że wymagam należytej opieki i że w moim najlepiej pojętym interesie leży wyjazd z domu, z którego zniknęła matka, i zmiana szkoły, w której tak nauczyciele, jak uczniowie nie przestawali plotkować o Roksanie. Wmówiła mu, że obowiązkiem ojca jest zapewnić mi nowy start i że wysyłając mnie w obce kraje uwolni mnie od dziedzictwa Roksany.

- Niech jedzie do Ameryki - nalegała. - To taki nowy i wielki kraj; nigdy nie natknie się tam na nikogo z naszych. Wyślij ją, póki jest jeszcze mała i łatwo się zaadaptuje.

Nietrudno było go przekonać. W Iranie, gdzie powszechne szkolnictwo wciąż pozostawało raczej w sferze marzeń, zamożni rodzice często wysyłali dzieci do zagranicznych szkół. Większość wkrótce po ukończeniu dziesiątego roku życia trafiała do europejskich szkół z internatem, gdzie uczyły się języków i zwyczajów "cywilizowanego" świata i gdzie dostęp do szkolnictwa wyższego był bez porównania łatwiejszy niż w kraju. Ale Fräulein Claude nie chciała czekać, aż podrosnę; uważała ponadto, że Europa jest zbyt blisko Azji. Dlatego wybrała Amerykę - kraj, który zabił Morada - i dlatego uparła się, by mnie wysłać już w tym roku.

- Niech tam zacznie pierwszą klasę, uczy się czytać i pisać po angielsku, nie po persku. Tak będzie lepiej dla niej i dla ciebie.

W marcu Zohrab porozumiał się z doktorem, który operował Morada. Z jego pomocą zapisał mnie do katolickiej szkoły z internatem nieopodal Pasadeny w Kalifornii. Zohrab nigdy nie był w Pasadenie i nie miał zamiaru przeprowadzać tam wizji lokalnej. Wiedział tylko, że jest to małe miasteczko, ciche, spokojne i daleko od Iranu. O swej decyzji nie powiadomił mnie jednak od razu. Czekał z tym aż do maja.

- Postanowiłem wysłać cię do amerykańskiej szkoły - rzekł tego wieczoru bez żadnych wstępów.

Fräulein Claude uprzątnęła ze stołu sałatkę i podała pieczone kurczę z szafranem i ziemniakami. Nawet ją zaskoczyło to niespodziewane oświadczenie.

- Naukę zaczniesz od września. Wyjedziesz pod koniec sierpnia.

Patrzyłam na niego szklistymi oczyma, z widelcem zawisłym w powietrzu.

- Szkołę prowadzą katolickie zakonnice - ciągnął, starając się zignorować mój pełen urazy wzrok. Pot wystąpił mu na czoło i górną wargę. - Wybrałem je, bo są konserwatywne, tak jak my, i wyznają podobne wartości. Powiedziałem im, że jesteś katoliczką, inaczej by cię nie przyjęły, ale że nie uczyłaś się religii. Zgodziły się nauczyć cię wszystkiego od podstaw.

Mogłam się tego domyślić. Powinnam była przewidzieć, co się święci. Ostatecznie Fräulein Claude nie robiła tajemnicy z tego, że chce się mnie pozbyć. Nieraz słyszałam jej zawile wywody, lecz za każdym razem powtarzałam sobie, że Zohrab nigdy się na to nie zgodzi.

- Pewnie będziesz chciała się pożegnać z koleżankami jeszcze przed zakończeniem roku - wykrztusił z trudem, unikając mego wzroku. - Wiem, że teraz wydaje ci się to trudne. Ale tak będzie dla ciebie najlepiej. Będziesz szczęśliwsza, dorastając z dala od tego domu.

Nim skończył, wybuchnęłam płaczem. Błagałam go, żeby tego nie robił. Zohrab przyciągnął mnie do siebie. Może mnie przytulił, może nawet płakał wraz ze mną - nie wiem.

Myślałam tylko o tym, że jeśli Roksana wróci, wyłoni się nagle z mroku, a ja będę daleko w Ameryce, to nie będzie wiedziała, gdzie mnie szukać.

\*

Roksana spędziła Pod Gwiazdą Wschodu osiem miesięcy. Spała z setkami mężczyzn, jadła stęchłe resztki, piła arak zmieszany z bimbrem. Myła się w jeziorze, w lodowatej wodzie pozostawiającej na skórze słony osad. Prała swoje rzeczy w tej samej brudnej balii, z której korzystały inne kobiety. Chorowała na malarię i tyfus i tylko dlatego pozwolono jej przeżyć, że cieszyła się powodzeniem u klientów. Wychudła i zżółkła, skórę miała szorstką od gorączki, brudu i potu obcych mężczyzn, zęby rozchwiane z niedożywienia, twarz pooraną bruzdami z wysiłku - ciągłego, niszczącego wysiłku, by nie myśleć o tym, co zostawiła za sobą.

Znów musiała uciec, ale by to zrobić, potrzebowała pieniędzy i mężczyzny, który zechce jej pomóc. Bez tego na otwartej równinie między jeziorem a Arką znaleźliby ją w ciągu kilkunastu minut. Potem skorumpowani policjanci by ją przywieźli z powrotem do burdelu, gdzie zostałaby zarżnięta na oczach innych kobiet, żeby dać odstraszący przykład.

Tamten chłopak, jej pierwszy klient, przychodził co tydzień, ściskając w garści uciulane grosze, którymi opłacał kilka minut z Roksana. Przychodził tylko do niej, bo nie drwiła zeń, a ponadto był przekonany, że ją kocha. Prawda, w ogóle rzadko się odzywała, jego ciało zdawało się budzić w niej wstręt i zawsze odwracała wzrok, gdy żarliwie wyznawał jej miłość. Chętnie poczeka, mówił. Na razie wystarczy, że go nie odtrąca, a z czasem, kto wie, może i w niej zrodzi się uczucie.

W lipcu znów zapadła na malarię i leżała nieprzytomna przez dwa tygodnie. Gdy gorączka ustąpiła, Roksana zdała sobie sprawę, że nie pożyje długo, jeśli zostanie Pod Gwiazdą Wschodu.

- Chcę z tobą uciec - powiedziała do chłopca. - Pomóż mi się stąd wydostać, a będę twoja i tylko twoja na wieki.

W oczach błysnęła mu radość. Po chwili jednak sposepniał.

- Złapią nas - rzekł ze strachem. - Ciebie zabiją, a mnie odetną jądra i wetkną do rąk. Tak robią z tymi, którzy pomogli w ucieczce jednej z was.

Podjęła ten sam temat przy następnej wizycie. Namawiała, by jej pomógł, bo w przeciwnym razie umrze; przysięgła, że jeśli ją złapią, nie zdradzi, kto ułatwił jej ucieczkę. Z tygodnia na tydzień przełamywała jego strach i karmiła go fałszywą nadzieją. W końcu chłopak ukradł ojcu pieniądze, kupił dwa bilety autobusowe do Ankary, odzież dla Roksany i

buty dla siebie. O świcie pewnego sierpniowego dnia czekał na nią nad jeziorem w samochodzie swego ojca.

Roksana wstała o piątej. Szefowa właśnie położyła się spać, a inne kobiety były jeszcze w swych klitkach. Na palcach wymknęła się z domu i znalazła chłopca w umówionym miejscu.

Pojechali na przystanek autobusowy, gdzie pozostawili auto. Musieli je zostawić - argumentował chłopak - bo policja bez trudu by ich znalazła. Gdy rodzice zgłoszą kradzież, tablice rejestracyjne natychmiast ich zdradzą.

Powiedzieli kierowcy, że są małżeństwem i jadą w odwiedziny do krewnych w Ankarze. Przez całą drogę z Wanu do Erzurum chłopak trzymał Roksanę za rękę i uśmiechał się do niej z uwielbieniem. W Erzurum autobus zatrzymał się pod przydrożnym barem, aby pasażerowie mogli coś ~jeść i rozprostować nogi. Chłopak poszedł za potrzebą do wygodki. Kiedy wrócił, Roksany już nie było.

Zabrała pieniądze, bilety autobusowe, odzież. Nie odbiegła daleko - ukryła się przy drodze, za głazami zepchniętymi przez lawinę zeszłej zimy. Ale chłopak się bał, że gdy zacznie jej szukać, aresztują go za pomoc w ucieczce prostytutki. Czekał w herbaciarni.

Autobus odjechał bez niego. Następny miał przejeżdżać dopiero za trzy dni, lecz chłopak nie ruszał się z miejsca. Pewien, że Roksana wróci, jeśli tylko zdoła, martwił się, że schwytała ją policja, kiedy on był w wygodce. W końcu właściciel herbaciarni zlitował się nad nim i mu wytłumaczył, że został wystrychnięty na dudka.

Chłopak wsiadł do powrotnego autobusu do Wanu. Kierowcy powiedział, że zapłaci za przejazd, kiedy wróci do domu i będzie mógł prosić ojca o przebaczenie.

Roksana szła dziesięć godzin ze swej kryjówki do następnej herbaciarni. Wsiadłszy z powrotem do autobusu, mówiła wszystkim, że jest bezdzietną wdową i jedzie, by zamieszkać z teściami w Stambule.

Erzurum było zimne, dzikie, rzadko zaludnione. Jadąc do Trabzonu, Roksana widziała przez okno rozległe bezdrzewne równiny i nagie, skaliste góry. Ziemia pękała tu od skrajnych temperatur. Droga była niemal pusta; obawiano się bandytów i partyzantów, którzy zatrzymywali samochody, by ograbiąć albo mordować pasażerów.

Położony nad Morzem Czarnym Trabzon okazał się nowoczesnym miastem pełnym aut, przechodniów i zdewastowanych domów. Był tu port i wielki rosyjski bazar. Stara objuczona tobołkami kobieta, która wsiadła tam do autobusu, powiedziała Roksanie, że w mieście roi się od kiepskich burdeli i rosyjskich prostytutek. Kopiąc bez przerwy mocne

tureckie papierosy, opowiadała, jak to Trabzon był ongiś krainą Amazonek, starożytnej rasy wojowniczek. Potem zapytała, dokąd Roksana jedzie.

- Do Stambułu - Roksana wbiła wzrok w okno.

- To daleko. - Kobieta kaszlnęła i zaczęła przekładać tobołki.

Roksana nie odpowiedziała. Aleksandra Kocica mówiła jej kiedyś, że Stambuł to miasto między dwoma morzami, najdalszy przyczółek Azji i pomost na kontynent europejski.

Przez większą część drogi z Trabzonu do Stambułu Morze Czarne kryło się za gęsto zalesionymi górami. Tu i ówdzie wyłaniały się skupiska wiejskich domów, migały pola tytoniu, wiśniowe sady i białe plaże nad szafirowym morzem. Mijali plantacje leszczyny w Giresunie, port w Samsunie, miasto Sinop, gdzie na początku wojny krymskiej angielskie i francuskie wojska pobiły Rosjan. Pusta droga przeważnie biegła zupełnie prosto, czarny asfalt odcinał się od błękitu morza. I w końcu po wielu dniach podróży wjechali do Stambułu.

Miasto oblepione było wokół slumsami i skupiskami prowizorycznych bud zamieszkanymi przez chłopów, którzy ściągali do Stambułu w poszukiwaniu pracy. Szalasy stawiane w ciągu jednej nocy korzystały z dawnego prawa chroniącego budynki zadaszone w porze nocnej. Panował w nich brud i przeludnienie, szalały choroby. Ludzie żyli tu w ciągłym oczekiwaniu katastrofy. Wcześniej czy później zjawiały się buldożery i równały wszystko z ziemią, by przygotować grunt pod nowe wysokościowce. Chłopi przeszukiwali rumowisko, ratowali, co mogli ze swego dobytku, przenosili się parę kilometrów dalej i stawiali nowe budy pod osłoną mroku.

Stambuł powstał w miejscu, gdzie Azja wita się z Europą nad turkusowymi wodami Bosforu, wąskiej cieśniny łączącej Morze Czarne z morzem Marmara i leżącym dalej Morzem Śródziemnym. Wzdłuż jej brzegów, zarówno po azjatyckiej, jak po europejskiej stronie, ciągną się ruchliwe, zatłoczone ulice, nad którymi górują nowoczesne wieżowce, a także wąskie brukowane zaułki duszące się w uścisku czynszowych kamienic. Tu i ówdzie pod niebem rozpiera się bazar, wznosi stare muzeum, pałac albo wieża zbudowana przez władcę z dawno wygasłej dynastii.

Roksana wysiadła z autobusu na głównym dworcu w Nowym Mieście. Stanęła na chodniku, przerażona tłokiem i hałasem, niezrozumiałym językiem, twarzami i manierami ludzi, które jej wydawały się obce - bardziej europejskie niż azjatyckie. Nie odważyła się prosić nikogo o pomoc. Za resztkę pieniędzy kupiła owoce u ulicznego przekupnia i usiadła na chodniku, by zjeść. Od jej ucieczki z Wanu minęło osiem dni; od dnia, w którym opuściła Teheran - prawie dziewięć miesięcy.



Kramarz przyglądał się jej podejrzliwie; przestraszyła się, że wezwie policję. Wstała zdezorientowana i zaczęła iść w stronę morza. Zaszłam za daleko, powiedziała do siebie. Aleksandra, która skradła pieniądze matki i pozostawiła jej martwe ciało, nauczyła Roksane, że aby przeżyć, nie wolno się zatrzymywać.

'''

Wieczorem przed wyjazdem do Ameryki Zohrab dał mi bransoletkę - cienką złotą obręcz z imieniem Roksany wygrawerowanym z jednej strony, a moim z drugiej. Powiedział, że wkrótce znów się zobaczymy. Wiedziałam, że kłamie.

Położył mnie spać i poszedł czytać w swoim gabinecie. Godzinę później przeniosłam się do pustego łóżka Roksany w pokoju obok.

Leżałam w jej pościeli, z głową na jej poduszce i modliłam się, by przyszła mnie ratować, zanim Zohrab wyśle mnie na koniec świata. Do czwartej rano, gdy zawołał, że czas wstawać, nie zmrużyłam oka czekając na matkę.

Umyłam twarz zimną wodą, zwilżyłam włosy i zaczesalam je do tyłu. Włożyłam nową sukienkę, nowe skarpetki i buciki. Zohrab zniósł moje bagaże. Weszłam do pokoju Roksany po raz ostatni.

Siedziała przy toaletce i z uśmiechem wyciągała do mnie ramiona. Znów słychać było jęk ściąganych drzwi, znów mnie objęła mówiąc, że zawsze będziemy się widzieć. Wtuliłam twarz w jej ramię, wdychając zapach włosów. Dotknęłam jej białej skóry, blad różowej tkaniny sukienki. Roksana się roześmiała.

Obok na stoliku poniewierały się przybory do makijażu, sztuczna biżuteria, zużyte do połowy szminki, niebieskie i zielone cienie do powiek, rozkruszone na proszek i zgarnięte z powrotem do pudełeczek. Obok stała biała skórzana torebka z wygiętą bambusową rączką. Pod ścianą dębowa szafa, otwarta jak kobieta lekkich obyczajów, poskrzypywała lekko, kiedy drzwi kołysały się na zawiasach. Zakurzone, spłowiałe ubrania Roksany wisiały na wieszakach niczym ciała oczekujące dusz. Niekiedy latem, w czasie długiej sjeisty, gdy wszyscy leżeli bezsennie, przeklinając upał, wkładałam te sukienki i błąkałam się po domu udając moją matkę.

Szukałam pamiątki, którą mogłabym zabrać do Ameryki. Powinnam była dawno zebrać rzeczy Roksany, zamknąć je gdzieś na klucz, żeby nikt ich nie sprofanował, kiedy mnie tu nie będzie. Zobaczyłam szkatułkę, w której leżał list Mercedes; szybko wyjęłam kopertę i schowałam ją do kieszeni. Później zobaczyłam zielony flakonik mojej babki Szuszy, która wypila swoje łyzy. Chętnie bym go wzięła, nie wiedziałam tylko, czy Zohrab się zgodzi i

co powie Roksana nie znalazłszy go, kiedy wróci. Ojciec wołał mnie z dołu. Wybiegłam na korytarz.

U stóp schodów stała Fräulein Claude w szalu narzuconym na ramiona.

- Bądź grzeczna - powiedziała sucho, nie starając się nawet uśmiechnąć.

Timur przygarbiony wyszedł z gabinetu. Położył mi rękę na głowie i odmówił modlitwę.

- Jedź - rzekł, całując mnie po raz pierwszy w życiu - i oby Bóg uwolnił cię od nas wszystkich.

Mashti otworzył grawerowane szklane drzwi i wpuścił do środka chłodny podmuch nocy. Psy ucichły, a po chwili znów zaczęły ujadać targając linki. Mashti je uwiązał, żebyśmy mogli bezpiecznie przejść do samochodu. Zohrab pociągnął mnie lekko za rękę. Ruszyłam za nim.

Usiadł ze mną na tylnym siedzeniu, obejmując mnie ramieniem. Wciąż unikał mego wzroku, jakby wiedział, że popełnia grzech.

Samochód ruszył cicho ciemnymi ulicami. Słuchałam odgłosu opon trących o asfalt, matowego szczęku pedałów sprzęgła i gazu, oddechu Zohraba tuż nad moim uchem. Jechaliśmy na północ; po chwili niebo zaczęło się przejaśniać, z wolna ukazał się zarys gór Elburs. Opuściłam szybę i spojrzałam w niebo. Nigdzie indziej na świecie nie można zobaczyć barwy teherańskiego świtu.

Na lotnisko dotarliśmy o szóstej rano. Kobieta z długimi czerwonymi paznokciami obejrzała mój paszport. Zohrab był blady, dłonie miał trupio zimne. Czekaliśmy. Po jakimś czasie zapowiedziano lot.

Zohrab przeszedł ze mną przez kontrolę celną, przez pole startowe i wprowadził mnie po schodkach do samolotu. Pokazał mi, gdzie mam usiąść, wyjął poduszkę i koc i oddał mnie pod opiekę stewardesy. Potem mnie uścisnął, tuląc tak długo, że zrozumiałam, iż wyrzeka się mnie na zawsze.

Kiedy podniosłam głowę, siedł już do wyjścia. Kilka minut później zobaczyłam go przez okienko; stał za barierką na końcu pasa. Nie byłam pewna, czy widzi mnie w oknie samolotu, ale tkwił tam prawie przez godzinę, dopóki samolot nie ruszył z miejsca. Kiedy zaczęliśmy kołować, pomachał na oślep ręką. Próbowałam wykrzesać w sobie wiarę, że mnie kocha, że dam sobie radę bez niego, że nie utracę go bezpowrotnie, jak utraciłam Roksanę.

Potem przyłożyłam twarz do okna, w którym jeszcze przed chwilą go widziałam, i płakałam przez całą drogę do Ameryki.

# Kraj szans i możliwości

## 1972

---

Siostra Ana Rose z Akademii dla Dziewcząt pod wezwaniem Świętej Marii Magdaleny stała w swoim zakonnym habicie i czarnych ortopedycznych butach, wyciągając szyję i przyglądając się pasażerom tłumnie wysiadającym z samolotu na lotnisku międzynarodowym w Los Angeles. Twarz miała bladą ze zmartwienia, wargi zaciśnięte, jakby tłumiała płacz. Wysłano ją, żeby zawiozła mnie do szkoły. Tymczasem była zagubiona, przerażona i rozpaczliwie potrzebowała pomocy. Nie zauważyła stewardesy, która trzymała mnie za rękę.

- Pewnie czeka siostra na Lili - stewardesa dotknęła jej ramienia.

Siostra Ana Rose odskoczyła ze stłumionym okrzykiem i obejrzała się spłoszona w stronę najbliższego wyjścia. Po chwili zerknęła niepewnie na stojącą przed nią kobietę:

- To jest Lili - powtórzyła cierpliwie stewardesa. Ojciec polecił mnie jej opiece w Teheranie i uprzedził, że w Los Angeles odbierze mnie zakonnica. - Przypuszczam, że to właśnie na nią siostra czeka.

Zakonnica spojrzała na mnie podejrzliwie. Po chwili udało jej się wreszcie skupić i jej wargi zaczęły odzyskiwać normalny kolor. Bałam się, że złamie się w pół i zniknie jak czarna kukielka na końcu długiego, koszmarnego przedstawienia.

- Nareszcie - wyszeptła. - Byłam pewna, że się z nią minęłam.

Stewardesa napomknęła o moim bagażu.

- A, tak - siostra Ana Rose rozejrzała się nieprzytomnie. - Oczywiście. Bagaż.

Okręciła się wokół i ruszyła przed siebie, ale ja twardo stałam w miejscu, kurczowo ściskając rękę stewardesy.

Spędziłam w samolocie dwadzieścia dwie godziny, zbyt zdenerwowana, żeby cokolwiek przelknąć albo skorzystać z toalety. Bałam się, że nie trafię z powrotem na miejsce. Samolot lądował w Londynie, potem w Nowym Jorku. Inni pasażerowie wychodzili i spacerowali po terminalach. Ja siedziałam w fotelu z ręką w kieszeni płaszczyka, ściskając kopertę, którą zabrałam w ostatniej chwili z pokoju Roksany. Ilekroć ktoś się do mnie zwracał, otwierałam usta, lecz nie udawało mi się wydobyć z nich głosu. W końcu stewardesa usiadła obok i objęła mnie ramieniem.

- Nie bój się - powiedziała, tuląc mnie do siebie.

Zdenerwowałam się tak bardzo, że zaczęłam wymiotować.

To strach - zimny, biały, nieprzewyciężony strach - paraliżował mnie w czasie lotu odbierając słuch i mowę. Znałam go od urodzenia. Odziedziczyłam go po Roksanie. Tym samym strachem emanowały jej dłonie, które mnie tuliły, lecz w każdej chwili mogły puścić; jej oczy, które patrzyły na mnie, lecz zawsze odbijały się w nich obce horyzonty. Lęk budził mnie w nocy; szłam do niej i zastawałam puste łóżko, a w nim tylko odcisk jej ciała. Kiedyś, jeszcze w czasach przed zdjęciem drzwi, przyglądałam się Roksanie z balkonu. Spacerowała po podwórzu, na którym suszyły się w słońcu świeżo wyprane prześcieradła. Jej drobna, krucha postać pojawiała się między dwiema białymi płachtami, znikała, pojawiała się znowu i znów znikała. Ilekroć ginęła mi z oczu, strach tamował mi oddech.

Stewardesa pachniała pudrem we fluidzie i perfumowaną szminką.

- Nic się nie martw - pocieszała mnie. Mówiła wyraźnie, z brytyjskim akcentem, którego uczono mnie w przedszkolu, lecz mimo to z trudem ją rozumiałam. - Wszystko będzie dobrze. Ta pani zawiezie cię do szkoły i zaopiekuje się tobą.

Jeszcze mocniej ścisnęłam jej rękę. Otworzyłam usta, żeby powiedzieć, że nie chcę tu zostać, nie chcę iść z tą kobietą w czarnym habicie.

Siostra Ana Rose złapała mnie za łokieć i pociągnęła za sobą.

Stałyśmy przy taśmie z bagażem. Rozmaite walizki jeździły w kółko tam i z powrotem. Obejrzałyśmy je trzy razy, zanim siostra Ana Rose uświadomiła sobie, że nie wiem, po co żeśmy tu przyszły.

- Wybierz swoje walizki - zabalgotała po amerykańsku.

Spojrzałam na nią, spojrzałam na taśmę, lecz nie ruszyłam się z miejsca. Zapomniałam, jak wygląda mój bagaż.

- Które walizki są twoje? - spytała.

Nie odpowiedziałam.

Zakonnica westchnęła i przestąpiła z nogi na nogę, zastanawiając się głośno, co w tej sytuacji powinna uczynić. W końcu złapała moją książeczkę biletową i zaczęła szukać odcinka na bagaż.

- Nikt mnie nie uprzedził, że to dziecko jest nieme - mruknęła pod nosem.

Wbrew pozorom to nie był koniec jej kłopotów. Musiałyśmy jeszcze znaleźć wyjście z lotniska i trafić na parking, gdzie siostra Ana Rose zostawiła samochód.

Zwiedziłyśmy wszystkie parkingi w okolicy. Wspinaliśmy się z podziemi aż na dach i z powrotem, dwukrotnie powtarzając każdą trasę i oglądając każdy samochód ze wszystkich stron. Siostra Ana Rose załadowała moje walizki do metalowego wózka, który energicznie toczyła przed sobą, nie oglądając się, czy nadażam. Parła jak lokomotywa, za każdym razem równie przekonana, że to tutaj, na tym parkingu, na tym piętrze. Godzinę i trzy parkingi później załamała się i chciała już zawiadomić policję, że jej auto zostało skradzione. Nagle wydała głośny okrzyk ulgi i rzuciła się biegiem. Oto przed nami stał obiekt jej westchnień: poobijany żółty pikap z rozbitym tylnym kloszem i spękaną tapicerką połataną taśmą samoprzylepną.

- Wiedziałam, że gdzieś tu jest - sapnęła z zadowoleniem.

Jakoś wydostałyśmy się z lotniska i wjechały na autostradę. Skuliłam się z tyłu. Zmysły miałam przytępione zmęczeniem i strachem, rękę zaciśniętą na kopercie w kieszeni. Byłam wdzięczna zakonnicy, że się nie odzywa, że zdaje się nie zauważać mojego istnienia. Po jakimś czasie jednak rzuciła okiem w lusterko i poczuła się zobowiązana przerwać milczenie.

- Słyszałam, że twoja matka nie żyje - powiedziała.

Autostrada była szara, długa i biegła przez pustkowie. Jechałyśmy prawym, najwolniejszym pasem. Siostra Ana Rose hamowała przed każdym zjazdem zastanawiając się, czy to tu, i zerkając na przyklepioną do deski rozdzielczej kartkę z wypisanymi wskazówkami, które wszakże niewiele jej pomogły w praktyce. W końcu skręciłyśmy na szeroki bulwar, mijając na przemian olbrzymie magazyny i wielkie puste parkingi. Dalej rozpoczynała się dzielnica parterowych i dość zaniedbanych domków jednorodzinnych. Mężczyźni w podkoszulkach siedzieli na zagraconych werandach i grali w karty w popołudniowym upale. Umorusani mali chłopcy jeździli na rowerach po wyboistych chodnikach. Zatrzymałyśmy się przed beżowym piętrowym budynkiem, przed którym stała figura smutnej kobiety zatopionej w modlitwie. Wsiadłszy, ujrzałam nazwę szkoły na niewielkiej tabliczce przymocowanej do drzwi.

- Pokażę ci twój pokój. - Siostra Ana Rose zdjęła walizkę z paki.

Wąska sień prowadziła do poczekalni z niskim stolikiem i staromodnym telefonem z okrągłą tarczą. Na prawo było biuro, w którym, jak wkrótce się dowiedziałam, urzędowała matka przełożona. Na lewo wąski korytarz prowadził do klas. Przeszłyśmy podwórzem do mniejszego budynku, który niegdyś należał do sąsiedniej parceli. Szkoła zakupiła go i przekształciła w internat. Była tam jadalnia, trzy dwuosobowe pokoje oraz dwie łazienki.

Pokoje były puste i ciemne. Moje łóżko stało pod oknem, z którego roztaczał się widok na podwórkę i przylegający do niego mały cmentarz.

- Możesz się rozpakować. – Siostra Ana Rose pokazała mi moją szafę. - Spóźniłaś się na obiad. Kolacja będzie o szóstej.

Wiszący na ścianie zegar gapił się na mnie swoją białą twarzą, ale nie umiałam jeszcze odczytywać czasu.

Zakonnica ruszyła do drzwi, zawahała się i zawróciła.

- Rozumiesz po angielsku? - spytała.

Kiwnęłam głową. Przyjrzała mi się z powątpiewaniem.

- Czy to oznacza: "tak"?

Ponownie kiwnęłam głową.

- Dobrze - burknęła. - Lekcje zaczną się dopiero za dwa tygodnie. Na razie jesteś tu tylko ty, ja i matka przełożona. Ojciec przysłał cię wcześniej, żebyś zdążyła się zaaklimatyzować, no i żeby ci wyjaśniła, co i jak, zanim zjawią się inne dziewczęta.

Usiadłam na brzegu łóżka. Siostra Ana Rose rozpląnęła się w ciemnym korytarzu, jakby w ogóle nigdy nie istniała.

Dni mijały mi w ciszy pustej szkoły. Nie miałam nic do roboty; mogłam tylko czekać. Dryfowałam we mgle strachu i bezsenności. Nie spałam po nocach, toteż w dzień nie potrafiłam się skupić. Ale za każdym razem, gdy usiłowałam zamknąć oczy, strach natychmiast je otwierał.

Siostra Ana Rose dała mi stosik książek z obrazkami, podpisanymi dużymi drukowanymi literami, i kazała mi je codziennie przeglądać. Zostawiłam je nie tknięte na stole. Co rano prowadziła mnie do kaplicy i kazała powtarzać słowa modlitwy. Patrzyłam tylko, jak porusza wargami. Sama nie byłam w stanie przemówić. W jadalni siadała naprzeciw mnie i kazała jeść. Wkładałam jedzenie do ust, lecz nie mogłam go przełknąć. Całymi dniami modliłam się, żeby ojciec nareszcie zadzwonił.

Zadzwonił na siódmy dzień.

- Zabierz mnie do domu! - krzyknęłam z płaczem do słuchawki aparatu przed gabinetem matki przełożonej.

Zohrab milczał. Siostra Ana Rose przyglądała mi się z powagą.

- Chcę do domu!

- Na razie nie wrócisz do domu - rzekł mój ojciec. – Masz już sześć lat, jesteś prawie dorosłą damą i musisz stać na własnych nogach.

Nie winiłam go. Wtedy jeszcze go nie winiłam.

Zamiast go winić, próbowałam mu wierzyć, próbowałam przecześć strach i bezsenność, napady paniki, podczas których miały mną lodowate dreszcze, a żołądek wyrzucał wszystko, co zjadłam. Próbowałam być posłuszna, uczynna, cierpliwa. Kiedy dzwonił, opowiadałam mu o wszystkim, co robiłam od przybycia do Ameryki, opisywałam kolor zasłon w pokoju, zapach farby w jadalni, modlitwy, jakie nauczono mnie odmawiać, i litery alfabetu, które pokazywała mi siostra Ana Rose. Opowiadałam mu o wszystkim, jakby dzięki temu mógł mnie zobaczyć, przekonać się, że rozpaczliwie pragnę wrócić, i wcześniej czy później pozwolić mi na powrót do domu, bo jeszcze nie przestał mnie kochać.

Nie mogłam go winić, bo choć tak niedostępny w swoim smutku, był moją jedyną nadzieją.

Dopiero później nazwałam go "Grzesznikiem".

Do Akademii Świętej Marii Magdaleny uczęszczało czterdzieści osiem dziewcząt. Byłam jedną z czterech pierwszoklasistek i jedną z dwóch uczennic, które mieszkały w internacie. Ta druga chodziła już do czwartej klasy i była dzieckiem mieszanego, meksykańsko-amerykańskiego małżeństwa. Jej rodzice bez przerwy jeździli ze Stanów do Meksyku i z powrotem. Zabierali córkę tylko na ferie. Była smagła i cicha, nieustannie pisała listy, liczyła i zakreślała kolejne dni w kalendarzu wiszącym nad łóżkiem.

- Jeszcze sześćdziesiąt cztery dni i pojedę do domu. Jeszcze sześćdziesiąt trzy dni. Sześćdziesiąt dwa.

Rzadko ze sobą rozmawiałyśmy.

Pozostałe uczennice były Amerykankami i rodzice wozili je do szkoły na lekcje. Rano wbiegały do budynku szukając swoich przyjaciółek. Po południu gromadziły się na trawniku przed szkołą i snuły plany wspólnych spotkań u tej albo tamtej. Obserwowałam je w kaplicy, w klasie, na dużej przerwie. Trzymały się w grupkach, mówiły głośno, emanowały pewnością siebie. Kiedy mnie mijały, usiłowałam się wtopić w ścianę. Śmiały się z dowcipów, których nie rozumiałam. Nigdy nie brałam udziału w ich rozmowach. Na mój widok przewracały oczyma, robiły miny i wzruszały ramionami. Traktowały mnie jak niedorozwiniętą, a przynajmniej głuchą - mówiąc do mnie nachylały się i podnosiły głos.

- To sierota - stwierdzały, nie troszcząc się, że wszystko słyszę.

\*

Było już ciemno, gdy Roksana przeszła przez stary most pontonowy nad Złotym

Rogiem - cyplem, który z trzech stron okalała woda, a który łączył Nowe Miasto ze starym. Z czwartej strony, otoczony wzniesionymi w piątym wieku murami Teodozjusza, rozciągał się Stambuł.

Ów przylądek wypiętrzony siedmioma wzgórzami był ongiś sercem wielkich imperiów. Jako Konstantynopol, klejnot cesarstwa bizantyńskiego, przez całe tysiąclecie był najważniejszym miastem świata. Później stał się stolicą otomańskich sułtanów, których władztwo przetrwało pięćset lat i rozciągało się od Morza Czarnego i Bałkanów do Arabii i Algierii. To tu znajdował się pałac Topkapi i kościół Świętego Zbawiciela w Chorze, Błękitny Meczet zwieńczony kaskadą kształtnych kopuł oraz Wielki Bazar ze sklepionym dachem i czterema tysiącami sklepików. Rojący się tłumami mieszkańców i turystów Stambuł mieścił drogie restauracje i przenośne kramy, słoneczne bulwary wychodzące nad błękitne morze oraz ciemne zaułki pełne sznurów z suszącą się bielizną, anten i śmieci spiętrzonych w każdym kącie. Za pierścieniem wzgórz królowały rezydencje bogatych Turków, którzy jeździli europejskimi samochodami i wracali na weekendy do swoich domów nad Bosforem. Niżej były dzielnice handlowe, odwiedzane przez turystów meczety i muzea, bazary na wolnym powietrzu i restauracje. Na przedmieściach rozciągały się slumsy.

A morze wciskało się wszędzie.

Tak więc Roksana została. Dotarła do samego krańca Azji i nie miała już dokąd iść. Tu przynajmniej słyszała łagodny plusk fal i choć nie były to słodkie, niebieskozielone wody Morza Kaspijskiego, o których zawsze marzyła, trzy morza wokół Złotego Rogu dawały jej niczym nie zmacony widok aż po horyzont, obmyty z więzów i wspomnień.

Znalazła pracę jako sprzątaczką w tureckiej restauracji naprzeciw dworca Topkapi. Wprowadziła się do przeludnionej kamienicy Kumkapi nad morzem Marmara. Ta etniczna dzielnica przylegała do hurtowego targu rybnego i zamieszkiwali ją prawie wyłącznie Ormianie. Nad brukowanymi uliczkami dniem i nocą unosił się smród ryb i podniesione głosy Ormianek awanturujących się z pijanymi mężami i pokrzykujących na swe liczne potomstwo. Kanalizację w budynku dawno przeżarła rdza. Jedyne źródłem światła w pokoju Roksany była goła żarówka, którą musiała wkręcać i wykręcać, bo włącznik również nie działał. Korytarze śmierdziały moczem. Właściciel przychodził w poniedziałki po czynsz, a potem zniknął.

Roksana pozostała tam tydzień, potem miesiąc, potem rok. Jeździła autobusem do pracy, mówiąc wszystkim, że jest samotną wdową z Iranu. Nauczyła się tureckiej gwary od kelnerki i pomywaczki z restauracji - wszystkie były chłopkami, które niedawno przyjechały ze wsi - a także odrobinę angielskiego, francuskiego i niemieckiego od turystów, którzy



przychodzili tam na obiad. Trzymała się na uboczu, nie znała nawet swoich sąsiadów. Czasem, kiedy doskwierała jej samotność, a własne ciało wydawało się zimne i twarde jak rybia łuska, zapraszała do siebie jakiegoś mężczyznę i spała z nim w wąskim skrzypiącym łóżku z wystającymi sprężynami, które mimo jej wysiłków zawsze gniotły. Mógł to być kelner z restauracji, nastoletni Ormianin znudzony pracą na targu rybnym, turysta, który podniósł wzrok znad befsztyka i spostrzegł Roksana myjącą podłogę naokoło grilla. Jeśli dawali jej pieniądze, brała. Robiła im kawę po turecku na przenośnej kuchence gazowej, która w razie potrzeby służyła też jako grzejnik.

- Opowiedz mi coś - mówiła, a potem przyrykała oczy i zamieniała się w słuch.

Lata mijały, a Roksana Anielica wciąż mieszkała w tym samym pokoju naprzeciw targu rybnego. Powoli wygasła w niej chęć, by ruszyć dalej. Od dawna już nie śniła o lataniu. Nie mówiła po persku, nie śledziła doniesień prasowych, celowo omijała irańskich turystów oraz ludzi, którzy rozmawiali o jej kraju. Nie bała się już duchów-rabusiów ani nawet Fräulein Claude. Oczy Timura śledziły ją z bezpiecznej odległości i mogła bez lęku przeleżeć całą noc nago pod jego spojrzeniem.

Tylko czasami, kiedy autobus ugrzązł w korku na skrzyżowaniu albo kiedy chowała się przed policją szukającą w budynku złodziei i prostytutek, albo kiedy stała na rogu ulicy paląc papierosa, uderzała ją nagle świadomość, że zrzuciła wszystkie więzy, nikt jej nie zna i umrze w tym mieście wolna, to prawda, ale też zupełnie samotna.

\*

Moja współlokatorka, Iliana, poskarżyła się na mnie matce przełożonej. Powiedziała, że całymi nocami nie śpię. Ciągłe wymiotuję, godzinami wpatruję się w książkę nie odwracając strony, ogryzam paznokcie do krwi i dźgam się ołówkiem w dłoń, dziurawiąc skórę. Jęczę z bólu głowy. Tnę nożyczkami wszystko, co wpadnie mi w ręce - książki, mundurek, nawet pościel. Rysuję sobie piórem po rękach.

Matka przełożona wezwała mnie do gabinetu i udzieliła mi nagany. Dwa tygodnie później, kiedy Iliana znów poszła na skargę, zadzwoniła do ojca.

- Proszę jej dać trochę czasu - powiedział. - Za parę miesięcy przywyknie.

Otrzymałam drugie ostrzeżenie i musiałam obiecać, że się poprawię.

- A tak w ogóle, co z tobą? - spytała Iliana, kiedy wyszłam z gabinetu. - Dlaczego cię tu przysłali?

- Nie wiem - odparłam modląc się, żeby już o nic więcej nie pytała.

- A czemu cię nie odwiedzają?

Wzruszyłam ramionami i przyspieszyłam kroku. Podbiegła za mną.

- Kim jest ta osoba z Beverly Hills?

Szłam przed siebie. Wyczuła, że chcę się jej pozbyć, i tym bardziej nie miała zamiaru ustąpić.

- No wiesz, ta, której adres ciągle nosisz w kieszeni.

Zwolniłam i zatrzymałam się.

- Od początku roku widzę, jak ściskasz tę kopertę - ciągnęła Iliana. - Nie wiem, co znaczą te hieroglify na przodzie, ale adres zwrotny jest z Beverly Hills.

Serce mi załomotało. Przypomniałam sobie zakreślony czerwonym ołówkiem napis w lewym górnym rogu koperty - słowa, które moja matka uznała za tak ważne, aby je zaznaczyć i zachować. Wyjęłam z kieszeni brudną, wymiętoszoną kopertę i pokazałam ją Ilianie.

Iliana rozprostowała ją z niejakim wstrętem i spojrzała na adres zwrotny.

- O, tu: Bulwar Zachodzącego Słońca 1282, Beverly Hills, Kalifornia.

Poczułam, że drzwi się uchylają i wpada przez nie promień światła.

Wieczorem, gdy Iliana znów liczyła kratki w kalendarzu, zapytałam ją, czy pomoże mi napisać list do kobiety z Beverly Hills.

- Sama go napisz - odparła nie patrząc na mnie.

- Nie umiem.

- A co mnie to obchodzi? - prychnęła gasząc światło. - Nie jestem nauczycielką ani twoją niańką.

Za bardzo się jej bałam, żeby się spierać. Przez chwilę leżałam w ciemności. Kiedy uznałam, że już śpi, wstałam i zapaliłam lampę. Iliana zakłęła, ale nie chciało jej się wstawać z łóżka, żeby zgasić.

Usiadłam przy stole i wyrwałam kartkę z zeszytu. Zbliżało się Święto Dziękczynienia, miałam więc za sobą dwa miesiące nauki, a umiałam napisać tylko swoje imię i parę najprostszych słów. Po długim namyśle wzięłam pióro i nagryzmołam:

*Roksana*

*Lili*

*Proszę.*

Iliana wychyliła się z łóżka i widząc mój list, ryknęła śmiechem. Potem wstała i wyjęła ze swojej szafki kopertę.

- Masz - powiedziała, adresując ją z obu stron. - Może ta kobieta zabierze cię stąd i

wreszcie będę mogła się wyspać.

\*

Mercedesz Gwiazda Filmowa mieszkała w Los Angeles od szesnastu lat - odkąd przybyła tu w końcówce podróży poślubnej z Aminem i stąd odesłała go do domu. Najpierw zwiedzili Europę - Paryż, Londyn i Frankfurt, Ateny, Madryt i Monte Carlo. Amin kupował jej stopy ubrań, bilety pierwszej klasy w samolotach i na statkach wycieczkowych, łoże w operze. Z początku Mercedesz czuła się nieswojo. Próbowwała udawać obytą, lecz dręczył ją strach, że inne bywalczyńce drogich hoteli i restauracji już na pierwszy rzut oka dostrzegą w niej biedną, skazaną na niebyt prowincjuszkę. Poświęcała zbyt wiele czasu na makijaż i fryzurę. Butnie wkraczała do tego czy innego hotelu i po pięciu minutach miała na twarzy minę sponiewieranego kota, którą Amin tak u niej uwielbiał. Widziała, że inne kobiety na nią patrzają, i zdawała sobie sprawę, że wygląda nie tak, jak powinna.

Ale uczyła się szybko, a Amin jej w tym pomagał. Zabierał ją do jubilerów, u których zaopatrywały się rodziny królewskie, i pozwalał jej przymierzać dosłownie wszystko. Siadała, zrzucała futro odsłaniając smukłą szyję i wspaniały dekolt, a następnie zdejmowała kapelusz i włosy opadały jej miękko na ramiona. Uśmiechała się nieznacznie do młodych ekspedientów, zapisując się na zawsze w ich pamięci. Amin widział, jak drżeli z zachwytu, słyszał, jak wzdychali zawistnie, gdy szlachetne kamienie naszyjników ocierały się o skórę Mercedesz.

Kupowała wszystko nie bacząc na cenę i przydatność zakupu. Pieniądze wprost paliły jej się w rękach; czasami Amin miał wrażenie, że sam też już obrócił się w popiół. Nie spojrzawszy na niego wychodziła ze sklepu i nigdy za nic mu nie dziękowała. Mężczyźni oglądali się za nią na ulicy. Kobiety patrzyły na nią zachodząc w głowę, czy jest sławna i czy powinny znać jej nazwisko.

W hotelowym pokoju Amin zrzucał ubranie, kładł się na łóżku i czekał. Często kazała mu na siebie czekać, aż dygotał z pożądania. Potem kochała się z nim nawet nie zdjawszy sukienki, pozostawiając w mężu uczucie głodu, który tylko w połowie nasycił.

Amin zawsze czuł, że to się kiedyś skończy. Właśnie to poczucie, że ilekroć kocha się z Mercedesz, udaje mu się jeszcze raz uniknąć tego, co nieuniknione, czyniło ją dlań tak cenną. Był skazańcem, który co dzień wymykał się spod gilotyny.

Skończyło się w Nowym Jorku.

Mercedesz włóczyła go po niezliczonych knajpach i zadymionych nocnych klubach wypełnionych nadmiernie wydekoltowanymi kobietami i zbyt jurnymi młodzieńcami. Za-

trzymali się w hotelu Waldorf Astoria, robili zakupy u Harry'ego Winstona. Mercedes ani razu nie pozwoliła mu się dotknąć.

Zmęczony podróżą, nękany codziennymi telefonami syna, który ostrzegał, że rodzinnej firmie lada dzień grozi bankructwo, Amin czuł, że narastająca panika odbiera mu zdolność jasnego osądu, lecz nie potrafił jej zwalczyć. W Europie, którą odwiedzał co roku od trzydziestu lat, był koneserem, światowcem, wspierały go wspomnienia zawartych tu transakcji i zdobytych kobiet. Siadywał w paryskim Ritzu i opowiadał Mercedes o znanych mu słynnych biznesmenach i politykach. Słuchała, mierząc go drwiącym spojrzeniem, i każdą opowieść kwitowała dwuznacznym toastem. Oboje wiedzieli, że Amin najlepsze lata ma już za sobą i nigdy nie wzniesie się do dawnej świetności.

W Nowym Jorku Amin był nikim - zwykłym starcem, żalonym ze swą wyrefinowaną francuszczyzną i poprawną niemczyzną, bezradnym, kiedy ludzie zwracali się do niego w dialekcie amerykańskim. Jego maniery trąciły myszką, jego etykieta była śmiechu warta.

Oznajmiła mu, że chce jechać do Hollywood.

Planowała to od samego początku. Jeszcze jako młoda dziewczyna w domu Aleksandry Kocicy pasjami oglądała zdjęcia gwiazd filmowych w ilustrowanych magazynach, które kupowała u Niebieskookiego Loftiego. Mercedes zawsze wiedziała, że kiedyś trafi do Hollywood.

Przybyli tam na wiosnę i wynajęli apartament w hotelu Ambassador. Mercedes kupiła sobie biały kostium kąpielowy, ciemne okulary i długą cygarniczkę. Całymi dniami wylegiwała się przy basenie sącząc martini, jedząc łyżkami kawior i nie zwracając uwagi na Amina, który tkwił obok niej w beżowym lnianym ubraniu, białych butach i wielkich okularach słonecznych, połyskując złotymi spinkami u mankietów. Wyglądał jak obalony dyktator, który wraz z armią utracił męskość. Żłopał wodę sodową i czytał gazety od deski do deski czując, jak skóra mu się starzeje w słońcu, a stopy puchną od nadmiaru soli mineralnych w napojach.

Potem był jakiś agent, lunch przy basenie, późna kolacja, na którą Amin nie został zaproszony. Agent umówił ją na inne spotkania, zdjęcia próbne, randkę z facetem z filmu. Mercedes dostała dwuminutową rolę z nieznanym aktorem w kiepskim filmie. Wróciła do hotelu i kazała Aminowi się wynosić.

Przyjął to z rezygnacją starego sługi, który od dawna przeczuwał, że zostanie wyrzucony na bruk. Spakował walizki, opłacił apartament Mercedes na pół roku z góry. Dał jej pieniądze na kupno domu przy Bulwarze Zachodzącego Słońca i otworzył konto w banku,

na które co miesiąc wpłacał duże sumy. To wszystko należy do niej, powiedział. Prosi tylko, żeby się z nim nie rozwiodła.

Na ekranie Mercedes wyglądała jak zła czarownica - zupełnie niepodobna do zmysłowej kobiety, którą grała w życiu. Reżyser szukał całkiem innej twarzy. Starła się o nowe role, szła do łóżka z kolejnymi agentami i producentami. Na próżno. Drzwi, które otworzyła tak łatwo, niemal natychmiast zatrzasnęły jej się przed nosem. Po raz pierwszy w życiu Mercedes poniosła klęskę.

Wściekła, postanowiła, że jeszcze im wszystkim pokaże.

- Pieprzyć film - stwierdziła. Ostatecznie udało jej się wyjechać z Iranu i zmienić całe swoje życie. Skoro nie mogła podbić Hollywood urodą, zawsze mogła nabyć na własność dostatecznie dużą jego część, by się z nią liczone.

Za pieniądze Amina kupiła spory odcinek Bulwaru oraz znaczne połacie Beverly Hills - całe kwartały sklepów i czynszowych kamienic w Wilshire, zdewastowane domy i wypalone kina na East Side. Wynajmowała je każdemu, kto zechciał. Liczne rodziny nielegalnych imigrantów bez szemrania godziły się na szczury, robactwo i łamanie podstawowych wymogów bezpieczeństwa. Rok po roku Mercedes inwestowała w restauracje, których klienci truli się salmonellą, i pokoje, w których prostytutki robiły numerki za pięć dolców. Nie litowała się nad dziećmi chorymi z wilgoci i przeciągów, bez wahania wysyłała administratora z nakazem eksmisji do rodzin, które spóźniały się z zapłatą czynszu. Przez całe życie napędzał ją gniew. Wyładowywała go na słabych i bezbronnych.

Kiedy Amin zmarł, a należący doń majątek podzielono między jego dzieci, Mercedes pewnie stała już na własnych nogach i nie potrzebowała filmu, aby zrobić z niej gwiazdę.

\*

Począwszy od chwili, kiedy do niej napisałam - nim jeszcze zaniósłam list siostrze Anie Rose z prośbą, by go wysłała, nim zabrał go listonosz i uniósł w siną dal - uparcie czekałam na telefon od Mercedes. Nigdy jej nie widziałam i nie miałam pojęcia, jak wygląda. Nawet mi nie zaświtało, że może zmieniła miejsce zamieszkania, może nie zrozumiała mojego listu lub po prostu nie chciała mi odpowiedzieć. Nie wpadło mi też do głowy, by podać jej numer telefonu szkoły. Czekałam w Dniu Dziękczynienia i po nim, czekałam całe Boże Narodzenie, siedząc w szkole sama z siostrą Aną i matką przełożoną. Czekałam przez pierwszy tydzień ferii. Wtedy po mnie przyjechała.

We wtorek rano posłyszałam, że przed szkołę zajeżdża samochód i jakaś kobieta

rozmawia z siostrą Aną Rose. Siedziałam w pokoju zarysowując dłoń czerwonym długopisem. Siostra Ana Rose zawsze mnie za to karciała; nie dostawałam kolacji i nie wolno mi było oglądać telewizji. Pomimo to ciągle rysowałam na własnym ciele, wbijałam długopis coraz głębiej w skórę, starając się stworzyć jakiś kształt, który uczyni mnie rzeczywistą, widzialną dla dziewcząt w klasie i nauczycielek, dla mojego ojca w dalekim Iranie i dla Roksany.

- Pierwsze słyszę o regulaminie odwiedzin.

Kobieta w holu głośno stuknęła obcasami i najwyraźniej starała się przekrzyczeć zakonnicę. Włożyłam długopis do kieszeni mundurka i podeszłam do drzwi.

- Musi pani wpierw uzyskać zgodę jej ojca - powiedziała nieco ciszej siostra Ana.

- Niepotrzebna mi niczyja zgoda.

Ogarnięta nagłą paniką, zawróciłam, podbiegłam do łóżka i usiadłam na nim krzyżując nogi i ściskając ręce na brzuchu.

Kobieta szła korytarzem, dźgając obcasami podłogę i po kolei otwierając drzwi. Kroki się zbliżały.

- To jakiś pieprzony loch! - sarknęła głośno. Ledwie za nią nadażająca siostra Ana jęknęła ze zgrozy.

Kobieta otworzyła drzwi do mojego pokoju, zajrzała do środka i już miała się odwrócić, gdy dostrzegła mnie w półmroku.

- A, tu jesteś! - zawołała i weszła do środka.

Była wysoka, szczupła i piękna - nigdy nie widziałam kogoś równie pięknego. Miała na sobie czarny kapelusz, obcisłą czarną sukienkę, która otulała jej ciało odsłaniając tylko idealnie zgrabne nogi, do tego czerwoną kaszmirową pelerynkę, czółenka z wężowej skóry na wysokich obcasach i perfumy, które z dala zapowiadały jej przybycie. Jej skóra była brzoskwiowa, wargi czerwone, oczy zielone i świetliste. Kiedy mówiła, słowa toczyły się z jej ust i podskakiwały w powietrzu jak kolorowe landrynki.

- Nie może pani tu wchodzić. - Siostra Ana Rose zdyszana wpadła do pokoju. Nie sięgała Mercedez nawet do ramienia. - Mamy tu przepisy. - Ugięła się pod gniewnym zielonym spojrzeniem, przestąpiła z nogi na nogę i zatarła spoczone ręce.

Mercedez nie pofatygowała się, by odpowiedzieć. Zbliżyła się do mnie wolno, ostrożnie - jak pantera, która podchodzi swą zdobycz i nie chce jej spłoszyć. Sięgnęła ponad moją głowę i rozsunęła żaluzje w oknie. Światło padło na jej twarz równymi smugami, rozpalając w oczach jeszcze więcej iskier. Usiadła obok na łóżku.

- Mój Boże! - westchnęła. - A więc jednak urodziła córkę!

Siostra Ana Rose stanęła twardo przy łóżku, aby bronić mnie przed tą wysłanniczką Szatana.

- Nie jest pani na liście odwiedzających - bąknęła.

Mercedez nie zaszczyciła jej nawet spojrzeniem.

- Nikt oprócz zatwierdzonych osób nie może jej widywać - ciągnęła zakonnica z uporem.

Mercedez udała, że nie słyszy.

- Nikt - podkreśliła siostra Ana - czyli także pani.

Mercedez uniosła jedną brew i zmierzyła ją z góry na dół pogardliwym spojrzeniem.

- Dobra, przynieś tę listę. Wpiszę się na nią.

- Pani nie może tego zrobić. Listę ustala jej ojciec.

- Więc zadzwoń do niego. - Mercedez odwróciła wzrok, skreślając siostrę Anę z tego świata. Zakonnica poczłapała do wyjścia z zamiarem połączenia się z Zohrabem.

- Zamknij za sobą drzwi! - krzyknęła Mercedez.

Powiedziała, że zabierze mnie do siebie i odwiezie na czas przed wznowieniem zajęć po feriach zimowych. Mówiła po angielsku z miękkim, melodyjnym akcentem; dźwięki spływały z jej ust jak strumień, łagodne i kojące.

Spakowałam szczoteczkę do zębów i sukienkę na zmianę, ostatnią sukienkę, którą kupiła mi Roksana - plisowaną, w granatowo-białą kratkę. Zdążyłam z niej wyrosnąć jeszcze przed wyjazdem z Iranu, lecz zabrałam ją jako dowód, że Roksana w ogóle kiedykolwiek istniała. Mercedez spojrzała na sukienkę i się skrzywiła.

- Będziemy musiały ci kupić trochę przyzwoitych ciuchów - powiedziała. - Nie zapomnij o butach.

W tejże chwili wróciła siostra Ana Rose.

- Nie mogę się dodzwonić - oznajmiła triumfalnie i omal nie zemdląła na widok walizki. - Co pani robi?

Mercedez Gwiazda Filmowa wzięła mnie za rękę i przeszła przez pokój jak brzytwa.

- Zabieram ją - odparła. - Zobaczycie ją w niedzielę.

Przed szkołą czekała na nas limuzyna - srebrnoszara, z przyciemnianymi szybami. Za kierownicą siedział oszałamiająco przystojny młody człowiek o ciemnej skórze i latynoskich oczach. Widząc nas, wysiadł z wozu i otworzył tylne drzwi. Wziął moją walizkę, pomógł mi

wsiąść, a następnie podał rękę Mercedes, która wsiadła za mną. Nie spuszczał z niej wzroku.

Mercedes ulokowała się dokładnie naprzeciw lusterka, odchyliła się w tył i rozpięła pelerynkę, ukazując głębokie wycięcie z przodu sukni. Zdjęła kapelusz i włosy złocistą falą spłynęły jej na ramiona. Zapaliła papierosa, założyła nogę na nogę i wypuściła z ust obłok dymu. Szofer przyglądał się jej w lusterku. Pozwoliła mu napawać się swoim widokiem.

Siostra Ana Rose bębniła w szybę grożąc, że wezwie policję. Odjechałyśmy.

- Co się stało z twoją matką? - spytała Mercedes, gdy znalazłyśmy się na autostradzie.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem. Odeszła. Może już nie żyje.

Zaskoczyłam ją. Mój ból wprowadził ją w zmieszanie. Otworzyła skrytkę w drzwiach samochodu. Wyjęła butelkę i niską szklanę. Nalała do niej przejrzystego brązowego płynu, dodała lodu i powoli przełknęła spory łyk.

- Nic to - mruknęła. - Zdarza się.

Zjechaliśmy z autostrady u wylotu Bulwaru Zachodzącego Słońca.

- Patrz w okno - powiedziała Mercedes, ułagodzona drinkiem. - To moje miasto.

Zobaczyłam Amerykę, jakiej nie poznałam w ciągu miesięcy spędzonych w Pasadenie - Amerykę długich wysadzanych drzewami ulic i cienistych chodników, baśniowych rezydencji i legendarnych ludzi, zielonych trawników, lśniących aut i nie kończących się dróg biegnących poza horyzont. Gdy jechaliśmy Bulwarem, Mercedes pokazała mi dom należący ongiś do Lucille Ball, hotel, w którym jadła lunch z Kirkiem Douglasem, i ulicę, na której zobaczyła go w samochodzie z Marilyn Monroe. Na rogu Bulwaru i ulicy zwanej Foothill szofer zwolnił i skręcił przez niską kutą bramę na szeroki podjazd. Zatrzymaliśmy się przed piętrowym budynkiem oblicowanym żółtymi płytami i otoczonym ze wszystkich stron morzem kwiatów.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła Mercedes.

W domu był duży wykładany marmurem hol, salon z bładobłękitnym dywanem, kręte schody i wielki fortepian. Szofer przyniósł moją walizkę i postawił ją w holu. Kobieta w uniformie tej samej barwy co dywan zaprowadziła mnie do pokoju na piętrze, który miałam zająć. Wszystko było tam satynowe i jedwabne, błękitne, żółte i morelowe. Na nocnej szafce leżał stosik czasopism. Poduszki na łóżku miały koronkowe falbanki. Mercedes powiedziała mi, żebym wzięła prysznic i się przebrała. Gdy skończyłam, wetknęła głowę w drzwi.

- Już prawie południe - oznajmiła. - Idę się zdrzemnąć.

Spała prawie do wieczora. Z początku siedziałam w pokoju, nasłuchując ciszy, jaka panowała w domu. Wyglądałam przez okno na ogromny ogród z basenem wykładanym



czarnymi płytkami i mnóstwem leżaków ustawionych rzędem w trawie. Gospośnia spytała, czy mam ochotę przyjść na dół i pooglądać telewizję.

- Pewnie jesteś głodna - domyśliła się i zaprowadziła mnie do lodówki.

W lodówce znajdowała się butelka soku pomidorowego, torba jabłek i masło na górnej półce. Wszystkie pozostałe półki zapchane były flaszkami wina i wódki.

- Pani nie jada w domu - wyjaśniła gospośnia podając mi jabłko i wyjęła z szafki paczkę krakersów. - Ja też nie, bo mieszkam gdzie indziej. Będę teraz musiała zrobić jakieś zakupy.

O piątej po południu wyszła. O siódmej Mercedes wyłoniła się ze swej sypialni oszałamiająca w świeżym makijażu i wieczorowej sukni. Na mój widok zrobiła zaskoczona minę.

- Muszę wyjść - powiedziała. - Jestem umówiona. Ale chyba nie zdawałam sobie sprawy, jaka ty jesteś mała. Mogę cię zostawić bez opieki?

- Jasne.

Próbowałam udawać pewną siebie. Nie chciałam zostać sama, nie odważyłabym się jednak pokrzyżować jej planów.

Mercedes przyglądała mi się przez chwilę ze zmarszczoną brwią, po czym wzruszyła ramionami i dała za wygraną.

- Chyba nie mam innego wyjścia. Tylko nie odbieraj telefonów i nikomu nie otwieraj. Pooglądaj sobie telewizję, a potem idź spać. Wychodząc zamknę wszystkie drzwi i okna.

Podeszła do barku i naląła sobie drinka, zerknęła do lustra nad kominkiem w salonie, wróciła i jeszcze raz mi się przyjrzała.

- Byłaś już kiedykolwiek sama w domu?

Najważniejsze, żebym jej nie zawiodła, żeby mnie polubiła, żebym nie stała się dla niej ciężarem, którego zechce się pozbyć.

- Jasne - skłamałam.

Późno w nocy, leżąc bezsennie na satynowym prześcieradle i obszytych falbankami poduszkach, usłyszałam szmer silnika limuzyny, a potem chrobot klucza w zamku frontowych drzwi. Mercedes weszła do domu, przymknęła drzwi nie przekręcając klucza w zamku i udała się po schodach do swojej sypialni znajdującej się naprzeciw mojej. Widziałam, jak się rozbiera w przyćmionym świetle nocnej lampki. Jej ruchy były powolne i wykalkulowane. Czekala na coś.

Po chwili drzwi na dole otworzyły się gwałtownie. Młody mężczyzna - szofer o

ciemnych udreńczonych oczach - z impetem wpadł do sypialni, a Mercedes wzięła go w ramiona i zmarnowała mu życie.

\*

W domu Zohrab w ogóle nie odzywał się do ojca. Rozmawiali w biurze, w gabinecie Timura. Przypominał on olbrzymią salę bankietową pełną antycznych krzeseł, polerowanych stołów, ciemnych perskich dywanów i aksamitnych zasłon. Lokaje w czarno-białych strojach nalewali napoje do kryształowych kieliszków i podawali je gościom na srebrnych tacach. Sekretarz, opłacany przez Timura, lecz pozostający na usługach tajnej policji, z każdego zebrania sporządzał dwie notatki - jedną dla Timura, a drugą dla swoich szefów z aparatu bezpieczeństwa.

Gdy sekretarz wychodził z biura, Zohrab i Timur siadali razem, by omówić swoje sprawy. Rozmawiali o fabrykach i ich załogach, o zwyczaju arbitralnego ustanawiania nowych praw przez szacha - przez co chcąc rozwiązać jeden problem, stwarzał dwa nowe - o księgowych w piwnicy przy alei Firdausiego, którzy nadal brodzili po pas w papierach, zbyt szybko się starzejąc, a pracując zbyt wolno.

- Odpraw ich - radził Zohrab. - Sam mnie uczyłeś, że nie należy występować przeciwko systemowi.

Tylko ten jeden raz odwołał się do przeszłości. Wspomnił ów ranek, kiedy Timur zabrał go na egzekucję. W ciągu lat mijających po zniknięciu Roksany i moim wyjeździe do Ameryki Zohrab, Timur i Fräulein Claude nigdy nie rozmawiali o przeszłych wydarzeniach. Ich życie toczyło się tak, jak gdyby nic nigdy go nie zakłóciło: Fräulein Oaude dbała o dom i o Jakuba Galaretę, Zohrab chodził do pracy, a w domu zwykle pograżał się w lekturze, Timura przeważnie nie było. Być może to milczenie pozwalało im ze sobą wytrzymać, a nawet czerpać pociechę z krzepiącej obecności bliskich. A być może nie mieli sobie nic do powiedzenia - każde aż za dobrze rozumiało ból pozostałych. W końcu ważne jest tylko, by jakoś to przeżyć.

Timur Heretyk wiedział, że usiłując zapłacić podatek, kusi los. Wiedział, że donosiciele obserwują go od czterdziestu sześciu lat - odkąd wrócił do Teheranu. Szach miał informatorów w szkołach i szpitalach, w koszarach i restauracjach. Tajniacy prowadzili taksówki, żeby przysłuchiwać się rozmowom pasażerów, albo najmowali się na służbę w bogatych domach, by donosić, co się w nich dzieje i o czym się mówi. Timur był wzbogaconym własną pracą potomkiem Kadżarów, synem Żyda i mężem rzekomej Niemki. Jego synowa zniknęła bez śladu i pogrzebu, a jego dom był pełen duchów, których nikt nie

potrafił przyłapać. Śledzono go bez przerwy i awantura z podatkami nie mogła umknąć uwadze szpicli, ale...

Ale Timur był już zmęczony. Miał sześćdziesiąt sześć lat i żył dostatecznie długo, by wiedzieć, że zostanie potępiony na wieki. Opuścił matkę na obczyźnie, zdradził żonę, oszukał syna i zniszczył Roksanę. Teraz, widząc przed sobą przyszłość z góry przesądzoną, miał powyżej uszu przekupywania brudnych karłów noszących zielone aktówki, strachu przed upierścienionymi generałami afiszującymi się w towarzystwie kochanek, bicia pokłonów przed szachem i powściągnięcia języka w obecności ulicznego zamiatacza ulic, który donosił Jego Wysokości. Dlatego nie zgodził się odesłać księgowych, chociaż wiedział, że ta sprawa będzie go kosztować życie.

\*

Trzy dni po moim powrocie od Mercedes matka przełożona otrzymała list, nadany w Teheranie i podpisany przez mojego ojca. Wyrażał w nim zgodę, bym spędzała u Mercedes święta i wakacje.

Siostrze Anie Rose udzielono surowej nagany za to, że puściła mnie wbrew regulaminowi szkoły, siostra Ana zaś z kolei odkuła się na mnie, pozbawiając mnie na tydzień kolacji i dostępu do telewizora. Otrzymawszy list, matka przełożona przyjrzała mu się uważnie, po czym wyjęła z szuflady moją kartotekę, by porównać podpis z tym, który widniał na podaniu o przyjęcie mnie do szkoły. Już na pierwszy rzut oka było widać, że znacznie się różnią.

- Ten list został sfałszowany - mruknęła. - Przyprowadź do mnie tę małą.

Zapytała mnie o list - napisany, jak twierdziła, przez diabolicę w czerwonej pelerynce, która podziurawiła obcasami parkiet. Powiedziałam jej prawdę: nie wiedziałam nic o liście. W ogóle nie wspominałam ojcu o Mercedes.

Matka przełożona podniosła słuchawkę i wykręciła teherański numer telefonu.

Powiedziała Zohrabowi, że dzwoni, by zweryfikować autentyczność listu podpisanego jego nazwiskiem. Dotyczył on kobiety imieniem Mercedes, która pojawiła się w szkole bez zaproszenia i domagała się prawa do odwiedzania jego córki. Przezornie nie wspomniała o pięciu dniach spędzonych przeze mnie u Mercedes w czasie ferii zimowych. Trzymając słuchawkę przy uchu, patrzyła na mnie triumfalnie, dając Zohrabowi chwilę na przetrwanie wieści. Potem szczeka jej opadła.

Zohrab potwierdził, że nie napisał ani nie podpisał tego listu. W ogóle nie kontaktował się z Mercedes. Mimo to jeśli sobie tego życzę, mogę spędzać z nią święta i wakacje.

Matka przełożona była oburzona.

- W tym kraju nie powierzamy dzieci oszustkom - powiedziała. Mówiła do Zohraba, jednakże patrzyła na mnie.

Usłyszawszy odpowiedź, dała za wygraną. Powoli opuściła słuchawkę, złożyła list i włożyła go do moich akt. Siedziała, bębniąc palcami w krawędź biurka.

- Co za dziwny człowiek - szepnęła.

\*

Dwa lata minęły bez wieści z sutereny przy alei Firdausiego. Wreszcie w roku 1975 księgowi wyłonili się z podziemia. W tym czasie roztyli się, mięśnie im zwiotczały, byli bladzi i mrużyli oczy w świetle słońca. Ich szef - ten, który pierwszego dnia miał na sobie białe spodnie - położył na biurku Timura tysiącstronicowy tom gęsto zapisany ręcznym pismem, odstał dwa kroki w tył i stanął na baczność.

Timur otworzył księgę i spojrzął na widniejące w niej liczby. Księgowi spodziewali się, że wpadnie w złość, będzie tłukł pięścią w blat kwestionując wyniki obliczeń. Nikt o zdrowych zmysłach, myśleli, nie oddałby dobrowolnie tak olbrzymiej sumy fiskusowi.

Timur zamknął księgę, wstał, uściśnął księgowym dłonie i odesłał ich do domów.

Tę noc spędził w biurze, czytając raport. Zohrab przyszedł specjalnie z zamiarem przekonania ojca, iż powinien zniszczyć dokumentację i przekupić księgowych, żeby nie donieśli na niego ludziom szacha. Fräulein Claude zadzwoniła błagając, by miał litość, jeśli już nie nad sobą, to nad nią i Zohrabem. Rano Timur udał się do banku i poprosił o spotkanie z dyrektorem - tym samym, który sprzedał Moradowi fatalną ziemię.

Dyrektor wybiegł z gabinetu natychmiast, gdy tylko usłyszał nazwisko Timura. Rozpływał się w uśmiechach, mówił za szybko, a dłonie pociły mu się ze strachu. Zaproponował Timurowi herbatę i daktylę, spytał, czy może woli coca-colę, i namawiał do skosztowania gorzkiej angielskiej czekolady. Oddawał się na rozkazy, ślubował lojalność aż po grób i oferował usługi wykraczające poza zwykły zakres obowiązków.

Timur wyjął pióro i zapisał liczbę na kartce. Potem rzekł:

- Proszę dokonać przelewu tej kwoty na rzecz Izby Skarbowej.

Pod dyrektorem ugięły się nogi.

- Nie pojmuję - wymamrotał, pewien, że umknęło mu coś istotnego dla zrozumienia tej sprawy.

- To nic nowego - parsknął Timur. - Proszę robić to, co do pana należy.

\*

W szkole bardzo się starałam, lecz postępy robiłam mizerne. Stopnie też miałam słabe. Uczyłam się, lecz nie koncentrowałam; mówiłam, lecz się nie porozumiewałam. Nauczycielki spisały mnie na straty. Inne dziewczęta zmęczyły się dokuczaniem mi i powoli zapomniały o moim istnieniu. Nawet Mercedes zdarzało się zapomnieć o mnie na całe lato. Siedziałam z zakonnicami w internacie, niematerialna, nieistotna i nie istniejąca.

Taka właśnie się stałam po odejściu Roksany; tylko tak mogłam przetrwać i żyć dalej - niewidzialna dla siebie i wszystkich dookoła. Zniknęłam w obłoku strachu, który połknął mnie podczas lotu do Ameryki, a może jeszcze wcześniej, tamtej nocy, kiedy wołałam za matką, a ona odwróciła się i spojrzała wprost na mnie, lecz mnie nie zobaczyła.

Zaczęłam więc z powrotem rysować różne wzory na dłoniach i wnętrzach ramion. Rano zmywałam je pod prysznicem i gdy tylko wyschłam, zaczynałam od nowa. Siedziałam po nocach, pokrywając cienkimi liniami brzuch, uda, podeszwy stóp - wszystkie miejsca, które mogłam zasłonić ubraniem, żeby zakonnice nie widziały. Rysowałam koła, łuki, pętle i długie wąskie mosty biegnące od dłoni poprzez ramię, pierś i schodzące na drugą rękę - labirynt codziennych smutków i wiecznych tęsknot, który napełniał zakonnice odrazą i odstręczał ode mnie inne dziewczynki, jakbym była nosicielką śmiertelnej choroby. Co dziwniejsze, Mercedes to zachwycało.

- Jesteś wielką artystką - deklarowała za każdym razem, gdy ujrzała mnie niekompletnie ubraną i pokrytą efektami wieczornego seansu. - Powinnaś robić to na papierze, ewentualnie paradować na golasa. Mogłabym cię wystawiać w galeriach.

Owszem, chwaliła się mną przed znajomymi, ilekroć akurat byłam u niej i zdecydowała się wziąć mnie na kolację. Jechałyśmy do Chasena na drinka, do Perino na danie główne i do Polo Lounge na plotki. W każdym z tych lokali Mercedes miała własny stolik, ulubionych kelnerów i barmanów i własne grono oddanych wielbicieli, którzy tłoczyli się wokół, rywalizując między sobą o jej względy.

- To moja siostrzenica z zagranicy - przedstawiała mnie mężczyznom, którzy stwierdzali, że jestem "słodką", i kobietom, które przeważnie w ogóle mnie nie zauważały. Mercedes się śmiała: - Ściślej mówiąc, z Pasadeny, ale to tak jakby zza granicy.

Godzinami siedziałam obok niej jedząc i spijając kolejne szklanki soków, które Mercedes zamawiała dla mnie co pół godziny razem z drinkiem dla siebie. Uspokojona obecnością ludzi, dźwiękami muzyki, śmiechu i bezustannych rozmów, po jakimś czasie zasypiałam przy stole. Zwykle następowało to już w drugiej restauracji i szofer odwoził mnie do domu. Tam przewracałam się w łóżku, usiłując przezwyciężyć dręczący mnie lęk, aż w końcu sięgałam po pióro i znów zaczynałam rysować na sobie.

Mercedez wracała tuż przed świtem. Czasem szła pewnie, czasem się zataczała, ale zawsze był z nią mężczyzna. Kochała się z nim w sypialni albo w salonie, w kuchni lub na leżaku w ogrodzie. Potem zostawiała go samego i siadała przy wielkim fortepianie, na którym nie umiała grać. Stukała w klawisze jednym palcem, nucąc cicho, i piła, aż whisky ukołysała ją do snu. Wymykałam się z pokoju i obserwowałam ją przycupnięta na schodach: głowę miała opartą o fortepian, włosy rozrzucone po klawiaturze i tylko ja wiedziałam, że śpi tam, bo podobnie jak ja boi się być sama.

\*

Po dwóch dniach od przekazania zaległych podatków urzędowi skarbowemu Timura odwiedził mężczyzna, który przedstawił się tylko jako "oddany sługa Jego Wysokości". Miał potężną szczękę i grube mięsiste wargi, za to zęby drobne i luźno rozstawione, jakby jeszcze mleczone.

- Proszę wziąć marynarkę i iść ze mną - rzekł, błyskając tymi niemowlęcymi zębami. - Przed wejściem czeka samochód. Wsiądzie pan do niego i nie będzie zadawać żadnych pytań.

Starając się opanować drżenie rąk, Timur wstał, poprawił krawat, włożył marynarkę. Wyrzał przez okno na ulicę. Następnie obrócił się do drzwi, ku swemu zaskoczeniu marząc o tym, żeby pojawiła się w nich jakaś przyjazna twarz. Długo szukał kluczy, potem wepchnął do kieszeni dwa pliki banknotów. Sekretarz, który wiedział, dokąd go zabierają, spytał sarkastycznie, czy wróci na lunch.

Timur zszedł piętro niżej i oddał Zohrabowi klucze. Zapisał mu dwa numery telefonów, należące do starych przyjaciół z lotnictwa, którzy w razie potrzeby mogli się za nim wstawić. Zohrab zszedł z nim na ulicę. Była punktualnie druga. Naprzeciw wejścia do budynku stało wiśniowe volvo. Timur nagle poczuł strach. Pożałował, że nie może cofnąć czasu, wrócić do życia, które jeszcze godzinę temu wydawało się nieznośne. Widocznie, pomyślał, przez całe życie zmierzał prostą drogą ku tej właśnie chwili.

Kierowca zawiózł go do nieoznakowanego budynku przy alei Persepolis, tuż obok kina. Był tam pokój z aluminiowym biurkiem, tylko jednym krzesłem i bez telefonu. Drzwi nie miały klamki. Szyby w oknach zamalowano farbą olejną.

Mężczyzna w gołąbkowym garniturze i butach z krokodylej skóry zaczął zadawać mu pytania. Interesowały go fabryki, niemieckie pochodzenie żony Timura, pieniądze, za które Morad kupił ziemię będącą własnością siostry szacha. Nie wspominał o podatkach, nie stawiał zarzutów, nie udzielał wyjaśnień. Rozmowa trwała do jedenastej w nocy. Przesłuchujący nie robił notatek.

Timur spędził w tym budynku dwa dni. Następnie przewieziono go gdzie indziej. Zapytał, kiedy będzie mógł wrócić do domu.

- Nieprędko - usłyszał w odpowiedzi.

Zapytał, co mu się zarzuca.

- Działalność wywrotową - odparli. Potem zabrali go do więzienia.

W więzieniu był bity i znów przesłuchiwany, lecz poza "działalnością wywrotową" nie postawiono mu żadnych konkretniejszych zarzutów. Państwowe radio, zawiadamiając o aresztowaniu, wśród zbrodni Timura wymieniło łapownictwo i nielegalne gromadzenie dóbr strategicznych. Cenzurowane przez rząd gazety drukowały na pierwszych stronach jego zdjęcia i spekulowały na temat możliwych powiązań z hitlerowskimi Niemcami w czasie wojny. Jego fabryki zamknięto, majątek przeszedł na skarb państwa.

Nawet dom przypuszczalnie by skonfiskowano, opróżniono z cennych rzeczy i opieczętowano. Później powstałoby w nim muzeum dla turystów albo sierociniec, odwiedzany raz do roku przez królową w amarantowym kapeluszu i różowym kostiumie Coco Chanel. Fotografowałyby się z wdzięcznymi dziećmi, których wbrew obiegowym plotkom - "Sama pani widzi, wasza wysokość" - nie przywiązywano do łóżek ani nie głodzono. Tak, dom z pewnością uległby konfiskacie, gdyby nie to, że był nawiedzony.

Szach, choć sam wydał dekret stwierdzający, że we współczesnym Iranie duchów nie ma, nie palił się do zawładnięcia miejscem tak przeklętym, że doprowadziło Timura do ruiny. Machnął ręką na dom pozwalając Zohrabowi pozostać w nim z Fräulein Claude, Jakubem i Masztim.

Przez następne trzy lata Zohrab próbował wyciągnąć ojca z więzienia. Pisał petycje i składał obietnice, przekupywał wysoko postawionych urzędników i nachodził drobnych biurokratów. Dzwonił do ludzi, których numery dał mu Timur, i do wielu innych. Był u wszystkich znajomych, współników, kontrahentów. Wszędzie natykał się na szary mur strachu ("Czy ja będę następny?"). Przepraszali go: jeśli ujmą się za Timurem, tak samo zostaną uznani za "stronników".

- Stronników czego? - śmiała się gorzko Fräulein Claude, ilekroć Zohrab wracał z kwitkiem od następnego ze starych przyjaciół. - Twój ojciec nigdy w życiu nie stanął po niczyjej stronie.

Pozbawiona pieniędzy, świadoma, że agenci tajnej policji szacha bez przerwy ich obserwują, Fräulein Claude prawie w ogóle już nie wychodziła z domu. Na wysokich obcasach przemierzała pokoje, zastanawiając się, jak długo jeszcze cienkie pięciny udźwigną

jej ciężar, i gotowała obiady dla Zohraba i Jakuba. Co jakiś czas nadmieniała, że od zniknięcia Roksany duchy-rabusie też już się nie pojawiły. Codziennie po południu, tuż przed zachodem słońca, szła do kuchni i pytała Jakuba, co widział.

- Nic takiego - odpowiadał niewinnie jak dziecko. - Tylko Roksane. Miała błękitne skrzydła i patrzyła na mnie przez okno.

\*

Fräulein Claude zapalała nienawiścią do swojego brata.

Miała żal o to, że zbyt wiele widział i beztrąsko mówił jej o wszystkim, nie bacząc, iż sprawia jej ból. Opowiadał, że Roksana wciąż mu się ukazuje; że Zohrab nocami chodzi po podwórzu ciągnąc za sobą długi, smutny cień, i patrzy w niebo, jakby się modlił o powrót żony. Najbardziej jednak miała Jakubowi za złe to, że on jeden dostrzegał widmowych rabusiów w ich materialnej postaci.

Otóż duchy-rabusie wcale nie były duchami, tylko doświadczonymi złodziejami, których Fräulein Claude sama sprowadziła do domu. Wynajęła ich wkrótce po tym, jak Timur zdradził ją z Roksaną. W nagłym błysku paniki Fräulein Claude zdała sobie sprawę, iż czeka ją niepewna przyszłość. Nim się obejrzała, straciła miłość syna, a potem męża; równie łatwo mogła stracić jedyną rzecz, której Roksana nie zdążyła jej odebrać - pieniądze. Fakt; pieniądze były własnością Timura, ale Timurowi na nich nie zależało. Natomiast Fräulein Claude musiała się zabezpieczyć na wypadek, gdyby Timur rozwiódł się z nią dla Roksany lub po prostu ją rzucił. W Iranie wystarczał jednostronny akt woli mężczyzny, by unieważnić małżeństwo, i nikt tu nie słyszał o podziale majątku ani alimentach. Timur w każdej chwili mógł zabrać jej wszystko, czego dorabiała się przez całe życie. Fräulein Claude uznała więc, iż powinna zadbać przede wszystkim o siebie.

Wynajęła dwóch kaukaskich Rosjan, aby skradli klejnoty Roksany i jej własne, sprzedali je w Związku Radzieckim i przywieźli jej pieniądze po potrąceniu swojej doli. Sama wpadła na pomysł, że jeśli będzie to wyglądać na sprawkę kogoś z domowników, Timur nie wezwie policji. Następnie dała złodziejom klucze.

Wchodzili w biały dzień tylnym wejściem przez kuchnię (starła się zawczasu, by nie było w niej służby). Widział ich tylko Jakub, a Jakub brał ich za czcigodnych, przyzwoitych dżentelmenów, bo nosili drogie garnitury i złote zegarki.

Okazało się to nadspodziewanie łatwe. Najpierw złodzieje tylko przekładali różne rzeczy z miejsca na miejsce. Potem skradli ślubną obrączkę Roksany, kolczyki Fräulein Claude, spinki Timura. Oczekali jakiś czas i wrócili po naszyjnik z szafirów. Następnie



pojechali sprzedać łup. Gdy wrócili, Fräulein Oaude przeliczyła pieniądze i wepchnęła je do koperty, którą przyklepiła taśmą z tyłu szafy. Upajała ją władza, jakiej dotąd nie zaznała: rzucając oskarżenia siała strach i wymuszała posłuszeństwo, i nareszcie znów rządziła w swoim domu.

Pozwoliła skraść obrazy, antyki, dywany. Pieniądze trzymała w swoim pokoju, w szafie, do której nikomu nie wolno było się zbliżać. Już ich nie liczyła; nie miały znaczenia. Przypadkiem zakosztowała czegoś potężniejszego i znacznie słodszego niż bogactwo. Kiedy uświadomiła sobie, że czas z tym skończyć, nie była już w stanie wyrzec się tej władzy.

Dlatego też, gdy uczciwie wejrzała w głąb swego serca, przyznawała przed sobą, że nie żał jej Timura. Jego cierpienia, więzienie i tortury nie mogły się równać z furją, jaką w niej rozpętał; goryczą, która zatrula jej jadło i wodę, każdą noc zmieniała w piekło i jak rak toczyła ją od wewnątrz. To Timur winny był przemiany tamtej młodej dziewczyny zatroskanej o los swoich braci i marzącej, by go uszczęśliwić, w tę opętaną staruchę pragnącą już tylko niszczyć wszystko wokół. To przez niego stała się okrutna i podła. Jeśli teraz cierpiał, to spłacał dług, jaki miał wobec niej.

Zwolniono go w 1978 roku, w niespokojnym okresie tuż przed rewolucją islamską. Miał połamane żebra i przebite płuco. Skonał w swoim domu przy alei Wiary, który budował ongiś z taką nadzieją.

\*

Przez całą szóstą klasę martwiłam się, co dalej. U Marii Magdaleny była tylko podstawówka; po jej ukończeniu podopieczne zakonnice chodziły do publicznego gimnazjum przy tej samej ulicy. W ciągu sześciu lat od mojego przyjazdu przez bursę przewinęło się kilka dziewcząt z katolickich rodzin, które mieszkały tu kilka miesięcy, niekiedy nawet cały rok. Tylko ja tkwiłam tu przez cały czas.

W marcu napisałam do ojca pytając, jakie ma w stosunku do mnie plany.

"Będziesz mieszkać w klasztorze" - odpisał - "i chodzić do publicznego gimnazjum. Wszystko już załatwiłem."

W kwietniu wysłałam mu zaproszenie na uroczyste rozdanie świadectw. Dał mi znać, że nie będzie mógł przyjechać.

W maju zadzwoniłam do niego błagając, żeby zabrał mnie do domu.

- Przestań mnie nagabywać! - zniecierpliwiał się. - Teraz szkoła jest twoim domem. Ameryka jest twoim krajem. Po tylu latach powinnaś wreszcie przyjąć to do wiadomości.

N a rozdaniu świadectw byłam sama. Pod koniec czerwca Mercedes przysłała po mnie

limuzynę.

Gdy podjechałam pod dom, robotnicy ustawiali na trawniku dekoracje z okazji Dnia Niepodległości - wyszywane cekinami flagi, naturalnej wielkości figury Wuja Sama, a także rząd tańczących kankana manekinów w bikini i czerwonych, białych i niebieskich cylindrach. Nocą na czarno-czerwonych podwiązki manekinów mrugały żarówki.

Mercedes Gwiazda Filmowa słynęła w Beverly Hills z dekoracji, którymi ozdabiała dom przed każdym większym świętem. Turysty zjeżdżali się z odległych miast, by w Halloween oglądać bezgłowe panny młode i latające na miotłach czarownice, a w okresie Bożego Narodzenia wieszać bombki na ramionach mężczyzn i kobiet udających choinki. Nastoletni Latynosi, którzy sprzedają plany z zaznaczonymi domami gwiazd na każdym rogu Bulwaru, zawsze wskazywali jej dom jako ten, którego za nic nie powinno się pominąć. Nocą kelnerki z przydrożnych barów w Bakersfield w blond perukach i czółenkach na wysokich obcasach przełaziły przez ogrodzenie, żeby zrobić sobie zdjęcie z nagim elfem. Wytatuowani młodzi mężczyźni w skórzanych kurtkach, naćpani speedem, zjeżdżali tu z rockowych klubów przy Sunset Strip, żeby odbyć rytualny stosunek z gigantycznym wielkanocnym zajacem. Sam burmistrz Beverly Hills przyznawał, że wolałby spędzić swoje urodziny z Mercedes niż z własną żoną.

Wysiadłam z samochodu i sama wniosłam do domu torbę. Latynoski szofer, dawszy z siebie wszystko, co mógł dać Mercedes w łóżku, i znużywszy ją do reszty, dawno już wyleciał z posady. Co jakiś czas wracał, błagał pod drzwiami o jeszcze jedną szansę, o jeden jedyny ostatni pocałunek. Mercedes zatrzaśniała mu drzwi przed nosem jak wszystkim mężczyznom, którzy byli przed nim i po nim.

W holu powitała mnie gospoia.

- Pani śpi - powiedziała. - Przyniosę ci soku.

Wzięłam sok i wyszłam do ogrodu. Było wściekle gorąco. Cicho, żeby nie obudzić Mercedes, przebrałam się w kostium kąpielowy i wskoczyłam do basenu.

Zanurkowałam w ożywczej, lodowatej wodzie, dotykając rękami dna. Podekscytowana lekkością mego ciała, z cichym szumem w uszach, otworzyłam oczy i popłynęłam do końca basenu, a potem z powrotem, nie wynurzając się, żeby nabrać powietrza.

*Pewnie tak się czuje ptak, kiedy lata, pomyślałam.*

Byłam wolna; nic nie mogło mnie powstrzymać. Nawet kiedy zabrakło mi powietrza i zaczęłam odczuwać ból w płucach, nie miałam ochoty wynurzać się z głębin.

*Pewnie tak się czuje człowiek, kiedy umrze .*

Jeszcze jedno pociągnięcie ramion i straciłam przytomność.

Gospoia skoczyła w ubraniu do basenu i wyciągnęła mnie na brzeg.

- Omal się nie zabiłaś! - krzychała, gdy rzygałam wodą przez nos.

\*

Księżycowa Miriam przyszła na pogrzeb Timura i oczywiście zepsuła uroczystość.

Ma się rozumieć, nie była zaproszona. Wiedziała, bo nikt nie robił z tego tajemnicy, że jest ostatnią osobą, którą Fräulein Claude chciałaby oglądać w takiej chwili. Pomimo to zjawiała się wraz ze swym beznadziejnym małżonkiem, wlokącym się trzy kroki za nią i wypatrującym wśród żałobników potencjalnych klientów, którym mógłby wcisnąć fałszowane antyki. Mało tego, Miriam miała czelność podejść do Fräulein Claude i wyciągnąć do niej rękę.

Fräulein Claude odwróciła się od niej tak gwałtownie, że przykuła uwagę wszystkich obecnych. Bynajmniej nie speszona Miriam poklepała ją po ramieniu niczym babcia pobłażliwa dla młodzieńczych wybryków i ruszyła dalej, ściskając dłonie Zohrabowi, Masztiemu, żonie i dzieciom Morada, braciom Fräulein Claude i ich żonom. Jeśli była świadoma, że wszyscy na nią patrzą, to w żadnym razie nie sprawiała wrażenia zakłopotanej. Jeśli wiedziała, co ludzie myślą, nie dała tego po sobie poznać.

Albowiem - choć może na to nie wyglądała - Księżycowa Miriam już przeszła do historii jako kobieta prześladowana najokrutniejszym pechem, jakim Bóg kiedykolwiek utrapił istotę ludzką.

Jej matka odebrała sobie życie wypijając truciznę. Siostra uciekła z bratankiem swego męża i zhańbiła rodzinę. Inna, najmłodsza z sióstr, Zuzanna, wyszła za jedynego mężczyznę, który się jej oświadczył (choć od początku nie miała do niego zaufania), i prawie natychmiast odkryła, że jest już żonaty z pewną muzułmanką, którą kochał od wielu lat. Mąż kolejnej siostry, Rochelle, sprowadzał z Hongkongu wyszkolone prostytutki, a z Tajlandii - nieletnie dziewczęta. Ale to wszystko pestka. Nic na świecie, nawet tragedia Fräulein Claude z Timurem, nie mogło się równać z tym, co spotkało Miriam.

Wkrótce po ucieczce Tala'at z Iranu Miriam postanowiła zostać kobietą interesu. Od lat sprzedawała fałszywe antyczne srebra niczego nie podejrzewającym turystom. Planowała każdy wydatek co do grosza i wszystkie oszczędności składała w dzbankach po winie, które zakopywała pod łóżkiem. W końcu pewnego dnia przeliczyła pieniądze i oznajmiła mężowi, że powinni zainwestować w nieruchomości.

Dzieci były jeszcze małe, kiedy Miriam zaczęła szukać korzystnej i możliwie wartościowej inwestycji. Nigdy nie miała samochodu; nie miała też zamiaru płacić za taksówki. Autobusy w Teheranie były zatłoczone i nigdy nie trzymały się rozkładu, a zresztą psuły się na każdym skrzyżowaniu. Miriam przemierzała więc miasto piechotą - od alei Cyrusa na południu do wzgórz Szemiran na północy. Rozmawiała z pośrednikami, sprawdzała księgi wieczyste, zwiedzała sąsiedztwo, oglądała budynki od piwnic po dach. Potrafiła godzinami siedzieć przed wejściem, żeby się przekonać, jacy ludzie tam mieszkają. W końcu - jak to ona - zdecydowała się na dom, którego nie wystawiono na sprzedaż.

Był to wąski dwupiętrowy budynek przy alei Persepolis, naprzeciw kina, do którego w czasach, gdy była nauczycielką, zabierał ją na amerykańskie filmy dawny przyjaciel, Cyrus zwany Wielkim. Ulica ta zawsze tętniła ruchem, tłumami pieszych i hałasem samochodów, toteż Miriam miała pewność, iż dom nigdy nie będzie stał pusty. W owym okresie czytała amerykańską książkę pod tytułem "Jak zarobić pierwszy milion bez pracy". Pan Karol zawsze twierdził, że Amerykanie zarabiają pieniądze wyłącznie milionami, mniejsze sumy uważając za niewarte zachodu. Miriam zamierzała więc postąpić wedle zawartych w książce wskazówek: "Jeśli masz pieniądze, kup najlepszy budynek w najlepszej dzielnicy po najniższej cenie. Jeśli nie masz pieniędzy, kup najgorszy budynek w najlepszej dzielnicy po najniższej cenie."

Wybrany przez Miriam dom był wciśnięty pomiędzy dwa wyższe budynki i nieco odsunięty od ulicy, tak że właściwie nie docierało doń dzienne światło. Na każdym piętrze mieściło się tylko jedno mieszkanie. W oknach tkwiły czarne żelazne kraty, na korytarzach zalegały rupiecie, a w ciasnych pokojach nie zagościł świeży powiew od dnia, w którym je zbudowano.

Wąskie schody prowadziły wprost od wejścia na dwie górne kondygnacje. U ich stóp stał okrągły drewniany stolik, a na nim jedyny telefon w budynku. Korzystali z niego wszyscy lokatorzy, namiętnie podsłuchując jeden drugiego, toteż telefon był przedmiotem nie kończących się swarów i w czasie, odkąd Miriam zaczęła się interesować tym domem, doprowadził do rozbicia co najmniej jednego małżeństwa. Na prawo od schodów wchodziło się do mieszkania na parterze, a właściwie w suterenie, było bowiem wpuszczone pół metra w ziemię i z "salonu", którego okna wychodziły na ulicę, widać było głównie nogi pieszych i opony samochodów. Za salonem znajdowała się kuchnia, łazienka i dwie sypialnie wyposażone w żelazne łóżka i aluminiowe wieszaki na ubrania, a jeszcze dalej - zamknięte patio, pełniące zarazem rolę ogólnie dostępnego składziku. Poniewierało się tam dosłownie wszystko, poczynawszy od jednonogich krzesel, a skończywszy na zarośniętej chwastami

dziurawej porcelanowej wannie. Z kolei podwórko na tyłach posesji było małym pozbawionym słońca skrawkiem wyschniętej ziemi, zamkniętym z trzech stron murami domów. W środku ziała okrągła obmurowana dziura o średnicy półtora metra i głębokości niespełna dwóch.

Choć jak widać, potencjalna inwestycja nie była pozbawiona wad, Miriam uznała, że warto się o nią pokusić. Dotąd nękała właściciela, aż zgodził się sprzedać dom. Następnie zaczęła się targować o cenę, a czyniła to tak zawzięcie, że właściciel gotów już był oddać kamienicę za darmo, byle ocalić własne zdrowie psychiczne. W końcu rodzina Miriam wprowadziła się do mieszkania w przyziemiu. Miriam była dumna z siebie i ze swego awansu - uboga mieszkanka żydowskiej dzielnicy stała się oto posesjonatką pełną gębą.

Przez pierwsze kilka tygodni szorowała ściany i sufity, rozkładała trutkę na szczury i dezynfekowała każdy kąt, urządzała kuchnię i sprzątała podwórze. Kupiła używane meble do salonu, poskładała rupiecie na patio w schludne kupki (nie mogła się bowiem zmusić, by cokolwiek wyrzucić). Następnie opróżniła sadzawkę ze śmieci i zamiast wody napełniła ją użyźnioną ziemią. Posadziła w niej słoneczniki, wokół zasiała trawę i pomalowała ceglane ściany jaskrawożółtą farbą. Sąsiadom niezbyt podobał się ten kolor, ale dzięki niemu (a może dzięki słonecznikom?) w domu zrobiło się jaśniej. Uporawszy się z tym wszystkim, Miriam zaczęła się rozglądać za następną inwestycją.

Pan Karol, zachęcony finansowym sukcesem, również całym sercem przyłożył się do interesów. Niepiśmienny i nieobyty, miał jednak doskonałą pamięć, dzięki której nie tylko prowadził całą księgowość w głowie, lecz także opanował podstawy angielskiego przysłuchując się rozmowom Amerykanów i Brytyjczyków. Wobec Anglików żywił trwożną cześć, Amerykanów natomiast szczerze uwielbiał, mieli oni bowiem - jak mawiał - "szeroki gest", co niekoniecznie wynikało z hojności (niektórzy byli tak skąpi, że nie chcieli utrzymywać własnych dzieci po osiągnięciu przez nie pełnoletności), lecz stąd, że mając pod dostatkiem wszystkiego, siali wokół bogactwem nawet mimowolnie. Codziennie wystawał przed sklepem w nadziei, że ułowi Amerykanina, nim ten wejdzie do konkurencji. Wypatrywał ich w tłumie, łapał za rękaw, ciągnął do swego sklepu obiecując herbatę, orzeszki pistacjowe i trunki ("nie bój, jak trzeba, mam whisky"), a następnie oprowadzał, podtykając pod nos każdy przedmiot z osobna. Nigdy nie wmuszał im niczego na siłę. Bardziej niż pieniędzy łaknął ich towarzystwa. A najbardziej lubił zapraszać ich do domu.

Raz lub dwa razy w miesiącu udawało mu się podstępnie zwabić niebacznego klienta na obiad albo zaciekawić go do tego stopnia, by z własnej woli wstąpił na drinka. Pan Karol wpadał wówczas z hukiem do domu wcześniej niż zwykle i w swojej niepoprawnej

angielszczyźnie przeplatanej amerykańskimi idiomami (nie zawsze stosowanymi właściwie) z góry przeproszał za nędzne otoczenie, prowadząc gościa na pokoje. Zwykle nie wstydził się swego domu i rodziny; zdarzało mu się to tylko w obecności Amerykanów. Dom wydawał się wtedy za mały, żona za stara i nazbyt chętna, by rozmawiać z mężczyznami o sprawach, które nie przystoją kobiecie. Córka przy każdej okazji śmiała się głośno i piskliwie jak latawica, a co gorsza, wszystko wskazywało na to, że jego syn nigdy w życiu nie wzniesie się wyżej niż ojciec.

Aby zatrzeć zmieszanie i skusić gości, by zostali nieco dłużej, Pan Karol szedł prosto do szafki w rogu bawialni, w której trzymał zapas whisky i cztery kryształowe szklaneczki (kupione pomimo gwałtownych sprzeciwów Miriam argumentującej, iż "pije się z nich tak samo jak ze zwykłego szkła, a łatwiej się tłuką"). Zakładając, że każdy Amerykanin lubi whisky, nalewał po brzegi i wołał do pierwszej osoby, która znalazła się w zasięgu głosu - dzieci, Miriam lub któregośkolwiek z lokatorów - żeby przyniosła lód. Następnie ustawiał na stoliku przekąski: smażone bakłażany z czosnkiem, ogórki z surową cebulą i pomidorem, prażone orzeszki pistacjowe. Pił i paplał, szczęśliwy, że gości ludzi z "wielkiego świata", przez co i sam pnie się po szczeblach drabiny społecznej. Na ogół między piątą a siódmą whisky pochylał się do przodu, patrzył Amerykanom głęboko w oczy i przysięgał, że ich kocha.

- Dla was samych - mawiał. - Nie dlatego że możecie coś ode mnie kupić. Dlatego że jesteście tym, kim jesteście.

Pewnego wieczoru, gdy Pan Karol rozplýwał się z miłości i podziwu dla mieszkańców Nowego Świata, to właśnie Amerykanin natchnął go ideą, by rosnące w sadzawce słoneczniki zastąpić wodą. Pili od ósmej wieczorem. Około jedenastej Pan Karol postanowił oprowadzić gościa po całym domu. Pokazawszy mu pokoje Miriam i dzieci, łazienkę oraz patio, powlókł wstawionego Amerykanina na górne piętra, nie bacząc, że wyrwane ze snu półnagie żony lokatorów z krzykiem kryją się po kątach. Wycieczka zakończyła się na tylnym podwórku o jaskrawożółtych ścianach. Zgrzany w kurtce safari Amerykanin próbował taktownie uwolnić się od gościnności Karola. Bąknął, że podoba mu się ten kolor.

- To nic wielkiego - Pan Karol napęczniał z dumy - ale ciężko harowałem, żeby to osiągnąć.

Amerykanin pociągnął znów whisky i w nagłym poczuciu braterstwa między Wschodem i Zachodem (o którym to braterstwie nazajutrz rano nie pamiętał) zauważył, że ponieważ lata w Teheranie są nieznośnie upalne, właściciel kamienicy mógłby skorzystać,

mając w swoim domu basen zamiast "gigantycznej donicy słoneczników".

Pan Karol był wniebowzięty.

- A ja dotąd myślałem, że Anglicy są mądrzy!

Zawołał Miriam i oznajmił jej, że napełnią sadzawkę wodą.

- Wykluczone. - Miriam była oburzona nie tylko naiwnością męża, ale też krótkowzrocznością Amerykanina. - Musiałabym przez cały dzień pilnować dzieci, żeby się nie potopiły.

W każdej innej sprawie Pan Karol byłby ustąpił. Za Miriam stało dwanaście lat edukacji i te wszystkie angielskie książki, które czytywała, a poza tym - była strasznie uparta. Jednakże pomysł, by mieć w domu prawdziwy basen, padł z ust człowieka, który i Karola, i Miriam przewyższał pod każdym życiowym względem, toteż Pan Karol nie mógł z czystym sumieniem z niego zrezygnować. Tygodniami wyklócał się z Miriam, powoływał na swoje prawa mężczyzny i głowy rodziny, korzystał z poparcia małego Józefa, który chętnie potwierdził, że latem nie ma nic przyjemniejszego od pływania w zimnej wodzie. Sara, wiedząc, że rodzice i tak nie pozwolą jej moczyć się w stroju kąpielowym przy sąsiadach, nie brała udziału w dyskusji i zajęła się nauką. W czerwcu, tuż po rozdaniu świadectw, Pan Karol uznał, iż pora zaprzestać mielenia ozorem i przejść do czynu.

Pewnego ranka sprowadził dwóch robotników, którzy opróżnili przyszły basen z kwiecica i pomalowali wnętrze. Nazajutrz Pan Karol dumnie stanął nad nim z węzem i odkręcił wodę.

Rzeczywiście była to cudowna chwila. Kryształowo czysta woda z pluskiem lała się do sadzawki; lokatorzy wybiegali z rozgrzanych mieszkań, by nurzać w niej ręce i nogi, i nawet Miriam nie protestowała.

Widząc jej uśmiech, Sara podbiegła do niej, korzystając ze sprzyjającej okazji, by zadać matce od dawna chowane pytanie. Skoro ukończyła klasę z pierwszą lokatą, czy mogłaby któregoś popołudnia zaprosić koleżanki na herbatę?

- A po co? - fuknęła Miriam, niemal obrażona tym frywolnym pomysłem. - Jaki pożytek przyniesie ci marnotrawienie czasu z bandą dziewcząt?

Sara wyjaśniła, że chce tylko spędzić kilka godzin w towarzystwie paru najlepszych koleżanek. Ma już siedemnaście lat, a jeszcze nigdy nie podejmowała gości. Ponadto spędzanie czasu na nieróbstwie z przyjaciółmi naprawdę może być przyjemne.

- No dobrze. - Miriam wzruszyła ramionami. Choć pozory na to nie wskazywały, w duchu marzyła, by zapewnić swoim dzieciom szczęście. - Ale Józef też nie ma już lekcji, a ja będę zajęta. Musisz go przypilnować pod moją nieobecność.

W czwartek po południu przyszły koleżanki Sary - wszystkie w minispódniczkach i na wysokich obcasach. Miriam została w domu jeszcze przez godzinę, obserwując charakter i zachowanie każdej z dziewcząt. Przy okazji je pouczyła, że spódnice powinny być o wiele dłuższe, a makijaż i wałki, którymi katują swoje włosy, wpędzą je w chorobę. Wyszła o trzeciej. O siódmej, gdy wróciła, dziewcząt już nie było, a Sara leżała u siebie na łóżku i czytała jakieś czasopismo. Miriam wyszła na podwórze, żeby poszukać syna. Pływał twarzą w dół w sadzawce, już martwy.

Księżycowa Miriam zapamiętała późniejsze wydarzenia z chłodnym obiektywizmem widza. Zrozumiała natychmiast, że chłopca nie da się już uratować. Domyśliła się też, czując za plecami nabrzmiałą nagle ciszę, że Sara wyszła za nią na podwórko, przypomniawszy sobie poniewczasie, iż miała pilnować brata. Przez dłuższą chwilę stała wytrzeszczając oczy, z ustami otwartymi w niemej zgrozie. Potem nagle krzyknęła przeraźliwie i rzuciła się do wody, wołając brata, jak gdyby mogła go obudzić z martwych. Zaalarmowani jej krzykami lokatorzy zaczęli wyglądać przez okna i również ujrzeli to, co odkryła Miriam. Potem rozpiętało się istne pandemonium i tylko Miriam stała zimna jak posąg, usiłując doszukać się sensu w śmierci syna.

Lokatorzy wyciągnęli Józefa z wody i położyli go na trawie. Sara z krzykiem przywarła do ciała chłopca, nie dając się od niego oderwać, aż w końcu Miriam podeszła i szarpnięciem postawiła ją na nogi. Dziewczyna rzuciła się w jej ramiona.

- Uspokój się! - Miriam uderzyła ją w twarz. - To t w o j a wina. Ty go zabiłaś.

Przez dwadzieścia dziewięć dni Księżycowa Miriam ani słowem nie odezwała się do córki. Sara zamykała się w sypialni, rzucała w ubraniu na łóżko i łkała aż do omdlenia. Miriam w salonie odsiadywała sziwę z Panem Karolem i resztą rodziny. Pan Karol płakał bez przerwy. Miriam zapewniała wszystkich, że nic jej nie dolega.

Rochelle i Zuzanna kilkakrotnie usiłowały porozmawiać z nią o Sarze. Tłumaczyły Miriam, że dziewczyna straszliwie cierpi, że obwinia siebie i nie przestanie, dopóki Miriam jej nie wybaczy.

- Moje przebaczenie nie ma tu nic do rzeczy - odparła Miriam. - Musi wiedzieć, że jest za to odpowiedzialna.

Trzydziestego dnia szifty Rochelle weszła do sypialni, żeby sprawdzić, co z Sarą, i zastała ją skuloną na podłodze, z pianą na ustach, wymiotującą odplamiaczem do tkanin.



Umarła w szpitalu, błagając matkę o ratunek.

Księżycowa Miriam odprawiała sziwę przez kolejne trzydzieści dni. Potem zdjęła czarną bluzkę z naderwanym kołnierzykiem, oświadczając, że żałoba dobiegła końca. Spakowała ubrania i zabawki swoich dzieci i upchnęła je w kącie patio. Zamknęła pokój Sary i Józefa na klucz, osuszyła basen i ponownie zasadziła w nim słoneczniki. Następnie jakby nigdy nie udała się na poszukiwanie nowych inwestycji. Jej poglądy pozostały równie zdecydowane, krok równie pewny, ale pod czarnym szalem i okularami w grubych oprawkach jej twarz postarzała się w ciągu roku o dwadzieścia lat, a z dawnej urody nie zostało nawet śladu.

- Jeszcze mnie nie złamałeś - mruzczała pod adresem Boga w każde święto Jom Kipur, kiedy stała w synagodze głodna i wyczerpana, udając, że się modli (by znajomi nie domyślili się, jak bardzo cierpi). Gdy Pan Karol z rozpaczy pograżył się w głębokiej apatii i nie chciało mu się kiwnąć palcem, sama poprowadziła sklep. Kiedy się skarżył, że cisza panująca w domu doprowadzi go do obłędu, kupiła papugi i kanarki, by przez cały dzień zabawiały go śpiewem.

Wydawało się, że przeboleła stratę. Pozostała stanowcza, uparta i szorstka. Tak bardzo zależało jej, by nie dać Bogu satysfakcji oglądania jej łez, że nie pokazywała ich nikomu, nawet mężowi. Przyjaciółki Sary zapraszały ją na wesela i szła bez krzty goryczy. Koledzy Józefa zostawali lekarzami i prawnikami - chodziła do nich i słono płaciła za wizyty, choć ani razu nie zastosowała się do ich rad. Ale jej własne dzieci nigdy nie dorosły. Sara wciąż była nazbyt skorą do śmiechu siedemnastolatką o kruczoczarnych włosach, a Józef szczerbatym dziesięciolatkiem, który biegał po podwórku. Miriam nie mogła oprzeć się wrażeniu, że są tuż, na wyciągnięcie ręki. Widziała ich przed sobą codziennie, w każdej chwili.

Tylko w deszczowe noce zrywała się z łóżka, przerażona myślą, że jej dzieci są daleko, mokną w błotnistych grobach, podczas gdy ona, która pragnęła dać im tyle szczęścia, ma suchy dach nad głową.

\*

Fräulein Claude czuła swąd pożarów na długo przedtem, nim wybuchły; nim jeszcze skrzęsano pierwsze iskry. Przez wiele miesięcy prześladował ją zapach krwi i dymu, szare niebo Teheranu barwiła pomarańczowa luna. Zanim tłum po raz pierwszy wyległ na ulice, Fräulein Claude widziała miasto w płomieniach.

Było lato 1978 roku i przerwy w dostawie prądu codziennie utrudniały ludziom życie.

Następowały bez ostrzeżenia, obejmowały całe miasto i trwały dowolnie długo. Nagle gasły światła, klimatyzatory zamierały z sykiem, lodówki zaczynały kapać. Trącające myszką serie nikiły z telewizyjnych ekranów, a korki uliczne, już przedtem kilometrowe, w ogóle przestały się rozpraszać. Ludzie zostawiali samochody na jezdni, szli pieszo do domu, żeby zjeść kolację przy lampie naftowej, i wracali po kilku godzinach, by się przekonać, iż ulica wciąż jest nieprzejezdna. W przygnębiającej atmosferze miasta wściekłość mieszała się z wyczerpaniem, frustracją i poczuciem nadciągającej zagłady, której nie mogły zapobiec niewydolna gospodarka i bezradny rząd.

Krażyły pogłoski o strajkach na prowincji, o jednoczeniu się wrogów szacha i przygotowaniach do zrzucenia go z tronu. Większość chciała zastąpić jego dyktaturę inną, rzekomo bardziej dobrotliwą. Reza Pahlawi - mówiono - obiecał narodowi Wielką Persję, niewyczerpane bogactwo, system polityczny "bardziej demokratyczny niż w Szwecji". Tymczasem rządził za pomocą dekretów, kazał zamykać wszystkich, którzy go krytykowali, występował w telewizji w mundurze wojskowym udekorowanym dziesiątkami medali, które sam sobie nadał, i wmawiał ludziom, że jest wyższy od Boga, potężniejszy od prezydenta USA i niezbędny do życia bardziej niż chleb i woda.

Przez cały czerwiec Fräulein Claude czuła smród palonych ciał. Chodziła po domu w przejrzystej letniej sukience, ignorując zmieszanie Zohraba i Masztiego patrzących na jej nagość, i macała wokół siebie rękami, jakby chciała nimi znaleźć to, co dawno straciła z oczu. Nie ufała już nikomu, nawet Jakubowi. Odzywała się coraz rzadziej. Spędzała wiele godzin przy kuchennym zlewie, ochlapując się wodą, która parowała w momencie, gdy dotknęła skóry. Wiele rozmyślała o nowinach przynoszonych przez Masztiego z miasta. Najstarsza córka Morada przeszła na islam i poślubiła mężczyznę starszego o trzydzieści lat. Żona Morada pożyczyła trzy tysiące dolarów od jednej z dawnych kochanek męża i za te pieniądze wysłała synów do Ameryki. Żona Jakuba Galarety wyjechała z dziećmi do Izraela, gdzie najmłodszy syn Natan, raniony przez snajpera, stracił nogę. Wszyscy zamożni znajomi i sąsiedzi, dawni wspólnicy Timura i rówieśnicy Zohraba uciekali z kraju jak szczury.

W sierpniu upał doprowadzał ludzi do obłądu. Asfalt na ulicach topił się i uginał jak miękka guma pod stopami przechodniów. Szerokie na stopę kolumny mrówek maszerowały tam i z powrotem po zewnętrznych ścianach domu i wchodziły do sypialni. We względnym chłodzie tarasu gromadziły się jaszczurki. Fräulein Claude, opętana upałem i własnym niepokojem, goniła je z rzeźnickim nożem i siekała na pół. Dygotały i biegły dalej.

W południowej części Teheranu wojskowe buldożery zrównały z ziemią skupisko bud z blachy i kartonu, ziemianek i namiotów rozpiętych nad pojemnikami na śmieci. Mieszkali

tam przyjezdni z innych prowincji, którzy ścignęli do stolicy w nadziei na poprawę swego losu.

Prorządowa gazeta wieczorna opublikowała obraźliwy list pod adresem ajatollaha Chomeiniego. W odpowiedzi wybuchły zamieszki w mieście Kom nieopodal Teheranu. Żołnierze szacha otworzyli ogień. Wieści o ofiarach dotarły do innych miast w całym Iranie i wywołały nowe zamieszki, te zaś pociągnęły za sobą nowe ofiary. Demonstranci, protestujący przeciw dyktaturze, nepotyzmowi, korupcji i odejściu od islamskich wartości, podpalali banki i restauracje, budynki rządowe, prywatne auta i żydowskie sklepy.

W mieście Abadan nad Zatoką Perską temperatura sięgała pięćdziesięciu stopni. Pewnego wieczoru czterysta osób, dorosłych i dzieci, siedziało w kinie, kiedy wybuchł pożar. Wyjścia były zamknięte na klucz. Straż pożarna przyjechała za późno. Wszyscy spłonęli.

Szach oskarżył opozycję o podpalenie kina w Abadanie. Buntownicy z kolei obciążali winą szacha. Nikt nigdy nie poznał prawdy, lecz wiatr poniosł na północ odór zwęglonych, łuszczących się zwłok, a wraz z nim ludzki gniew. W całym kraju kina stawały w płomieniach.

\*

Po szóstej klasie przestałam dzwonić do ojca. Przestałam też do niego pisać z wyjątkiem paru listów w roku, w których informowałam go o postępach w nauce albo pytałam, jakie ma wobec mnie plany. Porzuciłam nadzieję na powrót do domu, a wpojone mi ongiś przez Miriam przekonanie, że jeszcze zobaczę matkę, znacznie zbladło.

- Rozumiesz chyba, że Zohrab oddał ci przysługę - powiedziała Mercedes po rozdaniu świadectw. - Ja musiałam łgać, oszukiwać i iść do łóżka z tuzinem mężczyzn, żeby wydostać się z żydowskiej dzielnicy i przyjechać tutaj. Twój ojciec wręczył ci wolność na tacy; dzięki niemu możesz być tym, kim zechcesz. Bądź mądra: podziękuj mu i raz na zawsze przestań zaprzętać nim sobie głowę.

Lato spędziłam u niej. Przez większość czasu nie było jej w domu; wyjeżdżała w różne miejsca z różnymi mężczyznami. Zostawałam z gospożą. Grałyśmy w szachy nad basenem, pływałyśmy, pomagałam jej sprzątać. Po południu, kiedy ucinała sobie drzemkę, chodziłam na spacer.

W tamtym okresie często widywałam Irańczyków. Uciekali do Ameryki przed zamieszkami, które wkrótce miały się przerodzić w rewolucję. Zawsze chodzili grupkami. Mężczyźni pocili się w garniturach, jakby chcieli dowieść sobie i innym, że nie są wygnańcami, mają ważne sprawy na głowie, ich posady i biura wciąż na nich czekają. Szli

przodem splatając ręce za plecami i pochylając głowy. Rozmawiali o najświeższych wieściach z Iranu - o zamykanych bankach, fabrykach spalonych do gołej ziemi, o kursie wymiany riala.

Za nimi niezgrabnie dreptały kobiety na wysokich obcasach i w ciasnych spódnicach, zmęczone i blade. Te mówiły o domach pozostawionych w kraju - "dopiero co umeblowanych", "świeżo kupionych", "ledwie podciągniętych pod dach". Siadały na ławkach w parku i martwiły się, co będzie z dziećmi, które już od ponad roku nie chodzą do szkoły, jeśli zbyt długo pozostaną w Los Angeles. Nastolatkom zagrażał alkohol i wojny gangów, a część dziewcząt już deklarowała, że niezależnie od wyniku rewolucji pozostanie w Ameryce na stałe.

Ilekczo widziałam Irańczyków, szłam za nimi. Siadałam obok na ławkach, obserwowałam ich z przeciwnej strony ulicy, przysłuchiwałam się ich rozmowom. Nawet nie podejrzewali, że jestem jedną z nich. Czasem zwracali się do mnie w niegramatycznej, ciężko akcentowanej angielszczyźnie. Pytali o drogę, o to, ile mam lat, do jakiej szkoły chodzę. Miałam ochotę odpowiedzieć po persku, ale się bałam, że nie zrozumieją; że po sześciu latach posługiwania się tym językiem jedynie w coraz rzadszych rozmowach telefonicznych z ojcem już go zapomniałam i będą się ze mnie śmiać. Chciałam im powiedzieć, że jestem Iranką; zapytać, czy znają Zohraba, czy może słyszeli o Roksanie.

Nigdy się nie odważyłam. Przyglądałam im się tylko - podróżnikom po obcym kraju, wygnańcom czekającym na powrót do domu. Zagubieni i dręczeni nostalgią, trzymali się razem, przez co nawet na obczyźnie udawało im się zachować świadomość przynależności do wspólnoty. Ja nigdy jej nie znałam. To ja jestem prawdziwym wygnańcem - myślałam podczas owych spacerów po parku - wędrowcem, który nie ma szans odnaleźć celu swej wędrówki.

Lecz przy innych okazjach patrząc na swych rodaków, którzy przywieźli tu ze sobą nie tylko poczucie narodowości i wspólnoty, lecz także swoją przeszłość pełną zawiedzionych nadziei i oczekiwań - przy takich okazjach przypominałam sobie słowa Mercedes i myślałam, że być może miała rację: Zohrab oddał mi przysługę wysyłając mnie z domu. Odebrał mi nadzieję i rodzinę, to prawda. Ale równocześnie uwolnił mnie od lęku przed chciwymi duchami i wściekłymi psami skaczącymi do okien, od bólu niepewności, czy Roksana nie leży pod warstwą betonu na podwórzu. Uwolnił mnie od smutku, który skaził życie mojej matki, i granic wyznaczonych mi przez Los, przed którym w Iranie nie zdołałabym uciec.

Być może oboje - Roksana, która mnie porzuciła, i Zohrab, który wyprawił mnie z domu - zrobili to dla mnie. Wysłali mnie za ocean i w ten sposób oszukali Przeznaczenie.

\*

Chodadad Dar Boży, siedemnastoletni wnuk Masztego, rzucił szkołę, żeby zostać pełnoetatowym posłańcem ajatollaha. Zapuścił brodę i krążył po mieście na motorowerze, wożąc wieści z jednego meczetu do drugiego oraz rozprowadzając kasety i ulotki z przesłaniem wielkiego imama. Po pożarze w abadańskim kinie zabronił Masztiemu pracować u Zohraba i Fräulein Claude. Przebywający w Iraku ajatollah orzekł, iż rozlew krwi mający miejsce pod rządami szacha był wyłącznym dziełem Żydów. To oni strzelali do demonstrantów, oni podpalali kina. Ajatollah wiedział o tym z całą pewnością, albowiem Bóg przemawiał do niego we śnie. Bóg zaś rzekł mu, iż jest fizycznie niemożliwe, aby muzułmanin mógł zabić drugiego muzułmanina. Wystrzelona przez prawowiernego kula nie mogła zranić jego brata w wierze.

Żołnierze, którzy zabijali powstańców, nie mogli więc być wyznawcami Proroka. Byli to irańscy Żydzi, którzy dawno temu wyemigrowali do Izraela. Szach sprowadził ich, żeby mordowali zwolenników imama.

Chodadad Dar Boży powiedział Masztiemu, że wszyscy Żydzi to psy niewierne, nieprzyjaciele Boga i należy zetrzeć ich z powierzchni ziemi.

Szach poddawał się właśnie terapii przeciwrakowej. Wywołane nią mdłości potęgował jeszcze odór spalenizny i prochu. Rozdrażniony władca zwrócił się przeciwko własnym sojusznikom; zaczął dymisjonować ministrów i generałów. Wychudły i przygnębiony, wieczorem ukazał się w telewizji, prosząc lud o wybaczenie. Fräulein Claude patrzyła na niego ze zgrozą. Siedzieli z Zohrabem w gabinecie na parterze, przy tym samym stole, przy którym wiele lat temu Timur po raz ostatni przyjął Małego Nuriego Poborcę. Dom w każdej chwili mógł się stać celem ataku rozwścieczonej tłuszczy, ryglowali więc wszystkie drzwi i gasili światła, żeby nie przyciągać uwagi.

"Popelniono błędy" - powiedział szach w telewizji i Fräulein Claude zrozumiała, że przegrał wojnę. Odwróciła się do Zohraba. Siedział wyprostowany, światło z ekranu rzucało jego niebieski cień na puste ściany. Był blady i smutny, przedwcześnie posiwiały, nawet oczy pożółkły mu jeszcze bardziej, jak jesienne liście. Patrzył na szacha, ale wiedziała, że myślami jest daleko, w krainie melancholii, gdzie przebywał od utraty Roksany - a ściślej mówiąc od tej nocy, kiedy przespała się z jego ojcem i sama mu o tym powiedziała.

Fräulein Claude dotknęła delikatnie ramienia syna, jakby chciała go obudzić.

- To koniec - stwierdziła.

Nie odpowiedział.

We wrześniu trzęsienie ziemi zniszczyło Tabas, zostawiając po sobie piętnaście tysięcy trupów. W tym samym miesiącu szach ogłosił stan wojenny w Teheranie.

Pierwszej nocy na ulicach panowała cisza. Leżąc w łóżku przy otwartym oknie Fräulein Claude słyszała tylko warkot wojskowych dzipów i kroki żołnierzy patrolujących ulice. Brakowało zwykłego ryku motocykli i motorowerów wożących demonstrantów z jednego krańca miasta na drugi, nie było słychać chaotycznej wymiany ognia między wojskiem a buntownikami. A jednak przez całą noc wyczuwała jakiś utajony ruch, nadciągającą nieuchronnie tragedię.

O trzeciej w nocy wstała i wyjrzała na korytarz. Zohrab jeszcze nie spał, czytał gazetę przy biurku. Poszła na dół, ażeby sprawdzić, czy wszystkie drzwi są porządnie zamknięte.

Jakub Galareta leżał twarzą na ruszcie nargili, usta i nos miał pełne wystygłego popiołu, kończyny zimne i bezwładne.

Nazajutrz udała się do miasta i kupiła Jakubowi nowy garnitur. Był szyty do figury, granatowy, z szerokimi klapami i dwoma rzędami srebrnych guzików. Wraz z Masztim zwlekła z Jakuba stare ubranie, w którym spędził minione dwadzieścia lat, i odziała go w nowe. Wyglądał w nim lepiej niż w dniu swego ślubu - tak imponująco, że kiedy zawieźli go samochodem na cmentarz, grabarze zażądali dowodu, iż Jakub naprawdę nie żyje. Dopiero gdy ponownie zdjęto zeń odzienie, ukazały się skurczone zwłoki, kupka kości powleczone żółtą skórą. Grabarze go umyli, wypchali mu policzki watą, owinęli w całun i pogrzebali z wielkim pośpiechem. I tak powinna się była zakończyć historia Jakuba Galarety, lecz stało się inaczej.

A stało się tak dlatego, że wróciwszy z pogrzebu Fräulein Claude nie miała serca wyrzucić starego brązowego ubrania. Powiesiła je wraz z kapeluszem na wieszaku w alkwie, gdzie zawsze siedział Jakub.

Może to przez ubranie, noszone tak długo, że trwale zachowało kształt ciała właściciela. Widok był tak znajomy, że każdy, kto wchodził do kuchni, odruchowo sprawdzał, czy w ubraniu nie ma przypadkiem Jakuba. A może winni byli grabarze, którzy umyli ciało nie zdając sobie sprawy, że wraz z Jakubem powinni zapakować w całun jego obłąkańcze halucynacje. Dość, że majaki nie zeszyły z nim do grobu. Wróciły za Fräulein Claude i Zohrabem do domu, jawnie spacerowały po pokojach, rozmawiały ze sobą i

opowiadały różne historie.

Bywało, że Fräulein Claude odwracając się w samo południe, kiedy słońce rozpalało do białości betonową nawierzchnię podwórza, widziała swego męża zbierającego wargami łzy z rzęs Roksany. Zohrab wchodził do kuchni i widział młodzieńką Roksanę w szkolnym mundurku, śmiejącą się nieśmiało z wygłupów Effat. Mężczyźni w prążkowanych garniturach w biały dzień wynosili z domu dywany i obrazy, a handlarka gąbek szeptała do Jakuba, że "zrobi mu dobrze, ile razy zechce", jeśli da jej pociągnąć opium z fajki. Zawsze odmawiał.

Jeśli ktokolwiek spojrział nocą w niebo nad aleją Wiary, mógł dostrzec smukłą postać w przejrzystej koszuli, odlatującą z wiatrem na rozpostartych białych skrzydłach.

W październiku zastrajkowali pracownicy przemysłu naftowego, skutkiem czego ustało wydobywanie ropy. W listopadzie podpalono jedenastopiętrowy biurowiec spółki naftowej. Następnie zamknięto banki, a wkrótce potem bazy i urzędy państwowe. Szach kazał rozrzucać ulotki informujące, że czerwona ciecz płynąca rynsztokami nie jest krwią, lecz farbą wylewaną przez rewolucjonistów w celu zastraszenia praworządnych obywateli.

W dniach poprzedzających muzułmańskie święta Aszura i Tasua napięcie na ulicach gęstniało do tego stopnia, że potniały od niego szyby. Fräulein Claude stała w oknie sypialni wyglądając na ulicę. Strajki nafiarczy nie tylko doprowadziły do zamknięcia fabryk: brak gazu unieruchomił kuchnie i kotłownie, a ponadto do reszty zabrakło benzyny. Ludzie pchali samochody po ulicach, spędzali noce w kolejkach do stacji benzynowych, gotowi się pozabijać o galon paliwa.

Gońcy rewolucji pukali do każdego domu, informując o walkach toczących się kilka przecznic dalej, i rekrutowali ochotników do obrony prowizorycznych barykad - przewróconych samochodów, stosów kamieni, zza których powstańcy strzelali do żołnierzy armii szacha. Brakowało bandaży i środków pierwszej pomocy. Powstańcy wdarli się do domu Miriam, zabrali jej wszystkie prześcieradła, poszwy i obrusy, które następnie pocięli na pasy, by opatrywać rannych.

W dni u święta Tasua dwa miliony ludzi przemaszerowały przez Teheran. Szli w milczeniu, niosąc portrety Chomeiniego. Nie mogło być wątpliwości, że dni szacha są już policzone.

\*

Księżycowa Miriam przez ostatnie miesiące 1978 roku biegała jak w ukropie, usiłując zamienić nieruchomości na gotówkę. Sklep z antykami zamknęła dużo wcześniej - od roku

nie pojawił się w nim żaden klient, a poza tym wszyscy pozostali właściciele sklepów przy alei Firdausiego przyłączyli się do strajku generalnego. Ktokolwiek by się wyłamał, zostałby natychmiast okrzyknięty bezbożnikiem i nieprzyjacielem islamu, jego sklep by spalono, dom obrócono w perzynę. Miriam szukała teraz nabywcy sklepu i kamienic. Wiedziała, że będzie ciężko: wszelkie zapasy gotówki albo już zostały wywiezione z kraju, albo też leżały niedostępne na zablokowanych kontach. Ale Księżycowa Miriam była uparta i ten jeden raz w życiu gotowa sprzedać nawet ze sporą stratą.

- Wiem, co robię - powtarzała wracając wieczorami do domu, choć Pan Karol w ogóle jej nie słuchał. - W tym kraju będzie wielka wojna i tych, którzy tu zostaną, czeka pewna śmierć.

Krażyła więc po mieście - samotna kobieta w męskiej marynarce i półbutach, bez śladu dawnej urody, która powinna była zapewnić Miriam cudowne życie, lecz tymczasem niczego jej nie ułatwiła. Wstawała o świcie, gdy na niebie wisiała czerwona luna, i przez cały dzień chodziła płonącymi ulicami wśród czarnych wraków wypalonych aut i zniszczonych wybuchami budynków; mijała żądne krwi hordy, które polowały na urzędników państwowych, agentów tajnej policji, bogatych Żydów, wyciągały ich na ulice i gołymi rękami katowały na śmierć.

- Powiedz: "Śmierć szachowi"! - żądali oprawcy. - Powiedz: "Śmierć Amerykanom"!

Miriam szła dalej, mając przed oczyma wyłącznie swój cel.

Odwiedziła wszystkich znanych sobie ludzi, nawet Zohraba. Wysiadywała u nich godzinami, tłumacząc, że mogą zrobić świetny interes. Grała na ich chciwości, powtarzała, że taka okazja już im się nie trafi; nie wyzbywałaby się domów za bezcen, gdyby nie to, że wyjeżdża z kraju.

- Ale ty zostajesz - mówiła - i niebawem doczekasz końca tego szaleństwa. Lada dzień szach się opamięta, każe wystrzelać paruset demonstrantów, a resztę przepłoszy z powrotem do domów. Wtedy moje kamienice odzyskają dawną wartość. Zrobisz majątek, a ja, no cóż, ja będę stratna.

Jesienią 1978 roku udało jej się kolejno spieniężyć wszystkie posiadane aktywa, nawet mieszkanie w suterenie, które zajmowali z Panem Karolem. Pewnego wieczoru wróciła do domu później niż zwykle i oznajmiła, że w ciągu trzech miesięcy muszą się wyprowadzić.

- Dokąd? - Karol zaskoczony, jak gdyby pierwszy raz słyszał o jej planach, spojrzął na nią przez ramię pustymi oczyma ślepego. Po śmierci dzieci stał się potulny i roztargniony, zajmował się wyłącznie ptakami i kwiatami, okazując im więcej czułości niż kiedykolwiek okazał żonie i dzieciom.



- Musimy wyjechać - powiedziała Miriam.

Pan Karol, podobnie jak ona, nigdy w życiu nie podróżował, nie wyściubił nosa poza miasto.

- Co to znaczy "wyjechać"? - spytał tępo. - Jak mamy "wyjechać"?

Miriam usiadła na łóżku, które już do niej nie należało, i zdjęła buty. Stopy miała spuchnięte i otarte od chodzenia. Sięgnęła pod łóżko, wyjęła zapasową parę półbutów Karola i włożyła je na swoje grube czarne pończochy.

- Trochę za duże - stwierdziła - ale dwie pary skarpet załatwią sprawę.

Pan Karol przyglądał jej się baranim wzrokiem. Westchnęła, po czym wyciągnęła z kieszeni mały pakiecik. Zdjęła zeń gumkę i rozwinęła na łóżku złożony kilkakrotnie kawałek szarego pakowego papieru.

- Patrz! - powiedziała z dumą, nagle się ożywiając. W zwitku było pięć brylantów po osiem karatów każdy. Migotały, sypiąc iskry po ciemnym pokoju. Zawarte w nich było całe życie Miriam, jej nadzieje, osiągnięcia, wieczne poświęcenia i niewygasły ból, sprzedane za pół ceny w zamkniętych na klucz pokojach płonącego miasta i kupione ponownie w postaci twardych, błyszczących kamieni.

- Kupiłam je za pieniądze z nieruchomości. Łatwo je ukryć, bo przecież musimy je przemycić przez granicę, i łatwo też sprzedać w każdym dowolnym kraju.

Pan Karol spłoszył się jeszcze bardziej. Wargi mu pobladły, a twarz okryła się kroplami potu.

- Jaką znów granicę? - wyjąkał przerażony.

Miriam zrobiło się go żal.

- Tu będzie coraz gorzej - wyjaśniła cicho, kładąc mu rękę na ramieniu. Zadrzał i się odsunął.

Wiedziała, dlaczego się od niej odsuwa. Nigdy o tym nie mówił, ale winił ją za samobójstwo Sary. Tak jak ona winiła go za utonięcie Józefa. Wiedziała, że częścią duszy Karol ją nienawidzi, że w innych okolicznościach pewnie by się z nią rozwiódł. W innych okolicznościach być może sama wzięłaby nóż rzeźnicki i poderznęłaby mu gardło za ten pomysł z basenem, który kosztował życie jej syna. Ale byli starzy, znużeni, wyczerpani tragedią i mieli już tylko siebie.

Niedługo szach opuści kraj, a władzę przejmą islamiści - podjęła. - Najpewniej rozpęta się tu krwawa łaźnia. Będą zabijać się wzajemnie, ale przede wszystkim będą rżnąć Żydów. Nie mamy innego wyjścia, musimy wyjechać.

Pan Karol po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie, że nie ma pojęcia o świecie poza

Teheranem.

- Gdzie mielibyśmy jechać? - bąknął. - Nie znamy żadnych innych miast...

Ameryka, Anglia, te dalekie, czarodziejskie krainy określane zbiorczym terminem *Farang* (Zachód); miejsca, o których zawsze marzył, lecz nie sądził, że je kiedykolwiek zobaczy; ludzie, których uwielbiał, lecz się nie zastanawiał, czy mógłby wśród nich żyć - wszystko to znalazło się nagle tuż przed nim, przyprawiało go o zawrót głowy jak czarna, ohydna przepaść.

- Rochelle pojechała do Ameryki - mruknęła Miriam, sama zbierając się na odwagę. - Jest tam też mój brat Bahram. Mieszkają w jednym mieście. A Zuzanna wyjeżdża z dziećmi w tym tygodniu. Są już spakowani, codziennie siedzą na lotnisku, nawet nocą. Czekają tylko na wznowienie lotów, żeby wydostać się stąd pierwszym lepszym kursem. Mąż Zuzanny rzekomo ma dołączyć do nich później, ale ja tam w to nie wierzę. - Miriam zdała sobie sprawę, że odbiegła od tematu. - Tak więc - spojrzała mężowi prosto w oczy - myślę, że jeśli oni mogą, to my też.

Pan Karol potrząsnął głową, jakby doszedł do wniosku, że żona zwariowała, i wrócił do swoich kanarków. Miriam poczuła ulgę. Podała na stół chleb i jogurt, po czym usiadła, by oderwać podeszwy od półbutów Karola i wkleić brylanty do środka - dwa w jednym bucie, trzy w drugim. Potem musiała z powrotem przyszyć obie podeszwy. Szło ciężko, bo dłonie Miriam zaczynał wykręcać reumatyzm, ale dziobiąc podeszwę sztydłem wiedziała, że jej walka dopiero się zaczyna.

Grudzień spędziła w kolejce pod teherańskim biurem paszportowym. Było oczywiście zamknięte - wszystkie urzędy także strajkowały - a gdyby nawet je otwarto, szansa, że ktoś taki jak Miriam otrzyma paszport, była równa zeru. Podobnie jak większość ludzi z ich pokolenia, ani ona, ani Pan Karol nie posiadali żadnych dokumentów, prawa jazdy, a nawet metryki urodzenia. Jedyнным dowodem, że istnieją, było świadectwo przyjaciół i krewnych. Pomimo to Miriam codziennie ustawiała się w kolejce wraz z tysiącami innych osób i wracała do domu dopiero wtedy, gdy wieczorem na ulice wyjeżdżały czołgi. Pierwszego dnia stycznia 1979 roku poszła do Zohraba.

Fräulein Claude nie chciała otworzyć drzwi, pewna, że na ulicy czeka żądny krwi tłum.

- To tylko ja! - Miriam próbowała ją uspokoić. - Nie mam nawet wisiorków na

sprzedaż.

Ale Fräulein Claude żyła w śmiertelnym strachu, że padnie ofiarą pogromu - jej dawni służący, dziś wszyscy po stronie wroga, zarzną ją w biały dzień albo jakiś ulicznik wrzuci przez okno koktajl Mołotowa i zginie w płomieniach. Zaopatrzyła drzwi wejściowe w nie mniej niż pięć zamków, kazała zasłonić szybki surowymi deskami i wpuszczała tylko Masztiego.

- Odejdź! - krzyknęła do Miriam zza drzwi. - Ściągniesz na nas nieszczęście!

- Otwórz, bo przysięgam, że będę tu stać i miotać na was klątwy, aż w końcu rzeczywiście ktoś mnie usłyszy!

Znalazła Zohraba w gabinecie ojca. Włosy miał już całkiem siwe, ręce chude i białe. Wyglądał jak jeden z duchów, o których tak często mówił Jakub Galareta - przystojny, grzeczny, przezroczysty. Ujrawszy Miriam wstał i uściśnął jej dłoń.

Usiadła, poprawiając szal okrywający głowę.

- Wiesz, że szach szykuje się do ucieczki - oznajmiła bez wstępu.

Zohrab kiwnął głową i dodał, że spodziewał się tego.

- Kiedy wyjedzie, nowy reżim dobierze się do takich jak ty.

Nazwisko Zohraba już kilkakrotnie pojawiło się w różnych islamskich gazetach. Był na liście "bezbożników" i na liście "kontrewolucjonistów".

- W najlepszym razie odbiorą ci wszystko, co posiadasz - ciągnęła Miriam. - A najprawdopodobniej cię zabiją.

Zohrab uśmiechnął się i znów kiwnął głową. Miriam z trudem oderwała spojrzenie od jego przedziwnych oczu.

- Powinieneś pomyśleć o wyjeździe - doradziła. - Zabierz matkę i uciekaj.

- A ty - spytał - wyjeżdżasz?

Miriam skrzyżowała nogi i położyła torbę na kolanach. Zohrab raptem sobie przypomniał, jaka ongiś była piękna. Pamiętał, jak wyglądała, kiedy przed jego ślubem cała rodzina Roksany przyszła z wizytą na aleję Wiary. Miriam patrzyła na ten dom pełen bogactw i spełnionych ambicji Fräulein Claude, a potem oświadczyła, że czeka go ruina. Czy już wtedy wiedziała, że Roksana go opuści?

- Miałam nadzieję, że zdobędę paszporty dla siebie i Karola - odparła - ale to się nie uda. Lotnisko jest zamknięte, a autobusy nie kursują z powodu braku paliwa. Myślę więc się udać na wschód, do Pakistanu. W kolejce pod biurem paszportowym poznałam wielu ludzi. Wszyscy mówią, że jeśli zdołam wynająć samochód i przewodnika, Karol i ja bez trudu przekroczymy granicę. W Pakistanie zatroszczę się o papiery i przejazd do następnego kraju.

Zohrab czuł zarazem rozbawienie i niepokój.

- Dlaczego chcesz to zrobić? - zdziwił się. - Czy tak bardzo się boisz islamistów, że gotowa jesteś zostawić wszystko i zbiec na pustynię?

Miriam uniosła brew i przyjrzała mu się uważniej. Mimo woli, a może nawet wbrew woli obojga z biegiem lat zostali przyjaciółmi.

- Tu nie chodzi tylko o strach - powiedziała. - Starzeję się. To chyba moja jedyna szansa, żeby zobaczyć kawałek świata.

- Gdzie chcesz jechać? - spytał, choć domyślał się odpowiedzi.

- Do Ameryki. Moja siostra Rochelle od lat ma zieloną kartę i każdego lata jeździ tam z córkami. Głupia; myśli, że mąż płaci za te wycieczki, bo chce jej sprawić przyjemność, gdy tymczasem on robi to tylko po to, żeby się jej pozbyć i szaleć z kochankami.

Zohrab roześmiał się i Miriam nabrała odwagi.

- Tak czy owak - podjęła - Rochelle już odleciała i tym razem wzięła z sobą wszystkie dywany i antyki. Kupili tam dom, jej mąż jest przerażony tym, co się tu dzieje, i liczy się z pozostaniem w Ameryce na zawsze. Pewnie mogliby załatwić wizy dla Karola i dla mnie, gdyby udało nam się dostać paszporty. Dlatego przyszłam, bo możliwe, że już się nie zobaczymy. - Pochyliła się ku niemu i dodała z wahaniem: - Wiem... Słyszałam, że Lili mieszka w Ameryce u Mercedes. Chcę, żebyś dał mi jej adres.

Zohrab milczał.

- To moja siostrzenica. Poza tym chcąc odnaleźć Roksanę, muszę wiedzieć, gdzie jest Lili.

Zohrab zmrużył oczy, jakby chciał się jej lepiej przyjrzeć, a potem ze zdumieniem potrząsnął głową. Ona nie udaje, pomyślał. Ona rzeczywiście w to wierzy.

- Ty naprawdę wierzysz, że ona jeszcze wróci.

- Wiem to, co wiem. - Miriam westchnęła, prostując się na krześle.

- Minęło osiem lat - zauważył.

- Nie dbam o to, czy minęło ich osiem czy sto - odparowała Miriam. Potem umilkła. Wydało jej się, że w oczach Zohraba widzi zwątpienie. Kiedy znów się odezwała, głos miała znużony, matowy i pozbawiony zwykłej pewności siebie. - Człowiek zniesie tylko pewną liczbę rozstań i wyleje tylko pewną ilość łez. Nie może stracić wszystkiego. - Głos jej się załamał. Urwała, zagryzła wargi, starając się wykrzesać z siebie ostatek tłącej się jeszcze odwagi, która dotąd trzymała ją przy życiu.

Jedyny sposób, by uniknąć porażki, pomyślał Zohrab, to przeczyć naprzód.

- Straciłam Roksanę dwa razy - podjęła Miriam. - Najpierw kiedy zamieszkała u

Kocicy, a potem jeszcze raz, kiedy uciekła z tego domu. Straciłam matkę i oboje dzieci. Straciłam nawet Karola. Mój mąż niby jeszcze stąpa po tym padole, ale już o tym nie wie. Może trzeba mi wiary, że Roksana żyje.

Niewiele brakowało, by w tej chwili Księżycowa Miriam przełamała upór Zohraba. Chwila jednak minęła. Zohrab wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Życzę ci wiele szczęścia - rzekł.

Jego dłoń była ciepła. Miriam ujęła ją, zastanawiając się, czy naciskać dalej, czy w ogóle istnieje szansa, że zmieni zdanie. W końcu się poddała.

- Jak sobie życzysz. - Jej głos znów brzmiał twardo. - Ale wiedz jedno: zrobiłeś błąd odcinając Lili od rodziny. Przypominała ci Roksanę i nie mogłeś tego znieść, wysłałeś ją więc na koniec świata udając, że to dla jej dobra. A ja i tak ją znajdę. Znajdę również Roksanę. Powiem im, że je kochałeś i twoim jedynym grzechem był brak wiary.

Szesnastego stycznia szach wyjechał z kraju. W tym samym dniu trzęsienie ziemi we wschodnim Iranie pogrzebało żywcem tysiące ludzi.

\*

Wnuk Masztiego wystąpił w telewizji. Mówił o "syjonistach", których należy zetrzeć z powierzchni ziemi. Stary lokaj Morada - ten z gębą pełną złotych zębów wprawionych na koszt Timura - przychodził co dzień do biura Zohraba (które również od dawna było zamknięte), by doręczać mu wyroki śmierci. Handlarka gąbek dzwoniła do drzwi o północy, a gdy Zohrab otwierał, obrzucała go ordynarnymi wyzwiskami.

Fräulein Claude próbowała przekonać syna, że powinni uciekać, póki jeszcze czas, ale zbywał jej błagania milczeniem. Przetykając strach, zamontowała w drzwiach następne zamki. Nocą raz po raz sprawdzała, czy są zamknięte, liczyła swoje pieniądze i klejnoty i chowała je w coraz to bardziej niedostępnych miejscach. Strach zaciskał jej gardło, sączył się trucizną do żołądka i jelit, pokrywając je nalotem zgnilizny, i wracał do ust żółtą gorzką wymiociną, całkiem odbierając jej apetyt. Jej oddech stał się cuchnący, głos chrapliwy.

Po wyjeździe szacha jego ostatni premier, Szapur Bachtiar, usiłował przywrócić porządek, lecz prawie natychmiast dał za wygraną. Otrzymał wiadomość, że ajatollah Chomeini jest już w drodze do Iranu i ma zamiar lądować, nawet gdy lotnisko będzie zamknięte. Jedynym sposobem, aby go powstrzymać, było zestrzelenie samolotu. Wieczorem trzydziestego stycznia Bachtiar kazał otworzyć teherańskie lotnisko. Dwadzieścia cztery godziny później samolot Chomeiniego wylądował w stolicy.

\*

"Nie mogę do ciebie dzwonić, bo telefony są głuche" - napisał do mnie po angielsku Zohrab.

Zobaczyłam go oczyma duszy - człowieka, którego znałam wiele lat temu jako swego ojca. Był wówczas młody, delikatny i smutny, całował mnie na dzień dobry, a wieczorem siadał ze mną do kolacji. Zobaczyłam go przy biurku, zgarbionego nad listem. Jego blade, arystokratyczne dłonie ledwie muskały papier.

"Nowy reżim skonfiskował nasz dom i przekazał go «organizacji wspierania ubogich». Matce i mnie przydzielono po jednym pokoju. Mieszka tu z nami pięć innych rodzin.

Nie mogę ci wysłać pieniędzy, bo nasze konta zablokowano. Może twoja przyjaciółka Mercedes zgodziłaby się wyłożyć chesne i pokryć inne twoje potrzeby, dopóki nie uładzę się jakoś z obecną władzą?"

Była to tylko jedna z wielu dziwnych cech tej niezwykłej kobiety. Mercedes - pozbawiona serca kobieta interesu, która nigdy ani groszem nie wspomogła biedaka i nie miała litości nad dziećmi lokatorów mieszkających w pełnych robactwa ruderach - wzięła mnie na swoje wyłączne utrzymanie nie oczekując, że kiedykolwiek odzyska pieniądze; mało tego - nigdy nawet słowem o tym nie wspomniała.

\*

Księżycowa Miriam przybyła do Los Angeles w marcu 1981 roku. Minęły dokładnie dwa lata od dnia, gdy wraz z Panem Karolem opuścili Iran skuleni na tylnym siedzeniu wynajętego volvo, które przewiozło ich przez granicę. Zapłacili kierowcy sto tysięcy tomanów, a znalazłszy się w Pakistanie, musieli zapłacić ponownie, żeby nie wydał ich władzom. Wiózł ich przez trzy i pół dnia do obozu uchodźców w Peszawarze, na granicy afgańskiej. Obóz został założony przez komisję ONZ, by pomieścić uciekinierów z Afganistanu, ogarniętego wojną z sowieckim okupantem. Brudny, przepełniony i codziennie przyjmujący dziesiątki uchodźców obóz był bezpiecznym miejscem, gdzie władze Pakistanu nie miały szans ich odnaleźć.

- Mówcie, że jesteście Afgańczykami - powiedział kierowca, nim wysadził ich dwie mile od obozu. - Ich język przypomina perski, a wyglądem też się od nas nie różnią. Nikt się nie orientuje.

Spędzili w obozie siedemnaście miesięcy, śpijąc w namiocie i żywiąc się darmowym jadłem, które - jak obiektywnie stwierdził Pan Karol - bardziej nadawało się dla dzieci i bezzębnych starców. Przy pierwszej sposobności Miriam zadzwoniła do Los Angeles,

do Rochelle, zapowiadając, że będzie potrzebować pomocy w przedostaniu się do Ameryki.

- Dowiedz się, jak można dostać wizę, i rozejrzyj się za mieszkaniem dla mnie i Karola - poleciła siostrze. - Tymczasem ja poszukam kogoś, kto da się przekupić i załatwi nam dwa paszporty.

Jak powiedziała, tak zrobiła. Najpierw nękała pracowników ONZ, lecz nie zdołała od nich uzyskać nic poza papkową owsianką i parą męskich okularów w miejsce tych, które straciła podczas ucieczki z Iranu. Rozejrzała się więc gdzie indziej, wśród innych mieszkańców obozu, i stopniowo znalazła dojście do pewnego mężczyzny, który znał pewną kobietę spokrewnioną z innym mężczyzną, który handlował kradzionymi irańskimi paszportami. Zdobyte podczas ataku powstańców na kwaterę główną policji, paszporty należały do pozostających za kratkami więźniów politycznych. Potajemnie wywieziono je z Iranu i teraz osiągały zawrotne ceny na czarnych rynkach sąsiednich krajów.

Księżycowa Miriam poświęciła najpiękniejszy brylant, lecz udało jej się wyrwać z Peszawaru. Pojechali do Islamabadu, a stamtąd samolotem do Frankfurtu. Zatrzymali się w podłym hotelu, gdzie nie było pryszniców, za to karaluchów aż nadmiar. Pan Karol bał się wychodzić z pokoju. Miriam codziennie dzwoniła do Rochelle.

- Załatw mi wizę - ponaglała. - Karol grozi, że pójdzie do irańskiej ambasady i powie, że chce wracać do kraju.

Ambasada USA we Frankfurcie odrzuciła ich prośbę o azyl polityczny. Polecieli do Brukseli i ponownie złożyli podanie.

- Musieliśmy uciekać z domu. Nie zabraliśmy nawet odzieży na zmianę - powtarzała każdego ranka, gdy tylko urzędnik otworzył drzwi biura. Była jedną z setek osób oblegających codziennie ambasadę. Ich opowieści brzmiały tak samo, wszyscy byli w równie rozpaczliwym położeniu. Pomimo to Miriam udało się zaszczepić w urzędniku uczucie paniki i pośpiechu, nad którym nie potrafił przejść do porządku dziennego. Może sprawił to jej dziwaczny ubiór albo bezpośredni sposób bycia. Mówiąc, wpatrywała się urzędnikowi prosto w oczy, jakby bez słów chciała dać mu do zrozumienia, że pokonała potężniejszych wrogów i większe przeszkody niż podrzędny pracownik zatłoczonej ambasady w spokojnym, zimnym mieście.

- Mój mąż od dziesięciu miesięcy nosi tę samą koszulę -- mówiła. - Umrze na depresję, jeśli nam nie pomożecie.

Odwiedzała wszystkie tanie hotele szukając Irańczyków w podobnej sytuacji. Dzwoniła do przyjaciół w Teheranie, zasypywała listami wszystkich, którzy mogli jej odpisać, i pytała, co się dzieje w starym kraju.

Dowiedziała się, że islamiści przeprowadzali masowe egzekucje na skalę nieporównywalną z dokonaniem szacha, a nawet jego ojca. Aresztowano Tala'at i jej ukochanego Bratanka, którzy od dwunastu lat szczęśliwie żyli w grzechu, i skazano ich na czterdzieści lat więzienia. Bratanek codziennie pisał do Tala'at listy miłosne. Strażnik znalazł listy i doniósł o nich naczelnikowi więzienia. Po półtoragodzinnym procesie odczytano Bratankowi wyrok śmierci. Wykonano go natychmiast.

Kiedy Pan Karol był już o krok od utraty zmysłów, ambasada nareszcie się poddała.

Rochelle wyszła po nich na lotnisko. Z liniowego odrzutowca TWA wysiadła Miriam w tej samej brązowej marynarce i męskich półbutach, w których dwa lata wcześniej wyruszyła z Iranu; za nią powłócząc nogami dreptał Pan Karol, niosąc cały dobytek w kraciastej torbie na zakupy, której gotów był bronić własną pierś. Zamiast spodziewanej radości Rochelle poczuła zażenowanie.

Podbiegła do Miriam w kostiumie Chanel i czółenkach z wężowej skórki, z rzęsami lepiącymi się od zbyt licznych warstw tuszu nałożonych zbyt wcześnie rano, i uścisnęła siostrę z rozpaczliwą nadzieją, że na lotnisku nie ma nikogo ze znajomych. Potem pospiesznie wyprowadziła ich na parking i upchnęła oboje na fotelu sportowego dwumiejscowego mercedesa.

Zawiozła ich do wynajętego mieszkania w wieżowcu przy Wilshire Boulevard w Westwood. Uprzedziła Miriam, że wielu irańskich Żydów mieszka tu "tymczasowo" oczekując stłumienia rewolucji i powrotu szacha.

- Będą musieli długo czekać - skwitowała to kwaśno Miriam.

Budynek był przeludniony, źle utrzymany, pełen ostrych kuchennych zapachów i hałasu wind, do których na każdym piętrze ktoś wsiadał lub wysiadał. Ale Miriam pogodziła się z życiem na obczyźnie i rozpoczęła je bez zbędnych złudzeń. Specjalnie obeszła wszystkie mieszkania i przedstawiła się wszystkim sąsiadom, nawet Amerykanom (ostatecznie to ich kraj przybyła podbić). W ciągu pierwszego tygodnia kupiła Karolowi nowe ptaszki i zmieniła balkon w szklarnię, gdzie mógł hodować kwiaty. Następnie pozwoliła się zabrać na wycieczkę po mieście.

W męskiej marynarce z rękawami podwiniętymi do łokci paradowała po ulicach Beverly Hills i Rodeo Drive, dokąd lekkomyślnie zawiozła ją Rochelle. Był to gruby błąd. Rochelle wydała fortunę, żeby wyrzucić wrażenie na sprzedawcach i zmusić ich do okazywania jej przynajmniej minimum szacunku. Teraz patrzyła z rozpaczą, jak Miriam obmacuje ubrania (jakby kupowała żywe owce na targu) i pyta o cenę tylko po to, by stwierdzić, że wszystko jest za drogie. W każdym sklepie wzywała kierownika, a następnie



nie bacząc na ich głupie miny ostrzegała przed gniewem Wszchemogącego, gdy kiedyś wejrzy na "tę ulicę niewiele dłuższą od oślego kutasa" i zobaczy, jaką niesprawiedliwość tu czynią, żądając równowartości dochodu narodowego średniej wielkości kraju za koszulę, która nie jest nawet jedwabna, nie jest nawet szyta ręcznie, i której czyszczenie - bo nie można jej prać - będzie za każdym razem kosztować osiemnaście dolarów, co pomnożone przez trzy tysiące irańskich riali za dolara, stanowi ekwiwalent miesięcznego czynszu za mieszkanie dla pięciosobowej rodziny, i to w samym centrum Teheranu.

Śmiertelnie urażona atakami siostry na świątynie Gucciego i Ferragami, pewna, że już do końca życia wszędzie będą ją witać szydercze uśmiešky, Rochelle wypchnęła Miriam na ulicę i zaproponowała lody. Miriam natychmiast pouczyła nastoletniego lodziarza palącego marihuanę, że niszczy planetę bezwstydnym marnotrawstwem, sprzedając lody o trzydziestu smakach, gdy w zupełności wystarczyłyby jeden. Na Westwood Boulevard, gdzie działały już irańskie sklepy i restauracje, oświadczyła, że jej noga tam nie postanie, bo na Pico i Fairfax jest o wiele taniej.

Zadomowiwszy się w Los Angeles, Miriam codziennie po południu chodziła na dwugodzinne spacerunki wzdłuż Ocean Avenue, gdzie miała szansę napotkać niedawnych imigrantów z Iranu. Po krótkim czasie знаła już każdego pijaka i handlarza narkotyków w Santa Monica. Przekonana, iż marnowanie pożywienia jest najgorszym znanym człowiekowi grzechem, nosiła swym nowym znajomym wszelkie resztki jada: trzydniowy ryż z koprem i pietruszką, gotowane nóżki baranie z cebulą, czosnkiem i szafranem, kury faszerywane porzeczkami i kminkiem. Wiecznie taszczyła jakieś garnki owinięte w płótno, wyglądające z dala jak niemowlęta w becikach albo głowy tęgich kobiet w czadorach.

Rochelle czuła się ośmieszona zachowaniem Miriam, Zuzanna narzekała, że nie sposób jej dogodzić, ale nikt, kto ją znał, nie mógł zaprzeczyć, że Miriam miała niezrównany talent pozwalający wnikać w głąb ludzkich serc i odkrywać ich sekrety. Wspierana pewniejszym od radaru instynktem, genialną pamięcią i całkowitym brakiem taktu oraz poszanowania dla spraw osobistych, niebawem poznała dzieje każdego Żyda w Kalifornii, a po pewnym czasie - również jego przodków.

Ale ani udana ucieczka z Iranu, ani podbój Los Angeles nie przyniosły jej zadowolenia, dopóki nie osiągnęła celu wyznaczonego jeszcze przed wyjazdem z kraju: zamierzała bowiem odnaleźć mnie w Ameryce - dziewięć lat po tym, jak ojciec wysłał mnie tu specjalnie, żeby ukryć przed rodziną matki.

I oczywiście jej się to udało.

\*

Zadzwoiła do mnie rano z budki telefonicznej naprzeciw domu Mercedes, przedstawiając się jako "twoja droga cioteczka Miriam - ta, która wychowała twoją matkę".

- Pewnie mnie nie pamiętasz - dodała - ale ja wiem o tobie wszystko. Zdziwiłabyś się jak wiele.

Był sierpień 1981 roku. Spędzałam właśnie trzecie kolejne lato u Mercedes. Przyjechałam już na początku czerwca. Wkrótce potem Mercedes wyjechała w jedną ze swych nagłych podróży - tym razem na Karaiby, do jakiegoś bogatego starca, który podobno miał własną wyspę. Poprzedniej zimy odwiedziła jego olbrzymią rezydencję na stoku góry Aspen.

- Podejdz do okna i wyjrzyj - ciągnęła Miriam, nie dając mi szansy złapać tchu.

Serce we mnie zamarło. Wyskoczyłam z łóżka i podbiegłam z telefonem do okna. Rzeczywiście, w budce na rogu pustych o tak wczesnej porze Bulwaru i Foothill stała wysoka ciemna postać i machała do mnie ręką.

- Pewnie o tym nie wiesz - usłyszałam - ale szukam cię po całej Kalifornii.

Patrzyła prosto w moje okno, jak gdyby widziała, że stoję w nim próbując ustalić, czy to wszystko mi się nie śni.

- Uciekliśmy z Panem Karolem z Iranu. Pan Karol to mój mąż. Naturalnie pochodzi z żydowskiej dzielnicy tak jak ja i twoja matka. Ale jego matce się wydawało, że zrodziła Mojżesza, toteż dała mu książęce imię: Karol. A i tak wszystko na nic. Nie potrafi go biedak nawet napisać, cóż dopiero mówić o rządzeniu królestwem! - Miriam westchnęła na znak, że fakt ten pozostawił w jej sercu nie zagojoną ranę, której jednak nie zamierza rozdrapywać w tej chwili przed domem Mercedes. - W czasie rewolucji byłam u Zohraba i prosiłam go o twój adres. Odmówił. Wiesz, jaki on jest. Parę miesięcy temu znalazłam się nareszcie w Los Angeles. Obliczyłam, że musisz być w wieku gimnazjalnym, i zaczęłam chodzić od szkoły do szkoły. Byłam w każdym prywatnym i publicznym gimnazjum w tym stanie. Pytałam, czy mają uczennicę o twoim nazwisku. Nie przyszło mi do głowy, żeby najpierw odszukać Mercedes, ale kiedy już na to wpadłam, poszło z górki. Odłóż słuchawkę i otwórz drzwi. Zaraz tam będę.

Z telefonem w dłoni patrzyłam, jak kobieta naprzeciwko odwiesza słuchawkę, schyla się i wyciera buty chusteczką do nosa wyciągniętą z rękawa, a następnie podnosi dwa plecione koszyki z zielonego plastyku - takie, z jakimi chodzą na targ kobiety w krajach Trzeciego Świata - i przechodzi przez ulicę nie patrząc, czy coś nadjeżdża. Czekałam dotąd, aż stanęła

pod drzwiami. Wtedy odwróciłam się od okna sploniona, myśląc gorączkowo, co zrobię, jeśli Miriam wdrze się do tego domu.

Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, kiedy otworzyłam Jej drzwi, to wrażenie, że jest stara - znacznie starsza od Roksany - i nie poznać po niej nawet śladów urody, dzięki której zyskała ongiś przydomek pięknej jak Księżyc. Następnie uprzytomniłam sobie, że ją znam - widziałam ją tamtego dnia, kiedy obiecała mi, że odnajdzie moją matkę, i jeszcze wcześniej, kiedy przynosiła złe wieści albo przychodziła składać kondolencje. Na moje pytania Roksana odpowiedziała wówczas twierdząco: tak, Miriam rzeczywiście była najpiękniejszą z sióstr, piękniejszą od całej reszty dziewcząt w żydowskiej dzielnicy. Przewyższała ją tylko Mercedes Gwiazda Filmowa, która miała zielone oczy, ale to się nie liczyło, bo Mercedes była nieślubnym dzieckiem rosyjskiej arystokratki i niewidzialnego Syryjczyka.

Stała przede mną kobieta niezwykle wysoka i chuda; nogi miała długie jak szczudła, a szyję tak kościstą, że gdy mówiła, widać było poruszającą się grdykę. Ubrana była w męskie półbuty, długą granatową spódnicę i brązową poliestrową bluzkę. Całość uzupełniała męska szara wełniana marynarka, jak się chwilę później dowiedziałam, własność Pana Karola. Na głowie miała czarny poliestrowy szal zawiązany pod brodą na podwójny węzeł. Włosy, siwe u nasady, pozlepiane były na końcach oliwką clairol. Na nosie Miriam tkwiły mocne szkła w grubych czarnych oprawkach - dar akcji charytatywnej ONZ w Pakistanie.

- Panna Lili! - wykrzyknęła i ucałowała mnie w oba policzki.

Pachniała mydłem i naftaliną. Odstąpiła krok w tył i obejrzała mnie od stóp do głów.

- Ile masz lat? Czternaście? Piętnaście? - Potrząsnęła głową z dezaprobatą. - Jesteś za szczupła. Pewnie ty też się o d c h u d z a s z .

Słowo "odchudzasz" zabrzmiało w jej ustach jak obelga.

Zmieszana i zdezorientowana odparłam, że ważę prawie tyle, ile zalecają w tabelach. Była to niezbyt mądra odpowiedź, Miriam jednak potraktowała ją poważnie.

- Ten, kto układał te tabele, sam musi być anorektykiem - burknęła. - Nie dziwota, że jesteś taka blada.

Podniosła stojące na ziemi koszyki i ruszyła wprost do kuchni, z której w tym domu prawie nie korzystano, sarkając:

- Ona chyba zwariowała. Zostawić dziecko samo z pokojówką!

Gospoia pojawiła się w drzwiach kuchni, jakby czuła, że o niej mowa, i zdumiona wytrzeszczyła oczy na Miriam.

- Kim pani jest? - spytała.

- Ciotką tej dziewczyny. - Miriam nie zaszczyliła jej nawet spojrzeniem. - Może pani wracać do pracy.

Postawiła koszyki na ladzie przy zlewie, zdjęła marynarkę i powiesiła ją starannie na oparciu krzesła. Potem zaczęła wyjmować z koszy pojemniki z jakimiś dziwnymi potrawami i upychać je w lodówce.

Stałam z ręką na klamce i patrzyłam z niedowierzaniem, jak półki zapełniają się butelkami wody różanej i syropów z wiśni i pigwy, torebkami suszonego kminku i mielonego szafranu, pudełkami z chałwą i daktylami, pęczkami rzodkwi, szpinaku i liści winogron. Miriam wyjęła z kosza dwa świeże kurczaki.

- Strasznie drogie - zauważyła - ale za to koszerne. Innych nie kupuję.

Następnie pokazała mi płócienny woreczek z wydrukowanym słoniem.

- Basmati. To indyjski ryż. Perski jest oczywiście o wiele lepszy, ale ostatnio nie można go dostać nawet w Iranie.

Zerknęła na mnie zza okularów i machnęła ręką, w której trzymała nóż.

- Możesz wejść - powiedziała, dając mi znak, bym usiadła przy kuchennym stole. - Wiem, że dzielna z ciebie dziewczuszka, skoro nie boisz się być tu sama w nocy. Więc nie mów, że aż tak cię przerażam.

Otwierała szafki, wyciągała szuflady, przestawiała naczynia i rozpracowywała obsługę kuchenki. Znalazła miskę, napełniła ją zimną wodą i namoczyła w niej stos jarzyn, których nie widziałam od dzieciństwa w Iranie. Potem zaczęła ostrzyć jedyny nóż kuchenny, pociągając nim po jednym z noży stołowych. Dopiero kiedy wstałam, zdecydowana biec do telefonu i dzwonić po pomoc, uznała za stosowne wyjawić coś więcej.

- Zostaję tu na cały dzień - oświadczyła. - Wiem, że Mercedes byłaby wściekła, a twój ojciec też by sobie tego nie życzył. Ale jesteś moją siostrzenicą, wychowałam twoją matkę i mam zamiar poznać cię lepiej. Zatem skoro już tu jestem, a ty wyglądasz, jakbyś od lat nie miała w ustach porządnego posiłku, myślę, że powinnam ugotować ci obiad.

Kilka godzin później zasiadłyśmy przy stole, na którym dymiły dwie różne potrawy, ryż z czereśniami i kurczak w szafranie. W chwili gdy uniosłam łyżkę do ust, Miriam zerknęła na moje drżące dłonie i przeszła do ofensywy.

- Jak rozumiem, Mercedes cię utrzymuje.

Było to stwierdzenie faktu. Miriam uniosła brwi, by zaakcentować, że nie jest tym faktem zachwycona.

- Znamy się wiele lat - dodała - i przypuszczam, że nie zmieniła się zbytnio od czasu,

gdy była młoda.

Jej brwi, podobnie jak moja łyżka, zastygły w górze.

- Na miejscu twojego ojca nie pozwoliłabym ci z nią mieszkać ani brać od niej pieniędzy.

Opuściła brwi i poprawiła się na krześle. Korzystając z chwilowego osłabienia ataku, przełknęłam zawartość łyżki i odłożyłam ją na talerz.

- Tak czy owak - podjęła łagodniej - teraz ja tu jestem. Musimy się częściej widywać. Pokażę ci, jak Żyją ludzie tacy jak ja i twoja matka.

Wsadziłam do ust kolejną łyżkę ryżu i przełknęłam ją nie gryząc i nie podnosząc wzroku znad talerza. Napomknienie o matce sprawiło, że serce zaczęło mi bić jak oszalałe. Smak tego ryżu, zapach bakłażana i kwaśnych rodzynek przywołały wspomnienia czasów i miejsc, do których nie chciałam wracać.

- Wciąż jej szukam - powiedziała Miriam. - Pewnego dnia ją znajdę i sprowadzę tutaj.

Przypomniałam sobie dłonie Roksany obierające długi cienki japoński bakłażan. Przypomniałam sobie, jak zrywałyśmy z krzewu kwaśne pokryte kurzem winogrona, zjadając więcej, niż trafiało do koszyka. Widziałam jej twarz nad garnkiem parującego ryżu, jej oczy patrzące, jak jem. Kochała mnie, pomyślałam. Byłam dla niej ważna.

Miriam pochyliła się i dodała mi mięsa do ryżu.

- Widzisz, dlatego najpierw musiałam znaleźć ciebie: bo wiem, że prędzej czy później Roksana do ciebie wróci.

Wstrząsnęła mną pewność dźwięcząca w jej głosie. Jakby to nie były mrzonki starej kobiety z dalekiego kraju, lecz powszechnie uznana prawda.

- Wciąż myślisz, że moja matka żyje? - spytałam.

Widziałam swe odbicie w szklach jej okularów - parę identycznych maleńkich twarzy, rozgniewanych i kpiących, a zarazem świadomych własnej bezsilności wobec tej kobiety, której oczy zniknęły za szklami.

- Oczywiście że tak - odparła bez wahania. - Ma dopiero czterdzieści trzy lata. Dlaczego miałyby nie żyć?

Czułam, jak żołądek skręca mi się ze złości, jedzenie pali mnie w dołku i odbija się gorzką zgagą.

- Bo nie żyje i już! - wyrwało mi się wbrew woli, jakby to kto inny mówił za mnie o rzeczach, o których nie miałam pojęcia. - Wiem, że nie żyje. Wszyscy o tym wiedzą.

Miriam potrząsała głową, nieustępliwa i twarda jak skała. Uświadomiłam sobie, że jej nienawidzę.

- Nikt inny nie wie tego, co ja wiem - powiedziała. W jednej chwili zapomniałam reguł dyscypliny i dobrych manier wpojonych mi przez zakonnice, zapomniałam wszelkich metod samoobrony, jakich się nauczyłam, by przetrwać w samotności, i rzuciłam się na Miriam, chcąc ją zniszczyć.

- Jesteś głupia i nic nie wiesz! - wrzasnęłam i wyrznęłam łyżką w talerz. Krople czerwonego sosu poleciały na Miriam, pstrząc jej okulary. - Wtedy, w Iranie, też gadałaś bzdury!

Miriam nie dała się wyprowadzić z równowagi. Dłonie miała zaciśnięte na krawędzi stołu, oczy dziwnie spokojne.

- Moja matka nie żyje - powtórzyłam ku własnemu zdumieniu. Chciałam przestać, cofnąć się do tej samej skorupy milczenia i strachu, w której się ukrywałam od dziesięciu lat. Ale tuż przed sobą miałam Miriam i nie mogłam się powstrzymać.

- Zabiła się! - wrzasnęłam. - Widziałam to na własne oczy! Nie żyje!

Zaalarmowana moimi krzykami gosposia wpadła do kuchni. Zerwałam się od stołu, przerażona własnymi słowami.

- Więc wynoś się i zabierz to śmierdzące żarcie, zanim Mercedes się dowie, że cię wpuściłam! - dodałam roztrzęsiona, chwytając za blat szafki, żeby się nie przewrócić. Modliłam się, żeby Miriam nareszcie sobie poszła, tak samo nagle jak nagle tu przybyła. Chciałam zapomnieć o wszystkim, co mówiła, zapomnieć, że w ogóle ją widziałam. Najgorzej zaś modliłam się o to, żeby nie znalazła Roksany.

Księżycowa Miriam wbiła nóż głębiej i przekreśliła go.

- Czy gdyby Roksana rzeczywiście nie żyła - spytała wycierając okulary chusteczką higieniczną - gdyby naprawdę zakopano ją gdzieś jak psa, byłoby ci łatwiej zrozumieć, dlaczego nie wróciła?

Zanim w końcu wyszła, udało jej się z powrotem zaszcześcić we mnie ten sam niepokój, który w dzieciństwie spędzał mi sen z oczu. Wytarła stół i umyła naczynia, nie pozwalając gosposi przestąpić progu kuchni, która nagle stała się królestwem Miriam. Pieczołowicie opisała prowiant w lodówce i zostawiła instrukcje, jak odgrzewać zawartość garnków na piecyku.

- Musisz mnie odwiedzić i poznać resztę rodziny - powtórzyła dwukrotnie. Jawnie zlekceważyła mój wybuch, świadoma, że ma mnie w garści. - Jest tu Rochelle, a także Zuzanna z dziećmi, choć co prawda bez męża.

Przybrałam znudzoną minę i odwróciłam się na znak, że nie interesują mnie perypetie

życiowe jej sióstr. Zauważyła to, lecz mówiła dalej:

- Urządzę spotkanie, na które wszystkich zaproszę. Twoja kuzynka Józefina jest zaledwie o parę lat od ciebie starsza. Rochelle wydała ją za mąż zaraz po przyjeździe do Ameryki. Ma już dwójkę dzieci. Są tu również twoje cioteczne babki, też ciekawe osoby. Na przykład droga cioteczka Light wynajęła faceta, żeby zabił jej męża. Złapało ją FBI.

Oniemiałam na chwilę. Widziałam ją w telewizji - siwiuteńką staruszkę, która namówiła ogrodnika, żeby wyprawił na drugi świat jej małżonka. Mówili o tym w wieczornych wiadomościach, ale nigdy bym nie przypuszczała, że chodzi o moją cioteczną babkę.

- Idź już sobie - burknęłam, zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to niegrzecznie. Nie miałam ochoty być dla niej uprzejma. - Mercedes nie pozwala mi wpuszczać zбочeńców.

Miriam podniosła plastikowy koszyk i się uśmiechnęła.

- Wydaję ci się zбочona - powiedziała sucho, znów stwierdzając fakt. - Będiesz się musiała do tego przyzwyczać.

Wróciła nazajutrz i trzeciego dnia także. Jeździła autobusem z Westwood na bulwar Santa Monica, tam przesiadała się w drugi, żeby dotrzeć do Canyon Drive, trzeci zaś wiozł ją na Bulwar Zachodzącego Słońca. Twierdziła, że umie prowadzić samochód, ale od przybycia do Stanów nie siedziała za kierownicą, a ponadto musiałaby płacić tysiąc pięćset dolarów rocznie (po trzy tysiące, później pięć, a ostatnio już osiem tysięcy riali za dolara) za samo ubezpieczenie. Przedsiębiorcza jak zawsze, zawarła układ z właścicielem firmy taksówkowej, której kierowcy w większości pochodzili z Iranu: korzystała z ich usług cztery razy w tygodniu za ustaloną stawkę dziesięciu dolarów niezależnie od przebytej odległości. Oszczędzała te kursy na dalekie trasy lub wizyty na targu, skąd wracała objuczona torbami jak muł.

- Powinnaś przejechać się ze mną autobusem - nalegała. - Dobrze czasem zobaczyć, jak żyją normalni ludzie.

Targana niepokojem, że Miriam zburzy ochronny mur, który tak pieczołowicie wokół siebie wzniosłam, chowałam się przed nią prosząc gospozię, żeby ją splawiła. Nigdy jej się to nie udawało. Miriam odsuwała ją z drogi i szła prosto do drzwi mojego pokoju. Stała za nimi przemawiając do mnie tak, jakbyśmy pozostawały w zażyłej przyjaźni, po czym wracała na dół i brała się do gotowania obiadu. Siedziała dotąd, dopóki pokonana nie zesłam do kuchni.

- Skosztuj. - Wpychała mi jedzenie do ust. - Musisz pozbyć się tych cieni pod oczyma i nabrać trochę ciała.

Opowiadała mi o moim ojcu, który zamknął się w domu przy alei Wiary i całymi dniami czytał książki, aż prawie oślepl, i o Fräulein Claude, która ponoć znikowała do reszty. Mówiła też o Timurze. To był dobry człowiek, mówiła, rzadkiej uczciwości, którego zabiła własna duma. Po chwili dodawała:

- On cię kochał. Kochał cię, bo byłaś dzieckiem jego syna, ale bardziej dlatego że byłaś córką swojej matki.

Ze spuszczoną głową, z policzkami płonącymi z wściekłości, przeklinałam ją pod nosem i chłonełam każde jej słowo.

W sierpniu Mercedes wróciła z karaibskiej wyprawy i zastała w swojej kuchni Miriam.

Było niedzielne popołudnie. Miriam piekła na rożnie pierś kurczęcia zamarynowaną uprzednio w szafranie, soku cytrynowym, oliwie, papryce, cebuli i zmiżdżonym czosnku. Ponieważ Mercedes nie miała w swoim dobytku grilla, grillowanie zaś uważała za barbarzyńską rozrywkę dla mas, Miriam posłużyła się rusztem w piekarniku. Pomijając to, że w ogóle nie miałam ochoty jej widywać, obecność ciotki sprawiała, że dom wydawał się zamieszkały i bezpieczny. Około czwartej po południu podniosłam wzrok znad nadzianych na rożen kawałków kurczęcia i w drzwiach kuchni ujrzałam stojącą Mercedes.

Opalona i ubrana na białe, wydawała się jeszcze smuklejsza. Włosy miała związane w luźny ogon. Patrzyła na Miriam jak na arenę kłęski żywiołowej.

- A to kto? - spytała.

Próbowałam odpowiedzieć, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Miriam spokojnie obróciła rożny nad płomieniem, zerkając jednym okiem na Mercedes, i odpowiedziała po persku:

- W tym kraju można trafić do więzienia, jeśli się zostawia dziecko samo w domu i nie daje mu porządnie zjeść.

Mercedes przybladła, lekko zadrzała, spojrzała na mnie i znów na Miriam. Przez chwilę wydawała się prawie bezbronna - samotna kobieta, która nagle stanęła twarzą w twarz z dawnym wrogiem. Po chwili opanowała się, wyprostowała, zmrużyła oczy i wbiła wzrok w Miriam.

Ta niespiesznie wytarła dłoń w ścierkę wiszącą na uchwycie piekarnika. Potem podeszła do Mercedes i wyciągnęła do niej rękę.

- Wiedziałam, że się jeszcze spotkamy - powiedziała. - Nie przypuszczałam tylko, że to będzie tutaj.



Mercedez zignorowała wyciągniętą dłoń. Miriam wzruszyła ramionami, podeszła do zlewu i napełniła czajnik zimną wodą.

- Przychodzę tu co parę dni, żeby podkarmić tę małą. Jest niedożywiona, nie mówiąc już o tym, że grozi jej depresja.

- Czego chcesz? - spytała szorstko Mercedez.

- Od ciebie? Niczego. - Miriam zapaliła gaz na kuchence i postawiła czajnik na palniku. Wsypała do imbryczka dwie łyżki herbaty z czerwonej puszk. Zawsze zalewała herbatę wrzącą wodą i przed podaniem stawiała jeszcze na kilka minut na ogniu. - Nigdy niczego od ciebie nie chciałam. Jestem tu ze względu na to dziecko. - Miriam spojrzała na Mercedez prosto w oczy. - I żeby odnaleźć moją siostrę. T w o j ą przyjaciółkę.

Była zadowolona, że udało jej się wytrącić Mercedez z równowagi. Zmieszanie przeciwniczki dawało jej poczucie siły. Mercedez jednak, zgodnie ze swoją naturą, nie pozwoliła Miriam zbyt długo cieszyć się zwycięstwem.

- Rób, co chcesz - mruknęła wychodząc. - Mam tylko jedną prośbę: nie przychodź tu więcej.

Miriam oczywiście przyszła jeszcze niejedną raz, ponieważ nie tak łatwo było ją zwieść z obranej drogi. Ponadto specjalnie dokładała starań, by rozzłościć Mercedez. Zdobyła adres szkoły i gdy lekcje rozpoczęły się ponownie, w każdy weekend odwiedzała mnie w internacie. Zaprzyjaźniła się z siostrą Aną Rose i matką przełożoną. Nosiła im wszelkie specjały perskiej kuchni, które mogły przypaść do gustu ich katolickim podniebieniom. Ofiarowała się gotować obiady dla całej szkoły. Wyjawiała zakonnicom wschodnie sposoby na utrzymanie dziewcząt w posłuszeństwie, pracowitości i z dala od chłopców.

- Nie pozwólcie im się mizdrzyć przed lustrem - radziła. Siostry były zachwycone, że znalazły w niej bratnią duszę. - Próżność to pierwszy krok do swobody obyczajowej.

Często opowiadała im o swych nauczycielskich doświadczeniach. Potwierdziła także podejrzenia zakonnice, iż rzeczywiście nie płynie we mnie ani kropla katolickiej krwi, a mój ojciec istotnie jest dziwnym człowiekiem.

- Ale ostatecznie jest w połowie Żydem, a w połowie księciem - perorowała - a jego matka pozuje na Niemkę. Czego więc można się po nim spodziewać?

Zdementowała również informację o śmierci Roksany.

- Odeszła, ale na pewno nie umarła.

Kiedy po pewnym czasie Miriam zapytała matkę przełożoną, czy może zabierać mnie na weekendy, grunt był już przygotowany. Nie ulegało wątpliwości, że odpowiedź będzie

przychylna.

- Świetnie! - ucieszyła się Miriam. - Zaproszę całą rodzinę i przywrócę Lili na łono społeczeństwa.

\*

Miriam zaprosiła swoje siostry, córkę Rochelle Józefinę i jej męża (który oczywiście nie przyszedł, ale obraziłby się, gdyby go nie zaproszono), zadzwoniła do trzech ciotecznych babek i jednego ciotecznego dziadka, a następnie w niedzielę rano przyjechała po mnie taksówką do Pasadeny.

Pojechałam wbrew woli i rozsądkowi, częściowo zmuszona przez Miriam, częściowo zwabiona chęcią obejrzenia na własne oczy ludzi, w których ponoć płynęła krew Roksany. Mieszkanie Miriam było małe, ale jasne, pełne świergotu ptaków i zapachów jedzenia gotującego się od rana na kuchence. Drzwi otworzył nam Pan Karol.

- Pst! - ostrzegł, przykładając palec do ust. - Nie spłoszcie ptaków.

Duży pokój umeblowany był zbieraniną nie pasujących do siebie gratów (stół, jak się na przykład dowiedziałam, został kupiony na pchlim targu w Pasadenie od pewnego tajwańskiego małżeństwa). Wszędzie zalegały stosy gazet i periodyków w języku perskim, a także liczne numery "National Geographic" i "Scientific American", które Miriam regularnie czytywała.

- Lubię porównywać teorie naukowe z praktyką - stwierdziła widząc, że je przeglądam. - Praktyka za każdym razem wygrywa.

Zostawiła mnie w pokoju i poszła zająrzeć do garnków. Usiadłam. W żołądku burczało mi z nerwów, dłonie lepiły się od potu. Pan Karol szeptał do swoich ptaszków na balkonie, próbując je ostrzec przed szykującą się inwazją ludzi. Po pewnym czasie uświadomiłam sobie, że w pokoju jest coś, co szczególnie mnie niepokoi. Wtedy jednak odezwał się dzwonek u drzwi.

Pierwsza pojawiła się droga cioteczka Light, która przybyła do Ameryki w roku 1977, by odwiedzić syna. Planowała spędzić tu dwa miesiące, lecz została na dobre. Towarzyszył jej mąż, który się do niej nie odzywał, oraz tenże syn (który nie odzywał się do żadnego z rodziców, lecz mimo to utrzymywał ich, woził, pielęgnował i gotował im obiady). Droga cioteczka Light przypominała w kształcie fortepian: była niska, miała krótkie nóżki i monstrialne biodra, które jakby wiedzione własnym zmysłem za każdym jej krokiem zataczały idealne półkola. Ręce cioteczki, za szczupłe w stosunku do reszty ciała, ścisnęły

imitację chanelowskiej torebki, którą podarowała jej synowa twierdząc, iż jest to "przypuszczalnie autentyk" - torebka wartości tysiąca dolarów kupiona za trzydzieści trzy pięćdziesiąt na rogu ulicy od tatuowanego w smoki faceta imieniem Mustafa.

- Pewnie kradziona - zachnęła się na to droga cioteczka Light, ale w głębi ducha podniecała ją myśl, że torebka naprawdę może być oryginalna. Po raz pierwszy w życiu weszła w posiadanie luksusowego cacka, którego pozazdroszczą jej inne kobiety.

Rodzinę zapewne wzruszyła ta drobna próżność, a może uznali po ostatnich wypadkach, że niebezpiecznie jest złościć drogą cioteczkę Light, bo nikt jakoś nie starał się otworzyć jej oczu na fakt, iż synowa robi z niej idiotkę. Jeśli już nie co innego, koronnym dowodem mogło być wpięte w torebkę zardzewiałe "G". "G", a nie "C".

Trzy lata temu, w wieku siedemdziesięciu jeden lat, droga cioteczka Light wynajęła swego meksykańskiego ogrodnika, żeby zabił jej męża. Zapłaciła mu trzysta dolarów gotówką i dołożyła torbę używanych ubrań małżonka. Ponieważ ogrodnik nie dysponował żadną bronią, sama pojechała autobusem do centrum, wypytując przechodniów znalazła odpowiedni sklep i nabyła w nim dubeltówkę. Ogrodnik siedział w garażu swego maleńkiego domku w El Monte, zajęty odpilowywaniem luf, gdy zdybała go na tym żona i spytała, co robi.

- Stara zapłaciła mi trzysta dolarów, żeby zabił jej męża i upozorował włamanie - wyjaśnił, nie przerywając pracy. - Powiada, że po pięćdziesięciu trzech latach małżeństwa wciąż go nienawidzi.

Oczekująca właśnie trzeciego dziecka i cierpiąca na chroniczny brak gotówki żona ogrodnika uznała, że droga cioteczka Light okpiła jej męża płacąc tylko trzy stówy za - bądź co bądź - zabójstwo. Kazała mu zażądać co najmniej siedmiuset.

- Nie ma mowy - odparła droga cioteczka Light przy następnym strzyżeniu trawnika. - On nie jest wart siedmiuset dolarów, nawet gdyby było mnie na to stać.

Ogrodnik powiedział żonie, że tak czy owak wykona zlecenie.

- Dałem słowo - rzekł. Żona poszła więc na policję.

I tak to droga cioteczka, która dyskretnie przeżyła tyle lat, nagle trafiła na pierwszą stronę "Los Angeles Times", kiedy FBI przyszło ją aresztować. Po rozprawie wstępnej mogła oglądać się w telewizji. Nie mniej niż jedenaście perskojęzycznych gazet z samej tylko południowej Kalifornii prosiło ją o wywiad. Spędziła dwie noce w więzieniu, nim syn wpłacił kaucję i doprowadził do jej zwolnienia argumentując, że jest zdiecinniała i nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa. Mąż cioteczki oczywiście był oburzony. Mówił: "Nigdy nie zdołałem nauczyć tej kobiety, gdzie jej miejsce". Powinien był ją lać. Jak inaczej nauczyć

babę dobrych manier? Przez dwa tygodnie się wściekał, obiecując, że sam zadusi ją własnymi rękami, zanim jeszcze prokurator okręgowy hrabstwa Los Angeles pośle ją na krzesło elektryczne. Wydzwaniał do wszystkich znajomych mówiąc, że jego żona jest dziwką i na pewno przespała się z ogrodnikiem, skoro zgodził się przyłożyć rękę do zbrodni. Potem jednak zadzwonił do syna i kazał mu przywieźć ją z powrotem do domu, bo kuchnia była już pełna brudnych naczyń, a do tego nie umiał zaprogramować pralki.

Wbrew powszechnym oczekiwaniom afera ta zaowocowała znacznym polepszeniem stosunków między drogą cioteczką Light a jej mężem. Sąsiedzi znacznie rzadziej słyszeli teraz podniesione głosy. Droga cioteczka Light przeklinała męża każdym tchnieniem, lecz obowiązki żony traktowała poważnie. Jej mąż zaś, choć co dzień zapowiadał, że wystąpi o rozwód, nigdy tego nie zrobił, bo zdał sobie sprawę, że tylko ona stoi między nim a otchłanią długiej samotnej starości.

Teraz siedzieli obok siebie na sofie. Droga cioteczka Light skrzyżowała ręce na piersiach, nie puszczając torebki, która dyndała jej na brzuchu. Jej mąż przebierał w palcach agatowy różaniec, który kupił w Iranie. Przed nimi na stoliku stała zielona szklana buteleczka malowana w drobne niebieskie kwiatki.

Kiedyś już widziałam tę buteleczkę, albo inną, bardzo do niej podobną. Byłam tego pewna, bo wywoływała we mnie niepokój i odruchowo odwracałam od niej wzrok. Na sam jej widok chciało mi się płakać. Zachodziłam w głowę, ale nie mogłam sobie przypomnieć dlaczego.

W ślad za drogą cioteczką Light weszła Rochelle z Józefiną i jej nowo narodzonym synkiem, gwatemalską pokojówką oraz filipińską niańką. Józefina, nazwana imieniem sofy stojącej w saloniku Aleksandry Kocicy, właśnie niedawno otrząsnęła się z trwającego pięć lat "splinu" spowodowanego tym, że jej mąż "majstrował" same córki. Zrodziwszy nareszcie upragnionego następcę, tak rozkwitła z dumy, że nie potrafiła przestać się uśmiechać nawet w obliczu tragedii.

- Jak widzicie - Rochelle zademonstrowała niemowlę wszystkim obecnym (Józefina stała obok, uśmiechając się z wdziękiem) - zdecydowaliśmy się na jasny błękit. Błękitny wózek, błękitne pieluszki, błękitny uniform niani. W dzisiejszych czasach młode matki muszą zwracać uwagę na szczegóły!

Następny zjawił się Bahram, który zmienił imię na Bryan przybywszy do Ameryki i znalazłszy tu wszystkie wysokie blondynki swoich marzeń w jednym miejscu. Dziś był właścicielem sieci przechowalni, które oprócz znacznego zysku pozostawiały mu również

sporo wolnego czasu na grę w golfa. Przyszedł bez żony, lecz za to w towarzystwie kobiety, która od dziesięciu lat była jego sekretarką i kochanką zarazem.

Niedługo po nich weszły droga cioteczka Power, która spędziła dwa lata w więzieniu Chomeiniego za próbę przemycenia antyków poza granice Iranu, oraz jej starsza siostra, droga cioteczka Pride - nieludzko bogata, a co za tym idzie, solidarnie znienawidzona i wykpiwana przez zazdrosną resztę rodziny. Pomimo to Miriam zaprosiła i ją, bo ostatecznie też była naszą krewną.

Goście kolejno wchodzili do saloniku, a w nim zastawali mnie.

- Oto ona - przedstawiała mnie Miriam. Wszyscy wzdychali, jakby na ich oczach stawał się cud.

Było to wyjątkowe przeżycie; po prostu nie czułam się na to gotowa. a ludzie patrzyli na mnie jak na ósmy cud świata, podchodzili, serdecznie ściskali mi rękę, obejmowali, z zapalem całowali mnie w oba policzki nie wstydząc się łez wzruszenia, podtykali mi łakocie i znów całowali, jak gdybym była dla nich kimś niezmiernie ważnym.

- Pamiętam wesele twoich rodziców - dwa razy powiedział mi Bryan. - Tamtego wieczoru twoja matka dosłownie lśniła własnym blaskiem. Cały świat miał nowe, czarodziejskie barwy.

O jedenastej Miriam podała swoją wersję drugiego śniadania: smażone japońskie bakłazany z pomidorem i czosnkiem, jajka na twardo z serem feta, żydowski chleb, pikle ogórkowe ze świeżą cebulką, orzechami włoskimi i zielonym pieprzem, pieczonego grenadiera z cytryną i papryką oraz szpinak zapiekany z sałatą, pietruszką, cebulą i jajkiem.

Mąż drogiej cioteczki Light z pogardą spojrział na zastawiony stół.

- Nie ma ryżu? - spytał. - Co z ciebie za gospodyni, jeżeli nie gotujesz ryżu?

Droga cioteczka Pride, przekonana, że rodzina tylko czyha na okazję, by pozbawić ją życia i zawładnąć jej majątkiem (szacowanym na prawie sto milionów dolarów), oznajmiła, że nie weźmie do ust niczego prócz bananów, które własnoręcznie obierała ze skórki.

Miriam patrzyła z dumą, jak reszta pałaszuje. Co prawda parzona przez nią amerykańska kawa była tak słaba, że wszyscy brali ją za herbatę, a herbata tak cienka, że smakowała jak zwykła gorąca woda.

- Kofeina szkodzi na serce - stwierdzała kategorycznie Miriam - i skraca życie średnio o dziesięć lat.

O pierwszej wszyscy już byli najedzeni - wszyscy oprócz drogiej cioteczki Pride, której zasmakowały banany i przeżuwała właśnie dziewiątego. Rochelle zdążyła wypalić pierwszą paczkę dunhilli, a Zuzanna zabrała się do sprzątnięcia ze stołu i mycia naczyń. Droga

cioteczka Light siedziała przy stole ściskając torebkę, ignorując męża i mierząc wzrokiem pozostałe dwie cioteczki oraz najnowszego gościa - osiemnastoletnią córkę Zuzanny, która nigdy nie opuszczała spotkań rodzinnych w nadziei, że zdoła wreszcie kogoś nawrócić na buddyzm.

- Wstąp do naszej wspólnoty - mówiła mi właśnie. - Od razu poczujesz, że znalazłaś prawdziwy dom.

Ja natomiast myślałam, jak bardzo się różnię od tych wszystkich ludzi. Chyba tak jak Roksana nigdy nie przestanę czuć się wśród nich obco.

Miriam weszła z kuchni niosąc tacę parującego ryżu zmieszanego z natką pietruszki i rodzynkami. Widząc, że skończyliśmy śniadanie, natychmiast zaczęła przygotowywać obiad. Postawiła tacę na stole i palcami nakładała porcyjki ryżu na przygotowane cienkie skórki cebuli, po czym wiązała je w kształtne pakieciki, które miała usmażyć w oleju.

Otworzyłam usta i zadałam jedyne pytanie, jakie mi przyszło do głowy:

- Co się stało z moją matką?

W rodzinę jakby grom strzelił. Nawet zesklerotyzowany małżonek drogiej cioteczki Light aż do śmierci zapamiętał tę chwilę. Po raz pierwszy w życiu Księżycowa Miriam zapomniła języka w gębie.

Patrzyła na mnie w oszołomieniu. Ryż nie trafił do cebuli i posypał się z powrotem na tacę. Po chwili Miriam opuściła ręce na kolana i wytarła je w fartuch.

- Zrobię herbaty - powiedziała wstając od stołu.

Pozostałam na swoim miejscu. Wszyscy unikali mego wzroku.

Czekałam.

Minęła wieczność. Nagle odezwała się Zuzanna.

- Była inna niż wszyscy. Tyle pamiętam.

Ciągnąc wściekle kolejnego niebieskiego dunhilla, Rochelle zmarszczyła brwi na znak, żeby się zamknęła. Józefina wybąkała, że musi zajrzeć do dziecka, i wyszła z pokoju. Droga cioteczka Pride sięgnęła po banana.

- Dlaczego opuściła ojca? - Nie dawałam za wygraną.

Tym razem Rochelle wtrąciła się, nim Zuzanna zdążyła otworzyć usta.

- Nie wiemy - ucięła. - Nikt nie wie. Dzieci nie powinny zadawać takich pytań. - Szybko otworzyła torebkę i wrzuciła sobie do ust pigułkę uspokajającą.

- Ależ to brednie! - wybuchnęła Zuzanna, lecz uciszył ją głośny łoskot, który dobiegł z kuchni. Ptaki Pana Karola poderwały się i zaczęły miotać po zamkniętej loggii wpadając na

siebie, co. jeszcze potęgowało ich panikę. To Miriam wyrznęła czajnikiem w kuchenkę, dając do zrozumienia, że należy zmienić temat.

- Zrobiłam herbatę - oznajmiła, wciąż odwrócona tyłem do pokoju, nalewając herbatę do wysokich wąskich szklanek ustawionych na taniej bambusowej tacy kupionej za dziewięćdziesiąt dziewięć centów w sklepie przy Fairfax Avenue. Wniosła ją razem z plackiem dyniowym, w którym - choć go odmrażała od rana - nadal chrupały grudki lodu. Dostała go w poprzednie Święto. Dziękczynienia od kochanki Bryana, którą ten zabrał na przyjęcie u Miriam korzystając z okazji, że żona była u rodziców w Ohio. Miriam wzięła placek i od razu wetknęła go do zamrażarki, tłumacząc, że na razie ma dość słodczy. (Zresztą sam pomysł, by piec ciasta z jarzyn, wydał jej się niesmaczny.) Teraz, prawie rok później, nałożyła ten sam specjał Bryanowi na talerz.

- To tak jakby tort lodowy - powiedziała i zagroziła surowo: - Macie go zjeść, inaczej następny rok spędzi w zamrażarce.

\*

Miriam jeszcze wielokrotnie gościła mnie u siebie. Przyjeżdżała taksówką w każdy piątek wieczorem, twierdząc, że nie obejdzie się beze mnie przy szabacie; ciągnęła mnie ze sobą na wszystkie wesela, bar micwy i przyjęcia z okazji narodzin dziecka; zmuszała inne ciotki, by wciąż do mnie dzwoniły i kazała Józefinie zapraszać mnie na urodziny wszystkich swoich dzieci. Dwukrotnie udało jej się nawet nakłonić Bryana, żeby zabrał mnie na przejażdżkę swoim ferrari. Za pierwszym razem był z kochanką, za drugim - z żoną.

- Nie możesz przez całe życie tkwić zamknięta w klasztorze, jeśli nie chcesz zupełnie zdziwaczeć - powtarzała, ilekroć chciałam odrzucić zaproszenie. - Musisz wyjść na świat, spotykać się z ludźmi, żyć z własną rodziną, nawet jeśli nie możesz na nas patrzeć. Ostatecznie prócz nas nie masz nikogo.

Najczęściej się poddawałam. Chodziłam z nią w odwiedziny, wkładałam sukienki, które mi kupowała (a których serdecznie nie znosiłam), po to żeby przypodobać się ciotkom, co było dość wątpliwym przedsięwzięciem. Siedziałam w milczeniu, a oni jedli i rozmawiali o wszystkim prócz Roksany. Jeśli odezwałam się nie pytana, zwykle udawali, że nie słyszą; bali się, że spróbuję nakierować rozmowę na los mojej matki. Zagadywali mnie o szkołę, o zdrowie zakonnice, o najnowszego kochanka Mercedes. Odpowiadałam lakonicznie w nadziei, że zapomną o moim istnieniu. Potem przez parę godzin słuchałam opowieści, które po kilku wizytach znałam już na pamięć: historii nieszczęśliwych miłości i nieudanych małżeństw, straconych szans i nie wykorzystanych możliwości, zmarnowanej młodości i wiarołomnych

mężów - tysiąca lat cierpień złożonych na kupkę i wyciąganych kolejno z lamusa, ilekroć moje ciotki zeszły się na pogawędkę.

W końcu powiedziałam Miriam, że nie chcę chodzić do niej na przyjęcia.

Myślała, że przemawia przeze mnie gorzyc - zostałam przecież opuszczona przez rodziców i zdana na pastwę katolickich zakonnice - obiecała zatem podwoić wysiłki mające na celu zintegrowanie mnie z rodziną. Był grudzień; wiosną miałam ukończyć szkołę. Zachęcana przez zakonnice i z poparciem Mercedes złożyłam papiery do college'ów w Kalifornii i na Wschodnim Wybrzeżu. Nie miałam dość dobrych stopni, by się dostać na renomowany uniwersytet, lecz było mi wszystko jedno: wiedziałam, że i tak wyląduję w jakimś internacie i od nowa zacznę się borykać z samotnością, która sprawiała mi ból, a jednak trzymałam się jej kurczowo, bo była znajoma.

- To nieprawda; do nikogo nie czuję żalu - próbowałam wytłumaczyć Miriam swoją decyzję. - Mam siedemnaście lat. Jestem za młoda, żeby siedzieć z tobą i twoimi siostrami. Chcę mieć własne życie.

Była sobota rano. żeby się ze mną zobaczyć, Miriam nie poszła do synagogi. Widząc, że nie mam zamiaru ustąpić, zmieniła temat i przez półtorej godziny mnie pouczała, że powinnam więcej jeść i więcej spać, bo w wieku lat siedemnastu wyglądam jak głodujące dziecko z Somalii.

- I cokolwiek piszą o tym w czasopismach, ja tam wiem, że mężczyźni wolą kształtne dziewczęta od anemicznych chudzielców.

Jej słowa rozbudziły we mnie zawsze obecny strach, że przez resztę życia również będę sama i żaden chłopiec nie zwróci na mnie uwagi. Byłam niewidzialna - najpierw dla rodziców, później dla koleżanek w szkole i całej reszty świata. Tak samo nie będą mnie dostrzegać mężczyźni. Już od dłuższego czasu nie rysowałam na sobie, ale gdy nasłuchiwałam się przestróg Miriam, ręka zaczęła mnie świerzbić, żeby sięgnąć po długopis. Nie mogłam jednak znów okazać jej słabości.

- Gwiżdżę na to, czy będę się komukolwiek podobać - oświadczyłam butnie.

Miriam rozejrzała się po pokoju, po jego nagich ścianach, twardej podłodze, jednym z bliźniaczych łóżek, z którego dawno już wyrosłam.

- Tu jest za ciemno - zawyrokowała.

Zerknęłam na nią i pomyślałam, że powinna odpocząć. Sama była chuda i wycieńczona, jakby parła przed siebie ostatkiem sił, bojąc się, że gdy raz przystanie, nie zdoła ruszyć dalej. Znałam to uczucie. W ten właśnie sposób przeżyłam tu pierwsze miesiące po przyjeździe z Teheranu - wyczerpana, lecz niezdolna zasnąć, przerażona, lecz niezdolna



przemówić. Żyłam tak wtedy i żyłam tak do tej pory.

Tylko że Miriam zawsze udawało się poderwać z miejsca, podczas gdy ja, schwytna w matnię własnej samotności, tkwiłam w bezruchu.

Otóż właśnie w tej chwili snuła nowe plany.

- Potrzeba ci tu trochę słonecznego światła. Ono wyleczy cię z depresji.

- Nie cierpię na depresję - zaprotestowałam. – Po prostu nie chcę cię więcej oglądać.

Wzięła torebkę i oznajmiła, że idzie do sklepu nasiennego po ziarna słonecznika.

Dwie godziny później posłyszałam, jak rozmawia z matką przełożoną:

- Wystarczy wetknąć te nasiona w ziemię - tłumaczyła z przekonaniem. - O tu, gdzie słońce pada, kiedy rano wschodzi. Gdy słoneczniki urosną i zakwitną, będą przyciągać światło słoneczne ze wschodu i odbijać je prosto w okna pokoiów. Przyniosą wam wiele radości i szczęśliwy los.

Matka przełożona roześmiała się z jawnym niedowierzaniem.

- To słoneczniki obracają się w stronę słońca - powiedziała, nie próbując ukryć poczucia wyższości. - Nie świecą własnym światłem ani go nie odbijają.

Miriam postawiła torbę na ziemi i zaczęła z niej wyjmować narzędzia ogrodnicze oraz kupione nasiona.

- Cały problem z wami, ludźmi Zachodu, polega na tym, że nie macie wiary - oznajmiła wyniośle. - My na Wschodzie wiemy różne rzeczy, bo żyjemy tam od zamierzonych czasów i doświadczyliśmy ich na własnej skórze. Wy tylko czytacie o nich w czasopiśmie popularnonaukowych.

Miriam często posługiwała się zaimkiem "my", żeby dodać mocy swoim argumentom.

- Drogo okupiliśmy to doświadczenie - ciągnęła. - Zapłaciliśmy za nie naszą młodością i wieloma latami życia.

Każdego poglądu lub przesądu Miriam dowodziło zwykle pół tuzina trupów oraz legion cierpiących. Patrzyła wyzywająco na matkę przełożoną, jakby prowokując ją, by tylko ośmieliła się sprzeciwić.

- Na Wschodzie jest inaczej, zwłaszcza gdy jest się kobietą - powiedziała, wbijając łopatkę w ziemię. - Mamy tylko jedno podejście do małżeństwa, nauki, pracy... Jeśli je zmarnujemy, nikt nam nie da drugiej szansy.

Podważyła grudę ziemi i wściekle odrzuciła ją na trawę. Matka przełożona cofnęła się odruchowo, spłoszona gwałtownością jej ruchu.

- Ot, tak - Miriam kiwnęła głową w ślad za odrzuconą grudą. - Tylko jedna szansa i

koniec.

Dwa miesiące później obudziłam się w powodzi światła. Usiadłam w ciepłej, złocistej pościeli, w pokoju zmienionym nie do poznania. Światło było tak intensywne, tak namacalne, że pozostawało w dłoni, gdy zacisnęłam pięść. Kiedy wstałam, miałam wrażenie, że się w nim unoszę.

Otworzyłam okno. Rozkwitłe słoneczniki Miriam błyszcząły niczym kałuża płynnego złota. Patrząc na nie, musiałam zmrużyć oczy.

Zadzwoiłam do Miriam i przyznałam jej rację. To był błąd .

- Zawsze mam rację - ucięła. - Powinnaś już o tym wiedzieć, ty i te twoje zakonnice. I powiem ci jeszcze coś: teraz, kiedy niebawem skończysz szkołę i lada moment zostaniesz studentką, to światło przyniesie ci wielką pomyślność i szczęście. Sama się przekonasz. Wydobędzie cię z pustki, w której żyjesz od tak dawna, oświecili ci drogę i zwróci matkę.

Co do wielkiej pomyślności i szczęścia, to się myliła. Ale może i prawdą było, że światło sprowadziło do mnie Roksanę.

\*

Najmłodszy syn Jakuba Galarety, Natan, leżał jeszcze w pieluszkach, kiedy ojciec wyniósł się z domu i zamieszkał na stałe w kuchni Fräulein Claude przy alei Wiary. Natan wyrósł na chudziutkiego chłopca o wielkich czarnych oczach i włosach tak gęstych i lśniących, że matka często golila syna na zero, by jakiś zawistnik go nie urzekł. Raz w miesiącu brała dzieci w odwiedziny do Jakuba - zawsze w czwartki po południu, kiedy kończyli lekcje i mogła ich wyszorować do czysta w publicznej łaźni. Latem czy zimą musieli wkładać grube wełniane swetry, które dostawali w prezencie od Fräulein Claude - nawet gdy na dworze było czterdzieści stopni i rozgrzane w łaźni dzieci dusiły się w ciepłej odzieży. Przykrywali swetrami dziurawe koszule, a ponadto Fräulein Claude musiała widzieć, że je noszą: inaczej mogłaby uznać, że są im niepotrzebne, i przestać ich obdarowywać.

- Wyobraź sobie, że jest zima - szeptała matka do Natana, gdy płakał, że jest mu za gorąco. - Trzęsiesz się z zimna idąc do szkoły, a tu nie ma więcej swetrów, i co?

Ustawiała dzieci wedle wieku i jechała z nimi autobusem na aleję Wiary, przez całą drogę przeklinając męża narkomana i jego złą bogatą siostrę.

Zanim w domu Timura pojawiły się duchy-rabusie, Fräulein Claude wpuszczała ich od tyłu, przez kuchnię, tłumacząc żonie Jakuba przy dzieciach, że tak jest dla nich lepiej, albowiem nie zetkną się z gośćmi "z wyższych sfer", przy których czuliby się zawstydzeni.

Witała ich kwaśną miną i wyniosłym uśmiechem, wystrojona w krzykliwy kostium i błyszczące sandały, i z fałszywym niemieckim akcentem, który udawała tak długo, że wszedł jej w nawyk, kazała służącej podać im wodę - bez lodu, ponieważ "dzieci mogłyby się zaziębić". W rzeczywistości chodziło jej o to, żeby poczuli się niemile widziani i jak najprędzej wyszli.

Siadali dookoła kuchennego stołu, grzecznie popijali wodę i patrzyli na ojca. Palił fajkę w alkwie i dmuchał na nich dymem. Czasami poznawał dzieci. Czasem pytał służących, co to za goście i dlaczego się na niego gapią. Raz, kiedy już wychodzili, wskazał Natana i rzekł jego matce, biorąc ją za obcą osobę:

- Bardzo ładny chłopczyk. Gratuluję pani i pani mężowi.

Fräulein Claude dopilnowała, by nie otrzymali zaproszenia na wesele Zohraba i Roksany. Zanim Timur odkrył, że zostali pominięci, i naprawił błąd, do wesela pozostały już tylko trzy dni, a żona Jakuba była zbyt dumna, aby przyjąć spóźnione zaproszenie. Obraziła się, kładąc krzyżyk na pieniądzech, które dawał jej Timur. Powiedziała dzieciom, że lepiej być biednym i mieć swój honor, niż żyć z łaski Fräulein Claude. Kilka lat później domem Timura zawładnęły duchy i jego drzwi ostatecznie się zamknęły nie tylko przed rodziną Jakuba.

Dlatego też Natan widział Roksanę zaledwie kilka razy, jeszcze przed jej ślubem, kiedy mieszkała w domu jako gość. Była bardzo nieśmiała; chowała się po kątach i Natan nie pojmował, jak udało jej się zwrócić uwagę Zohraba. Wydała mu się wówczas dzieckiem, mało co starszym od niego. Pamiętał też, że miała dziwne oczy. Za to jak się śmiała! Jej płynny, melodyjny śmiech zdumiewał i poruszał wszystkich, nawet dzieci. Za każdym razem, gdy Roksana się śmiała, matka Natana wybuchała płaczem.

Później usłyszał, że zniknęła.

- Biedactwo, rzuciła się z okna, doprowadzona do ostateczności okrucieństwem Friiulein Claude - mówiła matka. - A twój ojciec plecie bzdury. Odfrunęła na białych skrzydłach, też coś!

Kiedy jednak myślał o oczach Roksany, wydawało mu się całkiem prawdopodobne, że umiała latać.

N a początku lat siedemdziesiątych żona Jakuba przeniosła się wraz z dziećmi do Izraela i straciła wszelki kontakt z Iranem. Zamieszkali w Tel Awiwie, w sfinansowanym przez rząd osiedlu, jedli dotowaną żywność i chodzili do subsydiowanych szkół. Dziewczęta odsłużyły wojsko i wyjechały do kibucu. Chłopcy pozakładali własne rodziny. Natan stracił nogę, wrócił do domu i zamieszkał z matką.

Potem skończył technikum, ożenił się z Marokanką i przeprowadził do Natanji, nad morze. Przestał mówić po persku, przestał wspominać ojca, przestał nawet czuć na ciele klucie szorstkiej wełny, pamiątkę tych upalnych letnich dni, kiedy Fräulein Claude skąpiła im lodu. W lutym 1984 roku zabrał żonę i córki na wycieczkę do Stambułu.

Zatrzymali się w wynajętym domku nad Bosforem, chodzili na plażę, do muzeów i meczetów. Pewnego popołudnia, zwiedziwszy pałac Topkapi, Natan zauważył w tłumie kobietę czekającą na autobus.

Była drobna i blada, twarz miała porytą zmarszczkami, skórę suchą i napiętą na kościach policzkowych. Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, uśmiechnęła się tak, jak obcy ludzie uśmiechają się do siebie w deszczowe popołudnie na zatłoczonym przystanku, wiedząc, że już nigdy się nie spotkają. Potem odwróciła głowę i uśmiech natychmiast spelzł z jej twarzy.

Natan nie mógł oderwać od niej wzroku.

Miała na sobie białą bawełnianą sukienkę i znoszone buty bez pończoch czy skarpetek. Długie do pasa włosy ściągnęła gumką. Dłonie, którymi przyciskała do piersi plastikową torbę, były spierzchnięte i brudne. Ciągle przestępowała z nogi na nogę, jakby po to, by ulżyć bolącym stopom. Co jakiś czas wyglądała na jezdnię, czy przypadkiem nie nadjeżdża autobus. Ani razu nie spojrzała na zegarek czy rozkład jazdy. Albo autobus nigdy nie kursował zgodnie z rozkładem, albo po prostu nie miała się do kogo spieszyć. Natan odwrócił się i poszedł do domu.

Tej nocy po raz pierwszy od lat śnił mu się Jakub Galareta: siedział w kuchennej alkwie paląc fajkę i opowiadał żonie, że handlarka gąbek chciała mu się oddać w zamian za trochę opium.

Nazajutrz znów byli w Topkapi, bo żona Natana chciała zwiedzić Stary Pałac, składający się z czterystu komnat harem, w którym mieszkały żony otomańskich sułtanów wraz z dziećmi i kastrowanymi sudańskimi niewolnikami. Żony - głównie chrześcijanki z Kaukazu - trafiały tu jako branki nabyte na stambulskim targu i zmuszone do przejścia na islam. Spędzały życie w haremie kłócąc się między sobą i rywalizując o względy sułtana, rodząc następców i spiskując przeciwko innym żonom i ich dzieciom. Świeżo zarzuciwszy zwyczaj ustalania sukcesji w drodze bratobójstwa, tureccy sułtani przekazywali tron najstarszemu z żyjących synów. Aby ich chronić, więzili chłopców w Starym Pałacu. Następca tronu spędzał życie w złoczonej klatce w ogóle nie widując ludzi. Jeśli nawet przeżył, z reguły był niespełna rozumu i niezdolny do sprawowania rządów.

Na ulicy Natan znów zobaczył tę samą kobietę.

Stała z dwiema innymi przed niechlujną restauracją, zachłannie dopalając resztkę papierosa. Widział tylko jej profil, brudny fartuch i te same buty (dziś miała w nich krótkie białe skarpetki zszarzałe od ciągłego prania). Natan pociągnął żonę w kierunku restauracji. Protestowała, że nie pozwoli otruć dzieci jadłem serwowanym w takiej norze, ale on nie słuchał. Zatrzymał się o kilka kroków od nieznamym.

Odwróciła się nieco od koleżanek, wydmuchując dym, i wtedy spostrzegła, że Natan na nią patrzy. W jej zmęczonych, otoczonych drobnymi zmarszczkami oczach pojawił się strach, lecz wciąż były przepastne i płynne jak morze. Przez chwilę Natan był z nią zupełnie sam na tętniącej ruchem ulicy, pogrążony w jasności, z której nie miał ochoty się wynurzać.

Autobus zahamował z piskiem tuż za nim. Żona krzyknęła. Kierowca obrzucił go stekiem wyzwisk, po czym nacisnął gaz do dechy i pozostawił Natana w chmurze czarnych spalin. Kiedy ten się ocknął, kobiety już nie było.

Ciągle śnił mu się ojciec.

W końcu Natan zadzwonił do matki w Natanji i zapytał, czy wie, co się stało z Roksaną Anielicą.

- Jak to co? Umarła - odpowiedziała matka. Była już po osiemdziesiątce, ale umysł wciąż miała jasny jak za młodu. - Wskoczyła z okna. Jej siostra, Księżycowa Miriam, mieszka w Los Angeles.

Przez tydzień Natan trzymał się z dala od Topkapi. Potem pewnego popołudnia zostawił żonę i dzieci na plaży i pojechał tam jeszcze raz.

Poznała go od razu, kiedy wszedł do restauracji, utykając na plastikowej nodze, i siadł przy stoliku. Ścierała podłogę, zbierała brudne naczynia, a gdy kucharz ją wołał, podawała klientom zamówione potrawy. Poruszała się szybko, okrążając wielkim kołem stolik Natana i unikając jego wzroku. Po chwili podeszła do kucharza i powiedziała do niego coś po turecku. Kiedy Natan podniósł głowę, była już bez fartucha i biegła na przystanek.

- Proszę pani! - zawołał do niej po angielsku. Nie zareagowała.

Wszedł za nią i ustawił się w kolejce do autobusu. Kiedy się odwróciła, zobaczyła go tuż obok.

- Przepraszam panią - odezwał się jeszcze raz. Odwróciła wzrok.

Spróbował po hebrajsku, potem po persku.

Stała w bezruchu, niczym skamieniała, oczy miała wlepione w jeden punkt, ale ręce jej drżały. Natan zdał sobie sprawę, że znów mu ucieknie, więc przestał ją nagabywać. Ludzie patrzyli na niego podejrzliwie.

Wsiadła do autobusu przednimi drzwiami, on tylnymi. W Kumkapi wyskoczyła i wbiegła do jakiegoś budynku.

Natan wrócił do domu i powiedział żonie, że widział ducha zmarłej kobiety.

\*

Cztery miesiące przed rozdaniem świadectw zadzwoniła do mnie Miriam.

- Przyjedź w piątek, zostaniesz u mnie na weekend - oznajmiła bez wstępów. - Przygotowałam dla ciebie pokój gościnny.

Niedawno przeprowadziła się z wieżowca przy Wilshire Boulevard do domku jednorodzinny w Westwood. Nie miała ochoty na zmianę mieszkania, ale ptaki Pana Karola stały się utrapieniem dla całego budynku. Często uciekały drzwiami i fruwały po długich wąskich korytarzach, wlatywały do otwartych wind, strasząc drobne staruszki o lawendowych włosach, wracające od fryzjera. Albo wyfruwały z balkonu i obsrywały ludziom okna. Administrator dał Miriam trzy miesiące, po czym wypowiedział umowę.

Nowy dom Miriam był parterową budą w stylu hiszpańskim, wzniesioną w końcu lat sześćdziesiątych. Miał gipsowe ściany pomalowane na jaskrawożółty kolor, pomarańczowy dach i skrzynkę na listy w kształcie gigantycznej papugi. Od frontu był wąski podjazd i miejsce na samochód, które Miriam obsiała trawą. W domu mieściły się trzy sypialnie: jedna dla Miriam, druga dla Pana Karola i jego ptaków i trzecia nazwana gościnna. Placyk na tyłach domu, wyłożony starymi żółtymi ceglami, ginął w cieniu prawie dziesięciometrowego migdałowca, opierającego konary na dachu.

Powiedziałam Miriam, że muszę się uczyć i nie mam czasu na wizyty.

- Weź książki i ucz się u mnie - odparła całkiem serio. - Mam do ciebie ważną sprawę.

- Szkoła też jest ważna. - Dołożyłam starań, by zabrzmiało to sarkastycznie.

- Nie rób ze mnie idiotki! - wrzasnęła Miriam i urwała, żeby nabrać tchu. W jej głosie brzmiała desperacja, którą zauważyłam dopiero teraz i która mnie przeraziła. - Nikt nie kuje na cztery miesiące przed końcem roku. Zresztą już dostałaś się na studia.

Zostałam przyjęta na uniwersytet stanowy w San Francisco. Nigdy dotąd nie byłam w San Francisco i nikogo tam nie znałam. Szłam na studia wyłącznie dlatego, że po maturze nie mogłam zostać u Marii Magdaleny, a nie chciałam nadużywać gościnności Mercedes.

- Nie robię z ciebie idiotki - oznajmiłam dumna ze swej zimnej krwi i zadowolona z kolejnej sposobności, żeby okazać Miriam brak szacunku. - Po prostu jestem zajęta i nigdzie się nie wybieram.

Godzinę później zajechała taksówką pod szkołę.

Była blada i chwiała się na nogach. Nie przywiozła jedzenia ani żadnych ciuchów, które kupowała na wyprzedazach w całym mieście i kazała mi nosić. Poszła prosto do matki przełożonej i zamknęła za sobą drzwi. Kiedy po półgodzinie wyszły razem z gabinetu, już czułam, że czekają mnie ciężkie chwile.

Matka przełożona kazała mi iść do świetlicy i zostawiła mnie samą z Miriam. Rozparłam się nonszalancko w starym fotelu, opierając łokcie na poręczach i szeroko rozstawiając nogi. Wiedziałam, że maniery amerykańskich nastolatków doprowadzają Miriam do szału.

- No? - zagaiłam wyzywająco, choć żołądek już mi się przewracał ze strachu, co tym razem wymyśliła. - Co słyhać nowego?

Przyjrzała mi się zza tych swoich kretyńskich okularów. Tym razem jakoś nie rwała się do głosu, by dowieść swych jedynie słusznych opinii na temat każdej rzeczy we wszechświecie.

Czekałam, starając się utrzymać na twarzy ironiczny uśmieszek i żywiąc rozpaczliwą, acz próżną nadzieję, że Miriam wstanie i wyjdzie, że w ogóle się nie odezwie i zachowa dla siebie przyniesione wieści, które mogły być tylko złe, gorzkie i niszczyielskie.

A jednak, choć spodziewałam się miażdżącego ciosu, Miriam znów się udało mnie zaskoczyć.

- Znalazłam twoją matkę - powiedziała.

Słyszałam ją, ale z początku nie czułam nic. Siedziałam spokojnie, skamieniała w bezruchu, i może siedziałabym tak do końca świata, gdyby mdłości nie zmusiły mnie do zmiany pozycji.

- Dzwonił do mnie syn Jakuba Galarety. Mówi, że widział ją w Turcji.

Spojrzałam tęsknie w stronę wyjścia, lecz czując, że nogi nie doniosą mnie aż do drzwi, przysunęłam do fotela kosz na śmieci - na wypadek gdybym jednak zaczęła wymiotować. Twarz miałam pokrytą zimnym potem.

- Zobaczył ją na ulicy i poszedł za nią - ciągnęła Miriam. - Dowiedział się, gdzie mieszka, ale nie chciała z nim rozmawiać. Podobno żyje w nędzy.

Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęłam, żeby Miriam zniknęła mi z oczu. A najlepiej w ogóle przestała istnieć.

- Musimy tam jechać - powiedziała. - Musimy razem jechać do Turcji i same się przekonać.

Kwas z żołądka raptownie podjechał mi do gardła.

- Wynoś się - wykrztusiłam.

Miriam od razu zabrała się do dzieła z charakterystycznym dla niej wigorem. Złożyła podanie o turecką wizę dla siebie i dla mnie, a następnie zajęła się wyrabianiem papierów dla Roksany. Zadzwoiła do urzędnika biura imigracyjnego żądając, by w ciągu czterech tygodni wystawił wizę wjazdową do USA dla kobiety, która nie ma dokumentów, paszportu, ani świadectwa urodzenia. Nie może też podpisać kwestionariusza ani złożyć odcisków palców, a ponadto jeszcze nie wie, że jedzie do Stanów, i niekoniecznie ma na tę podróż ochotę. Urzędnik doradził Miriam, żeby poszukała sobie czarodzieja albo psychiatry.

Wykopała więc metrykę swojej zmarłej córki i zapłaciła komuś, żeby sfałszował datę urodzenia. Poleciała do irańskiego konsulatu w San Francisco, gdzie opowiedziała historyjkę, że jej córka jest niepełnosprawna umysłowo, i zmusiła ich do wystawienia paszportu na nazwisko Sary. Następnie zawiozła paszport do urzędu imigracyjnego w Los Angeles wraz ze stosiem fałszywych listów, z których wynikało, że jej córka musi przyjechać do Stanów na leczenie. W końcu wydusiła od władz imigracyjnych trzydziestodniową wizę amerykańską.

- Udało się! - Zasapana i dumna przybiegła do szkoły i podetknęła mi paszport pod nos. - Teraz kupię dwa bilety do Stambułu dla ciebie i dla mnie i bilet ze Stambułu do Los Angeles dla Roksany. Musimy jechać jak najprędzej.

- Jedź, gdzie chcesz. - Wzruszyłam ramionami. - Beze mnie.

Miriam zmarszczyła brwi ze śmiertelną powagą i pokręciła głową.

- Mam dość twojego idiotycznego nieposłuszeństwa - powiedziała ostrzegawczo. - Mówiłam ci, że to poważna sprawa. Czas, byś mi uwierzyła.

Jasne, że wierzyłam. Zawsze jej wierzyłam.

Powiedziałam jej więc tak spokojnie, jak tylko zdołałam, wyduszając z siebie odporne słowa, aż żołądek zaczął mi krwawić, powiedziałam, że nie mogę z nią jechać, bo nie mogę - po prostu nie stać mnie na to - przekonać się, czy Roksana żyje. Ponieważ przeżywałam jej utratę tysiąc razy dziennie przez dwanaście lat i nie zniosę ani odnalezienia jej, ani utracenia po raz kolejny.

- Gdyby jej na mnie zależało, zostałyaby - powiedziałam. - Miała mnie w nosie, nawet mnie nie widziała, kiedy stałam za nią i ją wołałam. Teraz też nie zechce do mnie wrócić, nawet jeśli rzeczywiście z tobą pojedę.

Po raz pierwszy, odkąd ją znałam, Księżycowa Miriam objęła mnie ramionami i wybuchnęła płaczem.

\*

Roksana Anielica usiłowała właśnie zeskrobać kamień osadzony we wnętrzu czajnika,



kiedy postyszała dwa puknięcia do drzwi. Był wczesny wieczór; za godzinę musiała być w restauracji rybnej za rogiem, gdzie ostatnio zaczęła pracować. Po jedenastu latach rzuciła pracę przy dworcu Topkapi. Wypłoszył ją stamtąd ten mężczyzna ze sztuczną nogą i gęstymi czarnymi włosami, tak lśniącymi, że człowiek miał wrażenie, iż dotknąwszy ich, sam zacznie błyszczeć. Nie wiedziała, kim był ani czego od niej chciał, ale kiedy odezwał się do niej po persku, jakby ją znał, poczuła strach i nie wróciła już do restauracji. Teraz pracowała u Ormian. Czyściła ryby i smażyła je dla turystów, którzy czytali o Kumkapi w przewodnikach Michelina, a przekonawszy się na własne oczy, iż rzekomo barwna ormiańska dzielnica jest tylko kolejnym skupiskiem brudnych, zdewastowanych domów, szli coś zjeść, żeby móc się przynajmniej pochwalić, iż skosztowali narodowych potraw. Roksana ciężko zniosła ową zmianę, choć w ciągu tych jedenastu lat nie przywiązała się ani do knajpy w Topkapi, ani do jej właścicieli. Może działała tu po prostu siła nawyku. Może winien był nowy szef, który ciągle na nią wrzeszczał, grożąc, że ją wyleje, ilekroć się spóźniła albo pomyliła. Może po prostu zaczęła się starzeć i nie miała już sił stać na nogach przez czternaście godzin dziennie. Często miała ochotę położyć się na podłodze przy grillu i zasnąć.

Pukanie rozległo się ponownie, lecz Roksana nie ruszyła się z miejsca. Wiatr wył bez przerwy od kilku dni. Śmieci na ulicy miały się jak żywe, żebracy zaszywali się w kartonowych pudłach, metalowe szyldy kolebały się z łoskotem nie dając jej zasnąć, kiedy w nocy dygotała pod cienkim, wytartym kocem. Ponownie dźgnęła w czajnik czubkiem tępego noża, próbując skuć czarny osad. Po chwili odłożyła nóż i zanurzyła dłonie w misce z wodą podgrzaną na przenośnej kuchence. Wciąż doskwierał jej tępy, reumatyczny ból, który pulsował pod skórą, aż chciało jej się krzyżeć. Ciepła woda koła go, ale tylko na chwilę. Roksana nauczyła się tego w dawnych czasach od Aleksandry Kocicy, gdy Rosjanka chciała rozluźnić ręce, nim siądzie do fortepianu.

Ktoś zabębnił w drzwi trzymaną płasko dłonią. Roksana podskoczyła, przewracając miskę. Szybko osuszyła ręce o spódnice i rozejrzała się za szmatą, żeby wytrzeć podłogę. Musiała chodzić po wodę trzy piętra w dół i była wściekła, że ją rozlała.

- Przestań! - krzyknęła w stronę drzwi, wciąż szukając szmaty. Jedyne ludźmi, którzy ją kiedykolwiek odwiedzali, byli administrator przychodzący po czynsz i kobieta zbierająca datki dla kościoła ormiańskiego. - Przestań się tłuc!

Uchyliła odrobinę drzwi, nie zobaczyła nikogo, uchyliła nieco szerzej. Na korytarzu stały dwie kobiety. Jedna wysoka, odziana w męskie palto, z głową owiniętą szalem; druga niska, w butach na wysokich obcasach i w długim futrze z norek.

Roksana poczuła przyływ nienawiści.

- Nie mam pieniędzy - powiedziała po turecku - i nie wierzę w Boga.

Pchnęła drzwi z powrotem. Na ułamek sekundy wcześniej, nim się zatrzasnęły, powstrzymała je czyjaś ręka.

- Chwileczkę! - odezwała się wyższa kobieta po persku.

Roksana zamarła.

Kobieta napała na drzwi, cal po calu spychając Roksane, a kiedy szpara w drzwiach powiększyła się dostatecznie, przecisnęła się przez nią i weszła do pokoju. Przerazona Roksana cofnęła się o krok. Tkwiły naprzeciw siebie, nie śmiejąc się poruszyć. Ta w futrze, która została za drzwiami, zaczęła płakać.

- Szukałam cię - szepnęła Miriam.

Roksana przestała oddychać.

- Poznałabym cię wszędzie. - Miriam zorientowała się, że Roksana za chwilę upadnie, i chwyciła ją za ramię. - Spokojnie - dodała, rozglądając się za krzesłem.

Roksana wyrwała rękę.

- Nie denerwuj się - szepnęła Miriam, lecz sama również drżała. Wargi miała sine. Próbowała jeszcze coś powiedzieć, ale głos ją zawiódł.

- Odejdź - odezwała się Roksana po turecku.

Miriam potrząsnęła głową.

- Poznałaś mnie - powiedziała. - Wiem, że mnie poznałaś. A ta, co płacze za drzwiami, to Rochelle.

Roksana cofnęła się jeszcze o krok.

- Idź precz - powtórzyła. - Nie znam cię.

Uświadomiła sobie, że powiedziała to po persku, i wpadła w panikę. Powinna uciekać, myślała zerkając na otwarte drzwi. Powinna wybiec na ulicę i ukryć się przed tą kobietą, która napadła ją tak niespodziewanie. Mogłaby się przedrzeć do wyjścia, przewracając tę niższą na ziemię. Zanim znów podniosła wzrok, Miriam zdążyła już opanować sytuację.

- Dwanaście lat tułaczki i wciąż gadasz takie same głupoty - stwierdziła, po czym rzuciła przez ramię: - A ty wejdź i przestań chlupać.

Rochelle postąpiła trzy kroczki do środka pokoju, przyciskając do piersi torebkę z krokodylej skóry i nadal zanosząc się tłumionym łkaniem. Miriam pociągnęła ją dalej. Czując, że Roksana ma chęć wziąć nogi za pas, chwyciła jedyne krzesło w pokoju i zastawiła nim drzwi.

- Usiądź tutaj - powiedziała do Rochelle.

Pokój był szary i nagi, okno zalepione farbą. Na betonowej podłodze stało zardzewiałe

żelazne łóżko, leżał na nim siennik, stare prześcieradło, dwa koce i wygnieciona poduszka. Obok stał aluminiowy stolik, a po drugiej stronie łóżka - obszarpana żółta sofa, z której sterczały sprężyny. Za nią widniał zlew i przenośna kuchenka turystyczna. Wyłazące z rur karaluchy krzątały się pod łóżkiem i sofą.

Nikt się nie odzywał. Roksana stała w wykroku, objąwszy się rękoma, ze wzrokiem wbitym w podłogę. Rochelle przyciskała do siebie torebkę tak mocno, że zbielełe kostki omal nie przebiły jej skóry. Miriam podeszła do sofy i usiadła. Przyjrzała się Roksanie.

- Przyjechałyśmy, żeby cię zabrać do domu - oznajmiła.

Roksana nie podniosła wzroku.

- Mieszkamy teraz w Ameryce - ciągnęła Miriam. - Od rewolucji. - Urwała. - Chyba wiesz, że była u nas rewolucja? Wyrzucili szacha. Teraz rządzą mułłowie.

Rochelle wytarła nos i wydała jeszcze kilka zdławionych łkań.

- Timur nie żyje - rzekła Miriam.

Roksana zadygotała tak mocno, że Miriam wpadła w popłoch.

- Nie przejmuj się tak - uspokoiła siostrę. - To już było dawno, minęło .

- Nic nie pamiętam - powiedziała Roksana po persku.

- Zohrab nadal mieszka przy alei Wiary. Wciąż na ciebie czeka.

- Nie pamiętam.

- Lili ma już prawie osiemnaście lat.

Tym razem Roksana milczała.

- Nie przejmuj się - powtórzyła Miriam. - Nie musisz niczego wyjaśniać. Nikt nie ma do ciebie żalu. Po prostu chcemy cię zabrać ze sobą.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

- Nie.

Miriam ze świstem wciągnęła powietrze.

- Nie wrócę - rzekła z uporem Roksana.

Miriam przyglądała się jej przez chwilę. Potem sięgnęła do torebki i wyjęła winylową okładkę z paszportem i biletem lotniczym Roksany. Położyła ją na brzegu stolika i wstała. Stawy jej trzeszczały jak suche drewno w ogniu.

- Zatrzymałyśmy się w Sheratonie przy placu Taksim - powiedziała. - Jeszcze przez tydzień będziesz mogła nas tam znaleźć. Bilet lotniczy jest bezterminowy, ale wiza za rok straci ważność. Zapisałam ci mój adres, adres Lili i jej numer telefonu.

Roksana wciąż milczała. Rochelle chwiejnie wstała i otworzyła drzwi. Miriam ruszyła za nią, lecz się zatrzymała.

- Moje dzieci nie żyją - szepnęła w nadziei, że Roksana wreszcie na nią spojrzy. - Józef się utopił. Sara umarła przeze mnie. - Miriam miała uczucie, że zadławi się własnym bólem. Po chwili podjęła: - Potem już bez przerwy myślałam o tobie. Myślałam: tamtych już nie odzyskam, choćbym nie wiem jak chciała. Nie odzyskam też Karola, choć żyje i mieszka ze mną.

Roksana powoli podniosła na nią oczy. Miriam mówiła dalej:

- Ale ciebie w końcu udało mi się znaleźć. Ty wciąż możesz odzyskać swoją córkę. Wystarczy, że do niej wrócisz.

\*

W maju wysłałam ostatni list do Zohraba:

"W czerwcu kończę szkołę. Potem spędzę dwa miesiące u Mercedes, a w połowie sierpnia wyjeżdżam do San Francisco, żeby się przygotować do rozpoczęcia nauki w college'u."

Nie zdradziłam mu, że strasznie się boję ceremonii rozdania świadectw, podczas której będę się czuła samotna jak palec, ani że przeraża mnie perspektywa wyjazdu do nieznanego miasta. Nie wspomniałam też o wyprawie Miriam do Turcji, gdzie spodziewała się znaleźć Roksanę.

"Rozdanie świadectw odbędzie się osiemnastego" - napisałam. - "Ciotki zapowiedziały, że przyjadą."

Ceremonia miała się odbyć o jedenastej. Już od dziesiątej budynek gimnazjum zaczął się wypełniać rodzinami uczennic i zaproszonymi gośćmi. Siedziałam w internacie, ubrana w mundurek, spozierając na togę i biret leżące na łóżku. Miriam wróciła z Turcji ponad miesiąc temu. Nie skontaktowała się ze mną po powrocie, ale dowiedziałam się o nim od Zuzanny. Inne ciotki unikały rozmów o pobycie Miriam w Turcji. Czyżby nie znalazła Roksany? Może nie chciała dzielić się ze mną rozczarowaniem?

Ktoś zapukał do drzwi.

- Czekamy na ciebie w szkole - Zuzanna zdobyła się na blady uśmiech. - Przyjechałam z Bryanem i jego żoną. Jest też droga cioteczka Light z mężem. Dzieci nie mogły się wyrwać. Józefina przesyła ci ucałowania.

Po raz pierwszy cieszyłam się, że ich zobaczę. Poczułam ulgę, gdy Zuzanna nie wspomniała o Miriam.

Otworzyła drzwi szerzej i wręczyła mi pudełko z kwiatami.

- Posłaniec z kwiaciarni pytał o ciebie na dole - wyjaśniła. - Powiedziałam, że sama ci je oddam.

Ojciec przysłał mi kwiaty - dwa tuziny różowych róż umieszczonych w złotym pudełku, które leżały w furgonetce tak długo, że już były przywiedłe. Położyłam pudełko na stole i zaczęłam wciągać toę. Zuzanna stała w progu i się przyglądała. Uświadomiłam sobie, że ma mi coś do powiedzenia. Nasze oczy spotkały się w lustrze wiszącym nad łóżkiem.

- Miriam też tu jest - wymamrotała. - Razem z Rochelle.

Siedziały w czwartym rzędzie od tyłu - ciche, poważne, wyraźnie starały się nie rzucać w oczy. Rochelle miała na sobie kapelusz, ciemne okulary i sukienkę, która wyglądałaby lepiej na znacznie młodszej kobiecie. Kopciła bez ustanku niebieskie dunhille i smarowała kremem skórę wokół oczu. Miriam popatrzyła na mnie bez uśmiechu.

Domyśliłam się wszystkiego.

Domyśliłam się, co znalazła i dlaczego nie powiedziała mi o tym wcześniej. Wyczuwałam jej myśli przez półtorej godziny wypełnionej przemowami i uściskami dłoni, podziękowaniami i pożegnaniem, obietnicami świetlanej przyszłości i wyrazami żalu za tym, co minęło.

Droga cioteczka Light przykuśtykała do mnie podczas bankietu, skarżąc się na upał.

Rochelle po raz kolejny niepotrzebnie poprawiła kapelusz i spytała, czy leją tu coś oprócz ponczu.

Miriam zaczerpnęła głęboki oddech i wypaliła:

- Znalazłam ją. Nie chciała mnie słuchać.

Gdy wszyscy się rozjechali, wróciłam do pokoju, cisnęłam róże do kosza na śmieci i przebrałam się w piżamę. Potem zasunęłam żaluzje, położyłam się do łóżka i żyłką przecięłam sobie żyły na nadgarstku.

\*

Po wyjściu Miriam Roksana nie mogła się poruszyć. Nie zamknęła nawet drzwi; po prostu stała z oczyma wbitymi w ziemię. W końcu na oślep dotarła do łóżka i usiadła. Po pewnym czasie zapadła noc i wiatr przywiał do pokoju zapach morza. Z ulicy dobiegały hałasy i śmiechy. W budynku wybuchały awantury. Mężczyźni się upijali, śpiewali gruzińskie piosenki, kochali się z żonami na skrzypiących łóżkach. Tuż przed świtem spadł deszcz. Rybacy wieźli połów na targ rybny po drugiej stronie ulicy, sprzedawali go i ze znużeniem

wkraczali w kolejny senny dzień. Dzieci sąsiadów podchodziły do drzwi i nieśmiało zaglądały do pokoju. Roksana wciąż siedziała na skraju łóżka pogrążona w myślach.

Przemknęło jej przez głowę, że już dawno powinna była wyjść do pracy, że szef znów obrzuci ją wyzwiskami i każe jej się wynosić - tylko po to, by musiała się przed nim ponizować błagając, żeby pozwolił jej dalej pracować, na co on łaskawie wyrazi zgodę. Może zresztą tym razem wyleje ją na dobre. Gotów nie zapłacić jej nawet za dni przepracowane już w tym tygodniu - chyba że wstanie i natychmiast wyjdzie. Nie ruszyła się.

W pierwszej chwili ich nie poznała. Miriam bardzo się postarzała, Rochelle zmieniała kolor włosów, nos, kości policzkowe. Ale potem Miriam zaczęła mówić i Roksana pragnęła już tylko tego, żeby sobie poszły. Teraz wyteżęła wszystkie siły próbując wymazać Miriam z pamięci, naciągnąć znów na głowę grubą ciemną zasłonę, za którą pozostały jej wszystkie wspomnienia, i żyć dalej jak przedtem.

Ale w ciemności zobaczyła światło. Miało kolor oczu Zohraba i nie mogła się przed nim schować. Odwróciła wzrok. Na tle ściany zobaczyła Miriam mówiącą o swych zmarłych dzieciach. Wbiła wzrok w podłogę i ujrzała Aleksandrę przy fortepianie. Spłoszona zerknęła na sufit i ujrzała twarz Timura widzianą przez mgiełkę jej ślubnego welonu. Wspomnienia osaczały ją ze wszystkich stron. Nie zdawała sobie sprawy, że robi to, przed czym ostrzegęła ją Kocica: ogląda się wstecz, liczy lata i wydarzenia od ucieczki z Iranu.

Nagle zaczęła się zastanawiać, ile lat ma Miriam, ile ona sama. Co się dzieje z jej mężem, córką, z innymi...

Dni mijały, a ona siedziała bez ruchu. Pod koniec tygodnia administrator przyszedł jak zwykle po czynsz. Był pewien, że Roksana nie żyje. Siedziała wyprostowana na łóżku, hordy karaluchów łąziły jej po nogach, przeciąg nawiewał śmieci do pokoju, a gdy ją zagadnął, nie odpowiedziała. Administrator uznał, że co jak co, ale on jej nie dotknie. Gotowa jeszcze się przewrócić na podłogę, między to robactwo, a wtedy on będzie musiał ją podnieść i urządzić pogrzeb. Wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Sąsiedzi ją znajdują, kiedy zacznie cuchnąć, pomyślał.

Po jakimś czasie Roksana ocknęła się i poczuła głód. Nie wiedziała, ile minęło dni. W każdym razie żywność w szafce zdążyła się pokryć pleśnią, a w zlewie roiły się karaluchy.

Wzięła do ręki papiery, które Miriam zostawiła na stole, i wepchnęła je do kieszeni sukienki. Przeliczyła pieniądze, podzieliła na siedem kupek - starczyło na posiłek codziennie przez tydzień - i wyszła kupić coś do zjedzenia i rozejrzeć się za pracą. Przez dziesięć dni pytała w całej okolicy, aż w końcu zatrudniła się przy przeładunku kartonów z warzywami w libańskim pawilonie spożywczym. Wszystko będzie dobrze, powtarzała sobie. Ma jeszcze

dość sił, by żyć. Jeśli będzie trzeba, powędruje dalej.

Ale dręczyły ją wątpliwości.

To wszystko przez Miriam. Mówiąc o swoich zmarłych dzieciach i o Lili, która wciąż na nią czeka, podsunęła Roksanie myśl - pierwszą od dwunastu lat - że być może popełniła błąd. Może ucieczka nie była najlepszym wyjściem, a w każdym razie nie j e d y n y m . Może powinna była wrócić; m o g ł a wrócić.

Roksana zaczęła się zastanawiać, a gdy raz zaczęła, już nie mogła przestać. Zwątpienie przeniknęło każdą pewność, której dotąd się trzymała. Nie pozwalało jej w nocy zasnąć, kazało zadawać sobie pytania. Po raz pierwszy, odkąd odleciała z domu przy alei Wiary, Roksana chciała wiedzieć, czy popełniła błąd.

Wyrzucili ją z pracy w libańskim supersamie, bo była za powolna. Syn właściciela - dwudziestotrzyletni pulchny smarkacz z ondulowanymi blond włosami i rzadkim wąsikiem - powiedział jej, że jest za stara i za gruba do tej roboty. Doznała wstrząsu: ona, zawsze taka lekka, miałyby być za gruba? Poszła na zaplecze, pełniące zarazem rolę umywalni i szatni, i przejrzała się w lustrze nad zlewem. Twarz miała obrzmiała, ręce i nogi spuchnięte. Wyszła, sięgnęła do szuflady pod kasą, gdzie syn właściciela trzymał portfel, i ukradła mu wszystkie pieniądze. Zawinęła je w chusteczkę do nosa i schowała głęboko w kieszeni.

Najęła się do prasowania męskich koszul w pralni chemicznej obsługującej bogatych Turków ze Starego Miasta. Tkwiała tam od czwartej rano do szóstej po południu.

Po paru tygodniach szefowa dała jej trzy używane sukienki.

- Musisz zmienić garderobę - powiedziała, ruchem głowy wskazując sukienkę, którą Roksana miała na sobie. Roksana powiodła wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyła, że sukienka jest mocno opięta, a guziki rozłążą się na brzuchu.

Buty też nagle zrobiły się za małe. Stopy miała tak ciężkie, że nie mogła stać dłużej niż godzinę i musiała siadać na stołku przy prasowalnicy. Za każdym razem, kiedy w pracy zerkała w lustro, była coraz większa.

Szefowa kazała jej iść do lekarza. Mówiła, że tyje zbyt szybko, a skórę ma ziemistą i podpuchniętą. Roksana przyznała jej rację, ale do lekarza nie poszła, bo szkoda jej było pieniędzy. Powzięła bowiem myśl- zaszczepioną przez Miriam - iż pojedzie do Ameryki i sama się przekona, czy popełniła błąd opuszczając Teheran. Tylko o tym już była w stanie myśleć: musi sprawdzić, czy przez te wszystkie lata tkwiła w błędzie, czy oparła swoje życie na mylnych założeniach, czy miała jednak wybór, z którego wówczas nie zdawała sobie sprawy.

W czerwcu nie mogła już się przecisnąć między wieszakami na zapleczu pralni, a gdy wsiadała do autobusu, kierowca wzdychał i przewracał oczyma. Szefowa powiedziała, że musi zeszczupłeć albo może nie wracać do pracy. Roksana poszła więc do przychodni i powiedziała dyżurnemu lekarzowi, że od dwóch miesięcy raptownie tyje.

Doktor kazał jej stanąć na wadze. Sto dziewięćdziesiąt funtów, powiedział. Dał jej tabletki na odchudzanie i zainteresował się świstem w płucach. To prawda, teraz oddychała inaczej i przez cały czas czuła ciężar w piersi. Kiedy musiała przejść długi kawałek pieszko, miała wrażenie, że wydycha powietrze przez cysternę wody. Doktor dał jej inhalator i odesłał ją do domu.

\*

Siostra Ana Rose powiedziała później matce przełożonej i kuratorce przysłanej do szkoły, że weszła mnie zawołać i znalazła mnie w łóżku. Pomyślała, że coś jest nie tak, albowiem regulamin szkoły zakazywał wylegiwania się w ciągu dnia.

- Obudź się - powiedziała. - Ta kobieta, którą zawsze czuć whisky, przysłała po ciebie szofera.

Zobaczyła, że leciutko otwieram oczy i znów je zamykam. Potem dostrzegła plamy na pościeli. Nie odważyła się ściągnąć ze mnie kołdry. Pobiegła do matki przełożonej, krzycząc, żeby wezwać pogotowie.

Nowy szofer Mercedes, młody człowiek o zielonych oczach i urodzie Harrisona Forda, owiązał mi rękę krawatem, przeniósł mnie do samochodu i w pośpiechu zawiózł do najbliższego szpitala. Zatraskana o ewentualne konsekwencje prawne i reputację szkoły przełożona powiedziała mu, żeby nie przywoził mnie z powrotem, ponieważ odkąd skończyłam naukę, wyłączną odpowiedzialność za mnie ponosi mój ojciec.

Spędziłam w szpitalu siedem dni, powtarzając psychiatrom i opiekunom społecznym, że naprawdę nie wiem, dlaczego podciąłem sobie żyły. Pytali o moich najbliższych krewnych. Podałam im nazwisko i adres Mercedes, modląc się, żeby Miriam o niczym się nie dowiedziała.

Już na drugi dzień zjawiała się w szpitalu.

- To był szczyt głupoty - stwierdziła, mierząc wzrokiem mój obandażowany przegub. - Bogu i tak jest dostatecznie spieszno nas wszystkich pozabijać. Nie musisz mu pomagać.

Odwróciłam się do niej plecami.

- Wiem, dlaczego to zrobiłaś - ciągnęła - toteż nie winię cię za nic, może oprócz słabości. Widzisz, ja wiem, jak to jest kogoś stracić, i wiem, że się załamałaś, kiedy twoja



matka...

- Nie wątpię, że wiesz to i owo o stracie - warknęłam. Chciałam ją zranić, wbić w jej serce ostry nóż tak głęboko, jak ona wbiła go w moje; chciałam rozedrzeć jej rany. - Mercedes mówi, że zabiłaś własne dzieci.

Miriam skamieniała i zaczęła rozpadać się w proch. Nie spodziewała się po mnie takiego okrucieństwa. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu, a potem sięgnęła po torebkę:

- To prawda - odparła cicho. - Dałam im życie, a później sama je odebrałam.

Mercedes przygarnęła mnie na cały lipiec nie zadając pytań i nie pchając się z dobrymi radami. W sierpniu jej powiedziałam, że nie czuję się jeszcze na siłach jechać do college'u, że potrzeba mi więcej czasu, znajomego kąta.

- Siedź, jak długo zechcesz. - Wzruszyła ramionami. - Tylko nie wpuszczaj Karawaniarki do mojego domu.

Zawsze nazywała Miriam "karawaniarką".

Przez cały koniec lata i początek jesieni Mercedes sypiała z obcymi mężczyznami, łamała dziesiątki serc i upijała się do białego świtu. Któregoś popołudnia zapytałam ją, jaka była Roksana.

- Podobna do ciebie - odparła bez namysłu. Łzy napłynęły mi do oczu.

Siedziałyśmy w ogrodzie, pławiąc się w kalifornijskim słońcu.

- W twojej matce zawsze mieszkały dwie skłócone ze sobą osoby - powiedziała Mercedes. - Jedna była uciekiniarką, wygnańcem, zgodnie z jej rzekomym przeznaczeniem; kobietą, po której wszyscy spodziewali się najgorszego. Ta druga miała być ideałem, żeby pokazać wszystkim, że się mylą.

Zobaczyła, że połykam łzy, i uśmiechnęła się.

- Dość tych melodramatów - ucięła. - Twoja matka była taka sama: wieczna męczennica. Od początku jej mówiłam, że Przeznaczenie to bzdura. Jedna dobra popierdółka może zmienić przeznaczenie miliona ludzi. Mam nadzieję, że wreszcie to do niej dotarło. Może dlatego nie wróciła z Miriam.

Wepchnęła mi do garści kieliszek koniaku, sama wypła swój jednym haustem i wyciągnęła się na leżaku przy basenie.

Spojrzałam na nią. Po tylu latach bardzo intensywnego życia wciąż była piękna - miała białe zęby, jędrne ciało i doskonale poukładane w głowie.

- Tak więc urodziła ci e b i e - westchnęła ironicznie - na wypadek gdyby to inni mieli

rację, gdyby rzeczywiście była diabelskim nasieniem i nie mogła tego zmienić. Uznała, że ty naprawisz to, co ona spieprzy.

Uniosła się na leżaku i spojrzała na mnie.

- Kiedy następnym razem staniesz przed ścianą - oznajmiła ze śmiertelną powagą - nie wyżywaj się na sobie. Zniszcz kogoś innego.

\*

We wrześniu Roksana poszła z biletem do biura linii lotniczych i zarezerwowała przelot do Los Angeles. Musiała wykorzystać rezerwację w ciągu tygodnia.

Administratorowi powiedziała, że na razie nie może mu zapłacić. Zwróci dług, kiedy odzyska zdrowie i będzie mogła więcej zarobić.

- Wątpię, żeby ci się poprawiło - rzekł sceptycznie administrator. - Oddychasz, jakbyś połknęła rybę.

Przez cały czas grało jej w płucach. Była coraz większa i coraz powolniejsza. To zwątpienie, myślała, to brzemień pytań i wszystkich słów, których nie wypowiedziała podczas niespodziewanych odwiedzin Miriam i Rochelle.

W ostatnim dniu pracy ukradła z kasy kilka tysięcy tureckich lirów - około pięćdziesięciu dolarów. Opuściła mieszkanie nocą, nie mówiąc nikomu, że już nie wróci. Cały jej dobytek - nowe ubrania, turecki czajnik, inhalator, który dał jej lekarz w przychodni - zmieścił się do niewielkiej ortalionowej torby kupionej na straganie po drodze na lotnisko.

W samolocie stewardesa musiała jej pokazać, jak się zapina pas. Trzeba go było maksymalnie rozciągnąć, żeby ją objął. Siedziała obok małego chłopca w podkolanówkach i krótkich spodenkach. Roksana uśmiechnęła się do niego. Malec szepnął matce, że boi się tej grubej pani.

Wysiadła z samolotu w Los Angeles ważąc dwieście osiemdziesiąt trzy funty i ledwie zdolna się poruszać. Celnik zaprowadził ją do kantoru, gdzie mogła wymienić tureckie liry na dolary. Kasjerka z kantoru powiedziała jej, gdzie znajdzie autobus, który zawiezie ją do miasta.

Roksana przystanęła na chodniku wpatrując się w rząd automatów telefonicznych. Mogła zadzwonić do Miriam albo do mnie, albo pod jakikolwiek inny numer zapisany na kartce. Mogła poprosić, żeby ktoś przyjechał po nią na lotnisko, bo sama się zgubi, ledwie mówiąc po angielsku i nie znając miasta. Byłoby to najprostsze i najlepsze wyjście, ale nie mogła się na nie zdobyć. A jeśli - myślała - nikt nie podniesie słuchawki? A jeśli ją spławią?

A jeśli przyjadą - Miriam w każdym razie przyjedzie na pewno - i zobaczą ją w tym stanie, chorą i taką grubą, że dzieci się jej boją? Wpierw musi znaleźć pokój, wykąpać się, przebrać i uczesać. Może nawet kupi sobie szminkę. Zobaczyła autobus z tabliczką CENTRUM i wsiadła.

Autobus zawiózł ją na Central Avenue w Los Angeles. Było samo południe, na ulicach panował tłok. Roksana ruszyła na poszukiwanie jakiegoś taniego hotelu, gdzie mogłaby spędzić noc i przygotować się psychicznie do spotkania z rodziną. Z Central Avenue przeszła na Pico, do dzielnicy tanich, niechlujnych sklepików z podrabianą odzieżą. Na skrzyżowaniu u Pico i Santee zebrał się tłum, otaczający trzech zawzięcie kłócących się mężczyzn. Irańczyk pomstował, że dwaj koreańscy krawcy schrzanili mu trzy tysiące par dzinsów szyjąc je na lewą stronę. Koreańczycy wrzeszczeli, że to nie ich wina, bo cała partia była źle skrojona, niech im więc zapłaci za wykonaną pracę, a rozstaną się w zgodzie.

Odruchowo unikając Irańczyków z obawy, że ktoś ją rozpozna, Roksana spuściła głowę, usiłując się przedrzeć przez dzinsowe pandemonium, ale tłumek stał jak mur i nikt nie chciał się posunąć. Postanowiła ominąć ich drugą stroną ulicy. Podniosła wzrok, ujrzała mknące jezdnią samochody i uświadomiła sobie, że jest za bardzo wyczerpana i słaba, by zrobić następny krok. Przerażona stała na krawężniku, drżąc i ociekając potem.

- Może pomóc? - zapytał jakiś głos po angielsku.

Roksana dosłyszała pytanie mimo otaczającej ich wrzawy, lecz nawet przez chwilę nie przypuszczała, że było skierowane do niej. Mężczyzna, który je zadał, podszedł bliżej i dotknął jej łokcia.

- Czy potrzebuje pani pomocy?

Mówił po angielsku z leciutkim perskim akcentem. Był młody, niewiele po trzydziestce, ubrany w jasnoszary garnitur i lśniące skórzane buty. Z gorąca i strachu jego obraz rozmazywał się Roksanie w oczach. Nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

Mężczyzna poklepał ją po ramieniu.

- Proszę chwilę poczekać - rzekł. Odwrócił się do zbiegowiska i krzyknął, żeby poszli się kłócić gdzie indziej. - Ta pani potrzebuje pomocy!

Gapie natychmiast stracili zainteresowanie awanturą i jak jeden mąż obrócili się do Roksany. Oglądali ją ze wszystkich stron, rzucali komentarze, zadawali pytania.

Mężczyzna w szarym ubraniu przyjrzał jej się badawczo.

- Czy pani jest Iranką? - zapytał ostrożnie, nie chcąc jej urazić.

Nie odpowiedziała.

- Jakim językiem pani mówi? - Nie dawał za wygraną.

Coraz więcej ludzi przystawało obok. Byli wśród nich Persowie i Azjaci handlujący w tej dzielnicy, Latynosi w drodze do pracy w fabryce, gospodynie domowe krążące po sklepach w nadziei na przecenę. Tylko Amerykanie się nie zatrzymywali. Zwalniali na tyle, by przyjrzeć się Roksanie i ruszali dalej bez słowa.

- Szkoda czasu, rebe - rzekł jeden z Irańczyków do mężczyzny w szarym ubraniu. - To pewnie jakaś wariatka.

Roksana zrozumiała, że jedyna szansa uzyskania pomocy wymyka jej się z rąk. Zebrała siły.

- Niedawno przyjechałam.- Dźwięk wypowiedzianych po persku słów zaskoczył nawet ją. - Muszę znaleźć nocleg.

Rabin powoli pokiwał głową i znów zmierzył ją wzrokiem.

- Jest pani chora?

- Mam kłopoty z oddychaniem - odparła zażenowana. - Potrzebne mi tylko miejsce, gdzie mogłabym się przespać. Rano wszystko będzie w porządku.

Rabin nie był tego taki pewien.

- Skąd pani pochodzi? - spytał łagodnie. Roksana milczała. - Jak się pani nazywa? Czy jest pani Żydówką? Przyjechała pani prosto z Iranu?

Nie chciała wymieniać nazwiska Miriam - nie teraz, gdy tylu ludzi się na nią gapiło, i nie temu rabinowi, który z pewnością zna Miriam i oplotkuje w całej gminie jej otyłą siostrę.

Otworzyła usta, chcąc powiedzieć, że nie potrzebuje pomocy. Tymczasem jednak tylko jęknęła i chwyciła rabina za ramię, żeby się nie przewrócić.

Rabin zrozumiał, że wziął sobie na głowę kłopot. Najlepiej byłoby przekazać Roksanę jednej z irańskich grup samopomocy działających w Los Angeles albo wysłać ją do schroniska dla bezdomnych. W normalnych okolicznościach tak by uczynił, lecz na nieszczęście obserwowała go rzesza Irańczyków, przed którymi pragnął zachować autorytet. Delikatnie uwolnił się z uścisku Roksanę, westchnął i uzbroił się w cierpliwość.

- Proszę tu zostać - rzekł. - Zobaczę, co da się zrobić.

Zostawił Roksanę na chodniku i wszedł do najbliższego sklepu, żeby skorzystać z telefonu. Był to sklepik z odzieżą jak wszystkie tutaj, zapchany od podłogi po sufit wieszakami, na których smętnie wisiały tanie ciuchy. Właściciel ochoczo udostępnił telefon.

- O ile tylko rabin nie zechce ode mnie datku - zastrzegł się pół żartem, pół serio.

Rabin tkwił przy telefonie dosyć długo. Dzwonił w różne miejsca, co jakiś czas odkładał słuchawkę, żeby naradzić się z otaczającymi go mężczyznami, a potem znów zaczynał wertować swój notes. Żona właściciela sklepu, wyblakła kobiecina cierpiąca na

żyłaki, przyniosła Roksanie szklankę syropu z kwiatu pomarańczy zmieszanego z wodą różaną. Roksana podziękowała ze spuszczoną głową, ale nie wypila. Kobieta zrobiła urażoną minę.

- Mam kłopoty z przełykaniem - wyjaśniła Roksana.

Kobieta podreptała do baru naprzeciwko i przyniosła słomkę. Wetknęła ją do szklanki.

- Proszę - powiedziała. - Tak powinno być łatwiej.

Rabin zadowolony wyłonił się ze sklepu, wpychając notes do kieszeni.

- Rozmawiałem z rzeźnikiem marketu Tel Aviv - mówił do mężczyzny, który pełnił przy nim rolę samozwańczego adiutanta.

- Tym szpetnym?

- Tak, tym szpetnym. Jego brat ma aptekę przy Shenandoah Avenue. Jest tam pokój na piętrze, który może udostępnić na parę dni. Właściwie to składzik bez łazienki i pieca, ma tylko zlew z bieżącą wodą. Ale lepsze to, niż gdyby miała spać na ulicy.

Młody, siedemnastoletni Irańczyk podjechał pod sklep furgonetką.

- Wsadzimy panią na pakę - tłumaczył rabin - i zawieziemy do pokoju, który dla pani znalazłem. Może dostanie pani tam też pracę - znów przyjrzał się jej sceptycznie - jeśli będzie się pani czuła na siłach.

Roksana siadła z tyłu, rabin obok kierowcy, i ruszyli.

Po dwudziestu minutach rabin wysiadł przed sklepem Tel Aviv. Właściciel, Irańczyk w barwnym kaszmirowym swetrze, przywitał go w progu. W takich samych swetrach przez okrągły rok występował w telewizyjnym serialu Bill Cosby jako lekarz obdarzony przez los piątką dzieci i domem, w którym zawsze jest czysto, choć nikt nigdy w nim nie sprząta. Właściciel sklepu był w Iranie nędzarzem. W Ameryce dorobiwszy się pieniędzy, nosił się z wystudiowaną nonszalancją, usiłując dać wszystkim do zrozumienia, że podobnie jak Bill Cosby opuścił łono matki w swetrze z łbem tygrysa za czterysta dolarów.

Kilka minut później rabin wyszedł ze sklepu w towarzystwie potężnego łysego mężczyzny w zakrwawionym rzeźniczym fartuchu, który gadając bez przerwy, wdrapał się do kabiny i obrócił, by spojrzeć na Roksane.

- To ona?

Miał jedno ślepe, w dwóch trzecich zamknięte oko, bliznę na policzku, zajęczką wargę i palce pozbawione paznokci.

- Źle wygląda. - Kiwnął głową i wyszczerzył zęby, jakby Roksana była głucha i nie słyszała, co przed chwilą powiedział. Następnie podał kierowcy instrukcje: - Dziewięć

przecznic w dół. Nie możesz skrócić w lewo, dopiero na światłach, ale bez problemu dojedziesz od tyłu. Budynek przypomina wieżyczkę, jest wysoki i wąski, a na przedzie wisi żółty szyld z napisem "Apteka". Mój brat nie potrafił wymyślić dla niej nazwy. Nie ma biedak zbyt bujnej wyobraźni. Jedyne, czego się w życiu nauczył, to czytać książki i mieszać proszki.

Rzeźnik obejrzał się i jeszcze raz rzucił okiem na Roksanę.

- Sapie jak wieloryb - stwierdził, nie siląc się na delikatność.

Furgonetka zatrzymała się na rogu Shenandoah Avenue. Rzeźnik wprowadził rabina do wnętrza smętnej, ongiś białej wieżyczki. Młody Irańczyk pozostał za kierownicą.

Aptekarz był chudy, skrzywiony i równie małomówny, jak jego brat - gadatliwy. Obszedł furgonetkę i zmierzył Roksanę wzrokiem.

- Jest pan pewny, że niedługo znajdzie sobie inne lokum? - zwrócił się do rabina.

- Sam ci to gwarantuję - wtrącił się rzeźnik. - Jeszcze dziś załatwię jej pracę w Tel Avivie. Masz na to moje słowo.

Aptekarz udał, że go nie słyszy. Spojrzał na rabina.

- Dwa tygodnie - powiedział. - I chcę mieć na to p a ń s k i e słowo.

Gwatemalczyki i Salwadorczyki pracujący w sklepie Tel Aviv nie umieliby powiedzieć jednego poprawnego zdania po angielsku, lecz za to dość płynnie posługiwali się językiem perskim z żydowskimi akcentami różnych prowincji. Ostatecznie co dzień spierali się ze starymi Iranami na temat jakości krzyżowej wołowiny, którą ukroił im rzeźnik, albo tego, kto zawinił, że wkładane do samochodu jajka wypadły i potłukły się na butach klientki. Kiedy Roksana zaczęła z nimi pakować artykuły spożywcze na stojąco przez dwanaście godzin dziennie, Latynosi, uznawszy ją za swoją rodaczkę, zagadywali do niej po hiszpańsku. Gdy nie odpowiadała, próbowali po persku, a nawet łamaną angielszczyzną. Spoglądała na nich bez słowa i zaraz spuszczała wzrok. Po jakimś czasie wszyscy doszli do wniosku, że ma nie po kolei w głowie albo jest po prostu przygłucha. Pozostawili ją więc w spokoju.

Pracowała w sklepie przez tydzień dostając trzy dolary za godzinę. Najbardziej - oprócz tego, że umrze we śnie - bała się, że któraś klientka rozpozna ją z dawnych czasów.

Obudziwszy się ósmego ranka stwierdziła, że nie może się poruszyć.

Aptekarz spodziewał się, że Roksana zejdzie na dół i uda się do pracy. Gdy przez cały dzień się nie pokazała, uświadomił sobie, że ma poważny kłopot. O siódmej wieczorem wdrapał się na piętro.

- Nic pani nie jest? - ryknął zza drzwi. - Nie była pani dzisiaj w pracy!

Roksana próbowała usiąść, lecz bezskutecznie. Odkrzyknęła, że wszystko w porządku.

Nazajutrz rano aptekarz znów zapukał do drzwi. Posłyszał tylko chrapliwy oddech i skrzypienie stropu pod ciężarem Roksany. Zszedł na dół i zadzwonił do rabina.

- Ta kobieta, którą pan przywiózł, umrze mi na rękach - rzekł przestraszony.

Rabin jechał właśnie na pogrzeb irańskiego chłopca, zastrzelonego przez członków gangu w Westwood. Obiecał, że pojawi się najszybciej, jak zdoła.

- Tymczasem niech pańska żona ją nakarmi, żeby nie umarła z głodu.

Roksana leżała na materacu i była znacznie cięższa niż dwa dni temu. Oczy miała otwarte, lecz nieruchome, i nie odpowiadała na pytania.

Aptekarz chciał się zwrócić do władz miasta, by zabrały Roksanę z budynku. Rabin upierał się, że najpierw się porozumie z różnymi irańskimi instytucjami dobroczynnymi i jeśli zdoła, zapewni jej pomoc bez uciekania się do bezdusznych urzędników, którzy - co do tego obaj byli zgodni - położą ją gdzieś i pozwolą jej umrzeć. Przez dwa dni rabin naradzał się ze starszymi gminy. Na trzeci dzień rano aptekarz położył kres jego rozterkom.

W środę o dziewiątej zadzwonił do rabina.

- Byli dziś u mnie ludzie z wydziału budownictwa - powiedział. - Dom odchyła się od pionu, i to akurat w tę stronę, po której od paru dni leży pańska przyjaciółka. Wcale mnie to nie dziwi. Jest taka wielka, że mogłaby przesunąć Empire State Building. Jak się okazuje, dom stanowi zagrożenie dla mieszkańców, bo może się zawalić prosto na samochody jadące po Pico Boulevard. Miasto zamierza go rozebrać, a ja, psiakrew, nie mam ubezpieczenia.

Zanim rabin dotarł na Shenandoah Avenue, apteka była już zamknięta. Właściciel stał na chodniku z taką miną, jakby przed chwilą pochował własne dziecko. Jego brat rzeźnik zaparkował przed budynkiem swój nowy samochód i z szerokim uśmiechem krążył wokół niego w podskokach, ścierając rękawem pyłki z błyszczącego lakieru.

Na piętrze rabin zastał trzech inspektorów budowlanych. Zastanawiali się, jak przetransportować Roksanę nie zwiększając ryzyka, że budynek się zawali. W ciągu ostatnich paru dni tak napuchła, że nie mieściła się już w drzwiach. Ponieważ rozbiórka ściany domu o niepewnych fundamentach nie wchodziła w grę, postanowili wyciąć duży otwór w ścianie okiennej i przenieść chorą za pomocą dźwigu.

Rabin podszedł do posłania Roksany. Leżała na wznak, w szeroko otwartych oczach malował się strach i smutek. Bez ustanku sączyła się z nich żółtawa ciecz.

- Proszę mi powiedzieć, czy jest na tym świecie ktoś, do kogo mogłaby się pani zwrócić o pomoc?

W obrzmiałej twarzy nie drgnął nawet mięsień. Na podłodze rabin zauważył niewielką ortalionową torbę.

- Już ją przeszukaliśmy. -Jeden z mężczyzn pochwyił w lot jego myśli. - Jest tam kartka zapisana jakimś obcym alfabetem. Może pan potrafi ją odczytać.

Rabin oczywiście rozpoznał na kartce nazwiska Miriam i Rochelle. Zawahał się na moment, zastanawiając się, czy powinien do nich zadzwonić. Chętnie by odkrył, co łączy Roksanę z tymi kobietami. W starym kraju nie wahałby się ani przez chwilę, ale tu, w Ameryce, było coś takiego jak prawna odpowiedzialność za czyny człowieka, jakkolwiek altruistyczne i podejmowane w najlepszej wierze. Jeśli Roksana umrze, mąż Rochelle bez mrugnięcia okiem pozwie go do sądu za to, że wcześniej nie zawiózł chorej do szpitala lub nie zwrócił się do odpowiednich władz.

Wetknął kartkę z powrotem do torby Roksany i rzekł:

- Dla mnie to też chińszczyzna.

Tej nocy Roksana po raz pierwszy od dwunastu lat błagała Boga o pomoc. W kółko powtarzała Szma - modlitwę, którą matka nauczyła ją odmawiać przed snem. Dowodem jej dziwnego, pokrętnego szczęścia może być nie tylko to, że modlitwa została wysłuchana, lecz i to, że sprowadziła do jej drzwi osobę, która rozpętała całą tę historię.

\*

Księżycowa Miriam jechała taksówką do marketu Tel Aviv. Zamierzała zdążyć przed porannym szczytem, kiedy klientki tłoczą się i wrzeszczą na Afgańczyka obsługującego stoisko warzywne, że jarzyny są zwiędłe, a owoce za drogie. Ponieważ sklep otwierano o siódmej, zamówiła taksówkę na szóstą trzydzieści, obliczywszy, że dotrze na miejsce za dziesięć siódma i jako jedna z pierwszych będzie mogła spokojnie zrobić zakupy mając jeszcze jaki taki wybór.

Na drugim rogu Wilshire Boulevard spostrzegła kobietę - najwidoczniej Irankę i prawdopodobnie też Żydówkę, bo miała na twarzy tę charakterystyczną minę zbolalej ofiary. Czekala na autobus. Obok ławki spoczywały dwie puste torby na zakupy. Miriam kazała kierowcy się zatrzymać.

- Jadę do Tel Avivu! - zawołała, wystawiając głowę przez okno. - Możemy panią zabrać.

Rozłożysta w biodrach i wyraźnie cierpiąca z powodu spuchniętych stawów kobieta długo zbierała się z ławki. Upuściła torby raz, potem drugi, a nim pokonała szerokość chodnika dzielącego ją od taksówki, już nie mogła złapać tchu. Kierowca i Miriam wysiedli, żeby jej pomóc.



- Dziękuję - Kobieta sapała tak głośno, jakby za chwilę miała zemdleć. - Od piątej rano czekam na autobus. Owszem, jeżdżą w tę i z powrotem, ludzie wsiadają i wysiadają, a ja tu sterczę jak głupia. Nie wiem, gdzie który jedzie, a nie mam kogo zapytać, bo wszyscy to albo Hiszpańczycy, albo cudzoziemcy.

Miriam uśmiechnęła się, słysząc użyty przez kobietę ceremonialny termin "cudzoziemcy", stosowany kiedyś w Iranie na określenie ludzi cywilizacji zachodniej. Arabowie, Turcy czy Pakistańczycy stanowili odrębne narody. Reszta - mieszkańcy Europy, Ameryki, nawet Australii - była "cudzoziemcami". Nawet dziś w Los Angeles ludzie z pokolenia Miriam nazywali tak osiadłych tu od pokoleń Amerykanów.

- Synowie by się wściekli, gdyby o tym wiedzieli - sapała kobieta siadając z tyłu i szeroko rozstawiając nogi, jakby chciała ułatwić dopływ powietrza również tą drogą do niewydolnych płuc. - Mam trzech synów. I ani jednej córki. To dobrzy chłopcy, ale ich żony mają tylko jakieś nowoczesne fiu bździi w tych farbowanych na żółto głowach. Zamknęli mnie na siódmym piętrze, tak wysoko, że ciągle mi się kręci w głowie, a kiedy się skarżę, że nie chcę mieszkać w wieżowcu, mówią, że powinnam być wdzięczna losowi, bo cały świat usiłuje się wdrapać jak najwyżej. Ja na to, że nie mogę wyglądać przez okno, bo robi mi się niedobrze, no to uznali, że nie powinnam wychodzić na ulicę, bo jeszcze się przewrócę i coś sobie złamię. Raz w tygodniu zabierają mnie do siebie na szabat. A przez sześć dni siedzę sama jak ten kołek i czekam, czy może któryś wpadnie i zabierze mnie samochodem. W końcu dziś pomyślałam, że wybiorę się sama. Mam szczęście, że na panią trafiłam. - Kobieta urwała, nabrała tchu i przyjrzała się Miriam. - A tak w ogóle, to z której prowincji pani pochodzi? - spytała.

Na Beverly Glen zdążyła opowiedzieć Miriam swe przeżycia związane z podróżą z małego miasteczka w południowym Iranie do wielkiej Ameryki. Następnie zaczęła mówić o kimś innym, kto niedawno przybył do Los Angeles.

Miriam skalkulowała, że znajdą się pod sklepem mniej więcej za pięć minut, i uświadomiła sobie, że współpasażerka nie ma ani dość taktu, ani obycia, by pokryć część kosztów przejazdu. Ponieważ zasady irańskiej etykiety nie pozwalały Miriam upomnieć się o pieniądze, otworzyła portmonetkę i zaczęła odliczać dziesięć jednodolarowych banknotów.

Kobieta wskazywała budynek po prawej stronie ulicy, starając się wywrzeć na Miriam wrażenie jakąś mocno dramatyczną historią.

- Ponad trzysta funtów, uwierzy pani? I z tego, co mówią, to wszystko woda. Poci się słoną wodą, tak że rano pod łóżkiem jest kałuża. Istny kaszalot!

Zatrzymali się przed Tel Avivem za pięć siódma. Kilka starszych kobiet, głównie

imigrantek z Europy Wschodniej, które mieszkały w okolicy, już czekało przed wejściem. Taksówkarz przeliczył pieniądze, zorientował się, że nie dostał napiwku, toteż nie spieszył się pomóc cięższej pasażerce. Tej zaś było wygodnie i też nie spieszyła się z wysiadaniem.

Najgorsze jest to, wie pani - trajkotała - że nie chce nikomu powiedzieć, skąd jest ani z jakiej rodziny. No to kto ma jej pomóc?

Coś w tym stwierdzeniu przykuło uwagę Miriam. Zatrzymała się i nastawiła uszu.

- Syn by na mnie krzychał, gdyby wiedział, że roznoszę plotki, ale wyczuwam w pani przyjaciółkę, chociaż prawie się nie znamy, więc pani mogę powiedzieć - sapała kobieta, kiedy Miriam pomagała jej wysiąść z taksówki. - Mój syn mówi, że ona prawdopodobnie się ukrywa przed policją. Albo przed zazdrosnym mężem, który chce ją zabić.

Miriam zaczekała wraz z kobietą do otwarcia sklepu. Weszła nawet do środka i przywitała się z młodym mężczyzną w swetrze a la Bill Cosby. Potem wróciła dziewięć przecznic do walącej się apteki.

Fronton budynku był zabity deskami, ale można się było dostać do środka tylnym wejściem. Wspinając się po schodach Miriam czuła, że cały budynek drży w takt ciężkiego, powolnego oddechu. Schody trzeszczały, ugiwały się pod stopami i przez chwilę Miriam miała ochotę uciec w obawie o własną skórę.

Lecz w połowie schodów poczuła zapach wilgotnego morskiego powietrza, upalnych snów, chłodnych nocy i bardzo dawnych wspomnień. Znała go od dzieciństwa, zapamiętała w latach, gdy sypiała obok Roksany na podłodze i nieraz budził ją łopot skrzydeł siostry na wietrze. Ten sam zapach unosił się w domu Timura w pierwszych miesiącach po ślubie Roksany i Zohraba; to on przyprawił Miriam o dreszcz emocji, gdy weszła do pokoju Roksany w Stambule i spojrzała w jej zmęczone, postarzałe oczy. Nim więc jeszcze Miriam złapała za klamkę i otworzyła drzwi wiodące na stryszek, była już na sto procent pewna, że znalazła siostrę.

W pokoju było ciemno. Zobaczyła cień w przeciwległym kącie. Rzęzenie ucichło i po chwili znów dało się słyszeć.

- To ja - szepnęła Miriam bardziej po to, by opanować własny strach, niż po to, żeby uprzedzić Roksane. - Nie bój się.

Ruszyła w stronę cienia, okrążyła go, znalazła głowę. Z gigantycznej, obrzmiałej twarzy patrzyły na nią dwie wąskie szparki. Skórę Roksany pokrywał skroplony pot, z oczu ciekł jej nie schnący strumień łez. Kiedy ujrzała Miriam, zamknęła je.

Miriam podeszła do okna. Chciała je otworzyć, ale było zepsute. Wróciła i uklękła

przy łóżku.

- Co się stało? - spytała głosem łamiącym się ze wzruszenia. - Co ci się stało?

Roksana nie odpowiedziała.

Miriam przyglądała jej się przez chwilę. Potem opuściła pokój i zeszła do wyjścia. Odszukała budkę telefoniczną. Zadzwoiła do Zuzanny, Rochelle, Bryana i do jego żony.

- Bądź tu za piętnaście minut - powtarzała każdemu. - Znalazłam Roksanę. Umrze, jeśli jej nie pomożemy.

\*

Choć Miriam podkreślała, że sprawa jest pilna, Rochelle pojawiła się na arenie wydarzeń dopiero po pięciu godzinach. Najpierw usiłowała się dobudzić po spędzonej na przyjęciu nocy; przykładła do twarzy i oczu na przemian gorące i zimne kompresy, paliła papierosy, a potem spryskiwała się perfumami, żeby nie czuć tytoniu. Na szczęście mąż wyszedł wcześniej. Rzekomo miał spotkanie w interesach, ale Rochelle była pewna, że umówił się z kobietą. Tak czy owak, nie było go, kiedy zadzwoniła Miriam. Tym lepiej; nie lubił Miriam i nikogo z rodziny Rochelle. Często mawiał, że wcale nie wyjechali z getta, tylko przenieśli je ze sobą do Ameryki. Nazywał ich bandą wariatów, której jedynym celem jest roztrwonienie każdego zarobionego przez niego centa. Rochelle nieraz w duchu przyznawała mu rację.

Nie byłby więc uszczęśliwiony, odbierając dziś rano telefon od Miriam, i nie zachwycałaby go wieść o obecności Roksany w Los Angeles. "Jeszcze jeden darmozjad - pewnie tak by powiedział. - Skoro Miriam ją znalazła, niech Miriam ją utrzymuje."

Rochelle kochała swoje rodzeństwo i robiła, co mogła, żeby im pomóc. Bóg świadkiem, że zawsze dofinansowywała Zuzannę albo zapraszała do siebie żonę Bryana, choć tej kobiety nic z nimi nie łączyło i nawet nie próbowała się zżyć z resztą rodziny. Ale Roksana w gruncie rzeczy była dla niej obca. Nie zdążyła jej dobrze poznać w dzieciństwie i nie potrafiła tak z chwili na chwilę wykrzesać w sobie poczucia więzi z tą nieznaną osobą. Ba, dostatecznie trudno było przywyknąć do myśli, że Roksana żyje, kiedy kilka miesięcy temu Miriam otrzymała wieści, że ponoć widziano ją w Stambule. Na dowód swej dobrej woli Rochelle przez tydzień urabiała męża, aż zgodził się pokryć koszt przelotu Roksany do Stanów. W ostatniej chwili, gdy Miriam już miała wyjeżdżać, wysłał Rochelle wraz z nią.

- Pewnie ma nową kochankę i chce z nią zostać sam - skomentowała to Miriam nie troszcząc się o uczucia Rochelle.

Zatrzymały się w stambulskim Sheratonie, bo Miriam powiedziała, że nie będzie mieszkać w pięciogwiazdkowym hotelu, choć Rochelle chciała za niego zapłacić. "Marnotrawstwo jest marnotrawstwem - syczała - obojętne, kto się go dopuszcza." Cała ta podróż okazała się jednym wielkim koszmarem. Rochelle do dziś nie mogła go zapomnieć. Pierwszego dnia pojechały taksówką do Kumkapi, wysiadły przed domem Roksany, ale nie odważyły się tam wejść. Wróciły do hotelu i spędziły w nim bezsenłą noc. Nazajutrz rano posprzeczały się o kwestie taktyczne: Miriam chciała wejść do budynku, zaczepić kogoś z lokatorów, podać rysopis Roksany, ustalić numer jej mieszkania i zapukać do drzwi. Rochelle była pewna, że lokatorzy najpierw je obrabują i zgwałcą, nim odpowiedzą na jakiegokolwiek pytanie. Oczywiście jak zawsze Miriam postawiła na swoim.

A potem - po dwunastu latach oczekiwania, po tej upiornej podróży, po całym tym strachu - Roksana w ogóle nie chciała z nimi gadać. Odeszły jak niepyszne.

Dlatego siedząc pod fluorescencyjną lampą przed specjalnym, czterokrotnie powiększającym lustrem do makijażu, Rochelle bardzo poważnie się zastanawiała, czy to aby mądre - znów biec Roksanie na pomoc.

O dziesiątej pokojówka przyniosła jej kawę i pastylki. Kawa zdążyła wystygnąć, zanim Rochelle się uczesała, umalowała i zdecydowała, co ma włożyć. Miriam podała jej adres w jakichś slumsach; Rochelle wolałaby paść trupem, niż zostać przyłapaną na zakupach w Tel Aviwie (wyrwana telefonem ze snu palnęła odruchowo, że zakupy robi wyłącznie u Gelsona w Century City). Zapakowała do torebki fiolkę xanaxu i wsiadła do samochodu zastanawiając się, do ilu znajomych dotarła już wieść, że marnotrawna siostra Rochelle objawiła się w Los Angeles, i jakie wykręty będzie musiała zmyślić tylko po to, żeby zachować twarz. Czuła, że czeka ją mnóstwo nieprzyjemności, a wcale nie była przekonana, czy Roksana jest warta aż takiego kłopotu.

Zbiegowisko było widać z odległości trzech przecznic. Starszawe Iraniki posepnie kiwały głowami, jakby przyglądały się miejscu katastrofy kolejowej. Przed apteką stał samochód straży pożarnej, za nim dwa radiowozy, karetka pogotowia i ciężarówka z płaską platformą. Parkowało tam również nowe żółte ferrari Bryana, przedpotopowy transam Zuzanny i mnóstwo innych aut, których Rochelle nie rozpoznawała.

Zostawiła bentleya w bocznej uliczce za olbrzymim pojemnikiem na śmieci, nałożyła okulary przeciwsłoneczne w stylu lackie Onassis i podniosła kołnierz wartego dziesięć tysięcy dolarów futra z szynszyli, kupionego w zeszłym roku w Kanadzie (oczywiście latem, kiedy rynek futer zamiera i sprzedawcy gotowi są znacznie opuścić cenę). Potem wysiadła z

samochodu i podeszła z taką miną, jakby nie miała z tym wszystkim absolutnie nic wspólnego.

Miriam zawzięcie klóciła się ze zdenerwowanym rabinem.

- Kto mi zagwarantuje, że ci ludzie wiedzą, co robią? - wołała. - A w ogóle kto wam dał zgodę, żeby przemieszczać ją w ten sposób?

Rochelle wypatrzyła w tłumie Zuzannę i podeszła do niej. Szybko ucałowała siostrę w oba policzki, rozejrzała się, czy nikt nie słucha, i szepnęła:

- Skąd wiadomo, że to ona?

Rozgoryczona przeciwnościami losu i wiecznymi kłopotami finansowymi i rodzinnymi, a ponadto zmęczona i zmarznięta Zuzanna nie była w nastroju, żeby znosić wygłupy Rochelle. Popatrzyła na siostrę bez słowa, a po chwili przesunęła się, robiąc miejsce dla Bryana.

Rochelle czuła, że powinna się usprawiedliwić.

- Nie jestem niełojalna, chcę tylko zadać to jedno proste pytanie - powiedziała skwapliwie do Bryana. - Chcę mianowicie wiedzieć, czy ktokolwiek się upewnił, że to rzeczywiście Roksana, zanim rozbijemy to po całej kuli ziemskiej.

Bryan obrócił na palcu kluczyki do ferrari i zachichotał. Odkąd przeżył kryzys wieku średniego i zaczął chodzić do psychoterapeuty, nabrał zwyczaju chichotania w najmniej odpowiednich momentach i mówienia, że wszystko samo się ułoży. Ów stosunek do życia, w najwyższym stopniu irytujący, sprawiał zarazem, iż w sytuacjach kryzysowych Bryan nie nadawał się do niczego.

Księżycowa Miriam właśnie groziła rabinowi sądem.

- A jeśli się przestraszy? - jazgotała, przekrzykując panujący wokół hałas. - Jeśli w powietrzu dostanie ataku serca? Twierdzi pan, że jest gotów wziąć za to moralną i prawną odpowiedzialność?

Bryan zauważył śmiertelną zgrozę Rochelle i znów zachichotał.

- Zdaje się, że nasza siostra nie mieści się w drzwiach - wyjaśnił, wielkodusznie wybacząc Rochelle, że nie było jej przez całe rano. - A muszą ją stamtąd wydostać, bo budynek idzie do rozbiórki. Wybili więc otwór w ścianie, a teraz chcą podczepić Roksane do dźwigu i w ten sposób opuścić ją na ulicę.

Rochelle pobladła tak bardzo, jakby lada chwila miała się osunąć zemdlna na jezdnię w swoim futrze z szynszyli.

- Dźwig? Jaki dźwig?

Nie musiała pytać. Przedmiot jej obaw stał tuż przed nią. Rochelle jęknęła ze zgrozy

na widok maszyny używanej do przenoszenia ciężkich ładunków. Z haka zwisały prowizoryczne nosze z mocnymi skórzanymi pasami, dostatecznie szerokie, by pomieścić trzy normalne osoby. Dźwig miał przenieść je wraz z zawartością na platformę stojącej nieopodal ciężarówki.

Żeby chociaż ratowali ją jakoś zwyczajnie, pomyślała z rozpaczą Rochelle. Karetka pogotowia... Gdzie tam! Teściowa Józefiny do końca życia będzie się z niej natrzasać.

- Widziałam ją zaledwie parę miesięcy temu - jęknęła. - Była drobna i chuda. Wyglądała fatalnie, to prawda, ale była chuda!

Bryan pokiwał głową, lecz nie podjął się wyjaśnienia zdumiewającej metamorfozy Roksany. Stali obok siebie patrząc, jak Miriam wyklóca się z rabinem.

- Czy ktokolwiek dzwonił do Lili? - nie wytrzymała Rochelle.

Bryan wzruszył tylko ramionami.

- A czy ktokolwiek zamierza do niej zadzwonić? - nie ustępowała.

- Wszystko w swoim czasie - zachichotał Bryan.

- Co to znaczy "w swoim czasie"? - Rochelle wpadła w furję. - Czy wyście tu wszyscy powariowali?

Bryan nie patrzył na nią. Podniosła głowę w ślad za jego wzrokiem. Na kremowym, przedwieczornym niebie pojawił się dziwny ciemny obiekt. Rochelle sapnęła z przerażenia, zdjęła okulary przeciwsłoneczne i zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Pożółkłe prześcieradła łopotały na wietrze jak burty olbrzymiego namiotu. Pod nimi leżała na brzuchu Roksana z głową obróconą na bok i rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała. Dźwig opuszczał ją powoli do świata niczym jeden wielki zły omen.

Sanitariusze wsiedli z noszami na ciężarówkę. Miriam chciała jechać z nimi, lecz zirytowany rabin kazał jej się cofnąć, bo przeszkadza w akcji ratowniczej. Pojechała więc przodem z Bryanem. Rochelle przyglądała się z niedowierzaniem ruszającej ulicami Los Angeles kawalkadzie: udający nastolatka facet w średnim wieku wiózł w ferrari starą babę w chustce na głowie i męskiej marynarce. Za nimi jechał wóz strażacki i wielka ciężarówka wioząca na platformie olbrzymie nieme monstrum, dalej Zuzanna w zardzewiałym gruchocie, który kupiła z drugiej ręki dwanaście lat temu i ledwie mogła utrzymać z pensji manikiurzystki (plus to, co dawał jej Bryan pod koniec każdego miesiąca). Rochelle pojechała ostatnia, cierpiąc na straszliwą migrenę, i po drodze zatrzymywała się dwukrotnie, żeby kupić sobie kawę w automacie, wypalić papierosa i łyknąć xanax. Pomimo to kiedy dotarła pod dom Miriam, ciężarówka parkowała dopiero przy krawężniku.

Pozostała w samochodzie, patrząc na rozgrywające się przed jej oczyma

przedstawienie. Miriam wysiadła z ferrari i wprowadziła strażaków do domu. Bryan skinieniem wezwał swego majstra, który już czekał pod domem z narzędziami, gotów zdjąć każde drzwi lub wymontować okno (Bryan płacił mu potrójną stawkę, jeśli wzywał go poza godzinami pracy). Pan Karol stał w drzwiach, narzekając, że płoszą mu ptaki, i w ogóle nie wnikając w przyczynę nagłego najazdu na dom.

Na platformie leżała nieruchomo Roksana.

- I tak będziesz musiała do niej podejść. - Zuzanna wetknęła głowę w okno samochodu, przygotowując Rochelle o palpitacje. - Wcześniej czy później. Nie lepiej mieć to od razu z głowy? - Uśmiechnęła się widząc jej zdenerwowanie.

To prawda, pomyślała Rochelle. Roksana jest wśród nich; Miriam zwała ją na głowy całej rodziny. I czy się to Rochelle podobało, czy nie, musiała spojrzeć Roksanie w twarz, nieść jej pomoc i cierpieć razem z nią.

Westchnęła i oparła czoło na kierownicy.

- Nie rozumiem, dlaczego nas to spotyka - poskarżyła się. - To niesprawiedliwe. Do tego ona nawet nie chce od nas pomocy!

Zuzanna otworzyła drzwi i pomogła jej wysiąść.

- Daj spokój - powiedziała, podtrzymując za ramię chwiejącą się na nogach Rochelle. - Nie mogliśmy przecież pozwolić jej umrzeć samotnie w tej aptece.

Trzymając się za ręce i wspierając nawzajem, ruszyły w stronę ciężarówki. Uśmiechnęły się niepewnie do sanitariusza, który pozostał z Roksana, i podeszły z boku, skąd było lepiej widać. Zobaczyły górę ciała i wody, poruszaną powolnym, wysiłonym oddechem, milczącą jak trup i wyzutą z jakichkolwiek emocji.

Rochelle podeszła tak blisko, jak się tylko dało. Tak, to była Roksana - nieruchoma, zbuntowana i jak zawsze denerwująca.

- Cieszę się, że cię widzę - wybąkała Rochelle i zalała się łzami.

\*

Mercedez Gwiazda Filmowa weszła do mojego pokoju i przyniosła mi martini z wódką. Była czwarta po południu. Cały dzień spędziłam w łóżku. Nie spałam, ale wyjście z niego, by stawić czoło życiu, przerastało moje siły.

- Dzwoniła twoja ciotka Rochelle - powiedziała Mercedez, stukając kieliszkiem w mój kieliszek.

Nigdy dotąd nie lubiłam alkoholu. W ciągu ostatnich paru miesięcy wypijałam wszystko, co naląła mi Mercedez. Nie chodziło mi o smak, tylko o powodowane przez

alkohol otępienie, poczucie "niebycia" , nieistnienia, które mnie ogarniało, jeśli wypiałam dostatecznie dużo.

- Wypij - ponagliła mnie Mercedes, przelękając własnego drinka. - Będiesz chyba musiała golnąć jeszcze parę, zanim ten dzień się skończy.

Pojechałam więc do Miriam czarnym jaguarem prowadzonym przez szofera, który wyglądał jak Harrison Ford i na sam widok jego uśmiechu moje ciotki mdlały. Pojechałam, bo nie miałam wyboru, bo wcześniej czy później i tak musiałabym ustąpić przed połączonymi siłami Miriam i reszty ciotek - i dlatego że tym razem zachęciła mnie Mercedes. Pojechałam wtedy i od tamtej pory jeździłam codziennie. Przez prawie dwa miesiące Harrison Ford woził mnie do Miriam rano i odbierał późnym wieczorem. Nadal jednak nie wiem o Roksanie nic oprócz tego, co widzę na własne oczy.

Z początku tylko siedziałam na krześle przy stoliku z zielonym flakonem. Przez cały tydzień słuchałam, jak ciotki mówią, że stan Roksany jest zły i ciągle się pogarsza, oraz dyskutują, co jeszcze można dla niej zrobić. Po domu bez przerwy kręcił się personel medyczny i członkowie rodziny od Kalifornii aż po Chicago i Nowy Jork. Rochelle biadała, że tym razem mąż już na pewno się z nią rozwiedzie. Kochanka Bryana nagle przestała nalegać, żeby rzucił żonę i wziął z nią ślub.

Patrzyłam i słuchałam. Nie wtrącałam się. Jednego absolutnie nie byłam w stanie zrobić - pójść do pokoju w końcu korytarza, otworzyć drzwi i spojrzeć na moją matkę.

Ciotki próbowały mnie do tego zmusić, po czym wycofywały się spłoszone, szepcząc po kątach, co by się mogło zdarzyć, jeśli będą mnie za mocno naciskać. Już raz je zaskoczyłam próbą samobójstwa, choć oczywiście teraz, z perspektywy czasu, to wcale nie takie dziwne; można się było spodziewać, że po tak przykrych przejściach Lili targnie się na własne życie...

- Zaczekaj, aż będziesz gotowa - uspokoiła mnie Miriam. - Po prostu najpierw spróbuj się przyzwyczaić do tej myśli.

Ciotki omijały mnie więc z daleka, zajęte beznadziejnym wysiłkiem, by odkryć przyczynę choroby swojej siostry i znaleźć na nią lekarstwo. Na razie lekarz kazał podłączyć Roksane do kroplówki, lecz wciąż podtykały jej kaski jedzenia, których nie chciała brać do ust. Ponieważ przeniesienie chorej gdziekolwiek nie wchodziło w grę, ciotki poruszyły niebo i ziemię, by zapewnić jej opiekę na miejscu. Wzywały najlepszych lekarzy, diagnostów, pielęgniarki. Codziennie przez pokój Roksany przewijał się pochód specjalistów, którzy stawiali jedną diagnozę po drugiej, stosowali różne i często sprzeczne ze sobą kuracje -



równie drastyczne, jak bezskuteczne. Ona zaś milczała i puchła dalej. Ani razu o mnie nie zapytała. Wiem, bo tam byłam i nasłuchiwałam.

Ciotki starały się jakoś do niej dotrzeć, przełamać ten mur milczenia. Siadały przy jej łóżku, wypytywały ją, a nie doczekawszy się odpowiedzi, same relacjonowały jej swoje losy na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Przyprawiały dzieci i wnuki, kazały nawet Panu Karolowi pokazać Roksanie wszystkie swoje ptaszki, w nadziei że wreszcie zareaguje. Pod koniec trzeciego tygodnia była o wiele cięższa, a jej głośny oddech doprowadzał do szału wszystkie psy na całej ulicy.

Któregoś wieczoru moje ciotki wyszły wcześniej niż zwykle, a Harrison Ford zadzwonił, że wiezie Mercedez na jakąś premierę w śródmieściu i odbierze mnie dopiero tuż przed północą. Nagle znalazłam się w domu sama z Miriam i Panem Karolem.

I z Roksana.

Pan Karol poszedł usypiać swoje ptaki, a Miriam zniknęła w sypialni zamykając za sobą drzwi. Wiedziałam, że celowo zostawia mnie samą, daje mi szansę, bym zajrzała do Roksany bez świadków. Siedziałam jeszcze przez jakiś czas w saloniku, zastanawiając się, czy rzeczywiście odważę się spojrzeć w oczy istocie, o której wszyscy mówili, że jest moją matką, choć nie była mi bliska ani nawet znajoma. Siedziałam tak długo, że zwątpiłam, iż w ogóle zdołam się podnieść. Potem wstałam.

Miriam zostawiła światło w korytarzu, widziałam więc mój własny cień zbliżający się do drzwi pokoju Roksany. Powietrze wibrowało od jej rżenia. Drzwi były uchylone. Pchnęłam je i weszłam do środka.

Z progu widziałam tylko potężny zwał, słonia leżącego na wznak pod prześcieradłem. Była taka inna, taka niepodobna do Roksany, którą kiedyś znałam, że nie bałam się podejść bliżej. Chyba wyczuła moją obecność, bo na sekundę przestała oddychać, a kiedy znów zaczęła, oddech był szybszy i bardziej urywany - może to ona poczuła strach. Jej pierś unosiła się i opadała. Brzuch niczym potężna cysterna chwiały się pod prześcieradłem. Pomyślałam o kobiecie, która pewnej nocy wzięła mnie na ręce, bosą zniosła po drabinie i zabrała na wycieczkę w chłodną, dymną teherańską noc, a potem prosto w niebo na diabelskim młynie. Przypomniałam sobie, jak echo jej śmiechu wędrowało po domu przy alei Wiary, docierając do każdego pokoju.

Podeszłam do łóżka.

Zamarłyśmy w bezruchu, patrząc na siebie: ja na nią, ona na mnie. Żółtawy płyn spływał jej z kącików oczu na poduszkę. Twarz miała wypraną z emocji. Jeśli w ogóle mnie rozpoznała, nie okazała tego. Po chwili zamknęła oczy.

*A więc to tak - pomyślałam. - Niepotrzebnie czekałam na nią tyle lat. Roksana Anielica widzi mnie i zamiast coś powiedzieć albo zrobić, zamyka oczy.*

Wybiegając z pokoju, z impetem wpadłam na Miriam.

- Mam nadzieję, że dziś w nocy umrze - odezwałam się pewna, że Roksana mnie słyszy.

Nie umarła tamtej nocy, ale jej stan się pogorszył, a oznaki życia stały się jeszcze wątlejsze. Wiedziałam o tym, bo nazajutrz znów wróciłam do Miriam i następnego dnia tak samo. Czasami wbrew sobie i swojej złości wchodziłam nawet do Roksany i patrzyłam na nią.

Rozczarowane bezradnością lekarzy, moje ciotki musiały pogodzić się z porażką na froncie naukowym. Sięgnęły po starsze, wypróbowane metody uzdrawiania.

Wbrew stanowczym sprzeciwom męża Rochelle poleciała do Chicago między jednym a drugim prestiżowym przyjęciem i udała się tam do bardzo świętego rabina, który w ogóle nie miał ochoty z nią rozmawiać, ale w zamian za hojny datek dał jej czerwony sznurek, nad którym odmówił modlitwę, a którą miała zawiązać na przegubie Roksany.

Na widok sznurka Józefina wybuchnęła śmiechem.

- Sprzedają je w całym mieście - powiedziała. - Wszystkie moje koleżanki ostatnio je noszą. Mają podobno chronić przed urokiem.

Nie chcąc być gorszy od Rochelle, Bryan pojechał ze swoją kochanką nurkować na Kajmanach i przywiózł stamtąd człowieka, którego nazywał "swoim osobistym guru i przewodnikiem duchowym". W zamian za pokrycie wszelkich kosztów tygodniowego pobytu w Century Plaza Towers, guru co rano przychodził do domu Miriam i kładł rozgrzane tygrysią maścią dłonie na brzuchu Roksany, twierdząc, że usuwa negatywne wibracje, które odbierają jej zdrowie. Wibracje kosztowały Bryana dziesięć tysięcy dolarów, a i tak nie dało się ich usunąć.

Potem córka Zuzanny odkryła jakiegoś tybetańskiego mnicha, którego również sprowadziła do domu Miriam. Przez dwa dni kiwał się na progu pokoju Roksany mamrocząc coś śpiewnie i paląc ohydnie śmierdzące kadzidła, aż wszystkim łzawiły oczy. Mnich został wygnany, gdy Rochelle, która od początku miała wrażenie, że znała go w poprzednim życiu, nagle w owiniętym białą płachtą łysoniu rozpoznała starego Filipińczyka, który ongiś przychodził czyścić jej basen.

Po dziewięciu tygodniach i trzech dniach tej męki Księżycowa Miriam posadziła mnie przed szklanką herbaty parzonej z kardamonem i podsumowała fakty: zrobiła wszystko, co jej

zdaniem mogło ocalić Roksanę, a także wiele innych rzeczy, z góry skazanych na niepowodzenie. Straciła twarz przed całą gminą, naraziła Roksanę na bezcelowe upokorzenia, wydała mnóstwo pieniędzy i nieodwracalnie zepsuła sobie stosunki z sąsiadami - po to tylko, by patrzeć. .Iak Roksana z dnia na dzień jest bliższa śmierci.

- Czas spojrzeć prawdzie w oczy - przyznała.

Najeżyłam się, ale milczałam. Prawdy Miriam zawsze były bolesne.

- Prawda wygląda tak: od początku wiedziałam, że bierzemy się za to od niewłaściwej strony. Rochelle też to czuła, dlatego nie chciała, żeby Roksanę tu sprowadzać.

- Niepotrzebnie to zrobiliście - wykrztusiłam przez zaciśnięte zęby. - Ja też tego żałuję.

- Może i tak. - Miriam pociągnęła łyk herbaty. - Ale twoje czy moje widzimi się nie jest tu najważniejsze. Widzisz, aby znaleźć lekarstwo, trzeba najpierw postawić właściwą diagnozę. - Odstawiła szklanę.

- Słuchamy, pani doktor - syknęłam ironicznie. - Może sama ją wyleczysz?

Nie obraziła się.

- Nie jestem lekarzem - powiedziała. - Nie muszę być. Ja po prostu wiem, co dolega twojej matce. - Pochyliła się ku mnie i szepnęła mi w twarz: - Wiem, co ją zabija.

Język miałam wyschnięty i ciężki. Kiedy nim poruszałam, ranił mi wargi i zmieniał głos w ochrypły szep.

Miriam odchyliła się do tyłu i podjęła, chcąc miłosiernie mnie dobić do reszty:

- To poczucie winy. Wie, że skrzywdziła ciebie, a wcześniej twojego ojca. Umiera z żalu nad zmarnowanym życiem, które powinna była naprawić, ale tego nie zrobiła. Człowiek dusi w sobie ból, połyka łzy, które nie znajdują ujścia i po pewnym czasie zaczynają cię zabijać. Jest takie słowo po persku, *degh*, to znaczy: "umrzeć ze smutku". Roksana nigdy nie miała szansy, nie dała sobie tej szansy, żeby wrócić i poprosić o wybaczenie. Myślę, że gdyby was o to poprosiła i jeśli już nie Zohraba, to przynajmniej ciebie, mogłaby wypłakać część tych łez i odzyskać siły.

Miriam patrzyła mi błagalnie w oczy, Najwyraźniej sądziła, że potrafię ocalić nie tylko Roksanę, ale także ją, jakby wystarczyło wypowiedzieć zaklęcie, uczynić magiczny gest, by zwrócić im wszystko, co utraciły w ciągu całego życia.

- Co ja tu mogę pomóc? - spytałam ze znużeniem, bardziej dla świętego spokoju niż z chęci pomocy. - Ona nawet nie chce na mnie spojrzeć.

Miriam kurczowo uczepliła się tej szansy.

- Mam zamiar zrobić migdałowe łyzy - powiedziała powoli, jakby nie chciała mnie

przestraszyć. - Tu, w domu. To dawny sposób, do którego uciekaliśmy się w starym kraju, kiedy dotknęła nas tragedia, z której nie potrafiliśmy znaleźć wyjścia. Proces jest długi, trwa co najmniej dwa dni, a na końcu trzeba, by ktoś o czystej duszy (tutaj nazywają to dobrą karmą) napoił tymi łzami dotkniętą nieszczęściem osobę. Pomyślałam, że poproszę o to ciebie.

Umilkła, ale nie spuszczała ze mnie wzroku. Potem złożyła mi ofertę, której nie byłam w stanie odrzucić:

- Jeśli to zrobisz, powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć.

Taksowała mnie wzrokiem, oceniając rozmiar dręczącej mnie potrzeby.

- Poznasz wszystkie tajemnice -przysięgła. - Wszystkie smutki.

# Roksana

---

- Wszystkie tajemnice - obiecała Miriam Lili zeszłej nocy.

Rozmawiały w saloniku, ale słyszałam je tak wyraźnie, jak gdyby stały tuż obok mnie. Miriam ma wysoki, przenikliwy głos, lecz potrafi go modulować, mówić głośniejszym lub ciszszym głosem w zależności od tego, co jej zdaniem powinnam w danej chwili usłyszeć.

"Powiem ci wszystko, co chcesz wiedzieć" - zapewniła, mając nadzieję wciągnąć Lili do swojego spisku i chyba także próbując mnie ostrzec, że nadeszła pora, aby zacząć mówić.

Jak gdyby w ogóle istniała cała prawda. Jak gdyby Miriam mogła znać każdy sekret!

Kiedy to powiedziała, spostrzegłam, jak bardzo się zmieniła. W Iranie nawet przez myśl by jej nie przeszło, by wyjawiać tajemnice. Myślę, że uległa tej metamorfozie przybywszy z kraju, w którym sekrety czają się w ukryciu - gotowe cię zniszczyć, jeśli tylko ujrzą światło dzienne -. do świata, w którym można ujawnić każdy błąd, przyznać się do grzechu i wciąż mieć nadzieję na jeszcze jedną szansę..

- To kraina wielu szans i możliwości - powta. za co dzień Bahram, a właściwie Bryan, bo tak się tu nazywa. Mówi o dziewczynach, z którymi się umawia, chociaż ma już i żonę, i kochankę. - Blondynki, brunetki i wszelkie pośrednie odcienie. Rozmiary od dwóch do dwudziestu czterech. Płaskie i biuściaste. Samotne i zamężne. Gdybym chciał, mógłbym się przespać nawet z m ęż c z y z n ą !

Ciekawe, czy dostrzegł również inne możliwości, inne szanse.

Ja, która żyłam na wygnaniu nawet we własnym domu, wiem jedno: możesz bardzo kochać swój kraj, ale czasem emigracja to najlepsze, co ci się może przydarzyć.

Usłyszawszy ofertę Miriam, Lili dzwoni do Mercedes, by ją uprzedzić, że zanocuje tutaj. Lili ma słodki, dziecięcy głos, mówi niepewnie, waha się długo między jednym a drugim zdaniem.

- Mam pomóc przy robieniu czegoś z migdałami - bąka. - Zdaje się, że będę musiała zacząć wcześniej rano.

Czuję, że na drugim końcu linii Mercedes wybuchła śmiechem.

Pamiętam raz, jeszcze w żydowskiej dzielnicy, moja matka robiła migdałowe łyzy. To było wtedy, kiedy Bahram zachorował na ospę i wszyscy myśleli, że to ja ściągnęłam

nieszczęście. Migdałowe łzy miały ocalić mu życie i co ważniejsze, uwolnić mnie z pęt złego losu. Pamiętam, jaka byłam podniecona, wręcz wystraszona na myśl o mającym się zdarzyć cudzie, o możliwości, jakkolwiek wątpliwej, że garstka zmiażdżonych migdałów zdolna jest zmienić bieg mego przeznaczenia.

Cud jednak się nie zdarzył.

Cóż, człowiek głupiej, kiedy śmierć zagląda mu w oczy. Moje życie nigdy nie było wiele warte, ale teraz, kiedy czas się zbliża, bardzo się boję umrzeć. Nie zamykam oczu ze strachu, że już ich nie otworzę. Poczułam ulgę, kiedy Miriam wpadła na pomysł zrobienia tych łez. Jestem jej wdzięczna, że jeszcze nie spisała mnie na straty.

Rano obserwuję Lili na podwórku. Miriam udziela jej instrukcji. Niebo jest jaskrawopomarańczowe, ma barwę dojrzałych śliwek daktylowych, które wiosną spadały z drzew w naszym ogrodzie przy alei Wiary. Migdałowiec kwitnie jak oszałały, liście ma jasnozielone, gałęzie sięgają aż na dach i zacieniają całe podwórko. Pod nim stoi Lili na chybottliwym stołku i prawą ręką sięga do wnętrza różowych kwiatów, żeby zebrać młodziutkie owocki.

To żmudna i powolna praca, musi zrywać po jednym migdale na raz i wrzucać je do pudełka, które Miriam postawiła na ziemi. Lili pracuje sumiennie i bez ustanku. Zastanawiam się, czy wierzy w obietnicę cudu czy tylko zabija czas w oczekiwaniu, aż zamknę oczy.

Zdradziłam ją już na samym początku, jeszcze przed jej urodzeniem. Zawsze tylko jedną nogą stałam na ziemi, drugą już miałam uniesioną, marzyłam, by odlecieć. Próbowałam jej to kiedyś powiedzieć. Nie wiem, czy zrozumiała.

Zanim odeszłam, całymi dniami dreptała za mną po domu na małych bosych stópkach, przerażona, że zniknę jej z oczu. Kiedy się do niej odwracałam, uśmiechała się, ale oczy miała pełne lęku.

Kochałam ją, to prawda. Ale nie kochałam jej dostatecznie mocno.

Słońce weszło i Lili męczy się w upale. Od dziewiątej co godzinę ktoś dzwoni do drzwi; schodzą się moje siostry i inni krewni. Miriam prowadzi wszystkich do saloniku, każe im się nie wtrącać. No to siedzą na krzesłach i rozmawiają ściszymi głosami. Od czasu do czasu wchodzą, żeby na mnie spojrzeć, zagadać. Nie odpowiadam, ale słucham. Tak długo byłam sama, że już zapomniałam, jak kojące są ludzkie głosy, ta pajęczyna dźwięków i uczuć,

która teraz mnie otacza, spowija niczym kokon. Głosy filtrują się przez wodę, która wypełnia moją skórę, przez dźwięk mojego własnego oddechu, który budzi mnie w nocy, nawet gdy próbuję zasnąć, przez wszystkie moje lęki, nad którymi nie potrafię już zapanować. Wróciłam do łona matki i nie mogę opędzić się myśli, że tak właśnie będzie, kiedy umrę, a oni wrócą tu, żeby odprawić sziwę.

Lili nie zwraca na nikogo uwagi i zrywa dalej. Ręce ma czarne od kurzu pokrywającego liście, spoconą twarz znaczą brudne smugi, ilekroć odgarnia włosy z czoła lub ociera oczy. Dwukrotnie przerywa, żeby napić się wody. Potem spogląda z podwórza w moje okno i widzi, że ja też na nią patrzę:

Jak zaczyna się mówić po trzynastu latach milczenia?

O pierwszej pudełko jest już prawie pełne i Miriam każe jej skończyć.

- Chodź zjeść - mówi, ale wiem, że Lili nie odejdzie.

Przez resztę popołudnia siedzi pod drzewem i rękami obiera migdały z łupin, wzruszeniem ramion zbywając namowy Miriam, żeby coś przekąsiła. Moje siostry ją obserwują z dala i szepczą, co z nią będzie, jeśli umrę. Z pewnością znów spróbuje odebrać sobie życie. Jedynym sposobem, by ją ocalić, jest ocalić mnie. Co dziwne, Miriam się z nimi nie zgadza.

- Koniec jednej osoby nie oznacza końca wszystkich - mówi.

O piątej Lili kończy obierać migdały. Niesie pudełko do kuchni i stawia je na stole, a potem wraca na podwórko, żeby zmieść i wyrzucić łupiny. Słońce chyli się ku zachodowi i odbija od szyb mojego okna, toteż choć ja widzę Lili wyraźnie, ona z miejsca, gdzie stoi, nie może mnie dojrzeć. Oślepia ją czerwony blask bijący z szyb.

Podchodzi do okna, opiera o nie brudne, podrapane ręce i zagląda do środka.

Przez całą noc widzę w ciemności jej dłonie.

Tamtej nocy pobiegła za mną. Wiem, widziałam ją na schodach. Kiedy stanęłam na balustradzie tarasu, zawołała mnie i wtedy się obejrzałam. Wyciągała do mnie ręce. Pewnie myślała, że zdoła mnie powstrzymać, że nie odejdę, a przynajmniej nie odejdę bez niej. Chyba na to liczyła. Odwróciłam wzrok i zostawiłam ją.

Do końca nie dawało mi to spokoju: moja córka nie mogła u w i e r z y ć, że naprawdę się jej wyrzeknę.

Kochałam ją mniej niż Timura czy moją wolność. Próbowałam jej to powiedzieć.

Nie uwierzyła.

Znów jest rano; Lili wraca na taras z pudełkiem obranych migdałów. Staje przy stole i miażdży migdały tłuczkiem do mięsa. Unosi go w prawej dłoni i wali z całej siły, potem unosi jeszcze raz, tylko troszeczkę, i poprawia uderzenie. Stopniowo udaje się jej zgnieść wszystkie migdały na gęstą ziarnistą masę.

W salonie Miriam podaje herbatę i daktyle, marynowane ogórki z solą i sokiem cytrynowym, obrane jabłka, znowu herbatę. Nagle spostrzegam, że są to tradycyjne przekąski serwowane podczas stypy, i chce mi się śmiać. Co za ironia: te kobiety już odpowiadają sziwę, usiłując ratować mi życie. To sedno ich życia, morał ich historii. Zawsze mają nadzieję, ale z góry wiedzą, że okaże się złudna, godzą się więc z porażką jeszcze przed rozpoczęciem bitwy. Popijają herbatę i przyglądają się Lili, znów popijają herbatę i dyskutują na temat korzyści z wczesnego zamażpójścia, a potem omawiają ryzyko związane z odsysaniem tłuszczu, nowinki w modzie, sposoby, by urodzić chłopca, a nie dziewczynkę.

- Musisz karmić męża ostrymi korzennymi potrawami. - Droga cioteczka Pride poucza córkę Zuzanny, buddystkę. - Róbcie to w połowie twojego cyklu, a przedtem niech męczyzna obmyje się w roztworze sody oczyszczonej.

Droga cioteczka Light przynosi wieść, że jej osiemdziesięcioletni szwagier, mieszkający samotnie w Teheranie, został znaleziony martwy w swym mieszkaniu. Sąsiedzi skarżyli się, że skądś zalatuje zdechłym kotem. Podobno staruszek nie żył od co najmniej dwóch tygodni.

- Wyobraźcie to sobie! - powtarza cioteczka Light. - Siedzisz w tym samym mieście przez całe życie, osiemdziesiąt trzy lata, i w końcu umierasz tak samotny, że znajdują cię dopiero po dwóch tygodniach.

Niektórzy ludzie rodzą się już emigrantami. Noszą wygnanie w sobie, nawet jeśli w ogóle nie ruszają się z miejsca.

Aleksandra Kocica mnie nauczyła, że aby przetrwać, trzeba pogodzić się z wygnaniem, przyjąć je i iść dalej. Nie myśl o tym, co zostawiasz za sobą, mówiła. Nie wolno ci się znużyć, zwolnić dla odpoczynku, zejść z wytyczonej drogi. Pochowaj dziecko i idź dalej. Przegraj wojnę i idź dalej. A przede wszystkim nie oglądaj się za siebie.

Robiłam tak przez trzynaście lat. Robiłam to, bo byłam przekonana, że Aleksandra miała słuszość, że pozostawienie Lili było dla mnie jedynym wyjściem, że nie mogę



zawrócić. To zdawało egzamin, dopóki nie znalazła mnie Miriam.

Lili tnie szeroką gazę na pięciocentymetrowe kwadraty, siada przy stole i palcami nakłada do nich po trochu migdałowej pasty. Potem wiąże je sznurkiem i układa rzędami na tacy. W ciągu godziny zrobiła trzy tuziny takich zawiniątek. Ktoś dzwoni do drzwi; po chwili Zuzanna mówi, że przyszła Mercedes.

Teraz jestem pewna, że naprawdę tylko cud może mnie jeszcze ocalić. Znam Mercedes i wiem, jak bardzo się z Miriam nienawidzą. Mercedes nie weszłaby do tego domu nawet po to, żeby się ze mną zobaczyć, gdybym nie była umierająca.

Miriam wita ją w korytarzu pod moimi drzwiami.

- Miło, że się pokazałaś - mówi swoim najbardziej sarkastycznym tonem. - Powinnaś była poczekać jeszcze kilka miesięcy. Może do tego czasu uległaby mumifikacji.

Mercedes nie odpowiada, lecz gdy idzie w stronę drzwi, czuję, jak powietrze gęstnieje wokół niej, i wiem, że Miriam pospiesznie ustępuje jej z drogi.

Jest jak burza - nagła, potężna i groźna. W sekundę znajduje się już przy mnie, mającą nade mną jej kocie oczy i rubinowe wargi. Zatrzymuje się na dość długo, żeby mi się przyjrzeć, unosi jedną brew, potrząsa głową, jakby chciała powiedzieć, że ją rozczarowałam. Potem odwraca się i idzie ku rozsuwanym szklanym drzwiom wiodącym do ogrodu. Woła do Lili, która siedzi przy stole.

- Twoje ciotki mają rację - mówi, choć wie, że ją słyszę. Nie waha się sprawić komuś bólu. Dla Mercedes największym grzechem jest słabość. - Lepiej się pospieszcie z tym cudem.

Pierwsze dwa tygodnie przeleżałam czekając, kiedy Lili wejdzie do pokoju, żebym mogła ją zobaczyć. Wyławiałam jej głos spośród innych, nasłuchiwałam jej kroków. A mimo to udało jej się mnie zaskoczyć. Nie słyszałam, że weszła, nie poczułam nacisku jej stóp na podłogę, nie widziałam nawet jej odbicia w oknie. Zupełnie jakby do pokoju wśliznął się duch - młody, śliczny duch, który przyszedł błagać o cielesną powłokę.

Podniosłam wzrok i nagle ją ujrzałam.

Moja córka.

Jest wysoka, dużo wyższa ode mnie. Po ojcu. Ma też żółte oczy Zohraba. Zawsze marzyłam, żeby miała takie oczy.

Stała nade mną, a ja zachwycałam się jej urodą. Patrząc na jej jasną skórę, delikatne rysy, czułam się trochę tak, jak gdybym patrzyła na siebie - młodszą, to prawda, i ładniejszą. I bez wątplenia mądrzejszą. Ale otaczała ją ta sama aura samotności, to samo wyobcowanie.

Jest drobna, szczuplutka (jakże różna ode mnie!) i wygląda jak samotna wyspa na nieskończonym oceanie.

Dlatego zamknęłam oczy. Widziałam, jaka czuje się niematerialna, jak bardzo się boi, że jej nie dostrzegę. Odchodząc, usunęłam się z jej życia, ale zostawiłam jej swoje przekleństwo.

Po południu Lili rozwiesza węzélki z migdałową masą na gałęziach drzewa. Przywiązuje je sznurkiem i pod każdym ustawia na ziemi talerzyk.

- Musimy poczekać, aż lzy zaczną spadać - tłumaczy jej Miriam. - Wtedy zbierzemy wszystkie do flakonu i napijemy nimi twoją matkę.

Mercedez Gwiazda Filmowa ma inne zdanie na ten temat.

- Zamiast marnować czas na czekanie - mówi do Miriam - opowiedz dziewczynie obiecaną historię.

Wchodzą więc do mojego pokoju - Miriam, Lili i Mercedez. Lili siada po turecku na podłodze u stóp łóżka, Miriam na krześle naprzeciw niej. Mercedez staje na tle szklanych drzwi, krzyżuje ramiona na piersiach i z góry je obserwuje.

Miriam mówi przez całe popołudnie i do późna w noc. W salonie moje siostry spekulują, o czym mówi i ile odważy się ujawnić (modlą się, żeby ugryzła się w język). W końcu nuży je czekanie i wychodzą do domów. Pan Karol także usypia swoje ptaki i kładzie się do łóżka. Mercedez wciąż stoi nade mną; w miarę jak zapada mrok, jej zgrabna sylwetka na tle srebrzystego nieba powoli wtapia się w ciemność. To ona wciąż jest tą silną - myślę - jedyną, która ośmieliła się rzucić wszystkim wyzwanie, złamała wszelkie zasady i uszło jej to na sucho. Przetrwała dzięki swej złości, swemu okrucieństwu. Tylko że teraz jest już nimi zmęczona.

Dlatego Mercedez tu przyszła, dlatego obserwuje Lili, gotowa bronić jej przed zabójczą prawdopodobnością Miriam. Co za ironia: dawno temu, gdy mieszkaliśmy razem u Kocicy, to ja chciałam mieć dziecko, a w końcu to Mercedez wychowała Lili i nadal się nią opiekuje. Miriam opowiada o tym, jak na samym początku nasza lubawicka praprababka wbiegła nago do świątyni w dniu Jom Kipur, jak moja matka próbowała mnie zabić, jak Mercedez puszczała się w żydowskiej dzielnicy, a ja, żydowska dziewczyna poślubiona synowi księcia, przespałam się z własnym teściem. Pamiętam dotyk dłoni Timura i to, jak na mnie wtedy patrzył.

Czy postąpiłabym inaczej wiedząc, ile zła spowoduję? Czy wtedy mniej kochałabym Timura? Bardziej bym się bała Fräulein Claude? Czy byłabym silna, oparła się pokusie, sile

żądzy Timura, która przyciągała mnie przez tyle lat niczym odchodząca fala?

Tuż przed świtem głos Miriam cichnie i w końcu zamiera. Mercedesz siedzi na skraju mego łóżka i przygląda się Liii. Chce wiedzieć, czy poznanie tej historii przyniosło jej wolność czy wyrok.

Taka będzie śmierć - myślę. Ciemne niebo, cichy pokój, nie wypowiedziane słowo.

Chciałabym powiedzieć Liii: *Jest we mnie smutek ukryty tak głęboko, że nie umiałabym go nawet nazwać.*

*To smutek mojej matki, a przed nią i jej matki - łzy padające do zielonego flakonu i wypijane w samotności.*

*Nie chcę dać mojej córce takiego dziedzictwa. Nie chcę ci zostawić łez.*

*Dlatego odeszłam - aby w twoich oczach nie było smutku.*

*Ale to nieprawda, że poświęciłam się dla ciebie. Nie myślałam wtedy o tobie. Podążyłam za własną potrzebą, albowiem bardziej niż czegokolwiek na świecie, niż Timura, niż ciebie, pragnęłam położyć kres przekleństwu.*

*Dopiero po powrocie rozumiałam, co straciłam.*

Lili podrywa się, wytrącając nas z zadumy.

- Patrzcie na drzewo! - woła podbiegając do okna. Odwracam głowę.

Widzę je - wysokie, piękne drzewo w świetle pierwszego brzasku. Spomiędzy długich kształtnych gałęzi kapią złote krople olejku, spadają do rozstawionych wokół pnia żółtych, czerwonych i fioletowych talerzy, zbierają się tam w kałużki, w których odbija się czerwona kora, ciepło wschodzącego słońca, obietnica rzadkiego cudu.

Nawet Mercedesz płacze z radości.

Czekają, aż z masy wysączy się wszystek olej. O dziewiątej zbierają talerzyki pełne migdałowych łez i stawiają je na stole w ogrodzie. Miriam znika w domu; wraca z buteleczką i lejkiem.

- Wlej je tutaj - mówi do Lili.

Liii blednie. Cofa się ze zgrozą, głośno wciąga powietrze i zasłania dłonią usta, żeby nie krzyknąć.

To ta buteleczka - stara, zielona, trochę uszczerbiona. Widziała ją już dawniej. Chyba właśnie sobie przypomniała gdzie. Ja też pamiętam. To flakon na łzy mojej matki, ten, który

Miriam przyniosła mi jakiś czas po jej śmierci. "Matka płakała do niego po każdej tragedii, a kiedy się wypełnił, piła swoje łzy" - powiedziała wtedy. Trzymałam flakonik w swoim pokoju, ale nie zabrałam go odchodząc. Lili też go zostawiła, kiedy Zohrab wysłał ją do Ameryki. Lecz Miriam wróciła po niego, przewiozła go na drugi koniec świata i przechowała u siebie: jedyny dar, który dała mi moja matka; jedyny, który pozostawię swojej córce.

Otwieram usta, żeby powiedzieć: "nie".

Zamiast tego krztuszę się tą przekłętą wodą i zaczynam się dusić. Próbuję złapać oddech, szlocham ze złości głębokimi, głośnymi spazmami. Woda tryska mi z gardła i nosa, wymiotuję żółtym wysiękiem z płuc. Miriam słyszy mnie i biegnie na pomoc. Drżącymi rękami stara się unieść mi głowę. Chcę ją odepchnąć, ale nie mam dość sił. Chyba po raz pierwszy w życiu Miriam wpada w panikę i krzyczy, żeby jej pomóc. Wszyscy wpadają do pokoju. Wzywają pogotowie, miotają się, przekrzykują albo stoją i płaczą bezradnie. Krztuszę się jeszcze mocniej, wymiotuję jeszcze gwałtowniej, rżęzę usiłując zaczerpnąć powietrza, ale płuca mam pełne wody, tchawicę zapchaną, targa mną spazm i zaczyna mi się robić ciemno w oczach.

- Mamo! - woła Lili.

To głos dziecka, głos, który wołał mnie na tarasie, głos, który wciąż we mnie wierzył.

Przeżywam wstrząs. Patrzę na nią bez tchu, odnajduję ją w ciemności, która mnie otacza. Jest przerażona - jak wtedy, kiedy miała pięć lat, a ja nie chciałam z nią zostać.

Mercedez odepchnęła Miriam i unosi mi głowę, wygarnia wodę z ust, żeby powietrze mogło się dostać do tchawicy. Kiedy udaje mi się odetchnąć, uspokajam się.

Lili wciąż tu jest, przy łóżku, patrzy na mnie, śledzi każdy mój oddech. Pamiętam, jak mnie wołała, ale teraz widzę różnicę między dzieckiem, które wtedy opuściłam, a kobietą, którą Lili stała się pod moją nieobecność. Jest przerażona, to prawda, lecz także rozgniewana - żąda ode mnie, żebym nie umierała, jeszcze nie teraz, nie w taki sposób. Jej istnienie nie jest już nierozzerwalnie związane ze mną. Będąc z nią próbowałam sprawić, by zniknęła. Nie chciałam jej dostrzec; myślałam tylko o tym, że chcę stamtąd uciec. Przeze mnie stała się niewidzialna. Ale teraz własną śmiercią tu, w tym mieście, w tym domu, pozwolę jej znowu istnieć.

Sanitariusze wnoszą tlen, każą wszystkim wyjść, mówią, że powinnam mieć spokój. Leżę na wznak, wdychając tlen, który smakuje słodko, sucho i nijako. Jestem wdzięczna Bogu, że jeszcze żyję. Chciałabym przeżyć jeszcze jedną minutę, jeszcze jedną godzinę. Kiedy przypominam sobie, żeby otworzyć oczy, Lili nie ma, ale Mercedez wciąż stoi obok

łóżka.

- Będą robić te cuda ze łzami - mówi, po raz pierwszy zwracając się wprost do mnie. -  
Postaraj się im tego nie utrudniać.

Miriam wchodzi z zielonym flakonem, woła Lili. Wkłada jej do ręki łyżkę i nalewa na nią parę kropel olejku. Wskazuje mnie ruchem głowy.

- Pierwsze krople są najważniejsze - mówi. - Miej wiarę.

Ręka Lili drży, rozlewa olejek na moją pierś. Miriam próbuje znowu. Tym razem mój oddech zmiata olejek z łyżki.

Mercedez zaczyna się niecierpliwic.

- Nie da się tego zrobić dożylnie? - pyta drwiąco, ale Miriam jej nie słyszy.

Lili drży, łzy wzbierają w jej oczach, płyną po twarzy, spadają na moją twarz.

*Dawno, dawno temu, kiedy byłam młoda - w twoim wieku, a może odrobinę starsza -  
pewna ślepa staruszka umarła w mojej sukience, opuściłam więc dom i żydowską dzielnicę.  
Przy alei Wiary spotkałam mężczyznę, który mnie pokochał, który dał mi upragnione dziecko.  
W owym czasie, w tamtym czarodziejskim domu, uwierzyłam, że cuda jednak się zdarzają.*

Za trzecią próbą czuję w ustach smak olejku.

Jest ciepły i słodki, przypomina coś, co piłam jako dziecko w żydowskiej dzielnicy -  
tak hałaśliwej, że zawsze wiedziałeś, że żyjesz. To przede wszystkim pamiętam z Iranu: głosy  
mojej rodziny zmieszane pod jednym dachem, zalane słońcem podwórze, matkę, która  
wiecznie modliła się o cud, roniła łzy do flakonu, wypijała je i znów zaczynała płakać.

Kiedy uciekłam z domu Zohraba, powiedziałam sobie, że nie będę niczego żałować - i  
do dziś nie żałowałam.

Ale teraz, kiedy czuję smak migdałowych łez, patrzę na Lili i liczę lata, które uczyniły  
z mojej małej córeczki dorosłą kobietę, czuję, jak mur się kruszy i zaczynam płakać -  
prawdziwymi łzami, a nie tą przeklętą wodą, która sączy się ze mnie jak trucizna.

Liii tego nie widzi. Nawet Miriam, choć tak czujna, bierze moje łzy za wysięk z oczu.  
Każe Liii dać mi jeszcze olejku.

Nagle łapię się na myśli - ja, która nigdy nie wierzyłam w odkupienie i nie  
pozwoliłabym sobie modlić się o cud - że może jeszcze nie wszystko stracone. Może i ja  
jeszcze nie jestem stracona.

Płacę cicho, oczy mam zamglone solą. Łzy płyną tak gęsto, że poduszka już jest mokra, a mimo to nie mogę przestać. Czuję się lżejsza, jak gdybym z każdą przelaną łzą zrzucała kolejny funt, jak gdyby to właśnie łzy połykane ukradkiem, zbierające się we mnie przez te wszystkie lata nad morzem Marmara i przedtem w domu żądzy Timura, i nawet jeszcze wcześniej, w żydowskiej dzielnicy na skraju pustyni - jak gdyby to te łzy mnie obciążały i przykuły do ziemi.

Miriam się myli. Tym, co mnie zabija, nie są wyrzuty sumienia.

*Nie mogę wymazać smutku z twoich oczu - chcę powiedzieć do Lili - ale nie tylko sam smutek ci zostawiam. Nie tak to się zaczęło, nie tak to się skończy. Byłaś cudownym dzieckiem - nadzieją na cudowne życie - i w owych latach miałam pewność, że twoja historia nie skończy się smutno. Może tu, w tym kraju szans i wielu możliwości, nie będzie musiała zakończyć się smutno.*

Kiedy Lili znów przytyka mi łyżkę do ust, chwytam ją za rękę.

Lodowacieje, wpada w panikę i próbuje uwolnić dłoń, ale ja nie puszczam. Trzymam jej drobne smukłe paluszki w swojej ogromnej łapie i ściskam je z całych sił, jakie pozostały mi w gnijącym ciele. W końcu Lili przestaje walczyć. Jej dłoń mięknie. Patrzy na mnie w ciemności i chyba rozumie, bo się nie rusza. Czeka.

Podnoszę się. Czuję się lżejsza, szczuplejsza, bardziej nieważka, niż czułam się od roku. Obejmuję Lili ramieniem i jednym ruchem unoszę ją z ziemi.

Suniemy przez szklane drzwi, przez ogródek i wzwyż, w nocne niebo. Kiedy moje stopy odrywają się od ziemi, Lili chwyta mnie kurczowo i patrzy w dół.

*Obejrzyj się - mówię. - Spójrz w tył, w ciemność. Zobaczysz nas wszystkich, nawet tych, o których już dawno zapomniałam.*

Pokazuję jej drogę, która przywiodła mnie do tego domu - ulice, którymi wieziono mnie tu ciężarówką jak schwyte zwierzę; grozę, którą czułam wisząc w powietrzu na haku dźwigu, ciemność aptecznego stryszku, tłum, który zebrał się dokoła mnie tego dnia, kiedy wysiadłam z samolotu i zasłabłam na ulicy Los Angeles.

Ale potem mkniemy dalej, pokazuję Lili barwy Stambułu, czerwone, złote i zielone mozaiki meczetów, malowane łuki pałacu Topkapi, błękit morza Marmara.

Pokazuję jej góry, które pokonałam w drodze do Turcji, puszcze północnego Iranu i brunatną jałową pustynię, która zwycięża wszystko.

Teheran leży w ruinach. Szaleją w nim wojna i głód. Pomarły drzewa przy alei Wiary. Nasz dom - dom Timura - zapelnili gniewni i nieprzyjaźni obcy ludzie. Pośród nich krąży półprzytomnie rozczochrana Fräulein Claude, rozmawia ze zmarłym bratem, pyta go o Timura. Zohrab siedzi sam w pokoju, pogrążony w żalu do końca swoich dni.

Nie zatrzymuję się tam. Biorę Lili w ramiona, jak powinnam to była zrobić trzynaście lat temu, i frunę z nią ponad ruinami w ciągnące się daleko ulice oświetlone blaskiem pochodni, do domu, który oglądałam w dniu swojego ślubu.

*Obejrzyj się - mówię.*

W świetle księżycy dom przy alei Wiary rozświetla się stopniowo. Światło prowadzi mnie z pokoju do pokoju, gdy ubrana w białą suknię idę do Zohraba, który czeka na mnie, uśmiecha się, wyciąga dłoń i prowadzi mnie ku obietnicy szczęścia.

*Tak to się zaczęło.*

Słyszymy muzykę, śmiech Tala'at, pobrzękiwanie bransolet Fräulein Claude, która krąży między gośćmi na moim weselu.

Wchodzimy do domu, który znów jest umeblowany, jasny i wspaniały, i tylnymi drzwiami wychodzimy na podwórko.

Jest wiosna. Stoję w lekkiej sukience bez rękawów; ręce zbryzgane mam sokiem z winogron.

Zohrab pyta mnie, czy za niego wyjdę, a ja myślę o córce, którą będę z nim miała, córce o złotych oczach.

"Przeznaczenie to zwykły wymysł" - mówi, a jego niewinność sprawia, że chce mi się płakać.

Mam osiemnaście lat, właśnie wyrwałam się z żydowskiej dzielnicy i po raz pierwszy zobaczyłam Timura.

Stoi przed domem, przed szklanymi drzwiami o trawionych we wzory szybkach, i nie patrzy na mnie.

Nie mogłam - i nie chciałam - kochać go mniej. Nie mogłam mu odmówić, nie mogłam dłużej się opierać. Ale dziś, w tym kraju wielu możliwości, widzę szansę, by zgrzeszywszy uzyskać przebaczenie, zacząć wszystko od nowa. Tak powinnam była zrobić, gdy zdradziłam Zohraba z Timurem. Zohrab tego pragnął. Lili wciąż jeszcze może zacząć wszystko od nowa.

*Na początku - mówię jej - było wiele możliwości, a ja, wierząc, iż jestem skazana, pozwoliłam im się zmarnować.*

Widzę, że Lili mnie zrozumiała. Ma w oczach ten sam błysk, to samo lśnienie, które

widziałam w nich tej nocy, gdy razem uciekłyśmy po drabinie przed tyranią Fräulein Claude. Lili była zdumiona - pamiętam to dobrze - wstrząśnięta odkryciem, że nocą świat nie jest taki cichy i ciemny, jak zawsze myślała. Patrząc na Paryż w Botkach idącą ze śmiechem poprzez splątany korek samochodów i pieszych, wyłaniającą się z kłębow pary i spalin pracujących silników, widziała baśniową czarodziejkę, która nagle pojawiła się w tym świecie. Dostrzegła wtedy możliwość istnienia innej prawdy.

Przytykam wargi do policzka mojej córki i szepczę:

- Obejrzyj się. Można poznać wszystko i wreszcie znaleźć spokój.



Pragnę podziękować:

Memu mężowi, Hamidowi, który jest moim najlepszym przyjacielem, największą podporą; ramieniem, na którym mogę się wyplakać, dłonią, która chroni mnie przed upadkiem.

Moim dzieciom - Alexowi, Ashley i Kevinowi - które odpędzały ode mnie wszelkie smutki, pobłogosławiły tę książkę swoimi najlepszymi życzeniami, a moje życie - cudem swojego śmiechu.

Moim rodzicom, François i Giti Barkhodar, którzy mieli odwagę wyruszyć na poszukiwanie "kraju wielu szans".

Moim przyjaciółkom, pisarkom Adriane Sharp i Mary Stachenfeld, które tłukły się w deszczu drogami południowej Kalifornii w każdą niedzielę rano, żeby spotkać się ze mną w kafejce na pustkowiu i porozmawiać o tej książce. Kawa była tam wstrętna, a jajka miały za sobą wiele poprzednich wcieleń, lecz rady, jakie wtedy usłyszałam, okazały się nieocenione.

Mojej agentce, Barbarze Lowenstein, która wierzyła w tę książkę od samego początku i promowała ją z niezrównanym entuzjazmem.

Mojej redaktorce, Chrście Malone, która płakała czytając tę książkę, oraz jej córce, która ją poganiała, żeby czytała dalej.

Wydawcy Danowi Farleyowi, który w przeddzień święta Jom Kipur powiedział mi "tak".

335

Mojej siostrze, Gentille Barkhodar, która odpowiadała na gorączkowe telefony o szóstej nad ranem i nieraz późną nocą pędziła do mnie, kiedy komputer odmówił mi posłuszeństwa; także mojej drugiej siostrze, Jeanette Monfared, która opiekowała się mną, kiedy mieszkaliśmy w internacie, i opiekuje się mną do tej pory.

Mojemu przyjacielowi, doktorowi Douglasowi Searsowi, który wykazał mi, że istnieją różne prawdy.

Memu nauczycielowi, pisarzowi Johnowi Rechy'emu, który zaszczepił we mnie dążenie do doskonałości.

Czcigodnemu doktorowi Raheemowi Cohenowi, który zapraszał mnie do domu i pozwolił mi czerpać ze skarbcza swoich wspomnień, oraz mojej ciotce Eghtedar Hanassab za jej niezliczone opowieści.

Nieodżałowanej Parivash Nahai, która dawała mi przykład swoją dobrocią i odwagą.

Dziękuję Wam.

